

AMIE KAUFMAN
MEAGAN SPOONER

W
SPOJRZENIU
WROGA

TOM 2

moondrive

AMIE KAUFMAN
MEAGAN SPOONER

W
SPOJRZENIU
WROGA

TŁUMACZENIE MARTYNA TOMCZAK

moondrive
KRAKÓW 2017

*Dla Marilyn Kaufman i Sandry Spooner,
naszych niezłomnych sojuszniczek
w każdej bitwie, którą przychodzi nam stoczyć*

Stoi na polu bitwy – pośrodku ulicy, na której dorastała. Ludzie nie wiedzą, że zbliża się wojna. Za każdym razem, gdy otwiera usta, by ich ostrzec, jej słowa toną w gwarze miasta November. Samochód hamuje z piskiem opon, dzieci się śmieją, wysoko na holobanerze po raz kolejny wyświetla się zapętlona reklama. Dziewczynka krzyczy, ale reagują tylko gołębie u jej stóp. Przestraszone podrywają się do lotu i znikają w kolorowym labiryncie sznurków z praniem i latarni.

Nikt jej nie słyszy.

JUBILEE

Jakiś człowiek przygląda mi się z drugiego końca baru. Zauważam go tylko dlatego, że swoim zwyczajem opieram przedramiona na plastenowym blacie i wychylam się do przodu. Zerkam w lustro za plecami barmana i dzięki temu mam oko na salę. Facet, którego obserwuję, stosuje tę samą sztuczkę.

Jest tu nowy. Nie poznaję go, ale kogoś mi przypomina. Z pewnością rekrut chcący coś udowodnić, jak oni wszyscy. Rozgląda się ostrożnie, chyba nikogo tu nie zna. Ma na sobie podkoszulek, kurtkę i bojówki, wszystko lekko się opina, nie pasuje. Może nie zdążyli jeszcze zamówić jego rozmiaru. Albo to, albo założył cudzy mundur.

Zazwyczaj wystarczy tydzień, by żółtodziób przyjął do wiadomości, że nie należy zaczepiać kapitan Chase, nawet jeśli siedzi przy barze U Molly'ego Malone'a. Osiemnastolatka świadomie rezygnująca z flirtów z chłopakami to rzadkie zjawisko. Jednak będzie dla mnie bezpieczniej, wiem o tym, gdy od początku dam im do zrozumienia, że nie jestem zainteresowana.

Ale ten tutaj mnie intryguje. Sprawia, że na moment zapominam o swoich zasadach. Ma lekko kręcone ciemne włosy, gęste brwi i niebezpiecznie czarujące spojrzenie. Zmysłowe wargi wyginają się delikatnie w ledwie zauważalnym uśmiešku. To usta poety.

Wygląda dziwnie znajomo. Na szklance wokół moich palców formują się kropelki wilgoci. Zmieniam zdanie, nie mogę go znać – kogoś takiego z pewnością bym zapamiętała.

– Wszystko gra? – pyta barman. Opiera się o kontuar, zasłaniając mi widok, i kiwa głową w moją stronę.

Ten podły bar na podłej, rozdeptanej uliczce nosi pełną nostalgii nazwę U Molly'ego Malone'a, przywołującą widmo jakiejś zapomnianej legendy z leksykonu pradawnych irlandzkich wierzeń, który zamieszkujący tę planetę nieszczęśnicy uznali za swój. „Molly” to ważący ponad sto kilo łysiejący Chińczyk z chryzantemą wytatuowaną na karku. Odkąd tu wylądowałam, jestem jego ulubienicą, ponieważ dzięki mojej matce jako jedna z nielicznych osób znam więcej niż trzy słowa po chińsku.

Unoszę brwi.

– Próbujesz mnie upić? – pytam.

– Skarbie, nie zabronisz mi chyba żyć marzeniami?

– Kto wie, Molly, może któregoś dnia...

Znów spoglądam w lustro. Tym razem nieznamy to zauważa i bezczelnie odwzajemnia spojrzenie. Zwalczam pokusę, by odwrócić wzrok, i nachylam się

w stronę Molly'ego.

– Co to za jeden, tam, przy końcu baru?

Molly nie jest na tyle głupi, żeby się odwracać. Polerując od niechcienia szklanke, pyta:

– Ten przystojny?

– Uhm.

– Twierdzi, że jest tu nowy i próbuje się zorientować co i jak. Zadaje dużo pytań.

Dziwne. Młokosy ściągają tu zwykle stadami, całe plutony zdeorientowanych, przejętych chłopców i dziewcząt, które potulnie pójda wszędzie, gdzie im się każe. Cichy głosik w mojej głowie upomina mnie, że to nie fair, że zaledwie dwa lata temu sama byłam tu nowa. Ale nic nie poradzę. Ci smarkacze są tak żałośnie nieprzygotowani do życia na Avonie, że nie mogę się powstrzymać.

Ten jednak wydaje się inny. Poza tym przyszedł sam. Wyostrzam wzrok, czując, jak włoski jeżą mi się na karku. Tu, na Avonie, „inny” zazwyczaj znaczy „niebezpieczny”.

– Dzięki, Molly.

Strzepuję na niego krople wilgoci z palców, a on krzywi się lekko, a potem z uśmiechem odwraca w stronę bardziej wymagających klientów.

Facet wciąż patrzy. Teraz już całkiem otwarcie wykrzywia ustaw chełpliwym grymasie. Zdaję sobie sprawę, że się na niego gapię, ale co mi tam. Jeśli rzeczywiście jest żołnierzem, mogę powiedzieć, że przyglądałam mu się służbowo, w poszukiwaniu znaków ostrzegawczych. Owszem, jestem tu prywatnie, ale to nie znaczy, że nie ciąży na mnie odpowiedzialność. Furia może człowieka dopaść w każdej chwili.

Nieznamy jest mniej więcej w moim wieku, więc nawet jeśli zaciągnął się jako szesnastolatek, ma za sobą nie więcej niż dwa lata służby. Najwyraźniej zdążył już zhardzieć, ale brak mu doświadczenia, by wiedzieć, że najwyższy czas zetrzeć z gęby ten dumny uśmieszek. To nic, wystarczy, że pobędzie tu kilka tygodni. Ma piękne, jakby rzeźbione rysy i podbródek tak idealny, że mam ochotę go uderzyć. Cień zarostu wzdłuż żuchwy tylko podkreśla kształt twarzy. Zdaję sobie sprawę, że chłopcy tacy jak on bez wyjątku wyrastają na drani, ale z tej odległości dostrzegam tylko jego niezwykłą urodę. Wygląda jak stworzony przez artystę.

Widząc takich facetów, aż chce się uwierzyć w Boga.

Misjonarze powinni się o nich upominać. W końcu do tego, by strzelać do ludzi, atrakcyjny wygląd nie jest potrzebny, w szerzeniu wiary natomiast pewnie by pomógł.

Wpatrzona w jego odbicie w lustrze przyzywam go znaczącym ruchem

podbródka. Nie reaguje od razu. W zwykłym barze na zwykłej planecie znaczyłoby to, że nie jest zainteresowany lub udaje niedostępnego. Ale ponieważ mój cel jest inny niż ludzi w zwykłych barach, jego wahanie daje mi do myślenia. Albo nie wie, kim jestem, albo o to nie dba. To pierwsze jest raczej niemożliwe – wszyscy na tym kawałku skały znają kapitan Lee Chase, nawet jeśli dopiero tu przybyli. Problem w tym, że jeśli prawdą jest to drugie, mam przed sobą kogoś więcej niż zwykłego rekruta.

Jakiś urzędas z kwatery głównej tajniaczy się, udając jednego z nas? A może agent Terra Dynamics przyjechał sprawdzić, czy wojsko robi, co do niego należy, żeby zapobiec kolejnej rebelii? Zdarza się przecież, że korporacje wysyłają szpiegów, by się upewnić, że rząd wywiązuje się ze swojej części umowy. To tylko utrudnia nam pracę. Korporacje wiecznie lobbują za prawem do zatrudniania najemników, ale ponieważ Rada Galaktyki nie jest zachwycona pomysłem, by na planetach panowały prywatne wojska, pozostaje im pisanie petycji o zwiększenie sił rządowych. A może tego kolesia przysłała właśnie Rada, by powęszył na Avonie przed planowanym za kilka miesięcy audytem planetarnym?

Niezależnie od tego, kim jest, jego obecność nie oznacza dla mnie nic dobrego. Czemu oni wszyscy nie zostawią mnie w spokoju, żebym mogła po prostu robić, co do mnie należy?

Nieznajomy bierze piwo i podchodzi. Całkiem udatnie odgrywa nieśmiały entuzjizm, niby zaskoczony tym, że go wyróżniłam. Nie ze mną te numery.

– Cześć – oto całe powitanie. – Tylko nie wpadaj w panikę. Twój drink jest niebieski.

Popijam jedną z autorskich mikstur Molly'ego. Czasem przygotowuje je dla mnie za darmo, bo cieszy się, że może mieszać drinki, zamiast wciąż rozlewać piwo.

W mgnieniu oka podejmuję decyzję. Skoro facet chce udawać Greka, mogę poudawać razem z nim. Ostatecznie całkiem miło się na niego patrzy, a poza tym zżera mnie ciekawość – chcę się dowiedzieć, co będzie, jeśli przyłączę się do tej szopki. Dobrze wiem, że nie jest mną zainteresowany. W każdym razie nie tak, jak próbuje mi wmówić.

Wyjmuję z kieliszka plastikową wykałaczkę – jest jaskraworóżowa – i zjadam po jednej nadziane na nią wisienki. Facet patrzy mi na usta, co napęnia mnie chwilowym zadowoleniem. Molly rzadko ma okazję mieszać drinki, a ja rzadko mam okazję flirtować.

Uśmiecham się lekko i nieznacznie pochylam w jego stronę.

– Lubię niebieski.

Otwiera usta, ale zamiast odpowiedzieć, zanosi się kaszlem.

– Bagienna grypa? – pytam z fałszywą troską. – Molly ci pomoże. Tutejszy alkohol leczy wszystko, od zranionych uczuć po zapalenie wyrostka.

– Serio?

Odzyskał głos i uśmiech. Pod maską zakłopotanego chłopca dostrzegam przebłysk zadowolenia. Dobrze się bawi.

Ty też, zauważa złośliwy głosik w mojej głowie. Ignoruję go.

– Poczekaj chwilę, a zobaczymy, czy mój język zrobi się niebieski do kompletu. – Chcesz, żebym sprawdził?

W tle widzę część mojego plutonu. Obserwują nas, na pewno czekają, czy coś z niego wyciągnę.

– Śmiało sobie pogrywasz.

Parska śmiechem i opiera się łokciem o kontuar – mała kapitulacja, przerwa w grze. Nie tyle do mnie uderza, ile próbuje mnie wyczuć.

Odstawiam drinka na blat baru, na którym ktoś wydrapał swoje inicjały. Były tu, zanim się pojawiłam, choć ich właściciel zniknął dawno temu.

– W tym momencie, Romeo, należałoby się przedstawić.

– I zepsuć aurę tajemnicy? – mówi nieznajomy i unosi brwi. – Z tego, co pamiętam, Romeo nie zdjął maski, kiedy poznał Jubilee.

– Julię – poprawiam go, usiłując opanować grymas na dźwięk mojego pełnego imienia.

Musi być nowy, skoro nie wie, że go nie znoszę. Ale przynajmniej dał mi ważną wskazówkę. Zna Szekspira, a to znaczy, że chodził do szkoły poza Avonem. Mieszkańcy mokradeł miewają kłopoty z czytaniem instrukcji, a co dopiero dawnych klasyków.

– Widzę, że mam do czynienia z uczoną – odpowiada z błyskiem w oku. – Dziwię się, że cię tutaj spotykam. Chyba musiałaś się komuś narazić, żeby utkwąć na Avonie?

Opieram łokcie o bar, obracając w palcach plastikową wykałaczkę.

– Jestem urodzoną buntowniczką.

– Uwielbiam buntowniczkę.

Romeo zerka na mnie z uśmiechem, po czym odwraca wzrok. A jednak to mgnienie wystarczyło, bym zauważyła, że jest zdenerwowany. Dobrze mnie wyszkolono w wychwytywaniu ledwo dostrzegalnych zmian, przyływów i odpływów ludzkich emocji. Tu lekki tik, tam napięta linia mięśni – czasem to jedyne sygnały wskazujące, że ktoś zamierza się wysadzić w powietrze i zabrać cię ze sobą.

Adrenalina wyostrza mi zmysły. Wychylam się do przodu. W lokalu unoszą się pomieszane zapachy rozlanego piwa, dymu z cygar i odświeżacza powietrza, jednak żaden z nich nie jest na tyle silny, by przykryć wciskającą się do środka ostrą woń mokradeł. Staram się ignorować śmiech moich podkomendnych przy stoliku w głębi sali i uważniej przyglądam się swojemu rozmówcy. W przytłumionym świetle trudno stwierdzić, czy ma rozszerzone źrenice. Jeśli jest

tu od niedawna, furia raczej nie zdążyła go dopaść, chyba że przeniesiono go z innego miejsca na Avonie.

Lekko się wierci pod moim baczny spojrzeniem, po czym prostuje plecy.

– Słuchaj – mówi. – Pozwól, że zapłacę za twojego drinka i będziesz miała mnie z głowy.

Jakimś cudem mnie przejrzał. Wie, że mu nie ufam.

– Chwila – odpowiadam i delikatnie, ale stanowczo chwytam go za ramię. Jeśli zechce odejść, zanim mu pozwolę, będzie musiał się wyrwać. – Nie jesteś żołnierzem – ciągnę. – Ani tubylcem. Zagadkowy z ciebie gość. Chcę się dowiedzieć o tobie więcej. Chyba nie zostawisz mojej ciekawości niezaspokojonej?

– Niezaspokojonej?

Jego uśmiech nie drgnął nawet o milimetr. Dobry jest. Nabieram pewności, że szpieguje dla Nova Techu, SpaceCorpu albo innej konkurującej z TerraDyнем firmy, która wykupiła ziemię na Avonie.

– Nieładnie, pani kapitan Chase.

Porzucam pozory.

– Nie przedstawiałam się.

– Jakby Niewzruszona Chase potrzebowała się przedstawiać.

Choć nigdy nie złapałam nikogo z mojego plutonu na używaniu tego przezwiska, to już po kilku dniach od mojego przyjazdu znali je niemal wszyscy. Nie odpowiadam. Zamiast tego uważnie przypatruję się nieznajomemu, usiłując dojść, gdzie go wcześniej widziałam. Jeśli to przestępca, mogłam się natknąć na jego zdjęcie w bazie danych.

Facet niby od niechcienia próbuje wyswobodzić ramię, jakby chciał sprawdzić, jak bardzo mi zależy na tym, żeby go zatrzymać.

– Chciałem tylko postawić ci drinka. Pozwól mi, a będziemy mogli się rozejść każde w swoją stronę i pomarzyć o tym, co mogłoby się stać, gdybyśmy jednak pogadali.

Zaciskam zęby. Jego przedramię napina się pod moim dotykiem. Nie brak mu siły, ale ja jestem lepiej przeszkolona.

– Słuchaj no, Romeo. Proponuję spacer do kwatery głównej. Tam możemy gadać do woli.

Czuję pod palcami drgnienie mięśnia i zerkam na jego dłoń – jest pusta, ale po chwili nieznajomy zmienia pozycję i nagle coś, co trzyma w drugiej dłoni, wbija mi się w żebra. Broń. Niech to szlag. Nie dobrze mi znany lśniący gleidel, ale wiekowy, wysłużony pistolet na pociski. Nic dziwnego, że mimo panującego w barze gorąca facet miał na sobie kurtkę. Długie rękawy skrywały genotag, spiralny znaczek, który wszystkim miejscowym tatuuje się na przedramieniu w dniu narodzin.

– Wybacz. – Nachyla się do mnie, by ukryć tkwiącą między nami broń. –

Naprawdę chciałem tylko postawić ci drinka.

Za jego plecami widzę moją gromadkę; skupieni przy stoliku, głowa przy głowie, śmieją się i co jakiś czas spoglądają w naszą stronę. Choć połowa z nich już kilka lat temu przekroczyła dwudziestkę, wciąż zachowują się jak dzieciaki. Mori, jedna z najstarszych, na krótką chwilę napotyka moje spojrzenie, ale zaraz odwraca wzrok i nie udaje mi się jej przekazać żadnego znaku. Dostrzegam starannie ułożone i usztywnione żelem różowe włosy Alexiego, który z przesadnym zainteresowaniem wpatruje się w ścianę. Myślą, że pozwoliłam temu facetowi się do mnie przykleić. Niewzruszonej Chase raz w życiu udało się podryw. Ponieważ na Avonie odbywają się wieczne roszady wojsk, moi podkomendni przybyli tu już po ogłoszeniu rozejmu – ich zmysły nie są w stanie gotowości. Nie są wystarczająco podejrzliwi.

– Żartujesz sobie? – odpowiadam.

Moja własna broń tkwi przy biodrze, ale facet zdąży strzelić, zanim po nią sięgnę.

– Naprawdę myślisz, że ci się uda? – dodaję.

– Nie dałaś mi wyboru – mówi Romeo i zerka na moją kaburę. – Pani kapitan, ma pani na sobie zbyt dużo rzeczy. Proszę położyć pistolet na stołku. Powoli.

Spoglądam w stronę Molly'ego, ale jest odwrócony plecami. Wyciera szklanki, wpatrując się w holowid przy końcu baru. Usiłuję pochwycić czyjekolwiek spojrzenie, ale wszyscy bardzo się starają na mnie nie patrzeć. Najwyraźniej nie mogą się doczekać, aż opowiedzą w całej jednostce, że kapitan Chase dała się poderwać w knajpie Molly'ego Malone'a. Porywacz zasłania mnie swoim ciałem, a ja sięgam po broń i odkładam ją we wskazane miejsce. Obejmuje mnie w pasie i kieruje ku drzwiom.

– Panie przodem.

– Idiota!

Zaciskam pięści. Różowa wykałaczką wbija mi się w skórę dłoni. Lekko się obracam, by wyczuć siłę jego uścisku i rozkład masy ciała. I proszę – nieco zbyt mocno pochyla się do przodu. Spinam mięśnie i wykonuję gwałtowny obrót, wyginając plecy do tyłu i wykręcając ramię. Boli jak cholera, ale...

Romeo stęka i jeszcze mocniej wciska mi w bok lufę pistoletu. Nie puszcza. Dobry jest. Niech to, niech to... Niech to!

– Nie ty pierwsza tak mnie nazwałaś – mówi, oddychając odrobinę szybciej.

– Dobra... au, już idę!

Pozwalam, by zaprowadził mnie do drzwi. Mogłabym spróbować jeszcze raz, ale jeśli był na tyle głupi, żeby wnieść broń na teren bazy wojskowej, może być również na tyle głupi, by jej użyć. Jeśli to się skończy strzelaniną, niewykluczone, że ucierpią moi ludzie.

Poza tym za chwilę ktoś nas zatrzyma. Chociażby Alexi – zbyt dobrze mnie zna, by na to pozwolić. Ktoś zobaczy pistolet i przypomni sobie, że kapitan Chase nie ma zwyczaju opuszczać baru w towarzystwie nieznajomych mężczyzn. Ani w ogóle w czyimkolwiek towarzystwie. Ktoś sobie uświadomi, że coś tu jest nie tak.

Nic z tego. Kiedy zamykają się za nami drzwi, do moich uszu dochodzą ciche gwizdy i radosne pohukiwanie, a cały pluton wybucha śmiechem i zaczyna trajkotać jak stado kwok. Dranie, myślę z wściekłością. Jutro rano będziecie wszyscy biegali w kółko tak długo, aż zaczniecie marzyć o porwaniu przez rebelianta.

Bo właśnie z rebeliantem mam w tej chwili do czynienia. Nie wiem, skąd zna Szekspira ani gdzie się szkolił, ale jestem pewna, że to jeden z bagiennych szcurków. Mówią o sobie *fianna* – wojownicy – ale to zwykłe, głodne krwi bandziory. Któż inny odważyłby się przedrzeć na teren bazy uzbrojony wyłącznie w przedpotopową spluwę? Przynajmniej nie muszę się bać, że w jednej chwili zmieni się w szalejącego mordercę, avońska furia dotyka bowiem wyłącznie przyjezdnych. Jedyne, o co muszę się martwić, to zwykła, pospolita brutalność, która mieszkańcom bagien przychodzi bez trudu.

Ściąga mnie z głównej ścieżki w ciemny kąt między barem a stojącą obok szopą, która pełni funkcję magazynu. Wtedy dopiero zaczynam rozumieć: jutro nie każę nikomu biegać w kółko. Jestem oficerem i zostałam schwytana przez rebelianta. Prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczę swojego oddziału, ponieważ rano będę już martwa.

Zaciskam zęby i szarpię ręką w dół i w bok, wbijając ostrze plastikowej wykałaczki w udo porywacza. Zanim ten zdąży zareagować, przekręcam ją gwałtownie, odłamując główkę, i już po chwili kawałek różowego plastiku tkwi zatopiony głęboko w jego mięśniu.

Przynajmniej nie poddam się bez walki.

Chłopcy w tylnej uliczce puszczają ukradzione ze sznurków w świątyni petardy. Dziewczynka podgląda ich przez wylom w murze, przyciskając twarz do zmurszałych cegieł. Wczoraj w świątyni urzędował ksiądz luterański, ale dziś odbędzie się ślub i to jej matka jest odpowiedzialna za to, by przekształcić niepozorny budynek na końcu ulicy w coś, co przywoła zbyt już odległe wspomnienia tradycyjnych ceremonii na Ziemi.

Chłopcy odpalają petardy i sprawdzają, kto najdłużej zdoła utrzymać w dłoni czerwoną pałeczkę, zanim ta wystrzeli w niebo. Dziewczynka przeciska się przez szczelinę, podbiega i wyrywa największemu chłopcu zapaloną petardę. Syk i bijący od płonącego lontu żar sprawiają, że ma gęsią skórkę, ale mimo to nie puszcza.

FLYNN

Piekący ból przeszywa mi udo. Na moment rozluźniam uścisk, a ona natychmiast odskakuje.

Mam ułamek sekundy na działanie. Wystarczy jeden fałszywy ruch, a będzie po mnie. Rzucam się do tyłu, ona za mną, i nagle wieczorną ciszę rozrywa huk wystrzału. Z mojej broni. Dziewczyna z bolesnym jękiem pada w błoto. Nie mam czasu się zastanawiać, czy zrobiłem jej krzywdę. Wszyscy w bazie musieli usłyszeć strzał i nawet jeśli początkowo zmyli ich błędzące pomiędzy budynkami echo, z pewnością prędko mnie odnajdą.

Sięgam ku niej, ale albo nic jej się nie stało, albo napędza ją adrenalina. Wymierza mi brutalnego kopniaka w ramię, który sprawia, że tracę czucie od łokcia w dół. Pistolet wyslizguje mi się z dłoni i ląduje na mokrej ziemi.

Rzucamy się po niego oboje. Przeciwniczka celuje mi łokciem w splot słoneczny. Chybia o centymetr – tracę oddech, ale nie przytomność. Gwałtownie łapię powietrze i resztkami sił czołgam się ku pistoletowi, ale ona mnie wyprzedza. Chwytam ją za kostkę i odciągam, zanim zdoła chwycić broń albo zawołać pomoc.

Może i jest wyszkolona, ale ja walczę o rodzinę, dom i wolność. Ona – jedynie o swoją przeklętą wypłatę.

Przez dłuższą chwilę szamotaninie towarzyszy tylko chrapliwe *staccato* naszych oddechów. Wreszcie wyczuwam pod palcami znajomy kształt pistoletu dziadka. Próbuję uderzyć ją łokciem w twarz. Uchyła się, ale traci równowagę, dzięki czemu udaje mi się przeturlać i już po chwili mierzę lufą w jej czoło.

Nieruchomieje.

Widzę tylko ciemny, wściekły błysk jej oczu. Nie jestem w stanie się odezwać, zbyt wzburzony walką, wciąż w szoku. Dziewczyna powoli unosi dłonie, wnętrzem do góry. Poddaje się.

Pragnę jedynie zwalić się w błoto. W tym momencie jednak do moich uszu dochodzą nawoływania żołnierzy, którzy usłyszeli strzał i polują na jego źródło. Nie mam czasu. Muszę zaciągnąć Chase do łódki – jeśli ją tu zostawię, znajdą ją

natychmiast i nie zdążę zniknąć na bagnie.

Potrząsam pistoletem w niemym rozkazie. Oboje dźwigamy się na nogi. Chwytam ją i wykręcam jej ramię. Przyciskam broń do dołu jej pleców, tak by ją dobrze czuła.

Palce mam mokre i lepkie od krwi, ale jest zbyt ciemno, by stwierdzić, co się właściwie stało. Wiem, że strzał był celny – widziałem, jak moja przeciwniczka upada na ziemię. Teraz jednak stoi o własnych siłach, domyślam się więc, że rana nie jest zbyt groźna. Prawdopodobnie pocisk ledwie drasnął ją w bok.

Usiłuję uspokoić oddech i nasłuchuję głosów żołnierzy. Wydostanie się z bazy będzie piekielnie trudne. Szkoda, że nie mam czasu wysmarować się błotem dla kamuflażu. Jej skóra jest brązowa i w słabym świetle trudno ją dostrzec, moja jednak odznacza się bladeścią właściwą mieszkańcom tej wiecznie zasnutej chmurami planety, w związku z czym prawie świecę w ciemności.

– No i? – dyszy. – Co teraz? Mogłeś przynajmniej wycelować w serce zamiast w głowę. Ładniej bym wyglądała w trumnie.

– Z panią jest coś bardzo nie tak, droga kapitan Chase – odgryzam się, przyciskając ją do siebie.

Kosmyki czarnych włosów wymykają się jej z kucyka, łaskocząc mnie w twarz i wchodząc mi do oczu.

– Zaprasza pani nieszczęście.

– Zdaje mi się, że wcale nie potrzebujesz zaproszenia – warczy w odpowiedzi i choć stoi nieruchomo, niemal czuję, jak gotuje się z wściekłości.

Nie mogę jej puścić. W życiu nie pozwoliłaby mi odejść. Szarpie się gwałtownie i ból po raz kolejny przeszywa mi nogę.

Zaciskam palce na rękojeści pistoletu i nieco mocniej wciskam go w jej plecy.

Zbajerowanie kilku rekrutów nie stanowiło problemu, jednak ich dostęp do tajnych informacji był tak ograniczony, że nie zdołałem się niczego dowiedzieć. Ale ciągnąć za język kapitan Chase? Co mi strzeliło do głowy? Mój kuzyn Sean chyba umarłby ze śmiechu: największy pacyfista wśród *fianna* trzyma na muszce żołnierkę o najkrwawszej reputacji na Avonie.

– Dobrze wiesz, że teraz już wszędzie rozpoznam twoją śliczną buźkę. – W jej głosie, pod warstwą gniewu, pobrzmiwa chępliwa nuta. Jakby liczyło się dla niej tylko udowodnienie mi swojej wyższości, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że za moment zginie. – Musisz się pozbyć problemu.

– *Póg mo thóin, trodair* – mamroczę, zacieśniając uścisk.

„Pocałuj mnie w dupę, żołnierzu”.

Kapitan Chase wybuchła czymś, co – choć nie rozumiem języka – brzmi jak stek obelg. Nie wygląda na Irlandkę, więc prawdopodobnie nie ma pojęcia, co powiedziałem. Rozpoznała jednak mój ton i odpowiedziała wiązką przekleństw...

chyba po chińsku? Całkiem możliwe, że ma tamtejsze korzenie, choć z przybyszami z innych planet nigdy nie wiadomo. Próbuje się obrócić i syczy z bólu, bo gwałtowne szarpnięcie naruszyło ranę. Całe szczęście, że ją drasnąłem, inaczej nie zdołałbym jej utrzymać. Jest jeszcze silniejsza, niż się zdaje na pierwszy rzut oka.

Myśli kłębią mi się w głowie. Nic nie jest przesądzone. Jeśli szybko wpadnę na jakiś pomysł, mogę wyjść z tego cało. Rekruci w barze nie mieli pojęcia o tajemniczych zabudowaniach na wschodzie, ale kapitan Chase stacjonuje na Avonie dłużej niż ktokolwiek z nich. Któż może posiadać informacje, których szukam, jeśli nie złote dziecko armii?

Tamte zabudowania zbyt mocno mnie przerażają. Ujrzałem je po raz pierwszy zaledwie kilka godzin temu. Nie mam pojęcia, jak udało im się je ukryć.

Pojawiły się znikąd, otoczone płotem i reflektorami. Z zewnątrz nie sposób było określić, co znajduje się w środku: broń, nowe plany konstrukcji dronów poszukiwawczych, nieprzewidziane przez nas sposoby na zniszczenie *fianna*? Póki się nie dowiemy, co tam się dzieje, zagrożenie rośnie z każdą minutą.

Popycham zakładniczkę i ruszamy w stronę ogrodzenia bazy, trzymając się w cieniu i poza zasięgiem kamer.

– Miałaś kiedyś okazję docenić piękno tutejszych bagien?

– Przypuszczam, że jeśli porzucisz na nich moje ciało, nikt go nigdy nie znajdzie. Sprytnie.

– Plutonowy psycholog wie o twojej obsesji na punkcie własnej śmierci?

– Staram się tylko pomóc – mamrocze przez zaciśnięte zęby.

Jesteśmy już niedaleko miejsca, gdzie przekradłem się przez płot, który w bardziej zaawansowanym technologicznie świecie natychmiast rozblęsnąłby laserami i rozbrzmiał jazgotem sześciu różnych sygnałów alarmowych. Jednak tu, poza granicą cywilizacji, żołnierzom zostały do dyspozycji tylko druty kolczaste i piesze patrole. Sztab dowodzenia wydaje na nich minimalne kwoty, i to widać. Do tego panujące od kilku miesięcy zawieszenie broni rozleniwiło wartowników. Patrole nie działają tak, jak powinny.

Słyszę nawoływania ekipy poszukiwawczej po drugiej stronie bazy, ale tu jest ciszej. Wojskowi zawsze wychodzą z założenia, że rebelianci zaatakują z bagien. Chyba im się zdaje, że jesteśmy za głupi, żeby okrążyć płot i podejść ich od strony miasta, tam, gdzie ogrodzenie jest słabiej strzeżone.

Wiem, że ona też usłyszała nawoływania – nabiera powietrza, żeby krzyknąć, więc w ramach ostrzeżenia mocniej przyciskam jej lufę do skóry. Oboje nieruchomiejemy na długą, pełną napięcia chwilę. Czekam, aż postanowi sprawdzić, czy blefuję. Modlę się, by nie próbowała. W końcu z furią wypuszcza powietrze z płuc. Dała za wygraną.

Wystarczy kilka kopnięć i zakamuflowany otwór w siatce rozwiera się na

nowo. Przedostajemy się na mroczne grzędawisko. W ciemnościach mającą łachy błota i nagie skały, poprzecinane tysiącami potoków i strumieni. Woda jest równie mulista jak podłoże, osłonięta trzciniami i gnijącymi wodorostami, więc nikt oprócz tubylców nie wie, gdzie zaczyna się ład, póki nie postawi na nim stopy. Falujące kępy roślinności wskazują, że prądy ciągle ulegają zmianie – strumienie wody, to głębsze, to płytsze, każdego tygodnia przecinają się inaczej wśród mułu i dryfujących ospale wodorostów.

Niemal cały teren pogrążony jest w gęstej czerni, przez nieruchomą warstwę chmur nie przesącza się ani odrobina gwiazdnej poświaty. Uczono nas, że gdzieś na niebie sterują pływami trzy księżycy, ale nigdy ich nie widziałem. Tylko chmury, wiecznie chmury. Niebo nad Avonem jest szare.

Czółno czeka wyciągnięte na błotnisty brzeg pod płotem. Poobijany plastenowy kadłub i płaskie dno wyraźnie odróżniają je od łodzi, których używają wojskowe patrole, za to bezgłośnie wciska się w miejsca, których oni nawet nie widzą. Kiedy popycham swoją zakładniczkę na skraj wody, z jej ust dobywa się nieartykułowany pomruk.

– Większość ludzi uważa, że jestem czarujący – szepczę jej do ucha, by nie miała czasu zastanowić się nad drogą ucieczki. – Przez chwilę zdawało mi się, że nawet tobie się podobam, Jubilee.

Prycha. Z jakiegoś powodu wkurza ją, kiedy zwracam się do niej po imieniu. I dobrze. Kolejny sposób, żeby ją wyprowadzić z równowagi.

– Ale może dasz mi jeszcze jedną szansę – dodaję.

Wpycham ją do łódki i kopnięciem strącam nakrętkę z gwintu kanistra z paliwem. Ropa naftowa, której jesteśmy zmuszeni używać, jest tak toksyczna, że nawet stojąc, czuję jej opary. Chwytam Jubilee za kołnierz i wciskam jej twarz w otwór. Zachłystuje się i wciąga w płuca porcję gazu. Mija kilka sekund, zanim otrząsa się z bólu i uświadamia sobie, co zrobiłem, ale wtedy kończyny odmawiają jej już posłuszeństwa. Kiedy próbuje mnie odepchnąć, uginają się pod nią nogi. Wyrzywa się, potyka i upada ciężko na dno łódki.

Nasze oczy na moment spotykają się w półmroku. Jubilee wpatruje się we mnie z wściekłością, usiłując podnieść się na łokciu, walcząc o zachowanie resztek przytomności. Ale już po chwili jej głowa uderza głucho o plastenowe dno. Nachylam się ostrożnie i podnoszę jej powieki. Zemdląła. Ocknie się z potwornym bólem głowy, ale to i tak lepsze od ciosu w potylicę. Gdybym źle wycelował, mógłbym ją zabić. Nie tracąc ani chwili, zabezpieczam broń i odpycham się stopą od brzegu. Czółno szybko i cicho sunie po powierzchni wody. Nie mogę zapalić latarni, ponieważ za moimi plecami wciąż tańczą światła latarek polujących na intruza wartowników. Nawiguję na oślep, szybko i miękko odpychając się od dna odczepionym od burty drągiem, bezbłędnie trzymając się kursu, który pozwoli mi się oddalić od niebezpieczeństwa.

Gdy światła reflektorów zaczynają omiatać powierzchnię bagna, jestem już poza ich zasięgiem. Wciąż mi się wydaje, że za moment poczuję zaciśniętą na kostce dłoń lub kapitańska pięść spotka się z moim żołądkiem, ale Jubilee ani drgnie.

Kiedy tylko cichną niosące się po wodzie głosy, a strumienie reflektorów znikają mi z oczu, zatrzymuję się na moment, żeby znaleźć i zapalić latarnię. Oslaniamy szklane ścianki wodorostami, które rozpraszają światło, otaczając je tajemniczą zielonobłękitną poświatą. Żołnierze co jakiś czas dostrzegają nasze światełka, lecz dzięki kamuflażowi uznają je za błędne ogniki, postrach tutejszych bagien. Nie wiedzą, że ktoś, kto widział kiedyś prawdziwy ogień, nigdy nie pomyliłby go z naszą lampką.

Zawieszam latarnię na przytwierdzonym do dziobu drążku i odwracam się do *trodairé*, która wciąż leży nieprzytomna na dnie czółna. Nie ma już odwrotu. Niezależnie od tego, czy dziewczyna wie coś o ziemi niczyjej na wschód od bazy, czy nie, widziała moją twarz. Prawdopodobnie wciąż nie zna mojego nazwiska, ale jeśli zdoła skojarzyć je z moją siostrą, będzie mnie ścigać, póki nie dorwie – a wtedy to, co nazywają avońską furją, nie będzie jej potrzebne, by rozerwać mnie na strzępy.

Śmierć kapitan Chase byłaby ogromnym ciosem dla *trodairé*, a dla nas wielkim triumfem. Znam przynajmniej dwa tuziny rebeliantów, którzy zastrzeliliby ją bez chwili wahania i bez szczypty wyrzutów sumienia. Gdybym wrócił z jej ciałem, byłiby zachwyceni.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc i unoszę kciuk nad bezpiecznikiem zatkniętego za pasek pistoletu dziadka. Jeśli to zrobię, wpadnę w pułapkę, z której nie udało się uciec mojej siostrze. Słyszałem o leżącej przede mną dziewczynie więcej historii niż o którymkolwiek z pozostałych żołnierzy. Twierdzą, że jako jedyna nie została doświadczona tym, co nazywają avońską furją. Pewnie dlatego, że nie potrzebuje podobnie kiepskich wymówek, żeby stosować wobec nas przemoc – z tego, co słyszałem, robi to z czystą przyjemnością. Wśród rebeliantów krążą opowieści o tym, jak własnoręcznie zlikwidowała komórkę ruchu oporu w południowej części terytorium TerraDynu. O tym, że jej podkomendni mają najlepszy refleks, są zawsze pierwsi tam, gdzie coś się dzieje, i najdzikszy w boju. O tym, jak dla rozrywki żywcem obdziera rebeliantów ze skóry. Tego ostatniego nie byłem taki pewien po tym, jak na mnie spojrzała, kiedy wyciągnąłem broń. Ale przynajmniej jedna z tych historii jest prawdziwa. Mojemu kuzynowi Seanowi żołnierze z jej plutonu prawie odstrzelili głowę tydzień po tym, jak przejęła dowodzenie. Kiedy go spytałem, jaka jest, odparł, że zabójczo atrakcyjna. Nie mylił się. Szkoda, że jednocześnie jest płatną morderczynią.

Najlepsze, co mogę zrobić, to zmusić ją, by mi zdradziła wszystko, co wie na temat tajemniczego ośrodka – może nawet uda mi się ją skłonić, żeby mnie do

niego wprowadziła – a potem ją zostawić. Przynajmniej zdążę nieco się oddalić, zanim rozpoczną obławę.

Odrywam od niej oczy i skupiam się na drągu. Czółno sunie po powierzchni wody, a przytłumione zielonkawe światło rozprasza ciemność tylko na kilka metrów. Powinienem czuć się lepiej, lżej, w miarę jak oddalam się od jednostki, wiem jednak, że jeszcze nie zwyciężyłem. Kiedy tylko leżąca na dnie łodzi żołnierka się ocknie, zrobi wszystko, by pozbawić mnie życia. Z kolei jeśli rebelianci odkryją, że ją porwałem, nic ich nie powstrzyma przed jej zabiciem. Zawieszenie broni zostanie zerwane, a moi ludzie znów zmuszeni będą walczyć na wojnie, której przecież nie mają szansy wygrać.

Muszę działać szybko.

Tym razem sen jest poszatowany, jego ostre jak brzytwa odłamki nie pasują do siebie i kaleczą jej pamięć. Dziewczyna znajduje się na Paradise i usiłuje się wdrapać na ścianę. „Koniec czasu”, wrzeszczy sierżant. Ramiona drżą jej ze zmęczenia, a palce stóp gwałtownie szukają podparcia na gładkim plastenie.

Ma ochotę puścić się i spaść. Ale kiedy spogląda w dół, dostrzega matkę, która wzdycha cicho, wiecznie znużona, z miękkim błyskiem rozczarowania w oczach. Ojciec stoi obok, dłonie ma umazane smarem silnikowym, a głowę przedziurawioną pociskiem.

Sierżant krzyczy, żeby się poddała, i wreszcie nie pozostaje mu dłużna, używając słowa, przez które zarobi tydzień roboty przy okopach.

Nie odpuści – na dole jest zbyt wiele duchów.

JUBILEE

Mam kaca z piekła rodem, pulsujący ból rozsadza mi głowę. Czyżbym zeszłego wieczoru u Molly'ego wypić aż tak dużo? Nie, to niemożliwe. Ostatni raz cierpiałam z powodu kaca dzień po tym, jak wreszcie dostałam się na upragnione szkolenie. To było trzy tygodnie przed moimi szesnastymi urodzinami, więc teoretycznie nie miałam prawa pić. Ale po tym, jak przez trzy lata z rządu próbowałam się dostać do wojska, kłamiąc na temat wieku, i w końcu nagięto dla mnie reguły, cóż znaczyły trzy tygodnie? Istniało duże ryzyko, że nie dożyję przyszłego roku. Czemu nie pozwolić mięsu armatniemu na kilka piw?

Jednak raz mi wystarczył. Problemem nie był sam alkohol ani nawet kac, ale to, że pierwszego dnia ćwiczeń nie byłam w pełni sił. Wtedy znaczyło to tylko tyle, że nie zrobiłam najlepszego wrażenia na instruktorach i pozwoliłam sparingpartnerowi przyszpilić się do ziemi w niecałą minutę. Nic wielkiego.

Ale tutaj brak stuprocentowej formy może oznaczać śmierć. Dlatego od tamtego czasu nie wypijałam nigdy więcej niż kilka drinków jednego wieczoru.

Czemu więc mam przemożną ochotę ozdobić wszystko wokół zawartością swojego żołądka?

Podłoga faluje, a ja zmuszam się do uniesienia powiek, choć mam wrażenie, jakby były wyłożone papierem ściernym. Pierwsze, co widzę, to pusty, buroszary bezmiar nocnego nieba. Próbuje usiąść, ale zwałam się na bok, a podłóżę kołysze się pode mną z drzeniem. Mam skrępowane ręce. Szpila ostrego bólu przeszywa mi bok i wraca wspomnienie pocisku, który rozerwał mi skórę.

– Kiepski pomysł – irytująco wesoły głos dobiega gdzieś zza moich pleców. – Jeśli nas wywrócisz do góry dnem, to przywiązana do tonącej łódki raczej nie będziesz miała większych szans.

Podnoszę głowę i mrużąc oczy, spoglądam na podświetloną od tyłu sylwetkę stojącego nade mną mężczyzny.

Romeo.

– Jeśli utonę – udaje mi się wyrzucić ochryple – to twoi koledzy przynajmniej nie powieszają mnie na krokwi w waszej żalostnej kryjówce.

Porywacz mruży oczy i marszczy brwi, odpychając kępę wodorostów jednym z tych długich drągów, których używają tubylcy.

– Nie wieszamy żołnierzy – odpowiada z drwiną. – Palimy ich na stosie. Na bagnach pozyskiwanie paliwa zajmuje całe wieki. Tak więc podobne wydarzenia są dość wyjątkowe.

Prycham, testując jednocześnie umocowanie żebra łodzi, do którego jestem przywiązana. Choć krypa wygląda, jakby za chwilę miała się rozpaść, konstrukcja

jest mocna. Jednak więzy to najmniejszy z moich problemów.

Wieczna zasłona chmur nad Avonem sprawia, że nie da się nawigować według gwiazd, czyli tak, jak uczono nas na szkoleniach. Wszędzie jak okiem sięgnąć rozciągają się mokradła, pozbawiając mnie punktu odniesienia, przez co nie mam pojęcia, w którą stronę zmierzamy. Nawet sterczące tu i ówdzie szpiczaste skały nie dają się od siebie odróżnić. Są ostre jak brzytwy – wiatr i woda na tej planecie erodują je zaledwie od kilku pokoleń, co w skali czasu geologicznego stanowi tyle co mgnienie oka. Szlaki wodne pomiędzy wysepkami i dryfującymi kępami roślinności zmieniają się tak szybko, że następnego dnia ten sam kawałek bagna może wyglądać zupełnie inaczej. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy. A zgubić drogę na Avonie to groźniejsze w skutkach, niż spotkać się z bandą krwiożerczych rebeliantów.

Z przymocowanego do dziobu zakrzywionego drążka zwisa prowizoryczna latarenka, która rozjaśnia powierzchnię wody przytłumioną poświatą. To, że Romeo odważył się ją zapalić, oznacza, że znacznie oddaliliśmy się od jednostki. Wyteżam wzrok, aż przed oczami ukazują mi się tańczące punkciki. Moi żołnierze opowiadają czasem o światłach, które wabią ludzi w głąb moczarów. Tubylcy nazywają je błędnymi ogniami, jak w jakiejś bajce z zamierzchłych ziemskich czasów. I mnie się zdarzało, że umysł płatał mi figle – podejrzewam, że od czasu do czasu rzeczywiście były to podskakujące w ciemnościach światła rebelianckich latarni. Ale kiedy człowieka otacza nicość, zdolny jest stworzyć sobie dowolną iluzję, by poczuć się mniej samotnym. Mrugam kilka razy i punkciki znikają.

– Po co tyle zachodu, skoro mogłeś zabić mnie na miejscu? – pytam w końcu, wykręcając za plecami nadgarstki, żeby przetestować więzy.

Sznur trzyma mocno. Jest gruby od wielokrotnego namaczania i sztywny ze starości.

– Planujecie publiczną egzekucję?

Romeo zaciska wargi, ale tym razem nie odrywa wzroku od mokradeł, raz po raz zanurzając drąg w wodzie pomiędzy dryfującymi kępami wodorostów.

– Ty naprawdę jesteś nienormalna.

Usiłując opanować gonitwę myśli, sporządzam listę obrażeń. Opary paliwa spowodowały przewiercający ból głowy, a całym moim ciałem wstrząsają fale mdłości. Poza tym wciąż boli mnie draśnięty pociskiem bok, ale nie ma wiele krwi, a więc rana raczej nie jest zbyt poważna.

– Nienormalna? To chyba logiczne, że chciałabym wiedzieć, w jaki sposób masz zamiar mnie zamordować. – Jeszcze nie wszystko stracone, myślę. Wciąż jestem w niezłej formie. Mogę się stąd wydostać.

– W ogóle nie mam takiego zamiaru – mówi Romeo, nie patrząc mi w oczy. – To pewnie byłby twój pierwszy odruch, ale ja nie jestem taki. Wprowadzisz mnie do waszego tajnego ośrodka i pokażesz, co się tam wyprawia.

– Moim pierwszym odruchem byłoby aresztowanie cię – odszczekuję. – Nie zapominaj, że to ty wszedłeś do baru z bronią w ręku – dodaję i wpatruję się w ciemność za nami, ale nigdzie nie dostrzegam światła wojskowych reflektorów. – Do jakiego znowu ośrodka?

– Do tej tajnej bazy na wschodzie. Jeszcze w zeszłym tygodniu wyspa była pusta, a teraz stoi na niej cały kram. Budynki, ogrodzenie i cholera wie co jeszcze. Nie musisz udawać, wszystko widziałem. Chcę wiedzieć, jakim cudem uwinęliście się w takim tempie, i to w dodatku w sekrecie. Chcę wiedzieć, po co wam to miejsce.

Nieruchomieję i na moment pragnienie ucieczki wyparowuje mi z głowy.

– Tajna baza... – powtarzam, usiłując zdusić kielkujące w brzuchu przerażenie.

Być schwytaną przez rebelianta to jedno. Ale porwanie w głąb bagien przez szaleńca, którego dręczą omamy, to zupełnie inna para kaloszy.

– Możesz sobie zgrywać zaskoczona – stwierdza Romeo, wzruszając ramionami. – Tak czy inaczej, wprowadzisz mnie tam.

Jego twarz nie wyraża emocji, ale nie jest dobrym aktorem. Dostrzegam w jego spojrzeniu błysk gorączkowej desperacji, charakterystyczne drgnienia mięśni wokół oczu i ust. Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że być może facet od początku mówił prawdę, że faktycznie szukał w barze informacji, a nie tylko okazji, by wypróbować działanie swojej antycznej broni.

Myśli kłębią mi się w głowie. Na wschód od nas nie ma żadnego tajnego ośrodka. Nawet gdyby wojsko miało fundusze na wybudowanie drugiej bazy w tej części terytorium TerraDynu – a nie ma – nie byłoby powodu, by utrzymywać to w tajemnicy. Ale on najwyraźniej wierzy, że jest inaczej. Widzę to równie wyraźnie, co jego desperację.

Mogło być gorzej, myślę. Nawet jeśli jest szalony, to tylko jeden facet. Gdybym wylądowała w kryjówce rebeliantów, już byłabym martwa. Ale tu... wciąż mam szansę się wywinąć. Na razie moja jedyna nadzieja to grać na zwłokę.

– Ciekawa jestem, co się spodziewasz tam znaleźć.

Romeo nie odpowiada od razu. Choć z burty zwisa motorek, nie dotknął go, odkąd odzyskałam przytomność. Przyglądam się, jak steruje łodzią, odpychając się drągiem od dna. Byłam jedną z osób, które kilkakrotnie zwracały się do głównego sztabu o szkolenia z tej techniki poruszania się po mokradłach, jednak nasze prośby pozostały bez odzewu. Jesteśmy więc skazani na hałaśliwe silniki, które co pięć minut zatykają się bagiennym paskudztwem, podczas gdy tubylcy bezgłośnie prześlizgują się przez wąskie strumienie. Wojskowy patrol mógłby teraz przepłynąć pięćdziesiąt metrów od nas i prawdopodobnie nawet by nas nie zauważył.

Mój porywacz zwalnia, wyciąga kij z wody i układa go w poprzek czołna.

Dryfujemy powoli, niesieni leniwym prądem. Widzę, że facet oszczędza nogę przewiazaną prowizorycznym opatrunkiem tam, gdzie wbiłam w nią koktajlową wykałaczkę. Czuję przypływ satysfakcji na myśl o tym, że prawdopodobnie nie ma czym wyciągnąć ułamanego kawałka plastiku. Opada na ławkę i teraz wyraźniej widzę jego twarz. Nadal wygląda dziwnie znajomo, choć jestem pewna, że gdybyśmy spotkali się wcześniej, pamiętałabym go.

– Co się spodziewam znaleźć? – odzywa się w końcu, wyjmując spod siedzenia manierkę i pociągając długi łyk. – Ty mi powiedz.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam.

Usiłuję ukryć irytację. Oraz pragnienie, kiedy patrzę, jak pije. Graj w to dalej, powtarzam sobie gorączkowo w myślach. Zdobądź jego zaufanie – na tyle, na ile to możliwe. Po to, żeby się wydostać z tej kabały.

– Powiedziałabym, gdybym mogła, ale nigdy nie słyszałam o żadnym ośrodku na wschodzie.

Romeo przewraca oczami.

– Jasne. W zasadzie może tam być cokolwiek. Na przykład broń. Albo jakiś nowy sprzęt pozwalający wykurzyć nas z jaskiń. To musi być coś niezwykłego, inaczej nie postawilibyście tej bazy tak szybko i w takiej tajemnicy.

Przebijam wzrokiem mgłę. Rzednie, co oznacza, że byłam nieprzytomna co najmniej kilka godzin. Nadchodzi świt.

– Po to ryzykowałeś? Żeby nas szpiegować? Jesteśmy dziesięć razy lepiej uzbrojeni od was. Korzystamy z najnowocześniejszych technologii, próbując was wytropić. Wszystko na nic, przez to cholerne bagno.

Romeo uśmiecha się i byłby to czarujący uśmiech, gdyby nie krył się w nim jakiś niezrozumiały mrok.

– Tyle zachodu, żeby nas znaleźć, a teraz twierdzisz, że ci się nie podobam?

Puszcza do mnie oko i przytyka mi do ust manierkę niczym gałązkę oliwną. Mogłabym podciąć mu kolana – nie związał mi nóg i jest w tej chwili w ich zasięgu. Mogłabym strącić go z ławki prosto do wody, zanim zdążyłby się zorientować, co się dzieje.

Tylko co potem?

Pragnienie wygrywa. Nachylam się i pociągam łyk z manierki. Widziałam, jak z niej pił, więc wiem, że w środku nie ma trucizny ani środków odurzających. Avońska woda o posmaku błota nigdy nie smakowała tak dobrze.

Romeo wzdycha i odkłada naczynie.

– Słuchaj no – zaczyna, przyglądając mi się pełnymi nadziei, myślącymi zielonymi oczami, zupełnie jakby gawędził z przyjaciółką, a nie przesłuchiwał wroga. – Chcę po prostu, żeby ta wojna się skończyła, dla dobra nas wszystkich. Ale wcześniej chcę się dowiedzieć, czemu Avon jest dziesiątki lat do tyłu z planami terraformacji. Twierdzisz, że baza na wschodzie nie należy do wojska.

Jeśli nie kłamiesz, to musi w takim razie należeć do TerraDynu. Mam powyżej uszu tych wszystkich tajemnic. Zbliża się audyt planetarny i jeżeli ktoś celowo spowalnia rozwój tej planety, mamy prawo wiedzieć jak.

Zaskoczenie pozbawia mnie celnej riposty.

– Uważacie, że pośrodku bagna jest tajny ośrodek, w którym sterujemy klimatem?

Nachmurza się, bez ostrzeżenia zrywa się na nogi i znów chwyta drąg.

– Nie jestem na tyle naiwny, by sądzić, że byle najemniczka będzie się tym przejmować.

„Najemniczka?” Powstrzymuję wybuch złości. Gdybym dbała tylko o pieniądze, miałabym do wyboru tysiące innych ścieżek kariery. Tymczasem zgłosiłam się na ochotnika, by utrzymywać pokój na tej żałosnej hałdzie błota, zarabiając grosze. Zaciskam zęby.

– Jaki niby mielibyśmy interes w tym, żeby hamować postęp na Avonie, o ile to w ogóle możliwe? Co twoim zdaniem zyskałoby na tym wojsko czy nawet TerraDyn?

– Jeśli warunki tutaj nadal będą zbyt niestabilne, by mogła się tu utrzymać większa populacja, nigdy nie zdołamy zaliczyć audytu i nigdy nie ogłoszą nas niepodległą planetą. Zamiast walczyć, powinniśmy już uprawiać ziemię. Żyć po swojemu, zarabiać, handlować, podróżować. A na razie wciąż tkwimy w impasie. Rada Galaktyczna milczy, nie mamy na nic wpływu, nie mamy żadnych praw.

Jak na kogoś, kto prawdopodobnie zakończył edukację w dziesiątym roku życia, facet ma zaskakującą wiedzę na temat bieżącej polityki.

– Naprawdę sądzisz, że w TerraDynie nie mają nic lepszego do roboty, niż tkwić tutaj i użerać się z bandą zacofanych kmiotów? Wydali mnóstwo kasy na stworzenie tej części świata. Nie wiem, jak mieliby odzyskać to, co zainwestowali, póki Avon nie zacznie produkować wystarczająco dużo towarów na eksport.

Romeo zaciska zęby.

– A jednak muszą mieć w tym jakiś interes. Inaczej nie zajmowalibyśmy się wszyscy wyłącznie testowaniem wody i uprawą wodorostów.

– Nie wszyscy – zauważam cierpko. – Niektórzy z was zajmują się grabieżą, zabijaniem i sianiem anarchii.

– Ależ, Jubilee – odpowiada i uśmiecha się złośliwie, zauważywszy, jak policzek drga mi nerwowo na dźwięk tego imienia. – Nie sądziłem, że masz o mnie tak wysokie mniemanie.

Postanawiam nie zaszczycać tej uwagi odpowiedzią i zapada cisza, choć jego pytanie wciąż dźwięczy mi w uszach.

Eksperci od terraformacji pojawiają się i znikają, ale na Avonie nic się nie zmienia. I to prawda, że choć w sprawie braku rozwoju na tej dziwnej planecie co kilka lat wszczyna się śledztwo, jego wyniki zawsze są takie same:

przyczyna nieznana. Dla Romea i jego ziomków byłoby znacznie lepiej, gdyby przestali zadawać tyle pytań.

Nadszedł świt. W gęstej, zimnej mgłę kontury świata rozmywają się i mam wrażenie, jakby istniała tylko nasza mała łódka i chlupot mąconej drągiem wody. Z każdym ruchem mój porywacz lekko posapuje, napinając mięśnie, po czym wypuszcza wstrzymywany oddech i znów odpycha się od dna.

Nie korzysta z kompasu. Byłoby to zresztą bezcelowe, ponieważ Avon nie posiada odpowiedniego pola magnetycznego. Z kolei nieprzewidywalna pogoda zakłóca sygnały z satelity, ale nawet kiedy płyną one bez zarzutu, dryfujące wyspy roślinności wciąż zmieniają układ wodnych szlaków, przez co nawigacja satelitarna bywa równie niewiarygodna, co tradycyjny kompas.

Zdaje się jednak, że Romeo posiada jakieś wrodzone rozumienie świata, w którym żyje. Zupełnie jakby jego mózg odbierał bezpośrednie sygnały z jądra planety. Nie zdarzyło nam się wpłynąć na mieliznę ani zaczepić o pływającą wysepkę. O ile jestem w stanie się zorientować, nie musieliśmy też zawracać ani zmieniać kursu.

Przez cały czas go obserwuję, starając się odgadnąć, jak mu się to udaje. Gdybym przejrzała jego metodę, być może po uwolnieniu udałoby mi się samodzielnie odnaleźć powrotną drogę do bazy. Romeo obraca się, żeby przeprowadzić czołno wokół gęstej kępy roślin, a ja podpatruję, jak zmienia ułożenie ciała, by utrzymać balans. Kiedy podnoszę wzrok, uświadamiam sobie, że on również patrzy na mnie z uniesionymi brwiami.

Nie wiem, czy gorzej byłoby, gdyby uznał, że przypatruję się pistoletowi, czy że gapię się na jego tyłek. Odwracam się gwałtownie. Przez następne pół godziny płyniemy w milczeniu. Ból rozsadza mi głowę, a mój porywacz spogląda przed siebie z marsową miną.

Nagle dno czółna ze zgrzytem ociera się o błoto, trzcinę i żwir.

– No – mówi Romeo, wspierając się stopą o ławkę i przytwierdzając drąg do burty. – Jesteśmy.

Widzę tylko mgłę. Romeo pochyła się nade mną, ściąga brwi w niemym ostrzeżeniu i zaczyna rozwiązywać mi ręce. Zaciskam zęby tak mocno, że linia bólu biegnie za ucho, gładko łącząc się z pulsowaniem z tyłu czaszki. Pewnie zdołałabym go obezwładnić, oboje jednak wiemy, że nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy, i jego ludzie prawdopodobnie znaleźliby mnie szybciej niż żołnierze. Muszę poczekać na lepszą sposobność. Gdyby tylko naprawdę znajdował się tu tajny wojskowy ośrodek, zyskałabym przewagę. Jednak ośrodek oznacza ludzi – gdzie zatem podziały się samoloty, patrole, budynki? Tu nie ma nic prócz ciszy.

Czuję, jak jego ciepłe palce muskają skórę moich nadgarstków, i nagle ucisk ustępuje – jestem wolna. Zaciskam wargi, usiłując opanować falę bólu spowodowaną powrotem krążenia. Romeo, widząc to, krzywi się, jakby

autentycznie było mu przykro, delikatnie obejmuje palcami moje obnażone nadgarstki i rozmasowuje je, aż wraca do nich krew. Strząsam jego dłonie, zbyt rozzłoszczona, by przyjąć jakikolwiek życzliwy gest. Przewraca oczami, zeskakuje z łódki i z mokrym plaśnięciem ląduje na grząskim brzegu.

Mrowiącymi palcami chwytam się burty i wyskakuję za nim. Mimo gęstej mgły mój porywacz zachowuje się tak, jakby dokładnie wiedział, dokąd zmierza.

– No więc? Gdzie ten ośrodek? – pytam.

– Tutaj. Był tu jeszcze kilka godzin temu – odpowiada cicho, poruszając się z absolutną pewnością.

Broń ma przywieszoną z lewej strony, a silne jak imadło palce prawej dłoni zaciska na moim lewym ramieniu. Uświadamiam sobie, że stąпам po cichu, jakbym naprawdę obawiała się wojskowej zasadzki, co jest dość niedorzeczne, chociaż właściwie przeżywszy na Avonie tak długo, fatalnie byłoby zginąć od ognia sprzymierzeńców.

Romeo podprowadza mnie kilka kroków do przodu, jednak już po chwili uświadamiam sobie, że coś jest nie tak. Uścisk jego palców jest pełen napięcia, a z twarzy zniknął najmniejszy ślad pychy.

Wtedy, zaledwie na moment, mgła się przerzedza. Ta chwila wystarczy, by dostrzec, że teren przed nami jest pusty, widać jedynie chaszczce, kamienie i nietknięte ludzką stopą połacie błota. Przeciwny brzeg opada do wody, która rozciąga się daleko, czarna i gładka, nie licząc sterczących to tu, to tam nagich skał.

Oboje patrzymy przed siebie zdumieni, choć przecież nie wierzyłam mu ani przez chwilę. A jednak, gdy stoję na tym pustym skrawku ziemi, czuję, jak skręca mi się żołądek. Dzwoni mi w uszach. Wyrwam ramię i z impetem zataczam się do tyłu.

– Po coś mnie tutaj przywiózł? – rzucam gwałtownie, zaciskając pięści i z trudem powstrzymując się, by go nie uderzyć. – Po jaką cholere? Lepiej by było, gdybyś mnie zostawił na tym przeklętym bagnie!

Ale on na mnie nie patrzy. Nadal świdruje wzrokiem przestrzeń przed sobą, choć zasłona mgły znów opadła i nie widać już absolutnie nic.

– Ale to tutaj było... – odzywa się w końcu. – Właśnie w tym miejscu. Nie rozumiem, stało dokładnie...

– Stop!

Mój krzyk przywołuje go do rzeczywistości. Obraca się na pięcie i patrzy na mnie, mrugając.

– Żądam odpowiedzi. Po co mnie tu przywlokłeś?

– Jubilee – mamrocze, wyciągając do mnie rozpostartą dłoń, wnętrzem do góry.

To czarujący, pełen otwartości gest, zupełnie jakbyśmy byli przyjaciółmi. Ten facet ocieka charyzmą. Gdyby się urodził na innej planecie, mógłby zostać

politykiem.

– Przysięgam, że była tu wojskowa baza. Naprawdę nie kłamię.
– Twoje przysięgi niewiele dla mnie znaczą, Romeo – odgryzam się.
– To niemożliwe, żeby zwinęli się bez śladu – odpowiada i chrząka, robiąc kilka długich kroków naprzód. – Tu było wszystko, ogrodzenia, budynki, kontenery, samoloty. Pomóż mi poszukać, musieli coś po sobie zostawić. Ślady stóp, fundamenty, cokolwiek.

Omiata wzrokiem połacie ziemi przed nami, dzięki czemu mam okazję bliżej mu się przyjrzeć. Na jego twarzy maluje się frustracja. Albo jeszcze gorzej – strach. Oszło mi. Naprawdę wierzył w to, co mówił. Jeśli chcę wyjść z tego żywa, muszę okazać mu życzliwość.

Wyspa jest spora. Romeo ciągnie mnie przez zamglone wybrzeże wzdłuż skraju zarośli. Ostrożny, nie spuszcza mnie z oczu, ale ja nie jestem przecież na tyle głupia, by teraz uciekać. Jeden fałszywy krok i bagno wessie mnie powoli, dając mnóstwo czasu na zastanowienie się nad tym, jak bezsensowną śmiercią przychodzi mi zginąć.

Potakuj. Udawaj miłą. Namów go, żeby odesłał cię z powrotem.

Wciąż czuję działanie toksycznych oparów, choć dawno powinno było minąć. Mam w ustach dziwny, metaliczny posmak krwi, a puls dudni mi w uszach nienaturalnie głośno. Oddycham głęboko i próbuję się skoncentrować. Nagle zaczynam tęsknić za gwiazdami i otwartym niebem. Mgła znów zgęstniała, zasłoniła widok i mam wrażenie, że kołyszę się zawieszona w szarości i bieli. Muszę cały czas patrzeć pod nogi, by utrzymać równowagę, ponieważ spoglądanie we mgłę powoduje złudzenie dryfowania w powietrzu.

Na szczęście Romeo chyba niczego nie zauważył. Raz po raz szarpie mnie za nadgarstek i prawdopodobnie temu przypisuje mój chwiejny krok. Obeszliśmy już połowę wyspy, gdy nagle nieruchomieje i puszcza mnie, rozglądając się wokół, zdezorientowany.

Nagle z przodu błyska jakieś światło. Bładozielone, kołysze się z boku na bok, szerokie na nie więcej niż kilkanaście centymetrów. Przez chwilę tańczy w miejscu. Wpatruję się w nie osłupiała, tymczasem Romeo znów rusza przed siebie i uświadamiam sobie, że go nie widzi.

Potem świat się przekrzywia.

Na moment zapada ciemność, smak metalu w ustach staje się nie do zniesienia. A potem z mgły, błota i pustki wyłania się jakiś budynek, od którego oddziela mnie wysoki płot z siatki. Tuż za płotem ubrana na czarno postać przygląda mi się beznamiętnie przez szybkę w kasku.

Opadam na czworaki, osłepiona, krztusząc się metalicznym smakiem. Zadraśnięty bok odpowiada bólem. Kiedy znów podnoszę głowę, wizja znika i jakiś ostry przedmiot wbija mi się w skórę dłoni. Zaciskam na nim palce.

Wokół wznosi się szybki, gwałtowny szelest, przypominający szum wiatru w trawie albo drżące podczas burzy osikowe liście. Tyle że na Avonie nie ma trawy. Nie ma także osik.

Zapada ciemność, a dziwny szept cichnie równie nagle, jak rozbrzmiał. Do moich uszu dociera ponagląący krzyk Romea. Otwieram oczy i dostrzegam jego twarz tuż przed sobą, czuję uścisk jego palców na ramionach.

– Co się dzieje? Wstawaj!

Wyciąga pistolet. Myśli, że udaję.

– Nie wiem.

Drżącą dłonią wsuwam ostry przedmiot w cholewkę buta. Wiem jedynie, że to coś plastikowego, o regularnym kształcie, wytwór ludzkich rąk. Nie mam pojęcia, skąd się tu wzięło.

– Nie ruszaj się stąd. Przyniosę ci wody.

Puszcza mnie, ale w tym momencie łapię go za koszulę na piersi. Manierka.

– Podałś mi narkotyk – sapię, zachłystując się powietrzem, oszołomiona zawrotami głowy.

Mgła gęstnieje wokół nas. Cała dygoczę, jak na granicy hipotermii.

– Ze co? – Romeo przygląda mi się badawczo. – Po co miałbym... Przestań, uspokój się.

Znów chwyta mnie za ramiona i lekko potrząsa. Głowa opada mi do tyłu, nie mam siły jej podnieść. Umysł próbuje mi coś przekazać, coś... Chodzi o jego ręce – Romeo podtrzymuje mnie obiema rękami.

Skoro obie dłonie trzyma na moich ramionach, to gdzie się podziała broń?

Leży na ziemi pod jego nogami. Rzucam się naprzód, od archaicznego pistoletu dzieli mnie zaledwie kilka centymetrów. Szukam kolby drżącymi palcami, otumaniona nieznanym narkotykiem, który wciąż krąży w moich żyłach.

Romeo orientuje się, co próbuję zrobić. Jakimś cudem jest przytomny, choć pił z tej samej manierki. Wydaje z siebie nieartykułowany wrzask i dopada pistoletu.

– Do cholery, Jubilee, odpuść wreszcie!

– Nigdy – dyszę, osuwając się na gąbczastą, mokną ziemię, zbyt słaba, by utrzymać pion bez jego wsparcia. Nie wiem, co mi zrobił, ale jest coraz gorzej.

Szepty wzmagają się ponownie, powoli opanowując mój umysł. Wyciągam ręce, sama już nie wiem, czy po to, by odebrać porywaczowi broń, czy by się na nim wesprzeć. Romeo zatyka pistolet za pas, poza moim zasięgiem. Oczy zasnuwa mi mgła.

Dopiero kiedy czuję obejmujące mnie w pasie dłonie i przy samym uchu słyszę bicie jego serca, uświadamiam sobie, że tracę przytomność i że Romeo niesie mnie do czółna.

W ciemnej uliczce ściska w dłoni płonącą petardę i choć oczy zachodzą jej łzami z wysiłku, nie puszcza. Za plecami otaczających ją rozwrzeszczanych chłopców dostrzega jakieś maleńkie, roztańczone światełko. Światełko mruga do niej, podskakując w powietrzu tuż poza jej zasięgiem. Dziewczynka wpatruje się w nie zdumiona, aż petarda wybucha jej w dłoniach, osmalając palce. Kulka światła rozbłyśka i znika, a ona, wstrząśnięta i ogłuszona hukiem, nie czuje nawet bólu, póki nie nadbiega ojciec. Przerażony, porywa ją w ramiona i niesie do szpitala.

FLYNN

Wpływamy pomiędzy skały i powoli przybijamy do brzegu, witani przez ciepłe światła portu. Ukryte za kamienną ścianą jaskini, podwieszane na sznurze latarnie kołyszą się niczym rząd błędnych ogni – tyle że zamiast prowadzić na manowce, wskazują drogę do domu. Odpychając się od dna, wyraźnie czuję w mięśniach dodatkowy ciężar, dokładnie odpowiadający wadze skulonej na dnie czółna postaci. Jubilee leży na boku, nieruchoma. Znowu związałem jej rękę. Choć po tym, co zaatakowało ją na wyspie, wciąż nie odzyskała przytomności, może się ocknąć w każdej chwili. Wolę nie ryzykować.

Dostrzegam metaliczny błysk w blaszkach nieśmiertelników, które wysunęły się spod wycięcia jej koszuli. Gdyby nie one, mógłbym zapomnieć, że mam do czynienia z *trodair*. Gdyby nie one, wyglądałaby niemal ludzko, jak ktoś, kto najpierw słucha, a dopiero potem strzela. Jasne, gdy tylko odzyska przytomność, pewnie znowu spróbuje mnie zabić. Jednak w beznadziejnej sytuacji czasem warto ucześć się choćby cienia nadziei.

Nie mogę pozwolić, by znalazł ją McBride i jego poplecznicy, bo jeśli do tego dojdzie, zatkną jej uciętą głowę na pal, zanim zdążę choćby mrugnąć. Nie mogę jej również wypuścić. Jest zbyt cenna. Możliwe, że wojsko zgodzi się wymienić ją na jedzenie albo lekarstwa.

Poza tym może, ale tylko może, zdołam jej uświadomić, że nie wszyscy jesteśmy bandziorami, za jakich mają nas ona i jej podobni.

Jeśli uda mi się przekonać Jubilee, by przestała do nas strzelać, przekonam każdego.

Łódka wślizguje się w leniwy nurt opływający zamaskowaną przystań. Odkładam drąg i pozwalam, by woda poniosła nas ku brzegowi. Choć to ryzykowne, na moment odrywam wzrok od zakładniczki i spoglądam na wznoszące się nad nami łukowate skalne sklepienie, z którego zwisają sople stalaktytów. Ta zagadka – jakim cudem tu, na bagnach, tuż pod ich nosem, ukrywa się tylu ludzi? – od lat doprowadza żołnierzy do szaleństwa.

Z lotu ptaka miejsce to sprawia wrażenie niepozornego skupiska skał wielkości wojskowego baraku. Z powierzchni wody dostrzeże je tylko wyćwiczone oko: całość okrywa maskująca siatka, a kanały poprowadzono tak, że bez znajomości trasy trudno się tu dostać. Ktoś odpowiednio zdeterminowany mógłby pokonać ją pieszo, ale oznaczałoby to wielogodzinne brodzenie po pas w bagiennej wodzie. Skały chronią nas przed wykrywaczami ciepła, a atmosfera Avonu sprawia, że drony i inne urządzenia namierzające szybko zaczynają wariować. Główna teoria naukowców TerraDynu głosi, że to kwestia jonizacji powietrza, nam

jednak wystarczy świadomość, że zmusza ich to, by nas tropili starymi metodami, za pomocą łodzi i reflektorów. Choć jednostki ruchu oporu funkcjonują na całej planecie, znaczny odsetek zajmujących najwyższe miejsca na liście poszukiwanych przez TerraDyn znalazł schronienie właśnie tutaj.

Mówimy o sobie *fianna*. Żołnierze sądzą, że słowo to oznacza po prostu wojowników i tak też je zazwyczaj tłumaczą. Jednak dla nas to coś więcej. Więzy krwi są bowiem wieczne i choć od momentu opuszczenia Ziemi rodziły się i umierały kolejne pokolenia, pamiętamy o swojej kolebce. Wciąż żyje w nas wspomnienie Irlandii i jej bohaterów, legendy o zastępach walecznych ludzi, którzy za wszelką cenę gotowi byli bronić swojej ojczyzny. Kontynuujemy ich tradycje i oddajemy im cześć. Planeta Avon dała nam schronienie, a my w zamian o nią walczymy.

Czółno uderza dziobem o nabrzeże, a ja wracam do rzeczywistości, ponieważ nagle uświadamiam sobie, że nikt nie zażądał hasła. Brzeg jest pusty. Wartownicy zniknęli. Serce zaczyna walić mi jak młot, a ciało ogarnia fala paniki. Wojsko odkryło zniknięcie Jubilee! Trzeba było płynąć prosto do domu. Tymczasem żołnierze znaleźli naszą bazę i dotarli tu przede mną...

Zostawiam związaną *trodairé* w krypie i pośpiesznie przykrywam jej bezwładne ciało brezentową płachtą. Potem gramolę się na brzeg i pędem rzucam się w stronę korytarza. Boli mnie zraniona noga, a w głowie kłębią się dziesiątki pytań – którą drogą pobiegli żołnierze, które groty zostały zdobyte? Wyznaczam w myślach trasę wiodącą do magazynu z bronią, jednocześnie wyciągając zza paska pistolet.

Jednak już po kilku chwilach uświadamiam sobie, że gdyby *trodairí* rzeczywiście nas znaleźli, na zewnątrz roiłoby się od helikopterów i motorówek, wszędzie rozlegałyby się krzyki i grzmiała kanonada. Tymczasem wokół panuje cisza i dopiero gdy zagłębiam się dalej, dociera do mnie szmer głosów z sali spotkań.

Jest tam tyle osób, że nie widzę, co dzieje się z przodu. Oddycham jednak z ulgą, ponieważ słycać wyraźnie, że tym, co wywołało ich poruszenie, nie jest panika, lecz gniew. Wewnątrz znajdują się tylko *fianna*, nie ma tu ani jednego żołnierza – nie licząc nieprzytomnej dziewczyny w mojej łódce.

Sala spotkań to zwieńczona wysokim sufitem bańka w skale, którą z czasem udało nam się poszerzyć. Echo tłumią rozwieszane na ścianach miękkie dywany i rozstawione wokół skrzynki z kradzionym wojskowym sprzętem. Zebranie wszystkich bojowników w jednym miejscu jest właściwie niemożliwe – zawsze ktoś jest na patrolu, na warcie albo śpi – ale to największe zgromadzenie, jakie widziałem od dawna.

Wszędzie panuje ścisk, część osób przycupnęła na skrzynkach, inni opierają się o ściany albo siedzą na podłodze. Grota buzuje energią. Nagle słyszę

dobiegający z przodu głos McBride'a i już wiem, że to on ich tu zwołał.

Ukrywamy się w tych jaskiniach od dziesięciu lat – jest to cena za krwawą rebelię zorganizowaną pod przywództwem mojej siostry. Zbyt głodni, by stworzyć skuteczne struktury, zbyt słabi i poturbowani, by ustalić hierarchię. Powrót do względnej równowagi zabrał nam dekadę, jednak gdy tylko zniknęło widmo głodu, pojawił się McBride. Jest ode mnie starszy i bardziej doświadczony, a płomienne przemowy, w których wzywa do walki i dokończenia dzieła mojej siostry Orli, sprawiają, że ludzie rwą się do działania.

Dla jego zwolenników zwycięstwo oznacza jedno: unicestwienie *trodairí*, bez względu na koszty. Śmierć to wspaniałe poświęcenie w imię sprawy. Uzbrojenie – jedyna miara siły. Nawet jeśli zdają sobie sprawę z jałowości tej wojny, ludzie ci pragną satysfakcji wynikającej z bezpośrednich działań. To najprostsza ścieżka, sam czasem mam ochotę nią pójść. Orla także nie oparła się tej pokusie. Koniec końców to właśnie ją zabiło.

Mieszkańcy jaskiń pamiętają, że walczyła do końca i z podniesioną głową stanęła przed plutonem egzekucyjnym. To zapewnia mi ich współczucie, a co za tym idzie uwagę, jednak ilekroć McBride otworzy usta, tracę kolejnych sprzymierzeńców. Nie mają ochoty słuchać nastolatka, który snuje wizje pokoju, podczas gdy ich dzieci chorują, a bezlitosne przepisy TerraDynu pozbawiają ich wszelkich praw. McBride o tym wie. Ja również.

Wszyscy chcieliby, żebym był bardziej podobny do Orli.

Sądząc po atmosferze napięcia wśród zgromadzonych, McBride w mig skorzystał z mojej nieobecności, żeby ich podburzyć i zbliżyć się do zerwania rozejmu. Dotychczas jedynie obawa przed zemstą wojska i niedostatek zasobów powstrzymywały jego watażków przed przeprowadzaniem ataków na własną rękę, bez poparcia reszty społeczności. No i jeszcze fakt, że to ja mam klucze do składu broni i nie zamierzam pozwolić, by McBride płożył na nich łapę.

Chowam pistolet i zaczynam się przepychać przez tłum. McBride jeszcze mnie nie zauważył. Jego kwadratowy, zarośnięty podbródek drga w napięciu. Brwi ma ściągnięte a głos pełen pasji.

– Jak długo jeszcze będziemy się kryć w jaskiniach, patrząc, jak odbierają nam najbliższych? Jak długo będziemy czekać, aż coś się zmieni?

Chodzi tam i z powrotem, a jego nerwowa energia udziela się słuchaczom, którzy przestępują z nogi na nogę, coraz bardziej nabuzowani.

– Co do jednego ja i Flynn Cormac się zgadzamy: do przemocy można się posunąć jedynie w ostateczności. Nie jesteśmy jak *trodairí*, którzy usprawiedliwiają się furją, tą zmyśloną chorobą, aby nas nękać i trzymać pod butem. Ale dziś mówię wam: nadszedł ten moment, kiedy nie mamy już innego wyjścia.

Kiedy tego słucham, serce mimowolnie bije mi szybciej. McBride mówi to

samo co moja siostra, choć w oczach Orli nie widziałem nigdy tego gorączkowego błysku. Wieszcząc nadejście chwili bez odwrotu, nie rzuciła słów na wiatr. Jednak moi pobratymcy nie postrzegają McBride'a tak jak ja. Zbyt rozpaczliwie pragną zmiany, by wychwycić kryjące się w jego oczach szaleństwo.

– Co z Flynnem, zapytacie. On by tego nie chciał. Przekonywałby nas, żebyśmy z nimi rozmawiali, próbowali przemówić im do rozsądku. Akurat! Zastanówcie się, dokąd go to zaprowadziło! Przepadł bez wieści, a ja wam powiem, gdzie jest. Otóż w tej właśnie chwili gnije w ich więzieniu. Żołnierze schwyтали braciszka Orli i z pewnością torturami wydobędą od niego lokalizację naszej kryjówki. Jeśli nie zareagujemy od razu, zdradzimy pamięć jego siostry.

Zamieram. McBride próbuje poprowadzić ludzi do ataku. Oczywiście może się tylko domyślać mojego losu, ale potrzebuje iskry, by zapalić ich do działania. A jak lepiej przekabacić tych, którzy dotąd byli mu niechętni, niż mając ich wizję misji ratunkowej? W jego zamyśle cel uświęca środki: kiedy wybuchnie otwarta wojna, nawet pokojowo nastawieni rebelianci będą zmuszeni walczyć o życie.

Wściekłość, która we mnie wzbiera, zrobiłaby wrażenie nawet na Jubilee Chase. Pochyliam głowę i zaciskam pięści, próbując się opanować, żeby mój głos zabrzmiał donośnie i pewnie.

– Naprawdę, McBride, wzruszyłem się. Nie miałem pojęcia, że tak ci na mnie zależy.

Głowy najbliższych stojących odwracają się gwałtownie w moją stronę. Podnosi się szmer niedowierzania i radości. Przepycham się do podestu. McBride nieruchomieje i gapi się na mnie wzrokiem bez wyrazu odrobinę za długo. Potem jednak jego ostre rysy zmieniają się pod wpływem ulgi i zeskakuje z podwyższenia.

– Żyjesz! – woła, i choć kładzie mi dłoń na ramieniu, w jego oczach nie ma ani krzty ciepła. – Wyobrażałem sobie najgorsze!

W to nie wątpię.

– Skorzystałem ze sposobności przeprowadzenia małej misji zwiadowczej – odpowiadam, siląc się na spokój. – Nie mogłem wysłać sygnału, nie ryzykując zdemaskowania.

McBride lekko unosi brwi.

– A więc postanowiłeś wziąć sprawy w swoje ręce – odpowiada z lekkim grymasem, który z daleka mógłby przypominać uśmiech. – Bardzo mnie to cieszy. Czego się dowiedziałeś?

Nie mogę im powiedzieć, że natknąłem się na tajny ośrodek, który kilka godzin później wyparował z powierzchni ziemi. Pomyślał, że zwariowałem.

– Na razie niczego konkretnego.

Staram się nie krzywić pod ciężarem jego łapska na moim ramieniu. Jest ode mnie o głowę wyższy i zbudowany jak atleta. Gdyby któregoś dnia zechciał raz na

zawsze się mnie pozbyć, miałby przewagę, i to znaczną.

– Najważniejsze, że sytuacja w bazie jest bez zmian, a zatem nie musimy się obawiać ataku. Możemy się skupić na szukaniu innych rozwiązań.

McBride zaciska palce.

– Czasem rozwiązanie bywa tylko jedno – rzuca na tyle głośno, by jego słowa były ogólnie słyszane.

Odwracam się, wykorzystując ten ruch, by wyswobodzić ramię z bolesnego uścisku. Nie czas teraz na odgrywanie z nim tej pantomimy, wiecznie takiej samej: tu unik, tam natarcie. Mam większy problem pod postacią *trodaire*, którą zostawiłem w czóźnie. Muszę ją stamtąd zabrać, zanim obudzi się pod brezentem i zacznie hałasować. Ponieważ jedno jest pewne: jeśli znajdą ją ludzie McBride'a, kapitan Chase nie dożyje poranka.

Energia wśród zgromadzonych uległa zmianie: kiedy mnie zobaczyli, minęła chęć natychmiastowej walki, ale zapal uchodzi z nich powoli i najwyraźniej nie bardzo wiedzą, co z nim zrobić. Nie mogę pozwolić, by skupili się na mnie, przynajmniej dopóki nie uda mi się ukryć Jubilee w bezpiecznym miejscu.

Napotykam spojrzenie Turlougha Doyle'a, po czym spoglądam na McBride'a, który rusza z powrotem na podest, bez wątpienia zastanawiając się, jak wykorzystać mój powrót w swoim wywodzie.

Turlough go ubiega.

– Skoro już tu wszyscy jesteśmy – odzywa się spokojnie – moglibyśmy przedyskutować kwestię rozmieszczenia w sypialniach. – Mówi tym samym zachęcającym tonem co wtedy, gdy uczy świeżo upieczonych *fianna* rozkładania pułapek.

Wtapiam się w tłum i wymykam tyłem. Muszę poszukać Seana.

Zastaję kuzyna w wyłożonej ręcznie dzierganymi chodnikami sali lekcyjnej. Ustawiona pod ścianą skrzynia zawiera trochę zabawek i kilka cennych, wysłużonych podręczników pochodzących z czasów, gdy wciąż wolno nam było handlować z kupcami. To jego królestwo – kiedy akurat nie patroluje okolicy ani nie pomaga w planowaniu napadu na wojskowe dostawy, uczy. Wiedziałem, że go tu znajdę, bo zawsze stara się trzymać dzieciaki z dala od gniewnych okrzyków McBride'a. Siedzi w kącie, otoczony przez stadko maluchów, a także kilka dziewcząt zdecydowanie zbyt dorosłych na bajki, za to w odpowiednim wieku dla Seana. Na kolanach trzyma swojego pięcioletniego bratanka Fergala. Wszystkie twarze wpatrzone są w nauczyciela.

– Jak wiecie, Tír na nÓg to kraina wiecznej młodości, co dla wielu ludzi jest fantastyczną sprawą. Oisín jednak nie był tego taki pewien. Macie pojęcie, ile razy trzeba sprzątać pokój, jeśli człowiek żyje wiecznie? Jego ukochana, Niamh, mieszkała w Tír na nÓg i to właśnie ona go tam zaprosiła. Wprowadził się dość szybko, ale taka decyzja... Cóż, powinien był zadawać więcej pytań. Okazało się,

że ich ulubione drużyny gawbolowe są zaprzysięgłymi wrogami, poza tym oboje nie znosili robić prania...

Rozpoznaję tę opowieść, choć wzbogaconą o charakterystyczne dla Seana dodatki. Historie te opowiadali nam rodzice, którzy z kolei słyszeli je od swoich rodziców. Jubilee pewnie by się zdziwiła, że wciąż żyją w nas pradawne mity, że kultywując tradycje Szeherazady i Szekspira, przekazujemy kolejnym pokoleniom legendy z czasów, gdy ludzie nie opuszczali Ziemi. Ważniaki z TerraDynu i ich pomagierzy, *trodairí*, mają nas za bandę analfabetów. Jak przez mgłę pamiętam kolorowe, roztańczone programy w holowizji, które oglądałem, będąc dzieckiem, i boli mnie, że te maluchy nie potrafią sobie nawet wyobrazić działania nowoczesnej technologii. Owszem, brak nam książek i holowidów, nie mamy oficjalnego systemu szkolnictwa, ale historie były z nami zawsze. W tej chwili jedyne, na co mam ochotę, to skryć się w cieniu i po prostu słuchać.

Mimo to robię krok naprzód, łapię spojrzenie kuzyna i kiwnięciem głowy pokazuję korytarz. „Kończ już. Musimy pogadać”.

Sean otwiera usta. Na jego twarzy maluje się ulga. Nawet on dał się przekonać McBride’owi i uwierzył, że grozi mi niebezpieczeństwo. Potakuje, więc opieram się o ścianę, żeby dać odpocząć rannej nodze, i słucham zakończenia opowieści.

– Pewnego dnia Oisín postanowił wsiąść do wahadłowca i odwiedzić Irlandię. Gdy wylatywał, Niamh ostrzegła go, że jeśli dotknie stopami ziemi, już nigdy nie będzie mógł wrócić. Musiał pamiętać tylko o tej jednej rzeczy. I jak myślicie, co ten głupek zrobił? Owszem, był zbyt leniwy, żeby wyprać sobie skarpety, ale popisywać się lubił. Zapomniał o tym, co mówiła ukochana, a może po prostu jej nie słuchał... Znamy takich, no nie, Cabhan? Wyskoczył z wahadłowca, żeby pomóc jakimś facetom uprzątnąć z pola ciężki kamień. Kiedy tylko dotknął stopami trawy... – Sean milknie, a dzieciaki nachylają się ku niemu, po czym odskakują, przestraszone nagłym klaśnięciem w dłonie. – Łup! Zmienił się w trzystuletniego starca i padł trupem niczym żołnierz na samotnym patrolu. A jaki z tego morał? Nigdy nie sprzątajcie po sobie, a już na pewno po nikim innym. Skutki mogą być śmiertelne. A teraz zmykać mi stąd, zanim spytam, kto odrobił lekcje.

Maluchy się rozbiegają, a Sean bierze Fergala na ręce. Opiekuje się chłopcem od półtora roku, odkąd jego rodzice – brat i bratowa Seana – zginęli podczas nalotu.

– Z tego, co pamiętam, za naszych czasów morał był inny – zauważam.

Sean, ani trochę nie skruszony, szczyrzy zęby w uśmiechu. To cały on – zawsze wesoły, zręczny i wygadany.

– A szkoda. Rozumiem, że najnowszy plan McBride’a właśnie spalił na panewce?

Fergal unosi rączki, z niewzruszoną determinacją usiłując zbadać wnętrze nozdrzy stryja.

– Na razie.

Sean podnosi z podłogi ulubioną zabawkę bratanka, baryłkowatego stworka ze skrzydłami i ogonem, który nosi imię Tomás. Trudno stwierdzić, czy Tomás reprezentuje jakiś konkretny gatunek, wiem natomiast, że uszyto go ze starych koszul brata Seana i że Fergal nigdy się z nim nie rozstaje. Uspokojony chłopczyk układa głowę na ramieniu swojego opiekuna.

– Próbowałem się z tobą łączyć, ale nie odpowiadałeś – mówi Sean. – Za duże zakłócenia.

Atmosfera Avonu sprawia, że nasze radia nie działają prawie nigdy, jednak to nie dlatego nie odpowiadałem na jego wezwania.

– Dzięki, że próbowałeś. Nie martw się, z McBride'em dam sobie radę.

– Czystego nieba, kuzynie.

Ma na myśli: „powodzenia”. Tutejsze niebo nigdy nie jest czyste. Przez chmury nie przebija ani jedna gwiazda, ani jeden skrawek błękitu. Nie porzucamy jednak nadziei i używamy tego zwrotu, by się wspierać. Pewnego dnia niebo nad Avonem się przejaśni.

Odwracam się odrobinę bokiem, żeby Sean nie zauważył owiniętego wokół mojej nogawki zakrwawionego bandaża. Później go poproszę, by wyciągnął mi z uda jaskraworóżowy prezent od Lee Chase. Teraz mam na głowie pilniejszą sprawę.

– Zapomnij. Nie mamy czasu czekać na przejaśnienie.

Nachylam się i spoglądam na jego bratanka.

– Idź już spać, Fergal. Za chwilę przyjdziemy cię przykryć. Ale teraz potrzebuję pomocy twojego stryja.

Sean spogląda na dno czółna.

– Coś ty narobił, Flynn? – szepcze przez ściśnięte strachem gardło. – Jak się McBride dowie, wyda wielkie przyjęcie tylko po to, żeby użyć jej głowy jako wazy na poncz.

– Sean, to dla nas szansa. Jeżeli ktokolwiek może sprawić, że wojsko zechce negocjować, to tylko ona. Rozegrajmy to dobrze, a wymienimy ją na leki, jeńców, a kto wie, czy nie na coś, co będzie można przedstawić Radzie Galaktyki.

– Inna opcja jest taka, że ta tutaj opowie wszystkim, kim jesteś, jak wyglądasz i gdzie cię znaleźć, na wypadek gdyby zachciało im się wpaść z wizytą.

– Ona nie ma pojęcia, gdzie jest – mówię i pozwalam sobie na uśmiech. – Powiedzmy, że nie rwała się do sterów. Nic nie widziała i niech tak pozostanie.

– Żartujesz sobie. Flynn, to jest Lee Chase. Nie możemy jej wypuścić. Naprawdę wierzysz, że nic im o tobie nie powie?

– Co ty, myślisz, że pozwoliłem jej zeskanować swój genotag? – przerywam

mu. – Nawet się nie przedstawiłem.

– Wojsko w życiu nie zgodzi się na negocjacje. Oni się nie targują. McBride mówi, że jeśli będziemy ich o cokolwiek prosić, pokażemy tylko własną słabość.

Słabość. Czy pragnienie nawiązania dialogu, zanim się kogoś zabije, to naprawdę oznaka słabości?

– McBride się nie dowie.

– Serio sądzisz, że jest szansa, by nas wysłuchali?

– Serio mówię, że ich zapytamy. A teraz pomóż mi ją gdzieś schować, nim się ocknie.

Wspólnymi siłami wyciągamy Jubilee z łódki i owijamy moją kurtką, żeby zakryć mundur. Powinna już zacząć się wiercić, ale widocznie to coś na bagnach trzepnęło ją mocniej niż wyziewy z kanistra. Przemykamy korytarzami w stronę podziemi. Co chwilę muszę podtrzymywać jej bezwładną głowę, żeby nie obijała się o kamienne ściany.

Sean raz po raz prycha, wyraźnie niezadowolony z mojego pomysłu ocalenia dziewczyny przed gniewem McBride'a. Tak się zachowuje facet, który obkleił ścianę obok swojego hamaka zdjęciami kobiet ze słonecznych krain, roześmianych i posyłających całusy do obiektywu. Każda z nich była zapewne czyjąś żoną, dziewczyną, kochanką. Obok, niczym zbiór koszmarnych trofeów, tkwią fotografie ciał zabitych żołnierzy. To właśnie robi z ludźmi wojna. Z ludźmi takimi jak Sean, który poświęca życie, by uczyć nasze dzieci, ale nie potrafi zdobyć się na to, by dostrzec człowieczeństwo w nieprzyjacielu.

W podziemnej części sieci tunelów znajdują się groty, gdzie od dawna nikt nie bywał. Są zbyt wilgotne, by w nich mieszkać, zresztą obecnie jest nas tu o wiele mniej niż za czasu rządów mojej siostry. Sean krępuje zakładniczkę, ja tymczasem obserwuję wylot pomieszczenia, przesuwałając wzrokiem po pustym korytarzu.

Patrzę, jak kuzyn ciasno przewleka sznur przez umocowany w skale pręt, który służył kiedyś jako podpora półek. Swego czasu mieścił się tu skład broni.

– Naprawdę myślisz, że to się może udać? – pyta, zaciskając węzeł, po czym robi krok do tyłu, by ocenić swoje dzieło.

Słyszę w jego głosie zwątpienie i nagle zwala się na mnie ciężar tej długiej, wyczerpującej nocy. Czuję, że muszę odpocząć, chociaż przez chwilę. I to właśnie Seana bardziej niż kogokolwiek innego pragnę teraz mieć po swojej stronie.

– Później mi palniesz kazanie – mówię, czując uderzenie bólu w nodze. – Najpierw pomóż mi to opatrzyć.

Początkowe przerażenie na jego twarzy ustępuje, kiedy odwijam prowizoryczny bandaż i pokazuję mu niedużą ranę. Nachyla się nad nią i marszczy brwi.

– Co to?

Opieram się o ścianę.

– Wykałaczka koktajlowa.

Sean spogląda na mnie gwałtownie i wybucha śmiechem, gdy tylko dociera do niego, w jaki sposób plastikowy odłamek znalazł się w moim udzie. Obręcz napięcia wokół mojej klatki piersiowej nieznacznie się rozluźnia. Sean idzie poszukać obciążków – lepiej żeby nikt inny się nie dowiedział, że Lee Chase załatwiła mnie za pomocą różowego patyczka. Kiedy kuzyn wraca, jego usta wciąż są rozciągnięte w szerokim uśmiechu.

– Było parę dziewczyn, które jeszcze lepiej cię urządziły – zauważa, poszerzając rozdarcie w nogawce, żeby sięgnąć obciążkami po plastikowe ostrze. – Pamiętasz, jak próbowałeś zbajerować Mhairi? Roześmiała ci się w twarz.

Krzywię się, kiedy pozostałość wykałaczki wyslizguje się z metalowych szczypczyków.

– Zamknij się, miałem trzynaście lat.

– A Aoife? Alejandra?

– O czym ty gadasz? Alejandra i ja...

– Biedaczka, po prostu było jej cię żal.

Z prychnięciem wyciąga wykałaczkę i pochylamy się nad nią obaj. Jest irytująco mała. Spod ciemnoczerwonych plamek krwi wciąż przeziiera jaskrawy róż. Sean ze śmiechu zatacza się na ścianę.

– Nic dziwnego, że udało ci się ją obezwładnić, skoro to wszystko, co miała do dyspozycji.

– Lepiej weź się za bandażowanie, zanim ci zacznę przypominać twoje własne miłosne klęski. To by nam zajęło cały dzień.

Kiedy kończy, minę ma już poważniejszą. Weselość nie może trwać wiecznie, ale przynajmniej śmiech sprawił, że odrobinę lżej mi się oddycha. Rozmowy z Seanem działają jak wentyl, dzięki któremu raz na jakiś czas uchodzi ze mnie napięcie. Jest moim kuzynem, ale i najlepszym przyjacielem, a zarazem jednym z naszych najzjadlejszych bojowników. Przez moment opieramy się o skałę, ramię w ramię, nie spuszczać oczu z nieprzytomnej żołnierki, która leży związana po przeciwnej stronie pomieszczenia.

– Co się z tobą dzieje, stary? – odzywa się cicho Sean. – Po coś ty tam w ogóle popłynął?

Waham się. Jeśli mu opowiem o tajnym ośrodku na bagnach, uprze się, żeby wysłać tam zwiadowców. Jak mu wtedy wytłumaczę, że niczego nie zastaną?

– Nosił mnie, więc wypłynąłem na zwiad. Sytuacja robi się gorąca, chciałem wybadać grunt.

Sean wydaje z siebie gardłowy jęk i lekko uderza potylicą o kamienną ścianę.

– Chyba żartujesz. Przecież wiesz, co by było, gdyby cię złapali, właśnie

ciebie. McBride tylko czeka, aż będzie mógł wykonać ruch, podczas gdy ty gonisz za jakimś głupim przecuciem. Zresztą dziś prawie mu się udało. Co ma z tym wszystkim wspólnego *trodair*?

– Nakryła mnie. A ja wykorzystałem okazję.

– Żeby ją tu przywlec? Wiesz, jakie to ryzyko?

– Ona ma informacje, które są nam potrzebne. Poza tym pomyśl, co możemy za nią dostać – tłumaczę, mimowolnie zgrzytając zębami. – Co miałem zrobić, zabić ją?

– Tak! – odpowiada zirytowany. – Tak, trzeba było ją zabić.

– Żeby żołnierze zaczęli panikować, że w ich bazie dokonano zamachu?

Słyszę zniecierpliwienie we własnym głosie i ostrożnie powściągam emocje. Ten pomysł z morderstwem przyszedł mu do głowy ot tak, chociaż Sean to jeden z najmiłszych, najłagodniejszych ludzi, jakich znam. Ale może wydaje mu się to naturalne, bo takie właśnie jest? Może jestem równie szalony jak McBride, skoro uważam, że trwający od dekady konflikt da się rozwiązać za pomocą słów?

A może życzliwa natura Seana – ten urok, który w sobie miał, odkąd byliśmy dziećmi – właśnie go opuściła? Może została kolejną ofiarą tej wojny?

Ilekoć zamykam oczy, ukazuje mi się obraz tajnego ośrodka – druty kolczaste, zbitka budynków z prefabrykatów ustawionych na łagodnym zboczu wyspy. Chciałbym móc mu opowiedzieć o bazie, jak również o tym, że gdy wróciłem tam kilka godzin później, zastałem pustkę. Ale jeśli to zrobię, utwierdzę go tylko w przekonaniu, że postradałem zmysły. Mój kuzyn jest moim największym sprzymierzeńcem i najbliższym przyjacielem. Nie mogę pozwolić na to, by się ode mnie oddalił.

Sean wzdycha, jeszcze raz nieufnie przypatrując się *trodair*.

– Co z nią zrobimy?

– Poproszę Marthę, żeby skontaktowała się z żołnierzami. Lee Chase to dla nich cenna zawodniczka, na pewno zgodzą się na wymianę. Pokażemy McBride'owi, że moim sposobem również da się coś zyskać.

– A jeśli odmówią? – Sean unosi brwi.

Bojowo wysuwam podbródek.

– Nie pozwolę jej zabić.

– Za miękki jesteś, kuzynie. Gdybyś to ty był jej jeńcem, nie wahałaby się ani chwili.

– Wiem.

Nawet teraz, po latach, te słowa to cios w moje serce. Obaj myślimy o Orli.

– Ale jeśli ją załatwimy, zawieszenie broni szlag trafi. Przywałą nam jak nigdy wcześniej. Nie będziemy mieli szans.

– Założę się, że inaczej byś śpiewał, gdyby był tu McBride.

– Jak mu powiesz, że jest za cienki, żeby pokonać kogoś w walce, pierwsze,

co zrobi, to znajdzie pretekst, żeby dać ci w pysk. – Kopię przypadkowy kamyk i słyszę, jak odbija się od przeciwległej ściany. – Na pewno zaraz zacząłby dowodzić, że po prostu się boję.

– Mógłbyś nas poprowadzić – rzuca Sean z wahaniem po chwili milczenia. – Kiedy przyjdzie co do czego, mógłbyś...

Nie mam ochoty się przekonać, co powie. W korytarzu odbija się echem głos Fergala:

– Stryjku, przykryjesz mnie?

Najwyraźniej przyszedł tu za nami.

Sean miał w zębach przekleństwo, zrywa się gwałtownie i rusza do wyjścia.

– Nie chcę, żeby którekolwiek z dzieci się o tym dowiedziało – rzuca jeszcze ściszym głosem. – Chcesz ją tu trzymać, proszę bardzo. Tylko pilnuj, żeby nikt jej nie znalazł, bo wtedy dopiero się zaczniesz.

Choć tego nie mówi, wiem, o co mu chodzi – postanowił mi zaufać. Na razie.

– Dzięki, kuzynie – odpowiadam.

Przez moment patrzymy na siebie w milczeniu. Potem Sean wychodzi.

Zabieram latarnię z nadzieją, że jeśli *trodair* obudzi się w ciemnościach, trudniej jej będzie opracować plan ucieczki, po czym wymykam się na górę. Chyba się udało – nikt nie zauważył naszego zniknięcia. Ulga spowodowana świadomością, że mam wsparcie Seana, szybko mija, ponieważ wiem, że nie będzie trwało wiecznie. Któregoś dnia skończy mu się cierpliwość. Już teraz czuję, że się od siebie odsuwamy, wyczuwam to w chwilach milczenia, które między nami zapadają. Ten dzień kiedyś nadejdzie, choć jeszcze nie dzisiaj. Na razie wiem, że za mną pójdzie, bo go o to poprosiłem.

Szkoda tylko, że nie mam pojęcia, dokąd chcę go zaprowadzić.

Dziewczynka siedzi pod ladą w sklepie matki, raz po raz odrywając wzrok od książki na dźwięk dzwonka nad drzwiami. Czyta o nurkach głębinowych podróżujących w starożytnej łodzi podwodnej. Na Weronie nie ma oceanów, ale ona, gdy dorośnie, chce zostać podróżniczką.

– Jubilee! – woła ją matka. – Gdzie się podziałas? Chodź, pomożesz mi lepić pierogi.

Dziewczynka wstrzymuje oddech. Morskie potwory są o wiele ciekawsze niż pierogi, zwłaszcza że wspólnemu gotowaniu niezmiennie towarzyszą kazania dotyczące dbałości o rodzinną spuściznę. Może matce nie przyjdzie do głowy, żeby jej tu szukać.

– Uspokój się, Mei.

To ojciec. Nie wiedziała, że dziś wróci.

– Mała się znajdzie. O ile sobie przypominam, spędziłaś naszą pierwszą randkę, narzekając, że tata wciąż każe ci się uczyć kaligrafii. Pozwól jej cieszyć się dzieciństwem. Mamy czas.

Dziewczynka zaciska powieki. Nie – wszystko jest nie tak. Obudź się... Obudź!

JUBILEE

Wiem, że wpadłam w kłopoty, zanim jeszcze otwieram oczy. Czuję woń pleśni i rozkładu, i chce mi się płakać z zimna. Nie wiem, gdzie jestem, otaczają mnie całkowite ciemności, a powierzchnia jest twarda i wilgotna. Kamień. Opieram się na kolanach, ale kiedy próbuję się wyprostować, tracę równowagę. Ramiona przeszywa mi ból, barki prawie wyskakują ze stawów, oczy zachodzą łzami i zawisam kilka centymetrów nad podłogą. Z wyschniętego gardła wrywa mi się zdławiony jęk, który odbija się echem od ścian.

Nadgarstki mam związane za plecami. Przesuwam palcami po sznurze i odkrywam, że przytwierdzono go do metalowego pręta wwierconego w grubo ciosaną podłogę. Sznur jest krótki i umocowany na tyle wysoko, że gdy próbuję się położyć, ręce boleśnie wyginają mi się do góry. Nie mogę również wstać ani nawet usiąść prosto. Ten, kto mi to zrobił, wiedział dokładnie, jak bardzo będzie mi niewygodnie.

Przed oczami błyska mi wspomnienie urodziwej twarzy. Romeo. Choć odbyłam z nim całą tę nieszczęsną podróż przez bagna, nadal nie wiem, jak drań ma naprawdę na imię. I jak tak dalej pójdzie, raczej się nie dowiem. Gdzieś nieopodal kulejącemu rebeliantowi wyciągają właśnie z uda pięć centymetrów jaskraworóżowego plastiku. Albo zostawili mnie tu, żebym umarła z odwodnienia, albo mają zamiar targować się z dowództwem o moje życie.

Tyle że my nie negocjujemy z rebeliantami. Co oznacza, że tu umrę. Nie potrafię powstrzymać myśli o plutonie, o tym, jak radzą sobie beze mnie. Znam każdego ze swoich żołnierzy nie gorzej niż samą siebie. Przypatruję im się każdego dnia. Wiem, co im się śni, obserwuję, jak zmagają się z życiem nad samą krawędzią przepaści. Furia czai się na każdym kroku. To ja pierwsza wyczuwam, kiedy któreś z nich jest bliskie wybuchu, kiedy trzeba załatwić mu przeniesienie, zanim zrobi komuś krzywdę. Kto się o nich zatroszczy, kiedy mnie zabraknie?

W gęstej ciemności staje mi przed oczami obraz, który ujrzałam na bagnach. Zaledwie przebłysk tego, o czym opowiadał Romeo: ośrodek, którego nie powinno tam być, wysokie płoty, reflektory i strażnicy. To niemożliwe, by coś takiego pojawiło się i znikło w jednej chwili – prawdopodobnie dopadły mnie halucynacje, wczesny efekt uboczny substancji, którą unieszkodliwił mnie mój porywacz.

To jednak nie wyjaśnia zagadki przedmiotu, który tam znalazłam i który tkwi teraz poza moim zasięgiem, ukryty w cholewce buta.

Wykręcam się lekko, aż udaje mi się oprzeć jedną podeszwę o metalowy pręt. Chwytam sznur palcami, żeby odciążyć nadgarstki, i ciągnę z całej siły z nadzieją, że ustąpi choćby o milimetr.

Nic z tego. Zresztą szanse od początku były niewielkie.

Puszczam sznur i przez kilka sekund łapię oddech. Wygląda na to, że narkotyk, którym Romeo odurzył mnie na wyspie, nie zostawił w moim organizmie żadnych śladów. Nie słyszę już szeptów i wprawdzie wciąż się trzęsę, ale tylko z zimna. Nie czuję też metalicznego smaku w ustach.

Jeśli sznur nie puści, to może ustąpi skała, w którą wbito metalowy pręt? Tubylcy raczej nie są za pan brat z najnowszą technologią i podejrzewam, że otwór, który wywiercili, jest daleki od ideału. Napinam mięśnie i zaczynam z całych sił kopać w pręt podeszwą buta.

Bez skutku.

Nieruchomieję i krzywięc się z bólu, oddycham ciężko, wpatrzona w podłogę. Będę musiała zaczekać, aż po mnie przyjdą, co stanie się prędzej czy później. Nawet jeśli postanowią mnie w końcu zastrzelić, o wiele łatwiej jest przetransportować ciało, które chodzi na własnych nogach, niż przenosić zwłoki.

Muszę jednak pamiętać, że jeden z nich szwendał się po jednostce, węszył w wojskowym barze i jeszcze uważał to za znakomity pomysł. Najwyraźniej tutejsi rebelianci nie należą do najsprytniejszych.

Zgrzytając zębami, znów zaczynam kopać w pręt. Musi w końcu ustąpić. Każdy kopniak sprawia, że przeszywają mnie strzały bólu docierające aż do szczęki. Warto jednak trochę pocierpieć, jeśli alternatywą jest długa, powolna śmierć z pragnienia. W gardle czuję kwaśny niczym żółć strach.

O nie. Kapitan Chase nigdy się nie boi.

– No co ja poradzę, że go tak mocno wbili – rozlega się w ciemnościach rozbawiony głos, tak niespodziewanie, że serce podskakuje mi w piersi z przerażenia.

Ale już chwilę później go rozpoznaję – i szczerze mówiąc, w pograżonej w mroku i ciszy jaskini dźwięk znajomego głosu to miła odmiana.

– Każdy na moim miejscu by próbował – rzucam, usiłując opanować rozdygotany oddech, i świdruję wzrokiem czerń.

Romeo odsłania latarnię i wiązka światła przecina mrok. Znajduję się w grocie, której jedynym charakterystycznym elementem jest majaczący za plecami Romea, zasnuty cieniem długi korytarz. Wpatruję się w płomień lampy tak długo, aż oczy zachodzą mi łzami. Właściwie cieszę się, że nie zabiją mnie w ciemnościach.

Nie spodziewałam się, że tu wróci, to na pewno. Nie zrobił na mnie wrażenia typu, który byłby zdolny do czynu, jakiego niewątpliwie zamierza właśnie dokonać. Najwyraźniej go nie doceniłam.

Romeo robi krok do przodu.

– Mam tu wodę. Dostanę kopa, jeśli podejdziesz bliżej? – pyta i pokazuje mi manierkę.

Wciąż mam zawroty głowy, dzwoni mi w uszach, a na języku czuję smak bagiennego szlamu.

– To zależy – odpowiadam przez zaciśnięte zęby. – Masz zamiar znów mnie otruć?

– Nie otrujęm cię wtedy i teraz też nie zamierzam.

Robi kolejny krok, a ja cofam się odruchowo. Sznur ociera się o kamień jak skóra węża.

– Poza tym powinienem cię opatrzyć. Dopiero teraz widzę, jak to paskudnie wygląda.

Patrzę w dół i w świetle latarni dostrzegam z boku koszulki coś, co wygląda jak plama z atramentu. Nagle wszystko wraca potężną falą – wspomnienie naszej walki w błocie przed lokalem Molly’ego, a wraz z nim świadomość bólu, który budzi się do życia i rozlewa po całym moim ciele niczym pożar.

Romeo jeszcze raz rusza z miejsca, a ja odruchowo rzucam się w tył.

– Nie podchodź.

Zaciskam palce wokół sznura, który wrzyna mi się w nadgarstki. Jeśli mój porywacz jednak się zbliży, niewiele będę mogła zrobić. Może udałoby mi się zwalić go z nóg kopniakiem, ale w ten sposób go przecież nie unieszkodliwię, a nawet gdyby – to co dalej?

On jednak zatrzymuje się posłusznie i spogląda na mnie w milczeniu. Po chwili przerzuca przez ramię pasek manierki i krzyżuje ręce na piersi.

– Jak się czujesz?

Jego uśmiech jest jak obelga. Wyciągnął mnie z baru, postrzelił, zmusił, bym nawdychała się chemicznych oparów, zawlókł w dzicz, odurzył narkotykami, a potem przywiązał do słupa w podziemnej jaskini. A teraz ma czelność pytać, jak się czuję.

Prędzej wyrwę sobie ręce ze stawów, próbując się uwolnić, niż odpowiem zgodnie z prawdą. Nie mam najmniejszego zamiaru dać mu satysfakcji. Uśmiecham się jadowniczo.

– Pysznie, Romeo. A jak noga?

Poważnie i niemal niedostrzegalnie zmienia pozycję. Ciekawe, kto wyciągnął mu z uda kawałek różowego plastiku, i ile się przy tym biedak najadł wstydu.

– Noga to obecnie najmniejszy z moich problemów.

– Twoich problemów? Wiesz, Romeo, nie zaprasza się dziewczyny do domu, jeśli wiadomo, że mama z tatą jej nie polubią.

– Następnym razem będę o tym pamiętał.

Spogląda na mnie z ukosa.

– Na pewno nie chcesz pić?

Potrząsa manierką. Słyszę, jak w środku przelewa się woda. Nagle doznaję

wrażenia, jakby wewnątrz moich ust było wysypane piaskiem. Bardzo chcę mu powiedzieć, żeby poszedł w diabły, życzyć, żeby go szlag trafił. Bardzo chcę rozwalić mu tę idealnie wyrzeźbioną szczękę i zetrzeć z gęby bezczelną pychę.

Ale jeszcze bardziej chce mi się pić.

Przełykam ślinę, próbując zwilżyć zaschnięte gardło.

– Ty pierwszy – odpowiadam. Przypominam sobie, że poprzednim razem wcale nie uchroniło mnie to przed zatruciem.

Romeo przewraca oczami, jakby uważał, że nie mam najmniejszego powodu mu nie ufać. Odkręca manierkę i przykłada ją sobie do ust.

Myślałam, że upije tylko troszkę, a on łyka i łyka z głośnym gulgotem. Wreszcie opuszcza naczynie i z udawanym żalem, mrużąc oczy, zagląda do środka.

– Cholera jasna, prawie nic nie zostało. Masz ochotę?

Jedynie ból ramion powstrzymuje mnie przed szarpnięciem za sznur.

– Coś mi się zdaje, że niezły z ciebie drań. Jak większość ładnych chłopców.

– Uważasz, że jestem ładny? – dziwi się teatralnie Romeo. – No, no, Jubilee, aż się zarumieniłem. Słuchaj, pijesz czy nie?

Wydaje mu się, że jego nonszalancja działa mi na nerwy. Zaciskam zęby tak mocno, że boję się, że je połamię.

– Chcesz, żebym błagała? Przyszedłeś tu specjalnie, żeby się nade mną poznęcać?

Unosi brew, a w jego chępliwym uśmiešku odbija się błysk ironii.

– Obiecaj mi tylko, że nie kopniesz mnie w tę moją ładną buzię, jeśli podejde bliżej.

On się naprawdę boi, że jakimś cudem zrobię mu krzywdę. Nic dziwnego, że tak mocno mnie skrępowali. Nie mogę nawet usiąść prosto.

– Co by powiedzieli twoi koledzy, gdyby zobaczyli, że boisz się dziewczyny przywiązanej do pręta w podłodze?

– Powiedzieliby: nie zbliżajcie się, to Lee Chase, która dzieci rebeliantów pożera na śniadanie.

Ścisną mi się gardła. Bądź dumna, powtarzam sobie w duchu. Przecież chcesz, żeby się ciebie bali. Bo wtedy może się dwa razy zastanowią, zanim zaczną strzelać do twoich ludzi. Gwałtownie wciągam powietrze przez nos. Napinam mięśnie. Oczyszczam umysł. Chcesz, żeby się bali.

– Nawet nie mam jak wziąć zamachu – mówię w końcu.

Chyba mi wierzy na słowo, bo zaczyna się przysuwać. Ostrożnie, nie spuszczać ze mnie oczu, wciąż obawiając się ataku. Może powinnam to jakoś wykorzystać, ale kiedy twierdziłam, że nie mam możliwości się zamachnąć, nie blefowałam. Unieruchomili mnie na tyle skutecznie, że go nie dosięgnę.

– Potrzymam manierkę – mówi cicho, kucając przy mnie.

– Mój ty bohaterze.

Te słowa, ociekające jadem, wymykają mi się z ust, zanim zdołałam je powstrzymać. Kiedy już się napijesz, możesz z niego drwić do woli, karcę się w duchu.

Romeo niezrażony wyciąga manierkę i pozwala mi przełknąć kilka pozostałych na dnie kropel. Najwyraźniej filtry rebeliantów nie działają ani trochę lepiej niż nasze. Woda smakuje bagnem. Kiedy kończę, Romeo opuszcza naczynie i przygląda mi się z łokciami opartymi na kolanach. Światło latarni obejmuje go od tyłu, więc nie widzę zbyt dobrze jego rysów. W ciemności błyskają tylko lekko zmrużone oczy.

On naprawdę nie wie, co ze mną zrobić. A ja, jeśli mam być szczerą, nie mam pojęcia, co o nim myśleć. Gdyby rzeczywiście był taki, jak przypuszczałam, już bym nie żyła. I na pewno nie przyniósłby mi wody.

– Czy Romeo ma jakieś imię?

Prycha.

– Znasz moją twarz, a to mi przysporzy wystarczająco dużo kłopotów, kiedy wrócisz do bazy. Więc raczej nie będę do tego wszystkiego jeszcze ci się przedstawiał.

– Przecież nie wrócę – odpowiadam zrezygnowanym szeptem.

Po raz pierwszy wypowiedziałam te słowa na głos. I wcale nie jest mi łatwiej.

– Jeśli wciąż tego nie rozumiesz, jesteś jeszcze głupszy, niż myślałam.

– Ty naprawdę masz mnie za idiotę – mówi, a w jego głosie pobrzmiwa rozbawienie, ale teraz, gdy nie towarzyszy mu pyszałkowatość, wydaje się o wiele życzliwsze. – Jesteś ich skarbem i dumą, wykarmioną na własnej piersi. Będą negocjować, jestem tego pewien.

– A na co ty właściwie liczysz? – pytam i przekręcam się lekko, usiłując złapać równowagę, by poczuć się choć odrobinę mniej bezradna. – Powiedzmy, że zrobimy wszystko, czego chcecie, wszystko, czego żądała Orla Cormac w czasach ostatniej rebelii. Założmy, że jutro całe wojsko opuści Avon, a TerraDyn zostawi was w spokoju. Co wtedy?

– Wcale nie żądamy, żeby wojsko wyjechało. Już nie. Chcemy tylko żyć własnym życiem, wolni od restrykcji TerraDynu. Chcemy być niezależnymi obywatelami.

– A co będziecie jeść, kiedy oni przestaną sprowadzać dla was żywność? Z czego będziecie budować domy? Avon nie jest jeszcze samowystarczalny. Planeta jest zbyt młoda, ekosystem zbyt chwiejny. Terraformacja nie dobiegła końca. Gdyby dziesięć lat temu Orla Cormac odniosła zwycięstwo, dziś wszyscy umieralibyście z głodu.

– Orla się pomyliła. – Widzę, ile go kosztuje to wyznanie. – I przypłaciła to życiem. Nie prosimy o całkowitą autonomię. Chcemy tylko lekarstw dla dzieci,

jedzenia dla starszych ludzi. Szkół. To nie jest życie. Nie wierzę, że nie zdajecie sobie tego sprawy.

– Wiem tyle, że gdyby wojsko nie pilnowało tu porządku, TerraDyn dawno by się wycofał i zostalibyście sami, a ciekawe, jak długo byście przeżyli, jedząc wodorosty. Możecie nas nienawidzić, ale dzięki nam żyjecie.

Romeo zaciska szczękę. Widzę, że go to ubodło. Nie poddaje się jednak i cichym głosem odpowiada:

– Orla Cormac nie jest już naszą przywódczynią. I wcale nie wszyscy życzymy wam śmierci. Ja chcę rozmawiać, nie walczyć. I chcę się wreszcie dowiedzieć, czemu Avon się nie rozwija. Tu jest mój dom i dzieje się z nim coś złego. Musi istnieć jakieś lepsze rozwiązanie.

Odchylam się do tyłu, czując, jak sznur obciera mi skórę. Zabrakło mi riposty – spodziewałam się po nim durnych, szlachetnych idei, jakimi często szafują młodzi rebelianci. Logiczne argumenty odeprzeć jest znacznie trudniej. W jakichś innych okolicznościach, gdybym nie była przywiązana do wystającego z podłogi pręta, mogłabym z nim debatować godzinami. Unoszę głowę i wysuwam podbródek.

– Porwanie oficera z bazy wojskowej to nie najlepszy sposób na nawiązanie dialogu.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że to się dobrze skończy – niechętnie przyznaje Romeo. – Trzeba było pozwolić mi odejść.

– Dowódca, który pozwala odejść komuś stanowiącemu potencjalne zagrożenie, jest potem winien temu, że jego żołnierze wracają do rodzin w drewnianych skrzynkach. – Znów mam suche gardło. Czuję, że jestem odwodniona. – Skoro nie zamierzałeś nikogo skrzywdzić, trzeba było pójść ze mną do sztabu. Ten, kto nie robi nic złego, nie ma się czego bać.

– Gówno prawda.

Zrywa się na nogi i już nie słyszę łagodności w jego głosie. Czemu wciąż wydaje mi się znajomy? Gdzie go widziałam?

– Chciałem tylko porozmawiać.

– Byłeś uzbrojony!

– O czym nie wiedziałaś, póki nie spróbowałaś mnie zaarrestować.

– Strzeliłaś do mnie.

Szarpię za sznur, ale jedyny skutek to strumień bólu w ramionach.

– Bo pochopnie założyłaś, że mam złe zamiary – mówi Romeo i spogląda na mnie gniewnie, z zaciśniętą szczęką. – Posadzacie nas o najgorsze. Właśnie dlatego musimy się ukrywać. Wolę zginąć, niż poddać się temu, co TerraDyn nazywa prawem, albo temu, jak wojsko je egzekwuje.

– Może i wyciągnęłam wnioski przedwcześnie, ale nie myliłam się. Ja z kolei wolę zginąć, niż pozwolić, żebyś ty albo któryś z twoich kolegów

terrorystów skrzywdził kogoś, za kogo jestem odpowiedzialna – dodaję i wykrzywiam wargi w ponurym, chłodnym uśmiechu. – Wygląda na to, że jednemu z nas życzenie się spełni.

– Ja nie jestem terrorystą.

Romeo cofa się o krok i pochyła, by podnieść latarnię. Jego przystojna twarz jest napięta, a głos pełen wrogości, nagle pozbawiony sarkazmu.

– Chcemy tylko tego, co należy do nas. Chodziło mi wyłącznie o informacje na temat ośrodka na wyspie. Gdybym planował wysadzić w powietrze wasz głupi bar, nie traciłbym czasu na flirtowanie z tobą.

– Uznałam, że flirtujesz, bo wysłali cię, żebyś mnie zabił.

Romeo milczy, ciężko oddychając przez nos. Niewiele mogę zrobić – związana właściwie nic – ale przynajmniej udało mi się go rozsierdzić.

– To nas nigdzie nie zaprowadzi – stwierdza cicho.

Mimo krępujących mnie więzów próbuję się nachylić w jego stronę.

– Zrobiłam tylko to, co do mnie należy. To ty nas w to wpakowałeś. Zastanów się, a dojdiesz do wniosku, że to nie na mnie jesteś zły.

– Chyba jednak na ciebie – odpowiada gwałtownie po chwili udawanego namysłu.

A potem nagle znika w korytarzu, zabierając ze sobą latarnię. Miałam rację – brak mu odwagi, by mnie zabić. Zrzuci to na kogoś innego. A więc jednak zginę samotnie.

Powinnam dalej kopać w pręt, ale wiem przecież, że nie wydostanę się stąd, póki oni o tym nie zdecydują. Wiem również, że mnie zabiją. Romeo być może nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy, chyba wciąż jest przekonany, że wojsko zapłaci okup. Ale komendant Towers zawsze sztywno trzyma się procedur, również w kwestii pojmanych żołnierzy. Po prostu nie robimy takich rzeczy. Nie negocjujemy.

I nikt nie zamierza mnie odbić.

Udało mi się zapaść w krótką drzemkę, z podbródkiem wspartym na piersi, ale bardzo szybko obudził mnie dźwięk kroków i tańczące pod powiekami błyski. Odpycham od siebie iskierkę ciepła, nagły przebłysk nadziei, że mój porywacz nie zostawił mnie tu jednak, bym zgniła w samotności, choć wyszedł taki wściekły.

Romeo, czy nie rozumiesz, że uroda potrzebuje snu?

Otwieram jedno oko i zamiera mi serce.

To nie Romeo. U wylotu korytarza stoi ktoś, kogo nigdy wcześniej nie wiedziałam: wysoki, rosły mężczyzna, dwa razy potężniejszy od mojego porywacza. Twarz ma osłoniętą chustą – to dobry znak. Nie przyszedł tu, by mnie zabić, a w każdym razie nie podjął jeszcze decyzji.

– Więc to prawda.

Nieznamy przewierca mnie wzrokiem, który sprawia, że włoski na karku

stają mi dęba. Robi kilka kroków naprzód, powoli, z rozmysłem.

– Kapitan Jubilee Chase – mówi. Głos ma cichy, niemal przyjazny, a jednak moje imię w jego ustach brzmi jak przekleństwo.

Dźwigam się powoli. Nie odpowiadam. Wiem, co się stanie, i nic, co powiem, tego nie zmieni.

Gdzie jesteś, Romeo?

– Trudno uwierzyć, że nasz etatowy pacyfista zdołał pojmać oficera wrogich sił i na dodatek ukryć go w naszej bazie.

Nieznajomy przesuwając się w bok i odkładając latarnię na skalną półkę, po czym staje obok i powoli mierzy mnie świdrującym wzrokiem, szczególnie uważnie przypatrując się sienie, napuchniętej skórze pod więzami.

– A myślałem, że to zbyt piękne, by było prawdziwe.

Choć głos ma spokojny, w jego oczach lśni mroząca krew w żyłach gorączkowa nienawiść. Kimkolwiek jest ten człowiek, wygląda na nieznaczącego. Znam to spojrzenie, już je widziałam na innych planetach, podczas innych rebelii. To ktoś, kto wejdzie do szkoły i wysadzi ją w powietrze, by dowieść swoich racji. Właśnie tacy ludzie spędzają mi sen z powiek – sprawiają, że każda nowa twarz wzbudza nieufność, a każdy nowy środek bezpieczeństwa staje się usprawiedliwiony. To ze względu na takich jak on jestem tu i robię to, co robię.

Żołądek ściska mi się z przerażenia i przenoszę wzrok na sufit, niczym litanie powtarzając w duchu słowa, które wbijano mi do głowy podczas szkoleń: „nie podejmuj dyskusji, on tylko na to czeka”.

– Być może pomożesz mi rozwiązać pewien dylemat.

Mężczyzna podchodzi i kuca nieopodal mnie.

– Moja żona twierdziła, że wojsko nie przyjmuje cywilów do swoich szpitali, bo chce ich zachęcić, by otwierali własne. Dla mnie odpowiedź była prostsza: jesteście bandą sadystycznych drani, którzy pragną patrzeć, jak umieramy.

Nie wpuszczamy cywilów do wojskowych szpitali, ponieważ „cywile” równie dobrze jak z obrażeniami mogą do nich wkroczyć z bronią w rękę. Nie ma jednak sensu mu tego tłumaczyć. Prawdopodobnie i tak by nic do niego nie dotarło.

– Widzę, że nasza *trodair* nie zechce się zniżyć do rozmowy ze mną.

Wyciąga rękę, chwyta mnie za podbródek i siłą obraca moją twarz do światła. Zaciskam zęby, a wtedy jego rysy twardnieją.

– Wy... – szepcze lekko drżącym głosem. – Gdybyście mieli w sobie choć szczyptę przyzwoitości, nie odmówilibyście sześciolatniemu chłopcu leczenia, które mogło uratować mu życie.

Pod wpływem impulsu, którego nie potrafię opanować, podnoszę na niego wzrok.

– Aha – rzuca cicho. – Udało się. Myślisz, że mój syn stanowił dla was zagrożenie? Nadal uważacie się za lepszych i dajecie sobie prawo, by skazywać

dzieci na śmierć?

Niech to szlag. Facet stracił rodzinę. To wyjaśnia błysk szaleństwa w oczach. Bez słowa spoglądam w ciemność. Łatwo dostrzec w niej wściekłą ośmiolatkę, przestrzeń między nami jest jak lustro, jakby ostatnie dziesięć lat mojego życia w ogóle się nie wydarzyło.

– Zadałem pytanie.

Mężczyzna puszcza mój podbródek i popycha mnie na ziemię. Sznur szarpie mnie za ramiona, a zraniony bok przeszywa bolesna fala. Wyrzywa mi się ostry wrzask, twarz rebelianta rozmywa się i wiruje mi przed oczami.

– Myślicie, że jesteście od nas lepsi?

Krzuszę się oddechem, z całych sił usiłując zachować spokój. Nieskrywana żądza krwi w spojrzeniu nieznanego chwytam mnie za gardło. Mój ból zdaje się tylko podżegać płonąca w nim gorączkę.

– Myślisz, że jeśli będziesz mnie ignorować, pójdę sobie? Ja jestem cierpliwym człowiekiem, pani kapitan. To wyście mnie tego nauczyli. Bądź cierpliwy. Błagaj o każdy okrucieństwo jedzenia, najmniejszą dawkę leków... – Mówiąc to, nachyla się ku mnie, czuję na twarzy jego oddech. – Teraz to ja nauczę cię błagać.

Trafia mnie w łuk brwiowy brutalnym sierpowym i uderzam głową o skałę. Mężczyzna zrywa się z ziemi i jego but wbija mi się w żebra z głuchym, mdlącym odgłosem. Oczy zachodzą mi mgłą, powietrze ucieka z płuc z jęklwym świstem i dopiero wtedy dociera do mnie ból.

– Taka jest między nami różnica – rzucam zdyszana, walcząc o resztki przytomności. – Ja nie błagam.

Napastnik dobywa z siebie nieartykułowany, wściekły charkot i wreszcie poddaje się pragnieniu, które go tu przywiodło, wyładowując na mnie cały swój gniew, cierpienie i gorycz. A ja, nawet ogłuszona bólem i trzaskiem pękających kości, słyszę jego myśli. Ponieważ nie ma różnicy między tym człowiekiem a zrozpaczoną ośmiolatką, którą kiedyś byłam. Wiem, że będzie młócił pięściami, kopał, tłukł i wrzeszczał, póki twarz syna nie zniknie mu sprzed oczu.

To znaczy, że nie przestanie, póki mnie nie zabije.

– W zeszłym roku miałaś trzynaście lat. Myślisz, że nie pamiętam? Wracaj do domu, mała.

Dziewczynka stoi na ulicy przed budynkiem komisji poborowej i patrzy, jak gaszą światła i zamykają drzwi na noc. Wrzuca sfalszowany dowód do rynsztoka, przeklinając pod nosem cwaniaczka, który jej go sprzedał.

– Nie wierzą, że skończyłaś szesnaście, co?

To jeden z rekrutów, którego widziała w kolejce, i jego dwóch kolegów. Podchodzi niespiesznie i mierzy ją wzrokiem.

– Mogę ci pomóc.

Wyciąga rękę, ale dziewczynka odskakuje.

– Uważaj – warczy, nie zwracając uwagi na piekący smak paniki w ustach. – Myślisz, że nie dam ci rady?

Jeden z kolegów parska śmiechem i zbliża się, ale zanim dziewczynka zdąży zareagować, drugi chwyta go za ramię.

– Daj spokój, zostaw ją. To tylko dzieciak.

Odchodzą, burcząc coś pod nosami. Ten trzeci zerka na nią przez ramię. Z jakiegoś powodu wydaje jej się znajomy – harmonijne rysy, zielone oczy, czarujący uśmiech. Puszczą do niej oko.

Nie, nie, wciąż nie tak. Jeszcze go nie poznała.

FLYNN

– Jakieś wieści?

Wchodzę do kabiny radiowej, upewniwszy się najpierw, że Martha jest sama. Dobrze wiem, że nie była zadowolona, kiedy poprosiłem ją o przesłanie wiadomości do żołnierzy, a przede wszystkim nie podobało jej się robienie tego w sekrecie. Ale jest naszym najlepszym łącznościowcem i nikt inny nie zdołałby wyciągnąć czystego sygnału.

Martha podskakuje na dźwięk mojego głosu i zaczyna się odwracać w moją stronę. W połowie ruchu nagle się zatrzymuje, z jedną ręką nad przełącznikiem, drugą drżącą u boku.

– Flynn – rzuca pospiesznie, posyłając mi przelotne, zrozpaczone spojrzenie. Przelotne, ale wymowne. Zaciskam palce na framudze drzwi.

– Co jest? Odpowiedzieli?

– Nie – mówi i kręci głową odrobinę zbyt gwałtownie. – Nie, żadnej reakcji. Nie wiem nawet, czy sygnał do nich dotarł.

– Co się dzieje?

Nie powinna być aż tak zdenerwowana.

– Martho, spójrz na mnie.

Opiera się i wbija wzrok w podłogę, nawet gdy chwytam ją za ramiona i obracam do siebie. Po kręgosłupie przebiega mi lodowaty dreszcz.

– Komu powiedziałaś?

Głośno przełyka ślinę i bierze drżący oddech, po czym, jakby każdy centymetr był dla niej torturą, podnosi na mnie oczy. Odbijające się w nich poczucie winy mówi mi wszystko, czego chciałem się dowiedzieć.

Wypadam z kabiny i pędem przecinam główną salę. Już mnie nie obchodzi, czy ktoś coś zauważy. Z tyłu dochodzi mnie zawodzenie Marthy:

– Flynn, ta dziewczyna to *troisième*. Zasluguje na śmierć!

Mijam Seana. Nie wie, co zaszło, ale dostrzega moją panikę i niemal natychmiast zaczyna wołać o wsparcie. Słyszę, jak pośpiesznie rusza za mną, po chwili dołączają do nas także Turlough Doyle i jego mąż Mike. Turlough przeklina, Mike, utykając, próbuje dotrzymać mu kroku. Odbijam się od skalnej ściany i rzucam w korytarz wiodący do podziemi. Im bardziej zagłębiam się w najstarszą część labiryntu jaskiń, tym powietrze jest gęstsze i wilgotniejsze, wiem jednak, w którym miejscu jest ślisko. Nie mogę sobie pozwolić, by stracić choćby sekundę.

Jeśli Jubilee nie żyje, to jest to moja wina.

Mijam ostatni zakręt i od razu docierają do mnie dźwięki ciosów i kopania –

nie słyszę głosu Jubilee, tylko stękanie i wściekle rżenie McBride'a. Serce mi zamiera, ale biegnę dalej. Wpadam do groty i widzę go, jak raz za razem z niepowstrzymaną furią wbija but w jej żebra. Popychany impetem powalam go na ścianę. Powietrze uchodzi z niego z głuchym charkotem, a ja oglądam się na leżącą i to jest mój błąd. Jeden ruch McBride'a wystarczy, żebym z hukiem wylądował obok niej. Uderzam głową o podłogę i świat zaczyna wirować. Dziewczyna się nie rusza.

Potem zjawiają się pozostali. Sean, Mike i Turlough wciskają się między mnie i McBride'a. Jubilee otwiera jedno oko. Jej krtań unosi się i opada, a spękane wargi układają się w jedno słowo.

„Romeo”.

Gwałtownie wypuszczam wstrzymywane powietrze, a w moich żyłach rozlewa się gorąca ulga.

Żyje.

McBride dyszy ciężko. Sean chwyta go za jedno ramię, Mike za drugie, Turlough napiera na niego, ale on nie przestaje się szarpać. Oczy ma wbite w jeden punkt, wygląda, jakby w ogóle nas nie dostrzegał, wie tylko, że ktoś próbuje go powstrzymać. Mike krzyczy z bólu, ugina się pod nim uszkodzone kolano, zrywam się więc na nogi, choć pieką mnie plecy i na jedną straszną chwilę oczy zachodzą mgłą. Rzucam się ku McBride'owi, ale on jest szybszy. Wyciąga z kabury skradziony wojskowy gleidel i już celuje nim w dziewczynę, kiedy udaje mi się popchnąć go na ścianę. Kiedy naciska spust, strumień lasera odbija się od skały.

Sean wyrywa mu broń. Skulona u naszych stóp Jubilee nawet nie drgnęła na odgłos strzału. McBride mnie odpycha, ale wciąż stoi pod ścianą, łykając wielkie hausty powietrza, z twarzą wykrzywioną rozpaczą.

– Myślałeś, że możesz sprowadzić tę... to coś do naszego domu i nikt się o tym nie dowie? – Pociera zaczerwienione oczy, pozbawiony resztek oratorskiej swady. Gdyby tylko pozostali mogli go teraz zobaczyć, wreszcie dostrzegliby szaleństwo i brutalność ukryte w jego uskrzydających przemowach.

– Całe szczęście, że Martha jest od ciebie bardziej lojalna, ty przekłety tchórze.

– Wynoś się stąd! – Mój głos brzmi obco, jest niski i pełen gniewu. McBride strząsa z barku dłoń Seana, ale po chwili pozwala, by Mike i Turlough wyprowadzili go na korytarz.

– Pilnujcie, żeby się nie zbliżał – wołam za nimi, wciąż rozedrgany falą adrenaliny.

Sean zostaje, żeby mi pomóc z Jubilee. Teraz, gdy McBride już o niej wie, nie możemy jej tu zostawić. Mój kuzyn nawet *trodair*e nie skazałby na taki los.

Kiedy rozwiązuję jej ręce, jest ledwo przytomna i mamrocze coś niewyraźnie – może znowu po chińsku, nie wiem. Bliżej przystani znajduje się

magazyn, który od dłuższego czasu służy jako cela na wypadek, gdyby ktoś okazał się zbyt porywczy i potrzebował ochłonąć. Wprawdzie pomieszczenie jest trochę za bardzo na widoku, ale teraz żałuję, że nie zamknąłem jej tam od razu. Mógłbym bowiem wówczas rozwiązać jej ręce, bo niezależnie od tego, kim jest ani co zrobiła, nie zasłużyła na to, by zostawiać ją samą, skrupowaną i niezdolną bronić się przed człowiekiem na wpół oszalałym z rozpacz i gniewu.

Teraz przenoszę ją tam z pomocą Seana, nie zwracając uwagi na oglądających się za nami ludzi. Wszyscy już wiedzą, kim jest pojmana – nie ma sensu dłużej jej ukrywać. W kącie celi leży wysłużony materac. Kładziemy ją na nim, po czym Sean obrzuca mnie długim spojrzeniem i znika bez słowa. Wiem, że dopilnuje, by McBride trzymał się od niej z daleka.

Okrywam nieruchome ciało kocem i kucam obok, żeby przyjrzeć jej się z bliska. Cela skąpana jest w lekkiej, tajemniczej fosforyzującej poświacie – bagienne świetliki lubią się zbijać w kępi w tych wilgotnych jaskiniach. Mimo słabego oświetlenia dostrzegam, że twarz dziewczyny jest poszarzała, a potargane ciemne włosy zupełnie nie pasują do wizerunku idealnej żołnierki. Mam ochotę je wygładzić. Zamiast tego delikatnie przesuwam palcami po jej boku. Ma połamane żebra – utwierdza mnie w tym cichy jęk, który wyrywa jej się z ust, kiedy jej dotykam. Oddycha równo i nie kaszle krwią, uznaję więc, że płuca ma w porządku. Jednak pod wpływem bicia otworzyła się rana po postrzale, którą będę musiał opatrzyć, gdy tylko się upewnię, że nikt inny nie wpadnie na wspaniały pomysł wyładowania na dziewczynie swojego gniewu.

Kiedy podnoszę wzrok, zauważam, że przygląda mi się poważnymi brązowymi oczami.

Myliłem się, mam ochotę powiedzieć, ale nie jestem w stanie poruszyć ustami. Przypatruję się jej posiniaczonej twarzy, rozchyłonym wargom i ściągniętym brwiom. Od tej chwili nie będzie się już dla niej liczyło nic poza tym, że została związana i brutalnie pobita. McBride jednym ciosem zdołał zniweczyć wszelkie szanse przekonania jej i reszty, żeby nas wysłuchali.

W milczeniu dźwigam się z ziemi i z ciężkim jak ołów sercem kładę manierkę obok materaca. Muszę stąd wyjść i spróbować naprawić, ile się da. Wiem, co robi McBride, jeśli go nie powstrzymam. Światło osnuwające pomieszczenie jest bardzo słabe, ale Jubilee nie będzie przynajmniej leżała w ciemności. Wychodzę i zamykam drzwi na klucz, po czym upewniam się, że zamek działa jak należy.

W głównej grocie trwa awantura. Sean i McBride stoją nos w nos, a wokół tłoczy się kilkadziesiąt osób. – Co będzie, jeśli zgodzą się na wymianę, a ona będzie już martwa? – złości się Sean, zaczerwieniony, na nowo gotowy do bójki. – Co wtedy, geniuszu?

McBride nie jest głupi. Przecież o to mu właśnie chodzi. Kiedy tak stoję

w prog, dopada mnie bolesna tęsknota za siostrą. Orla wiedziałaby, co teraz powiedzieć. Niestety nie ma jej tu i obowiązek zabrania głosu spada na mnie.

– Nie możemy jej zabić – odzywam się, zaciskając pięści. – Są wśród nas ludzie, którzy mają w mieście rodziny. Ostatnie, czego nam trzeba, to żeby sytuacja się pogorszyła, żeby *trodairí* zaczęli wykorzystywać naszych bliskich przeciwko nam. Nie chcemy zrywać rozejmu.

McBride zdążył odzyskać jako takie panowanie nad sobą, ale gdy na mnie spogląda, w jego oczach widać pragnienie mordu. O ile wcześniej gardził moim brakiem podobieństwa do siostry, teraz już całkiem jawnie nienawidzi mnie za to, że stanąłem między nim a żołnierką.

– Po co nam rozejm? I tak tu umieramy – mówiąc to, odwraca się od Seana i robi kilka kroków naprzód, przez rozstępujący się pierścień słuchaczy. – Niby w jaki sposób nasza sytuacja polepszyła się przez ostatnie dziesięć lat? Już dawno trzeba było po prostu działać.

– Ona nie jest zwykłym jeńcem – oznajmiam, pilnując się, by nie podnosić głosu. – To kapitan Lee Chase. Póki nie wiadomo, co za nią dostaniemy, pozostaje nam czekać.

– Gówno dostaniemy.

W głosie McBride'a słyszę lodowatą pewność i widzę wiele osób kiwających głowami na potwierdzenie jego słów.

– Będą woleli patrzeć na jej śmierć, niż spełnić nasze żądania.

– Nie wiadomo. Nigdy wcześniej nie mieliśmy u siebie żywego oficera. Nigdy tego nie próbowaliśmy – ciągnę i wychodzę naprzód. Teraz to przede mną rozstępuje się tłum, pozwalając, bym zbliżył się do oponenta. – A może zgodzą się przekazać nam leki albo wymienić jeńców? Jeżeli teraz ją zabijemy, stracimy tę szansę.

– Zawsze byłeś marzycielem. Oni nie są twoimi przyjaciółmi, Cormac, i nigdy nimi nie będą. *Trodairí* to zbiry na usługach TerraDynu, a TerraDyn ukrywa cierpienie Avonu, tę swoją wielką porażkę, przed oczami reszty galaktyki. Nikt nam nie przyjdzie na pomoc. Musimy sobie radzić sami.

– I poradzimy sobie, wystarczy, że... – zaczynam, ale głos więźnie mi w gardle.

Zza pleców McBride'a wyłania się Martha – wiem, że przyszła z kabiny łącznościowej. Pozostali, jedno po drugim, podążają za moim spojrzeniem, a ona czeka, aż zapadnie cisza. Patrzy na mnie przepraszająco, ale nic nie poradzi na treść wiadomości, którą właśnie zamierza nam przekazać.

– No i? – rzuca szorstko McBride. – Co powiedzieli?

Żołądek mi się ściska z nerwów, a ból i zmęczenie po całym dniu przygniatają mnie tak potężną falą, że ledwie słyszę odpowiedź:

– „Nie negocjujemy z rebeliantami”.

Ma zaciśnięte, spuchnięte oko, a połamane żebra unoszą się i opadają pod wpływem bolesnego, płytkiego oddechu. Kiedy wchodzę, jest przytomna, ale się nie odzywa. Zamykam drzwi i podchodzę do umywalki. Koszulka Jubilee nasiąka krwią.

Serce wali mi mocno. Patrzymy na siebie w milczeniu. Pokrywające sufit bagienne światliki obmywają skórę dziewczyny błękitnozielonym mżeniem. Jej ciemne oczy spoglądają nieufnie, ale bez strachu. Zaczynam podejrzewać, że nigdy się nie boi.

– Zamknę te drzwi – przerywam milczenie chrapliwym głosem. – Mam klucz i będę go cały czas trzymał przy sobie. To się nie powtórzy.

Jubilee przesuwa się, próbuje się wyprostować, oprzeć plecami o ścianę, ale nie odpowiada. Nawet jeśli jej ulżyło, nie ma zamiaru tego okazywać. Omija mnie wzrokiem i spogląda na drzwi.

– Mówiłeś do niego McBride? – chrypi wreszcie.

Wzdrygam się.

– Owszem.

Wiem, dlaczego pyta. McBride od dziesięciu lat figuruje na szczycie listy najbardziej poszukiwanych przez TerraDyn przestępców. Byłby dla Jubilee równie cennym zakładnikiem jak ona dla nas.

– Miał wojskowy gleidel.

– Uważa, że jest w tym jakaś poezja.

Zabijanie żołnierzy z ich własnej broni, dopowiadam w myślach.

– To szalenie – cedzi Jubilee przez zaciśnięte zęby.

Bez jaj, mam ochotę odpowiedzieć. Milczę jednak i sięgam po nędznie zaopatrzoną apteczkę, którą ze sobą przyniosłem. Moja zakładniczka kuli się lekko, kiedy sięgam ku skrajowi jej koszulki, ale pozwala mi odchylić mokry, lepki materiał. Z rany po postrzale sączy się krew, wyżej dostrzegam formujące się wyraźne ciemne sińce. Żałuję, że nie mam ze sobą latarni, ale nie chcę, by ktokolwiek przyłapał mnie na zużywaniu cennych środków opatrunkowych, by pomóc *trodair*. Bezpieczniej będzie pracować w przytłumionym zielonkawym blasku światlików. Oczyszczam ranę wyjałowioną szmatką i sięgam do apteczki po mały blaszany pojemniczek.

– Co to? – pyta zaniepokojona Jubilee, kiedy podważam wieczko i wącham brunatną, kleistą substancję.

– Mikrobiotyczny torf z siewników TerraDynu.

Usiłując się skoncentrować na ranie, a nie na jej nagim brzuchu, przesuвам palcami po jej skórze, aby sprawdzić, czy nie wdziera się infekcja.

– Torf – powtarza.

W jej słabym głosie dzwięczy zwątpienie. Patrzy na mnie jak na wariata, którym zresztą prawdopodobnie jestem. Ma zaczerwienioną twarz, na pewno ze

złości, może także z bólu.

Nabieram palcem trochę prowizorycznego antyseptyku.

– Torf – potwierdzam. – Dobry na zakażenie.

Ostrożnie rozsmarowuję brunatną maź na powierzchni rany. Jubilee marszczy brwi i syczy z bólu. Jej skóra drga pod moim dotykiem, a kiedy zerkam na jej twarz, widzę, że wbija wzrok w sufit, przygryzając dolną wargę.

– To światło... – mówi w końcu. Choć w jej głosie wciąż pobrzmiewa napięcie, jest teraz spokojniejsza. – Skąd się bierze?

Z jej twarzy można wyczytać niewiele poza podejrzliwością wobec moich zabiegów, jednak wzrok jej łagodnieje i lśni w nim coś w rodzaju podziwu. W tej chwili mogłaby być jedną z nas. Chyba nigdy wcześniej nie słyszałem, by któryś z przybyszów zachwycał się czymś na Avonie.

– To coś w rodzaju grzyba albo pleśni – wyjaśniam, usiłując się skupić na tym, co robię.

Trudno mi się nie przypatrywać jej twarzy.

– Nazywamy je świetlikami.

Jubilee zapada w długie milczenie.

– Trochę przypominają mgławice – mruczy pod nosem.

Znow zerkam na nią ukradkiem. Choć oczy ma lekko zamglone, wciąż wpatruje się w górę.

– Mgławica to coś na niebie, prawda? – odpowiadam równie cicho i spokojnie.

Rozmowa odciąga uwagę Jubilee od moich zabiegów, a ja chcę jak najszybciej skończyć. Albo – i trudno mi się do tego przyznać nawet przed samym sobą – może chodzi o to, że ta cicha, łagodna Jubilee w jakiś sposób mnie fascynuje.

– Zastanawiałem się kiedyś, czy tak właśnie wyglądają gwiazdy.

Jubilee trzepocze powiekami, z pewnym trudem usiłując skupić na mnie wzrok.

– Nigdy nie byłeś w kosmosie – mówi.

To bardziej stwierdzenie niż pytanie, ale słysząc, że jest zaskoczona.

– Niby jak miałbym się tam znaleźć? – odpowiadam, a w moje słowa wkrada się mimowolna gorycz. – Zresztą tu jest mój dom. Chmury czy nie chmury.

Jestem gotowy na cierpką ripostę, ta jednak nie nadchodzi. Wycieram palce, nie patrząc na moją rozmówczynię, zaciskam wieczko i odkładam puszkę do apteczki, po czym sięgam po plastry.

– Zawsze uważałam, że mgławice są piękne – odzywa się Jubilee po dłuższej chwili, wciąż szeptem.

Jest wyraźnie zmęczona. Wcale się jej nie dziwię. Widok takiej rany mnie samego niemal przyprawia o ból.

– Umierająca gwiazda wybucha. Zostaje po niej jedynie mgławica – kontynuuję, wciąż wpatrując się w zielononiebieskie spirale na suficie. – W pewnym momencie z resztek martwej gwiazdy rodzi się nowa.

– Ciężarna gwiazda. – Wyglądam plaster i krzywię się, gdy Jubilee podskakuje. – Podoba mi się to.

Niecodzienny charakter tej rozmowy wydaje się ją zaskakiwać tak samo jak mnie. Jubilee wygina szyję i spogląda na swój oklejony opatrunkiem bok.

– Słuchaj, dlaczego właściwie to robisz?

– Dlatego, że nie wszyscy jesteśmy jak McBride – wyjaśniam, siląc się na spokój. – Są wśród nas tacy, którzy rozumieją, że choć strzelanie do ludzi jest łatwiejsze niż dialog, to nie znaczy, że można je usprawiedliwić.

– A mimo to gracie z nim w jednej drużynie.

– Myślisz, że nie wiem, że bez McBride'a byłoby nam lepiej?

Jest tak, jakbym tamując jej krew, tamował jednocześnie własną frustrację, która wzbiera teraz we mnie potężną falą.

– Gdyby to było takie proste, gdyby wystarczyło wziąć go którejs nocy na bagna i to wszystko zakończyć, pewnie już ktoś by to zrobił.

– Zatem co was powstrzymuje? – nie daje za wygraną Jubilee.

Wyraźnie czuje się lepiej, jej głos jest mocniejszy i bardziej donośny.

– Pokojowa walka zajmie wiele lat – odpowiadam, nagle wyczerpany, bo czuję, że resztki kontroli, jaką mam nad swoimi ludźmi, wyslizgują mi się z rąk. – McBride zdołał ich przekonać, że jeśli będą walczyć wystarczająco zajadle, zdołają zmienić Avon z dnia na dzień.

– To niemożliwe. Jest was za mało. Brakuje wam broni.

– Serio? Jakbym nie wiedział.

Odkładam resztę plastrów do apteczki i zatraskuję wieko. Kiedy się odwracam, dziewczyna wciąż mi się przygląda. Jej oczy błyszczą z bólu, ale patrzą już przytomniej, są pełne namysłu. Wzdycham.

– McBride czeka, aż wydarzy się coś, cokolwiek, co da mu pretekst, by rzucić się do walki.

– Zauważyłam – odpowiada Jubilee z przekąsem.

– Nie trzeba wiele, żeby jego ludzie zwrócili się przeciw żołnierzom, a wtedy szlag trafi zawieszenie broni. Wasze koszmarnie wizje podkładanych w szpitalach bomb staną się rzeczywistością.

Jubilee prostuje się z sykiem i spogląda mi prosto w oczy.

– To zabawne, że porwanie jest dla ciebie w porządku, ale bomba to już za wiele.

Wzbiera we mnie nieopanowana irytacja:

– Jeśli mnie zamkniecie, nikt nie powstrzyma McBride'a przed rozpętanem wojny. Słuchaj, naprawdę nie wszystko jest czarno-białe.

Nie odpowiada od razu. Wreszcie mówi cicho:

– Nic nigdy nie jest czarno-białe.

Nie spodziewałbym się takich słów z ust osoby w mundurze, zwłaszcza kogoś o jej reputacji. Odwracam wzrok od jej twarzy i spoglądam na sufit. Mżąca poświata tu i ówdzie rozświetla ciemność.

– Zrozum. Twoi ludzie odmówili negocjacji. Jeżeli nie przekonam pozostałych, że masz im coś do zaoferowania...

– Wiem – szepcze. – A ty dopiero teraz zacząłeś się nad tym zastanawiać?

Nie wytrzymuję.

– Co ty wyprawiasz? Nawet nie spróbujesz ocalić życia? Okej, chcesz zostać męczennicą, ale to naprawdę nie jest najlepszy sposób. McBride porzuci twoje ciało gdzieś na bagnach i nikt się o niczym nie dowie. Nie będą mieli pojęcia o twoim poświęceniu.

Unosi hardo podbródek, oczy ma jak z ołowiu. Zupełnie jakby nie rozumiała, że właśnie podpisuje na siebie wyrok śmierci.

– Słuchaj, masz jakąś rodzinę? – rzucam desperacko. – Chociażby dla nich powinnaś postarać się wyjść z tego cało.

– Wszystko, co robię, robię dla mojej rodziny – odpowiada ostro.

A więc trafiłem w jej czuły punkt. Przyciska rękę do boku i ciężko łyka powietrze – połamane żebra dają jej się we znaki. Wygląda na to, że nawet kapitan Lee Chase ma słabe strony.

Sam nie wiem, czego się po niej spodziewałem. Krążą legendy, że to kobieta ze stali. Zgłosiła się na ochotnika do służby na planecie, gdzie najsilniejsi mężczyźni tracą zmysły. Nie wie, co to tchórzostwo, i nigdy się nie poddaje. Niewzruszona Chase, nieludzka i bezwzględna.

Ale teraz leży tu, skulona na gołym materacu, ze spuchniętym okiem i krwawiącą wargą. Nie wygląda na morderczynię – raczej na kogoś, o kim nie wiadomo, czy przeżyje najbliższą noc. Wiem, że część z opowieści o niej jest prawdziwa. Z pewnością pani kapitan jest śmiertelnie niebezpieczna. Pewnie jest również twarda jak stal. Ale nieludzka?

– Jubilee, proszę cię...

Spogląda na mnie: napięta żuchwa, usta ściągnięte w wąską linię.

– Daj mi cokolwiek. To może być coś maleńkiego, całkiem nieważnego. Żebym mógł im to zanieść i pokazać, że jesteś po naszej stronie. Cokolwiek, co uratuje ci życie – dodaję.

Jubilee przełyka ślinę i kurczowo zaciska palce na ramionach. Wtedy właśnie dociera do mnie, że się myliłem. Nie chodzi o to, że ona nie rozumie, co się dzieje. Wie, że jeśli nie ustąpi, zginie. Wie – i wybiera śmierć. Nie spuszcza ze mnie nieruchomego spojrzenia. Dostrzegam lekkie drżenie ust. Nawet teraz, gdy cierpienie przytłumiło jej zabójczy wdzięk, mógłbym na nią patrzeć godzinami.

Nie miałem racji, kiedy uznałem, że nie czuje strachu.

Jest przerażona.

Unosi podbródek.

– Jak masz na imię?

Chrząkam i odpowiadam ochryple:

– Mówiłem, że nie mogę ci powie...

– Daj spokój, Romeo – przerywa mi łagodnie. Choć mówi o śmierci jak o czymś całkiem błahym, widzę strach w jej ciemnych oczach i zaciśniętych ustach.

Panująca w celi cisza mnie przytłacza. Ściany są na tyle grube, że nie wpadają tu odgłosy życia i mam wrażenie, że istnieje tylko ta maleńka grotka w skale. Tylko ta dziura, wytarty materac i dziewczyna, która spogląda w twarz śmierci. Wiem, czemu pyta mnie o imię. Ponieważ to, czy jej je zdradzę, czy nie, nie ma już znaczenia.

– Flynn – z mojego gardła dobywa się wątpy skrzek.

Opiera głowę o ścianę, kącik jej ust unosi się w ledwie dostrzegalnym uśmiešku.

Próbuję jeszcze raz, tym razem odrobinę mocniej:

– Mam na imię Flynn.

- *Siedź spokojnie, sama jesteś sobie winna.*
- *Mamo, czy w November są duchy?*
- *Skąd ten pomysł? Ojciec ci czegoś naopowiadał?*
- *Widziałam jednego. Tuż przed tym, jak wybuchła petarda.*
- *Nie ma czegoś takiego jak duchy, skarbie. Widziałaś błysk eksplozji, to wszystko.*
- *To po co chcą je odstraszyć petardami?*
- *Ponieważ... taka jest tradycja. Puszczanie fajerwerków pomaga nam zachować pamięć o przodkach.*
- *Gdybym była duchem, nie przestraszyłabym się petardy.*
- *Po co je w ogóle ruszałeś? Mogłaś sobie zrobić krzywdę.*
- *Bo chłopcy też ruszali. Jestem odważniejsza od nich.*
- *Ryzykanctwo to nie to samo co odwaga, skarbie. Odważny jest ten, kto chroni słabszych przed niebezpieczeństwem. Zawiodłam się na tobie.*

JUBILEE

Cela, do której mnie wtrącili, jest niewielka, jakieś dwa na trzy metry. Podłogę niemal w całości zajmuje sfatygowany, zapleśniały materac. Stalowe drzwi bez wątpienia skradziono z wojskowych przydziałów. Gdy wreszcie udaje mi się dźwignąć na nogi i nie zważając na ból, próbuję je popchnąć, nie ustępują.

Rozciągam się. Mięśnie brzucha mam mocno nadwerężone ze względu na połamane żebra i ranę po postrzale, ale ramiona, szyja i nogi wciąż działają całkiem sprawnie. Romeo może sobie myśleć, że dałam za wygraną, ale kiedy po mnie przyjdą, będę gotowa.

Nie pozwolę, by ludzie, wspominając Lee Chase, mówili, że podwinęła ogon pod siebie i zginęła bez walki.

Bagienne ognie obmywają jaskinię niesamowitym, miękkim blaskiem. Rozstrajającym, a zarazem pięknym. Kiedy odchylam głowę do tyłu, ten błękitnozielony, mżący firmament przyprawia mnie o dziwne zawroty głowy. Tak dawno nie widziałam gwiazd, że te wydają się jaśniejsze, prawdziwsze. Ale przynajmniej pamiętam gwiazdy. Przynajmniej widziałam niebo.

Odwracam wzrok. Powinam poszukać czegoś, co posłuży mi do obrony. Ten szaleniec McBride wymachiwał wojskowym gleidlem, bez wątpienia zrabowanym poległemu żołnierzowi. Gdybym nie miała związanych rąk, mogłabym mu go wyrwać. Jednym strzałem wymierzyłabym zbrodniarzowi sprawiedliwość za wszystkie morderstwa, które popełnił od czasu ostatniej rebelii. Jednak ponieważ jeszcze mnie nie nakarmiono, nie mam do dyspozycji nawet łyżki. Opadam na posłanie, zbyt wyczerpana, by myśleć, i wtedy przychodzi mi do głowy zbawienny pomysł: materace miewają metalowe sprężyny.

Przez chwilę zbieram siły. Następnie, tłumiąc własnym ciałem odgłos wyszarpywanej tkaniny, rozdzieram róg materaca położony najdalej od drzwi. Choć szybko zaczynają boleć mnie ręce, a mięśnie chwytają skurcze, uparcie wyginam ostrą sprężynę to w przód, to w tył, z nadzieją, że prędzej czy później pęknie.

Właśnie rozprostowuję palce, kiedy dochodzi mnie dźwięk kroków. Wślizguję się na materac i opieram plecami o ścianę. Splatam ręce za głową. Skóra na żebrach reaguje wściekłym pieczeniem.

Nie ma tu nic do oglądania, dranie.

– Chyba nie spróbujesz zabić mnie przez kratę? – mówi znajomy głos.

Romeo. Choć wciąż tak mnie irytuje, że mam ochotę mu przywalić, to jednak wolę jego towarzystwo niż samotność.

– Niczego nie obiecuję – odpowiadam.

Przez okratowany otwór w drzwiach przenika światło latarni, a potem ukazują się w nim jego oczy. Wyglądają naprawdę znajomo, zwłaszcza teraz, gdy reszta twarzy jest zakryta. Gdzieś już je widziałam.

– Żyjesz?

– W miarę.

Ostrożnie opuszczam ramiona. Za bardzo boli mnie tułów. Nie chcę jednak dać po sobie poznać, jak mocno pokieroszował mnie McBride.

– Wiesz, że możesz wejść?

– Żebyś mi dała w łeb i zwędziła klucze?

Ciekawe, czy ja też działałam mu tak na nerwy. Być może łatwiej okazać miłosierdzie dziewczynie, która jest już w zasadzie martwa. Nagle czuję, że nie mam siły wymyślać kolejnej riposty.

– Wyobraź sobie, że ostatniej rozmowy w życiu nie chcę odbyć przez kratę.

Rozbawienie w jego oczach gaśnie. Używa humoru tak jak ja. W samoobronie. Kiedy podnoszę przyłbicę, on robi to samo. Gdybym wcześniej na to wpadła, być może udałoby mi się wyciągnąć z niego więcej informacji, które moglibyśmy w przyszłości wykorzystać.

W jakiej przyszłości?

Romeo wciąż się waha, choć słyszę, że robi krok w stronę drzwi.

– W porządku. Zresztą przyniosłem ci zupę, a przez kratę trudno się je. Tylko się nie ruszaj, zgoda?

Właściwie to całkiem zabawne: wciąż się mnie boi.

– Nigdzie się nie wybieram.

Rozlega się szcęk zamka i drzwi otwierają się ze zgrzytem. Romeo staje niepewnie w progu, z miską w jednej ręce i latarnią w drugiej.

Choć wreszcie się przedstawił, wciąż nie potrafię o nim myśleć jako o Flynnie. Wydaje mi się to dziwne, zbyt intymne. Nie mam zamiaru stać się jedną z tych ofiar, które przywiązują się do swoich porywaczy. Oto mój morderca. Niezależnie od tego, czy będzie osobą, która wymierzy mi ostateczny cios, to on mnie tu przywłókł i sprawił, że ta historia może się skończyć tylko w jeden sposób. Nie wolno mi o tym zapomnieć.

– A więc, Romeo – zaczynam, odchylam głowę do tyłu i czekam, aż zrobi krok w głąb celi. – Ciekawa jestem, dlaczego wciąż mnie odwiedzasz. Nie możesz się napatrzeć?

– Skądże znowu – odpowiada całkiem swobodnie i stawia miskę na podłodze obok drzwi.

Serce ściska mi się na myśl, że zrobił swoje i zaraz się wycofa. Ale, ku mojej uldze, prostuje się i opiera plecami o ścianę.

– Po prostu wychodzi na to, że jestem za ciebie odpowiedzialny.

– W sensie, że kiedy przyjdzie czas, to na ciebie spadnie obowiązek, żeby

strzelić mi w łeb?

Sztywnieje, nagle poważny. Wyraźnie nie lubi, gdy wspominam o przemocy – dziwna cecha u rebelianta.

– Naprawdę jesteś walnięta – mruczy pod nosem.

– Wybacz, ale to ty mnie ogłuszyłeś i wywlokłeś na bagna. Nie wiem, kto tu jest walnięty.

– A ja nie wiem, po co tak się staram. – Odkleja się od ściany i zaczyna chodzić tam i z powrotem wzdłuż celi.

Zerkam w głąb korytarza. Wystarczyłoby kilka sekund, żeby go znokautować i wybiec. Kilka sekund palącego bólu w żebrach i w boku, zawrotów głowy i kotłującego się żołądka. Kilka sekund i będę wolna. Dalej, rusz się. Zrób to.

Niestety, są granice tego, ile jedno ciało jest w stanie znieść i ile można od niego wymagać. Może zdołałabym tego dokonać, gdyby wciąż płonął we mnie świeży gniew. Ale jestem zmęczona. Okropnie zmęczona i przecież nikt się nie dowie, jeśli pozwolę sobie odpocząć, choć przez chwilę.

– Słuchaj – mówi Romeo i zatrzymuje się w połowie drogi między mną a drzwiami. – Cały czas z nimi rozmawiam. Próbuję ich przekonać, że zabicie cię nie jest warte zemsty wojskowych. Niektórzy mnie słuchają, a przynajmniej zaczęli się wahać.

– Jasne – pryham. – Sam jeden przekonasz cały oddział rebeliantów, żeby nie zabijali wroga numer jeden?

– Owszem – odpowiada po prostu, przez cały czas na mnie patrząc.

To mnie zbija z tropu. Zniknęły dezynwoltura, kpiący półuśmieszek, arogancko wysunięty podbródek. Została determinacja. Trzeźwy ogląd rzeczywistości. I siła, zaskakująca u kogoś tak urodziwego.

Wtedy to do mnie dociera.

– Flynn – powtarzam. – Flynn... Cormac? Brat Orli Cormac?

Orla Cormac, przywódczyni *fianna* podczas ostatniego powstania na Avonie, dawno temu. Orla Cormac, kobieta odpowiedzialna za zorganizowanie bazy, która stała się kryjówką miejskich chuliganów. Orla Cormac stracona dekadę temu przez personel wojskowy działający na zlecenie Rady Galaktyki.

Zostawiła po sobie jedynego krewnego, młodszego o dziesięć lat braciszka. Chłopca imieniem Flynn, który uciekł na bagna, aby uniknąć wywiezienia do sierocińca na innej planecie.

Twarz Orli Cormac rozpoznałabym wszędzie – uczyliśmy się o niej na szkoleniach. I o tym, jak sprawić, by ktoś taki nigdy więcej się nie pojawił. Nic dziwnego, że Romeo wyglądał znajomo.

Teraz milczy, obserwując, jak układam sobie w głowie kolejne fakty.

– Miło cię poznać, Jubilee Chase – mamrocze pod nosem.

Zdawało mi się, że zostałam porwana przez idiotę o czarującym uśmiechu. Okazało się, że wpadłam w ręce jedyne go żyjącego krewnego najświetniejszej męczennicy Avonu.

Świerzbi mnie ręka i nagle dotkliwie odczuwam brak pistoletu przy biodrze. Wystarczyłby jeden strzał... Jeden strzał, żeby położyć kres błędnemu kołu zemsty.

Tylko że – o ile nie kłamie i to właśnie on jest jedynym człowiekiem, który powstrzymuje McBride'a przed poprowadzeniem rebeliantów na wojnę – zabicie go niczego by nie załatwiło.

– Próbuję z nimi rozmawiać – mówi Cormac, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Ale musisz mi dać trochę czasu.

– Mam uwierzyć, że ty, brat kobiety, której wymierziliś karę śmierci, chcesz, żebym wyszła z tego żywa?

– Nie ty ją zabiłaś – odpowiada cicho. – Nie twierdzę, że kiedykolwiek zostaniemy przyjaciółmi, ale nawet gdybyś to ty podpisała wyrok, uważam, że sprawiedliwość należy wymierzać w inny sposób. Przemoc nie sprawdziła się dziesięć lat temu i nie sprawdza się dzisiaj. Wierzę, że trzeba znaleźć lepsze rozwiązanie.

Przełykam ślinę i zaciskam zęby. Gdzieś w środku zaczyna kiełkować ból, szarpiąc nerwy, które trzymają go na wodzy. Gdybym stanęła oko w oko z członkiem grupy odpowiedzialnej za to, co przydarzyło się moim rodzicom, nie sądzę, bym zawahała się przed zmieceniem ich z powierzchni jakiegokolwiek żalostnej planety, na której znaleźli schronienie. Właściwie jestem pewna, że nie zdrząłaby mi ręka.

– Co teraz? – pytam w końcu głosem ciekim jak papier.

– Czekamy. A ty przestań kombinować, jak się stąd wydostać, bo jeśli zaczniesz się stawiać, nigdy ich nie przekonam.

– Co? Jak niby miałabym...

– No, błagam – Cormac kiwa podbródkiem w stronę rozdartego rogu materaca. – Ostatnie, czego potrzebuję na liście swoich chwalebnych obrażeń, to rana zadana sprężyną. Różowa wykałaczką w zupełności wystarczy.

Niech to szlag.

– W porządku – cedzę przez zęby.

Przygląda mi się dłuższą chwilę.

– W porządku – powtarza.

Czekam, aż się oddali. Kiedy odgłos kroków cichnie i korytarz pograża się w ciemności, zsuwam się z materaca i znów chwytam za sprężynę.

Drzwi otwierają się z hukiem, a ja podskakuję, zdezorientowana. Spowodowana gwałtownym ruchem szpila bólu w okolicy żeber sprawia, że wyrывa mi się głośne stęknienie – jestem zbyt otumaniona, by je powstrzymać.

Kiedy zasnąłam?

Cholera. Co teraz...

– Wstawaj, mamy mało czasu. Możesz chodzić?

– Romeo, co się...

– Natychmiast!

Jest wyraźnie pobudzony, a w jego głosie nie ma śladu zwykłej leniwej arogancji.

– Daj rękę i idziemy.

Thumiąc mimowolny jęk, pozwalam, żeby postawił mnie na nogi. Dopiero kiedy zaczyna ciągnąć mnie do drzwi, spływa na mnie olśnienie.

Zabiera mnie na egzekucję.

Sztywnieję. Mądrzej byłoby udawać potulną, niech myśli, że zostałam złamana, wezmę go z zaskoczenia. Ale wciąż jestem półprzytomna i ciało poddaje się instynktowi. Wyrrywam się i prawie wykręcam mu rękę.

– Przystaniesz wreszcie?

Odskakuje w ostatniej chwili. Ma ze sobą latarnię, ale osłoniętą, i tylko cienkie skrawki światła przecinają błękitnozieloną poświatę.

– Głupia, próbuję cię stąd wydostać.

Mój mózg reaguje ospale, jakby pływał w kałuży smoły.

– Wydostać – powtarzam bezmyślnie. – Twój ludzie zmienili zdanie?

– Niezupełnie.

Trzeba mu oddać, że nie próbuje po raz drugi użyć siły i trzyma bezpieczny dystans.

Wpatruję się w niego całkowicie zbита z tropu. Przecież widziałam jego kryjówkę. Fakt, przez kratę celi niewiele da się zauważyć, ale zobaczę o wiele więcej, kiedy będzie mnie stąd wyprowadzał.

Otwieram usta ze zdumienia.

– Co z tobą zrobią, kiedy się dowiedzą, że mi pomogłeś?

– Mam nadzieję, że uda nam się upozorować ucieczkę. Tak czy inaczej, nie zamierzam się martwić na zapas. Idziesz?

Te słowa wykrzesują ze mnie iskierkę podziwu. Trzeba sporo odwagi, by sprzeciwić się własnym ziomkom. Oczywiście u nas natychmiast stanąłby przed sądem polowym oskarżony o niesubordynację.

– Nienormalny jesteś – zauważam, usiłując powstrzymać dygotanie z zimna.

– W takim razie trafił swój na swego – odcina się, strząsa z ramion kurtkę i wyciąga ją w moją stronę. – Idziesz w końcu?

Tym razem się nie waham. Odwracam się, pozwalam, żeby mnie okrył, i razem wymykamy się na korytarz.

– Dokąd mnie zabierasz?

– Hm, myślałem o kolacji i przyjemnym rejsie łódką. Popatrzylibyśmy na

światliki w jakimś spokojnym, romantycznym miejscu, potem może mały drink i odstawiłbym cię do domu.

Zdrada towarzyszy sporo go kosztuje. Widzę to, choć stara się nadrabiać miną. Przez głowę przemyka mi tysiąc miażdżących ripost, ale nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Ruszamy korytarzem w milczeniu.

Po jakimś czasie Cormac przystaje i ostrzegawczym gestem dłoni nakazuje mi zrobić to samo. Następnie rusza przed siebie pewnym krokiem i na moment znika za zakrętem. Najwyraźniej dotarliśmy do miejsca, gdzie jest większy ruch, i jeśli będzie się skradał jak złodziej, zwróci czyjaś uwagę. Po chwili kiwa na mnie ręką. Droga wolna.

Zaledwie kilka sekund później dochodzi nas dźwięk zbliżających się kroków i Cormac gwałtownie popycha mnie w stronę zagłębienia w ścianie. Wąska nisza, niewiele więcej niż pęknięcie w skale, ledwo mieści nas oboje, ale udaje nam się ukryć w cieniu. Kiedy chłopak lekko obraca głowę, jego zarost jak papier ścierny drapie mnie w policzek. Usiłuję się skupić na czymś znanym, wracają wspomnienia wojskowych szkoleń. Z łatwością mogłabym go obezwładnić. Wykorzystać jako zakładnika. Nie będą strzelać do swojego. Nie mam broni, ale gdybym musiała, prawdopodobnie byłabym w stanie złamać mu kark, wystarczy, że przybiorę odpowiednią pozycję.

Zaciska palce na moim nadgarstku. Mogłabym...

Kroki są coraz bliżej. Kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Ktoś mija naszą kryjówkę – nie zatrzymuje się. Odgłosy cichną, aż w końcu nikną zupełnie.

Cormac pierwszy wysuwa się z wnęki, po czym ciągnie mnie za sobą.

– Tu mieszkają rodziny z dziećmi – szepcze. – Właśnie przeszła tędy czyjaś matka. Pomyśl o tym, zanim przyprowadzisz tu swoich ludzi, okej?

Wyrywam ramię, a on zaciska zęby. W innym życiu pewnie nauczyłabym się czerpać radość z wkurzania tego faceta. W tym jednak nie mogę sobie pozwolić na taki luksus. Zamiast tego gestem pokazuję mu, by prowadził – nie mam zamiaru iść przodem. Gdyby był sprytny, nie odwróciłby się do mnie plecami. Ale on albo mi ufa, albo jest zwyczajnie głupi. Prawdopodobnie jedno i drugie. Musi być głupi, skoro mi ufa.

Próbuję zapamiętać drogę, ale oszukańcze, chwiejne światło i ciągle zakręty to w jedną, to w drugą stronę skutecznie mi to uniemożliwiają. Nie mam czasu się zastanawiać, co będzie oznaczało dla Romea, jeśli podzielę się z żołnierzami tym, co jednak udało mi się zanotować w pamięci.

Jeśli? Jeśli się podzielę? Do diabła, muszę się stąd wydostać. Natychmiast.

Po przebrnięciu przez nieskończenie długi łańcuch korytarzy i grubo ciosanych schodów, nagle wyczuwam zmianę powietrza. W nieco zwietrzałą wilgoć wdiera się świeży podmuch. Zbliżamy się do wyjścia.

To miejsce jest olbrzymie, znacznie pojemniejsze, niż się spodziewałam. Nie

rozumiem, jakim cudem nie udało nam się go dotąd znaleźć. Jasne, czujniki na podczerwień nie wykrywają podziemnych tunelów, ale tak rozległe skupisko ładu musi się rzucać w oczy. Najwidoczniej jest jakoś zakamuflowane.

Cormac zagląda w kolejny korytarz, po czym prowadzi mnie do ogromnej przystani. Do nabrzeża w kształcie litery T przycumowana jest miniflota dwuosobowych łódek, w jakich gustują tubylcy, a chlupot fal oblewających umocnienia z blachy przypomina mi, jak bardzo jestem odwodniona. Z otworu na końcu jaskini wyziera atramentowa ciemność zachmurzonego nocnego nieba nad Avonem.

Jeszcze raz sprawdziwszy, czy nikt nie depta nam po piętach, Cormac rusza w stronę łodzi. Ich numery odpowiadają numerom na kei. Łatwo się zorientować, gdy któreś zabraknie. Nigdy o własnych siłach nie odnalazłabym tego miejsca, nawet zakładając, że zdołałabym się wydostać z celi. Gdyby po mnie nie przyszedł... Zaraz, i co z tego? Przecież to on mnie w to wszystko wpakował. Ruszaj. Po prostu ruszaj!

Nagle zdaję sobie sprawę, że się na niego gapię.

– Naprawdę chcesz mnie puścić? Czy to jakaś sztuczka?

– Żadna sztuczka – odpowiada, spoglądając na łodzi, a w jego głos wkrada się jakaś nowa, mroczna nuta. Lekko się zgarbił, jakby pod ciężarem podjętej decyzji. – Zabieram cię z powrotem do bazy.

– A co zrobisz, kiedy twoi ludzie odkryją nasze zniknięcie? Domyślą się, że mi pomagasz.

– Dam sobie radę – zapewnia i kuca obok lin cumowniczych, a po chwili spogląda na mnie z namysłem, niemal zaniepokojony. – Czemu cię to obchodzi?

Prawdopodobnie wkrótce zginie z rąk swoich ziomków i choć to on wpakował mnie w tę kabałę, trudno nie docenić tego, jak wiele ryzykuje, by pomóc mi się z niej wydostać. Nie mogę pozwolić, żeby popełnił tak piramidalne głupstwo. Pierwszy raz od dawna się uśmiecham, a z tyłu głowy kołacze mi myśl, że kiedy patrzę na jego twarz, uśmiech przychodzi mi bez większego trudu.

– Powodzenia, Cormac.

Widzę, jak w jego oczach kiełkuje zrozumienie. Na szczęście nie dorównuje mi refleksem. Trafiam go kolanem w brodę – niezbyt mocno, ale wystarczająco, by stracił równowagę. Teraz mam czas, by dolną częścią dłoni wymierzyć bardziej precyzyjny cios, który powala go na ziemię.

Dopiero po chwili dociera do mnie pieczenie w żebrach i boku, cena za tak szybki i gwałtowny ruch. Krzywiąc się, kucam i sprawdzam puls ofiary. Jest mocny i miarowy. Podnoszę się, tłumiąc w sobie ulgę. Z łatwością mogłabym wepchnąć Romea do którejś z oczekujących łodzi, przewieźć do bazy i zmusić, żeby odpowiedział za zbrodnie popełnione przez *fianna*. Brat Orli Cormac stanowiłby solidną kartę przetargową. Być może na tyle silną, by zakończyć tę

wojnę.

Przeklinam pod nosem własną słabość. Odciągam go od krawędzi nabrzeża, żeby nie sturlał się do wody. Omiotam wzrokiem trzy przycumowane do najbliższego pachołka łodzie i wybieram tę, w której zostało najwięcej paliwa. Nie mam pojęcia, gdzie się znajduję, pozostaje mi więc wybrać dowolny kierunek, odpłynąć tak daleko, jak to tylko możliwe, i błagać opatrność o spotkanie z wojskowym patrolem.

Nie potrafię się powstrzymać i po raz ostatni zerkam na leżącego na ziemi Cormaca. Zdejmuję kurtkę, którą mnie okrył, i kładę obok niego. Na bagnie będę tęskniła za jej ciepłem, ale gdybym znów wpadła w łapy rebeliantów, kurtka natychmiast zdradziłaby, że mi pomógł. Jedną rękę ma wyciągniętą, a podwinięty rękaw odsłania tatuaż z genotagiem. Zeskanowany, spiralny kod pasowałby do tego, którym w naszej bazie danych oznaczona jest jego siostra. Teraz jestem już jednak całkiem przekonana, że nie są tacy sami. Orla załatwiłaby mnie jeszcze w uliczce za barem Molly'ego.

Głosy w głębi korytarza wyrrywają mnie z zadumy. Chwytam się burt sąsiednich łodzi i odpycham w stronę wylotu jaskini.

Wybacz, Romeo. Kiedy się ockniesz, docenisz fakt, że nadal jesteś wśród swoich.

Uruchamiam silnik, obracam łódź i wypływam na mokradła.

Cormac mi pomógł. Honor wymaga, by nie oddawać go w ręce żołnierzy. Ocalił mi życie, a teraz ja robię to samo dla niego – wyjątkowo, ten jeden raz. Bo jeśli w całym tym koszmarnym jazgocie warto usłyszeć czyjś głos, to powinien to być głos człowieka, którego pierwszym odruchem nie jest przemoc i żądza krwi. Jego miejsce jest tutaj. Nie zasłużył na wykluczenie ze swojej społeczności tylko dlatego, że mi pomógł. Powtarzam sobie w duchu, że wykonałam najbardziej logiczne posunięcie.

Trudno mi jednak przekonać samą siebie, że logika miała z tym cokolwiek wspólnego.

– Wyłącz to – mówi ojciec dziewczynki i gwałtownie wciska guzik holowidu. W jego ciemnych oczach widać wzburzenie, ma napiętą twarz. – Żebyś cię więcej nie przyłapał, rozumiano?

– Ale tato, wszyscy to oglądają. Razem z rodzicami. Przecież to tylko kreskówka. Mamie by się podobała, tu są różne chińskie opowieści.

– My nie jesteśmy wszyscy – ojciec ostro ucina dyskusję.

Mała patrzy na niego z przestraszeniem. Mężczyzna wzdycha.

– Wiem, że jeszcze tego nie rozumiesz, żabko, po prostu rób, co mówię, w porządku?

Dziewczynka czeka, nadstawiając uszu, aż dobiega ją dźwięk dzwonka uruchomionego przez zamknięte drzwi. Dopiero wtedy, z trzepoczącym sercem, podpełza do odbiornika i naciska włącznik. Ale kiedy obraz rozbłyśka na nowo, nie ma jej już w sklepie rodziców. Znajduje się w wojskowej bazie na Avonie, zmuszona do oglądania materiałów z przesłuchań. Młoda przywódczyni rebeliantów ma długi czarny warkocz przerzucony przez ramię, nosi się z dumą i bez cienia skruchy. Ostatniego dnia przed egzekucją pozwolono jej przyjąć gościa: małego chłopca o zielonych oczach i ciemnej, zmierzwionej czuprynie.

Mały wczepia się w kobietę i przez całe dziesięć minut, które im dano, nie puszcza jej ani na chwilę. Ona szepcze mu do ucha coś, czego nie wylapują mikrofony.

– Wyłączcie to! – krzyczy dziewczyna, ale poza nią w pomieszczeniu nie ma nikogo, a holowid stoi daleko, poza jej zasięgiem.

Obraz nie gaśnie.

FLYNN

Ból rozsadza mi głowę. Każdy krzyk odbija się echem między skrońmi, każdy promień światła przecina pole widzenia niczym ostrze. Siedzę oparty o kamienną ścianę, przeklinając rozbitą głowę, i czekam, aż świat przestanie wirować.

Walczę z napadami mdłości, kiedy obok mnie przebiega dwóch Seanów o idealnie zsynchronizowanych ruchach i rozmytych sylwetkach. Będzie musiał przypilnować całej chmary dzieci, kiedy ich rodzice wyjdą na poszukiwania. Straciłem Jubilee, a wraz z nią ostatnią szansę, by zapanować dziś nad moimi ludźmi.

Głupia *trodair* – nie musiało tak być. Gdyby tylko poczekała, pozwoliła, żebym popłynął z nią, może zdołałbym opracować jakiś... Cholera wie, co bym zrobił, ale przynajmniej miałbym czas pomyśleć. A teraz proszę. Wprawdzie udało jej się zatuszować mój udział w całej akcji, ale jakim kosztem?

Założę się, że sygnały świetlne – nasza odpowiedź na problemy z przekazem radiowym na Avonie – dotarły już do miasta i w tym momencie łodzie naszych sprzymierzeńców odrywają się po cichu od brzegów portu, by pospieszyć nam z pomocą. Połowa doniesień o tańczących nad bagnami błędnych ognikach w rzeczywistości dotyczy odległych sygnałów wysyłanych przez miastowych, którzy próbują się z nami porozumieć. Druga połowa... cóż, nawet naukowcy TerraDynu nie potrafią tego wyjaśnić.

Precyzja naszych kartografów zaskoczyłaby wojskowych. Wiemy, które strumienie są na tyle szerokie, by można było przepłynąć przez nie łodzią, i dokąd cię zaprowadzą, jeśli się zgubisz. Szkoda, że nie mam pojęcia, jak dawno Jubilee opuściła jaskinie i czy rzeczywiście się zgubiła.

Wszędzie wokół ludzie dobierają się w pary i wskakują do czółen – pierwsza fala tropicieli już wypłynęła. Okrzyki, od których łupie mnie pod czaszką, są ponagląjące, lecz zdyscyplinowane. Brzmi w nich gniew, ale nie ma paniki. Delikatnie przyciskam palce do skroni i wyczuwam rosnącego guza. Tymczasem od brzegu odbijają bracia O’Leary. Ich łódka znika w ciemności.

– Jak tam, Flynn?

Podnoszę wzrok. Ostatnia grupa poszukujących stoi nade mną z latarniami w dłoniach. Mówi Connor Tran:

– Przypomniałeś sobie coś?

Pobrmiewającą w jego głosie frustrację odnajduję we wszystkich wpatrzonych we mnie twarzach. Kilkanaście par oczu przyszpila mnie do ściany.

– Musiałeś coś widzieć. Na pewno pamiętasz, jak się tu znalazłeś.

Kręcę głową. Kiepski pomysł. Wszystko wokół natychmiast zaczyna wirować.

– Nie mam pojęcia, co się stało – mamroczę.

Wiem, że słabo to brzmi, ale prawda byłaby gorsza.

– On nic nie wie.

McBride przepycha się naprzód i spogląda na mnie. Jest opanowany, jego głos przebija się przez pozostałe z niewymuszoną stanowczością, ale w skierowanym na mnie spojrzeniu widać wyłącznie pogardę.

– To nie jego wina. Jest młody, niby jak miałby się obronić przed wyszkoloną żołnierką? Teraz liczy się tylko to, czy Chase dotrze do bazy, a jeśli tak, to czy będzie w stanie nas zlokalizować.

W ten prosty sposób zostaję wykluczony z dyskusji.

– Próbuje się skontaktować z którymś z naszych ludzi w bazie – melduje Tran, gdy wszystkie oczy zwracają się ku McBride'owi. – Nadałem wiadomość do Riley'a, ale ma dyżur dopiero za trzy dni. Jeśli wyrwie się przed czasem, żołnierze mogą nabrać podejrzeń.

– Kogo jeszcze tam mamy? Zapomnij o dozorcach, może jakiś dostawca?

– Davin Quinn – rzuca z tyłu Mike Doyle. – Załapał ostatnio robotę w magazynie.

Przed oczami staje mi poorana bruzdami, uśmiechnięta twarz Davina. Ma córkę niewiele młodszą ode mnie i nie chce mieć nic wspólnego z naszą wojną. Nie mam zamiaru pozwolić, by wplątywano w to wszystko niewinnych ludzi. Opieram się o ścianę, dzwigam na nogi i nie czekając, aż McBride przystanie na pomysł Doyle'a, mówię:

– Quinn jest dla nas za stary i zbyt powolny. Pogadajcie z Mattem Dalym. Handluje gorzałą. Wpuszczą go do bazy, jeśli tylko obieca im większą dostawę bimbru. Zresztą możliwe, że Chase jest w zbyt kiepskim stanie, żeby zorientować się, którądy płynie. Istnieje szansa, że nic nie wie.

Przez grupę przechodzi krótki szmer aprobaty. Prostuję się, a Tran podtrzymuje mnie za ramię – wciąż mam trudności z utrzymaniem równowagi.

Kiedy odwracam głowę, znów napotykam świdrujące spojrzenie McBride'a. Jednak nawet on musi przyznać, że wpadłem na niezły pomysł i że to nie najlepszy moment, żeby się sprzeciwiać – propozycji ani mnie.

– Dobra, spróbujcie z Dalym – mówi, a grupa natychmiast się rozprasza. Biorą się do roboty.

Mija godzina. Ekipy poszukiwawcze wciąż meldują brak rezultatów, a ja nie mogę przestać myśleć o Jubilee z połamanymi żebrami i całą masą innych obrażeń, zagubionej w labiryncie bezustannie zmieniających swój bieg strumieni Avonu. Za bardzo się nad tym głowię – nie powinno mnie obchodzić, czy to, że nadal jej nie znaleziono, oznacza, że utonęła, czy że dotarła do bazy. W uszach wciąż brzmia mi

jej słowa. „Nic nigdy nie jest czarno-białe”.

Pracujemy całą noc. Wstrząs mózgu, którego doznałem, okazał się dość lekki i gdy wkrótce odzyskuję jako taką ostrość widzenia, koncentruję się na mapach, podając nowe współrzędne zmęczonym grupom tropicieli. Z ciężkim sercem czekam na każdy meldunek. Podczas przerw pomagam ładować czółna tych, którzy postanowili się ewakuować, przerażeni wizją najazdu żołnierzy. Jeśli Jubilee do tej pory nie dopłynęła do bazy, przypuszczalnie znaczy to, że nie żyje. Wody Avonu są zdradliwe. Jeżeli skończyło jej się paliwo i porzuciła skradzione czółno, bagno prawdopodobnie już ją wessało.

A jednak ilekroć dochodzi mnie warkot motoraka powracającej łodzi, przeżytkam gorzki strach, że to ona i że przyprowadziła ze sobą swoją armię.

Na dobitkę wie, jak wyglądam. Nikt nie mówi o tym głośno, ale widzę to w ich spojrzeniach i pełnych wahania ruchach. Jubilee potrafi mnie zidentyfikować, możliwe, że podała im mój rysopis i jeśli któregoś dnia złapią mnie w mieście, istnieje duże ryzyko, że przez resztę swoich dni będę gnął w więzieniu.

McBride większą część nocy spędza na poszukiwaniach. Jeżeli to on ją znajdzie, będzie miał idealny pretekst, by przejąć dowodzenie, i wiem, że nie zamierza przepuścić takiej okazji. Co jakiś czas wraca do portu, na pozór tylko po to, żeby zatankować. Widzę jednak, jak krąży wśród tych, którzy zostali na brzegu, pilnując, by odpowiednie słowa dotarły we właściwym momencie do odpowiednich uszu. Rozmawia, dodaje otuchy i udając troskę, potajemnie podsyca ich gniew. Ton ma spokojny, ale nie potrafię zapomnieć wyrazu jadowitej pogardy w jego oczach. Jeszcze ze mną nie skończył. Chciałbym umieć przewidzieć jego kolejny krok, wyobrazić sobie, za pomocą jakiej przemowy lub jakiego podstępu przekona resztę moich ludzi do swoich racji.

Kiedy kładzie mi rękę na ramieniu, tracę cierpliwość, odtrącam go i odwracam się od stołu, po czym ruszam przed siebie korytarzem. Słyszę za plecami jego głos, ale boli mnie głowa, a słowa, które z trudem powstrzymuję, tylko pogorszyłyby sprawę. Już lepiej niech mówi do moich pleców. To ja przywozłem tu Jubilee i ja pozwoliłem jej uciec, więc jeśli chcę, by jeszcze kiedyś ktoś mnie wysłuchał, lepiej, żebym tej nocy trzymał język za zębami.

Skręcam w prawo, oddalając się od sali zebrań, i odruchowo kieruję kroki do królestwa Seana. Tej nocy w szkolnej sali nocują dzieciaki, drobne ciała spoczywają pod kocami na ułożonych jeden przy drugim materacykach. Kuzyn stoi w milczeniu i z nieodgadnioną miną przypatruje się tym uśpionym niewinnym istotom.

Ciekawe, czy im zazdrości.

Poruszam się lekko i zauważa mój cień w progu. Podchodzi bliżej.

– Jak się czujesz? – pyta bez śladu zwykłej ironii, przypatrując mi się

uważnie.

– Boli, ale mam twardy łeb. Trzeba by dużo mocniejszego ciosu, żeby mnie załatwić.

– Zastanawiałem się nad tym całą noc – wciąż mówi ściszym, pełnym namysłu głosem. – Jak ona, do cholery, uciekła? To bez sensu, zwłaszcza że ty jeden miałeś klucz do celi.

Serce podchodzi mi do gardła. Kiedy podnoszę wzrok, on wciąż czeka.

– Skoro ja się domyśliłem, jak sądzisz, kiedy McBride i reszta się zorientują? – dodaje niemal niedosłyszalnym szeptem.

– Sean, ja...

– Podpisał wyrok śmierci, Flynn. Na nas wszystkich – stwierdza, a oskarżycielska nuta w jego głosie tnie głębiej niż gniew.

– Wierzę, że zrobiliśmy krok w stronę dialogu – odpowiadam z nadzieją, że nie dostrzeżę szarpiących mnie wyrzutów sumienia. – Ona jest inna, niż ci się wydaje. Inna niż reszta.

– Inna? – Sean pyta i zaciska zęby, a oczy zachodzą mu mgłą przerażenia. – Boże, Flynn, ona ci się podoba. Błagam, powiedz, że nie myślisz o...

– Oczywiście, że nie – rzucam gwałtownie, po czym ściszam głos.

Kilkoro dzieci zaczęło się wiercić na posłaniach.

– Ale jest szansa, że nam pomoże. Musimy z niej skorzystać.

– To *troisième*.

– Ale chyba nie zasługuje na śmierć tylko dlatego, że wykonuje swoje obowiązki?

– Jej obowiązkiem jest umrzeć – syczy nienawistnie Sean. – Załatwić nas albo zginąć.

– Nie zabiła mnie, a mogła.

Sean przypatruje mi się przez dłuższą chwilę. Moje serce z łomotem odmierza sekundy.

– Daj klucz – mówi w końcu.

– Klucz?

– Do celi, w której ją trzymałeś. – Wyciąga rękę, ponaglać wymachując palcami. – Jeśli go przy tobie znajdą, to koniec.

Powoli, z drżeniem, wypuszczam powietrze z płuc i wydobywam z kieszeni klucz od celi. Sean wciska go sobie do kieszeni, obrzuca wzrokiem korytarz, po czym rusza ku wyjściu.

– Sean – wołam go.

Zatrzymuje się.

– Dziękuję...

– Nie kończ – przerywa mi. – Po prostu... nie kończ.

I już go nie ma.

Ruszam powoli tunelem i skręcam w lewo w poszukiwaniu schronienia przed hałasem, przed tymi wszystkimi ludźmi. Problem w tym, że gdy tylko wokół zapada cisza, w uszach dźwięczy mi głos Jubilee.

„I co teraz, Romeo?”

Schodzę po schodach w ciemniejszą, spokojniejszą część labiryntu tuneli. Może tu uda mi się skupić myśli. Powierzchnia skały jest szorstka, a plastenowe płachty zakrywają przejścia do sąsiednich grot, żeby zapobiec przeciągom.

Dopiero minawszy kolejny zakręt, zdaję sobie sprawę, że niesie mnie w stronę składu broni. Jego zawartość chronią przed McBride'em grube stalowe drzwi. To zrządzenie losu: ujrzeć fizyczny dowód na to, że jeszcze nie zwyciężył.

Boję się, że Sean miał rację. Skoro on się domyślił, że pomogłem Jubilee, również McBride'owi nie zajmie to wiele czasu. McBride wciąż jednak nie ma dowodów i póki starczy mi oddechu, będę walczył.

Chciałbym tylko wiedzieć o co. Jak wygląda świat, którego pragnę? Strach i gniew, które wiszą w powietrzu dzisiejszej nocy, uświadamiają mi dobitnie, że na naszych oczach rozwiewa się właśnie ostatnia szansa na pokój. McBride'owi przybywa zwolenników i wkrótce wiatr się zmieni.

Zdejmuję zawieszoną na ścianie latarnię i mijam ostatni zakręt. W drzwiach do magazynu w miejscu zamka zieje poszarpana dziura o szerniałych, wypalonych lampą lutowniczą krawędziach. Jedyne, co słyszę, to dudnienie pulsującej mi w żyłach krwi.

Odruchowo sięgam ku szyi, macając ślepo w poszukiwaniu zawieszzonego na łańcuszku klucza. W końcu zaciskam na nim palce, ale wtedy do mózgu dociera znaczenie tego, co właśnie zobaczyłem. Ten, kto się tu włamał, nie potrzebował klucza.

McBride przestał czekać, aż zmieni się wiatr. Aż uda mu się zdobyć serca i umysły wszystkich naszych ludzi. Działalem na własną rękę. Teraz wiem, że on także. Skład jest pusty. Broń, materiały wybuchowe, wszystko, czego mu trzeba, by sprowokować żołnierzy do wojny – zniknęło.

Dziewczynka znów chowa się pod ladą, jest tam z nią zielonooki chłopiec. Słuchają kłótni jej rodziców.

– Jeśli spełnimy ich żądania, zostawią nas w spokoju – peroruje ojciec ostrym, pełnym napięcia głosem.

Jego strach napędza jej strach. Dziewczynka przetyka ślinę. Pocą jej się dłonie.

– Mamy pozwolić, żeby postawili na swoim?

Matka też się boi, ale złość jest w niej silniejsza.

– Żeby zabrali nasz sklep, nasz dom, i urządzali sobie tu swoje rebelie? A co z naszą córką? Może sądzisz, że powinna się do nich przyłączyć?

– Możemy się wybrać na Babel, do twojego ojca. Ostatnio widział Jubilee, kiedy była małeńka. Jestem pewien, że przyjmie nas na kilka tygodni.

– Nie pozwolę, żeby ci ludzie zmienili nasz dom w strefę wojny.

Dziewczynka zaciska powieki, starając się nie słuchać. Chłopiec łapie ją za rękę, a ona patrzy na niego zdumiona.

– Nie powinno cię tu być – szepcze do niego. – Nigdy nie było cię w November.

– Nie jestem twoim wrogiem – odpowiada cicho chłopiec. – I nie musisz być sama.

JUBILEE

Szeregowiec, który znalazł mnie podczas patrolu kilka kilometrów od jednostki, nie jest jednym z moich podkomendnych i nie wiem, jak się nazywa. Żołnierze wciąż się wymieniają i nie ma sposobu, by ich spamiętać. Choć uważnie studiujemy wykazy zdjęć w obawie, że rebelianci wykorzystają jakoś te bezustanne rozszady, trudno się w tym wszystkim połapać.

W jednostce wita mnie rozmazany zlepek zszokowanych, pełnych ulgi twarzy, po czym ląduję w szpitalu. Dochodzą mnie słowa: „ryzyko”, „złamanie” i „wewnętrzny krwotok”. Żebra, pokryta torfem rana i guz na głowie wzbudzają niepokój personelu. Mam ochotę wytłumaczyć im, że skoro przeżyłam większą część dnia, przedzierając się przez mokradła, to kilka dodatkowych chwil spędzonych tutaj raczej mnie nie zabije. Ale jestem zbyt zmęczona.

Udaje mi się uszczknąć pięć minut spokoju między badaniami a najazdem hordy podkomendnych, którzy przekrzykują się, salutują i na wyścigi ściskają mi dłoń. Sami nie wiedzą, czy cieszyć się, że żyję, czy wściekać, że wróciłam ranna. Gdybym miała siłę, przede wszystkim bym ich ochrzaniła – Cormac właściwie porwał im mnie sprzed nosa – jednak w tym stanie z trudem nadążam za toczącymi się wokół rozmowami.

Balansując wciąż na krawędzi, dość prędko poznaje się drugiego człowieka. Dawny dowódca powtarzał mi: „Ucz się szybko albo wcale”. Przez chwilę ogarnia mnie tęsknota za nim i za jego pragmatyzmem. Brakuje mi kogoś, komu mogłabym ślepo zaufać. Jako oficerowie mamy obowiązek śledzić zarówno stan psychiczny, jak i fizyczny naszych żołnierzy, stale ich obserwować, żeby wychwycić najwcześniejsze oznaki furii. Jedynie nasza czujność sprawia, że jednostka funkcjonuje jak należy.

Znam więc moich ludzi, ale to działa w dwie strony. Oni również dobrze mnie znają i widzą, że mam się kiepsko. Że tracę grunt pod nogami.

Mori reflektuje się jako pierwsza i zaczyna wyganiać pozostałych z sali. Kilka sekund później orientuje się Alexi – jego neonowa czupryna wyrywa mnie z otępienia. Wyrzuca wszystkich na korytarz i zamyka im drzwi przed nosem.

– Dzięki, poruczniku.

Jak to dobrze, że nikt oprócz niego nie słyszy, jak żałośnie słabo brzmi mój głos.

– Nie ma za co, kapitan Chase, wypełniam tylko rozkazy. Nikomu nie wolno pani przeszkadzać, dopóki komendant Towers nie wysłucha pani sprawozdania.

Sztywnieję. Alexi rzadko bywa aż tak oficjalny. Stacjonujące na Avonie wojska funkcjonują wedle specyficznych zasad. Jedna z nich głosi, że nie

przestrzegamy tych samych formalności, które obowiązują na zasiedlonych planetach. Inna zasada dotyczy sposobu ubierania się, i tę Alexi dość często nagina. Jego włosy – w tym akurat tygodniu jaskraworóżowe – wystawiłyby na próbę wytrzymałość nawet najbardziej pobłażliwego dowódcy.

Skoro więc przemawia teraz – i to właśnie do mnie – niczym przyrośnięty do biurka sierżant, sytuacja musi być poważna.

– Mam żałować, że nie zostałam na mokradłach? – silę się na żartobliwy ton z nadzieją, że przetaczająca się przez moje wnętrza fala strachu nie jest słyszalna na zewnątrz. Czyżby komendant Towers jakimś cudem odkryła, że miałam w garści brata Orli Cormac i pozwoliłam mu się wymknąć?

Ale Alexi tylko się uśmiecha.

– Znasz szefową. Chce pogadać, póki wszystko pamiętasz. Żebyśmy to my jako pierwsi usłyszeli oficjalną wersję.

– Znów się naczytała podręczników do psychologii – kwituję i przelękam ślinę. – Czemu w takim razie nie nasłała na mnie jeszcze stada terapeutów?

Alexi wzrusza ramionami.

– Uparła się, że sama z tobą pomówi. W końcu to delikatna sytuacja.

Próbuję nie pokazać po sobie niepokoju. Nie przypuszczałam, że dowódczyni bazy zechce przesłuchać mnie osobiście. Nie ma to nic wspólnego ze standardową procedurą, a Towers rzadko łamie zasady.

Alexi z głośnym stęknieniem przysuwa sobie rachityczne krzeselko i rozsiada się w nim wygodnie. Plastenowe oparcie trzeszczy złowieszczo.

– Nieźle nas wystraszyłaś. Dobrze się czujesz?

Alexi był jednym z żołnierzy, którzy widzieli, jak wychodzę z Cormakiem od Molly'ego. Wbijają we mnie poważne, szczerze spojrzenie. Wiem, o co pyta.

– Wszystko w porządku – odpowiadam, spoglądając mu w oczy. – Kilka zadrapań i siniaków, nic poza tym.

Przygnębiony, zaciska usta.

– Powinienem był się zorientować. Uznałem, że facet po prostu ci się podoba... Mogłem skapować, że to bagienny szczur.

W jego ustach ten epitet brzmi nieco żartobliwie. A jednak słysząc go, mimowolnie spuszczam wzrok, by wygładzić koc, który okrywa mi nogi.

– Skąd mogłeś wiedzieć. Sama się na nim nie poznałam.

– Niech go tylko dopadnę, nie będę czekał, co powie – zapewnia Alexi i zawiesza spojrzenie na wiszącym obok łóżka zdjęciu rentgenowskim moich żeber.

Mam wielką ochotę uświadomić mu, że tym, kto mnie pobił, nie był chłopak z baru, ale się powstrzymuję. W końcu co to zmieni? Jeżeli Cormac ma choć odrobinę oleju w głowie, więcej się tu nie pokaże.

Alexi przysuwa się bliżej.

– Wyglądasz jakoś... niewyraźnie. Na pewno wszystko gra? Żadnych dziur

w pamięci, żadnych... snów?

Ostatnie pytanie zadaje ściszym głosem. Jak gdyby bał się choćby pomyśleć, że ta przygoda mogła wreszcie zmienić niezłomną kapitan Lee Chase w oszalałą morderczynię o nieprzytomnych oczach.

– Nic z tych rzeczy – odpowiadam i zdobywam się na uśmiech, z wątpliwym powodzeniem. – Przecież wiesz, że nie miewam takich snów.

Nie miewam żadnych snów. Od ósmego roku życia. Od Werony.

– Hej, jesteś tylko człowiekiem – rzuca, po czym dodaje po chwili milczenia: – Przynajmniej tak mi się zdaje.

– Dzięki, że się o mnie martwisz, poruczniku.

Alexi otwiera usta, ale nie dane mu jest odpowiedzieć. Nadajnik, który nosi przytwierdzonego do paska, budzi się z trzaskiem, aż oboje podskakujemy z przestachem. Głęboki, chrapliwy głos – rozpoznaję go, należy do kapitana Biltmore'a – wzywa go do sztabu bezpieczeństwa.

Chłopak rzuca mi przepraszające spojrzenie.

– Kiedy cię nie było, przydzielili nas do innych oficerów. Tymczasowo. Jak tylko staniesz na nogi, wracamy do ciebie.

Nawet nie próbuję ukryć uśmiechu. Zresztą Alexi to jedna z nielicznych osób, przy których mogę sobie pozwolić na taki uśmiech.

– Nie przejmuj się, jeszcze przez dzień lub dwa postaram się nie pęknąć z zazdrości.

Nadajnik znów trzeszczy, ale Alexi, krzywiąc się lekko, wyłącza fonię.

– Byle to za długo nie trwało, pani kapitan.

Wciąż się uśmiecham, kiedy wstaje. Biltmore to wyjątkowa menda, wszyscy o tym wiedzą. Nic dziwnego, że Alexi nie może się doczekać, kiedy wydobrzeję.

Pochyla się i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Lee – mówi cicho, a jego uśmiech przeradza się w coś spokojnego, prywatnego i poważnego. – Gdybyś mnie potrzebowała, pamiętasz, że jestem obok, prawda?

W gardle mam tak sucho, że mogę tylko skinąć głową.

Alexi odpowiada tym samym, po czym wymyka się z pokoju, z rękami w kieszeniach, jak zawsze lekko przygarbiony.

Powoli wypuszczam powietrze i zawieszam wzrok na suficie. Alexi dotknął mnie po raz pierwszy – nie licząc sparingów i uścisków dłoni – odkąd ponad rok temu spotkaliśmy się na Patronie. To on mnie nauczył, że nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno mi zbyt blisko zbliżyć z żadnym z towarzyszy broni. Nasz romans odkryto tuż po tym, jak dostałam awans i nagle ilekroć przydzielono mi zadanie, na które chrapkę miał inny, działo się tak dlatego, że go faworyzowałam, a nie dlatego, że wykonywałam swoją pracę.

W końcu poprosił o transfer, a potem ja przeniosłam się na Avon wraz

z dawnym dowódcą i resztą plutonu. Nikt tutaj nie wie, że kiedykolwiek łączyło nas coś więcej niż wspólna służba. Teraz Alexi jest po prostu jednym z moich najstarszych przyjaciół.

Jest mój, ale tylko w ten sam sposób co reszta chłopaków.

A jednak. Jego obecność sprawia, że w gardle więźnie mi gula wzruszenia. Chciałabym móc z nim pogadać, z nim albo z kimkolwiek, o młodym rebeliancie, który głosi pokój wbrew wszelkim oczekiwaniom. Jednak nawet Alexi nie zrozumiałby, czemu nie wzięłam Cormaca do niewoli, by odpowiedział za swoje występki.

Cholera, sama tego nie rozumiem.

Na oparciu krzesła wisi szpitalna koszula, ale ja nie mam zbytnej ochoty stanąć przed komendant Towers w czymś, co nie zapina się na plecach. Mimo to z jękiem podciągam się do pozycji siedzącej i sięgam ku sznurówkom butów. Dopiero gdy rzucam pierwszy but w kąt pokoju, wyczuwam pod wyściółką cholewki drugiego jakiś luźny kształt i przypominam sobie przedmiot, który wygrzebałam z błota na wyspie Cormaca. Wszystko, co wydarzyło się potem – kryjówka rebeliantów, McBride, ucieczka – sprawiło, że zupełnie o nim zapomniałam.

Ściągam but i odwracam go podeszwą do góry. Wypada z niego na koc mały, prostokątny kawałek plastiku. To z całą pewnością wytwór ludzkich rąk, z elektronicznym obwodem z jednej strony. Kiedy go obracam, z drugiej zauważam kod kreskowy.

Czip identyfikacyjny. Dość archaiczny w porównaniu do używanych obecnie gadżetów, które zawierają holowidowe zdjęcia, próbki DNA i odciski palców. To model sprzed dziesięciu, może dwudziestu lat. Przestarzały, ale prosty. Łatwy do wyprodukowania. Jego zaleta polega na tym, że nie da się go odczytać bez odpowiedniego skanera. Założę się o wszystko, że gdybym spróbowała, tożsamość właściciela okazałaby się zaszyfrowana. Nie ma sposobu, by stwierdzić, do kogo należał. Mogę jedynie powiedzieć, że ten ktoś nie był żołnierzem, ponieważ wojsko używa identyfikatorów innego typu. Nie był również miastowym ani rebeliantem, gdyż ich genotagi tatuuje się na przedramionach i weryfikuje za pomocą skanerów DNA, tak by nie można ich było sfalszować ani zgubić. To, co mam przed sobą, to również nie wytwór technologii TerraDynu, który posiada własne, wewnętrzne systemy identyfikacji.

A więc czip należy do kogoś innego. Kogoś, kto nie powinien przebywać na terytorium TerraDynu. To dowodzi, że na Avonie działa ktoś jeszcze oprócz nas.

Nie mam czasu, by się nad tym wszystkim zastanowić, ponieważ po chwili rozlega się pukanie do drzwi. Wciskam czip do kieszeni i podnoszę głowę. Drzwi się otwierają i w progu staje komendant Towers. Jedyna – poza mną – kobieta w bazie wyższa stopniem od porucznika, choć trudno znaleźć dwie osoby, które

bardziej różniłyby się wyglądem niż my dwie. Jest wysoka i smukła, ma ostre, wyraziste rysy i jasne włosy zebrane w koczek na karku. Mniej doświadczona od dowódcy bazy, którego zastąpiła cztery czy pięć miesięcy temu, za to znacznie bardziej kompetentna. Podobnie jak ja całe życie spędziła w wojsku. To my i nam podobni awansujemy najszybciej i cały swój czas poświęcamy walce. Większość lądujących tu rekrutów jest w armii przelotem, zaciągają się na kilka lat, aby zarobić na rozpoczęcie prawdziwej kariery, studia albo po to, by zwiedzić kawałek galaktyki, zanim zapuszczą gdzieś korzenie. Ale wystarczy jedno spojrzenie na kogoś takiego jak Towers lub ja, by wiedzieć, że pozostaniemy żołnierzami do końca swoich dni.

– Jak się pani czuje, kapitan Chase? – wita mnie dowódczyni, przestępując próg.

– Jestem trochę głodna – odpowiadam po chwili wahania.

Towers uśmiecha się lekko, po czym lokuje się na krzesło, które kilka minut wcześniej zajmował Alexi. Jednak zamiast opaść na nie ciężko, przysiadła na brzeżku z dłońmi splecionymi na kolanach.

– Wie pani, dlaczego tu jestem. Musimy się dowiedzieć, co zaszło. Czy jest pani w stanie teraz o tym rozmawiać?

Coś w jej głosie nie pozostawia złudzeń, że w istocie wcale nie pyta mnie o zgodę. Przesłuchanie właśnie się zaczęło, czy tego chcę, czy nie.

Prawdę mówiąc, nadal czuję się tak, jakby przejechano po mnie walcem. Zaczynające się zrastać żebra swędzą i pulsują, każdy ruch wywołuje ból głowy i jedyne, na co mam ochotę, to zasnąć.

– Nic mi nie jest – odpowiadam mimo to, z tym jednym kłamstwem spokojnie sobie poradzę. – Naprawdę. Nie odniosłam trwałych obrażeń.

Poza, no wie pani, chwilą obłędu na bagnach, kiedy widziałam zabudowania, których tam nie było.

Komendant kiwa głową i odrobinę się rozluźnia.

– W takim razie przyjmę teraz od pani oficjalny meldunek.

Sięga do kieszeni i wyciąga dyktafon wielkości palca wskazującego, po czym zdejmuje pokrywkę, pod którą zapala się zielona lampka. Odkłada urządzenie na szafkę z lekami obok łóżka.

– Sprawozdanie z incydentu, rozmówca: kapitan Jubilee Chase, nagrywana przez dowódcę jednostki TD-Alpha, komendant Antje Towers, numer 080449. Zaczniemy, pani kapitan. Proszę od początku, wszystko, co pani pamięta.

Biorę głęboki wdech, żeby się przekonać, kiedy żebra odpowiedzą bólem. Chłopak, który nazywa się Flynn Cormac, porwał mnie, a potem uratował mi życie i wypuścił na wolność. Przypominam sobie chwilę, gdy ujrzałam go po raz pierwszy, u Molly'ego – trzymał w dłoni kufel piwa i obserwował mnie w lustrze nad barem. Otwieram usta, ale nie potrafię wydobyć z siebie ani słowa.

Komendant Towers patrzy na mnie wyczekująco, lekko unosząc jasne brwi, z dłońmi wciąż splecionymi na kolanach. Na oddziale panuje hucząca w uszach cisza.

Wtedy słyszę własny, trudny do poznania głos:

– Pamiętam niewiele.

Chrząkam i przyciskam dłońe płasko do koca. Skłamałam. Teraz nie ma już odwrotu.

– U Molly’ego Malone’a był pewien facet, miał broń. To wszystko wydarzyło się tak szybko, że nawet nie zdołałam się dokładnie przyjrzeć jego twarzy. Ogłuszył mnie tuż po tym, jak wyszliśmy na zewnątrz.

– Proszę spróbować go sobie przypomnieć. Był młody? Stary? Silny czy słaby? Miał jakieś cechy, na podstawie których mogłaby pani określić jego rasę?

– Był silny – decyduję się na najbezpieczniejszą odpowiedź.

– Zdołała się pani czegoś o nim dowiedzieć?

Czuję, jak wywraca mi się żołądek. Gdybym jej powiedziała, że całkiem nieopodał, wśród bojowników *fianna*, znajduje się brat Orli Cormac, polowałiby na niego do skutku.

– Nie, właściwie niczego – mówię spokojnym głosem. – On i cała reszta bardzo się pilnowali, żeby nie używać nazwisk.

– Czy człowiek, który panią porwał, jest odpowiedzialny za pani obrażenia?

Walczę z pragnieniem, by odwrócić wzrok od mrugającego zielonego światełka, które jakby tylko czekało, żeby na czymś mnie przyłapać. Z trudem skupiam uwagę na dowódczyni.

– Nie, to się stało później. Byłam chyba w jakiejś grocie. Jeden z nich mnie pobił – odpowiadam i przesuвам dłońią po posiniaczonych żebrach. – Siedziałam tam przez kilka dni, aż nie wiem czemu, postanowili dokąds mnie przenieść. Uznałam, że to dla mnie szansa. Udało mi się zaskoczyć tych, którzy mnie eskortowali. Ukradłam łódź, płynęłam, póki starczyło paliwa, a resztę drogi pokonałam pieszo.

– Chwileczkę, powoli. Czy to w tej grocie odzyskała pani przytomność? – Towers pyta i świdruje mnie baczny spojrzeniem. – Proszę opowiedzieć wszystko po kolei.

Czując się, jakbym brodziła w syropie, gorączkowo głowię się nad następnym krokiem. Z każdym kolejnym kłamstwem brnę coraz dalej i trudniej mi przewidzieć, w którym momencie zostanę przyłapana. Możliwe, że ktoś zauważył, w którą stronę odplywa łódź Cormaca. Tak się kończy krycie rebeliantów.

– Nie, wcześniej zabrał mnie na wschód.

– Powiedział po co?

Towers wychyla się do przodu. Przypatruje mi się coraz uważniej, wyczulona na każde najlżejsze drgnienie mojej twarzy.

Wzruszam ramionami, a poturbowane żebra odpowiadają ukłuciem bólu.

– Twierdził, że z tamtej strony znajduje się jakiś wojskowy ośrodek, ale ja nic o tym nie wiedziałam.

To, co mam zamiar za chwilę zrobić, przyprawia mnie o zawroty głowy, jakbym skakała w otchłań bez spadochronu. Ale jeżeli istnieje szansa, że otrzymam odpowiedź na pytanie, które nie daje mi spokoju, muszę zaryzykować.

– Mój pluton nigdy nie miał patroli w tamtym sektorze, może rzeczywiście jest tam coś, o czym nie wiem.

Ukryty identyfikator ciąży mi w kieszeni, jakby wypalał tam dziurę.

Komendant Towers się nie rusza, wciąż skupiona na mojej twarzy. Usiłuję sobie przypomnieć, jak wygląda mina wyrażająca uprzejme zainteresowanie. Czy okazuję za mało emocji? Powinam unieść brwi? Uśmiechnąć się? Serce wali mi jak oszalałe, a zawroty głowy prawie dorównują tym, które mnie dopadły tuż przed omdleniem na wyspie. Mierzymy się wzrokiem przez chwilę, która wydaje się nieskończonością.

Nagle, bez uprzedzenia, Towers sięga po dyktafon – wyłącza go i patrzy na własne palce.

Serce mi zamiera: wpadłam. Wyłączyła urządzenie, ponieważ ma zamiar zawołać ochronę i wsadzić mnie do pierdła.

– Pani komendant...

Towers podnosi głowę i wykrzywia wargi w czymś, co w założeniu ma chyba być krzepiącym uśmiechem.

– Dziękuję, pani kapitan. Dość już usłyszałam.

Mrugam, próbując usiąść mimo tępego bólu w żebrach.

– Ale co z resztą zeznań?

Lekko potrząsa dyktafonem i uśmiecha się cierpko.

– To, co mamy, wystarczy, żeby zadowolić górę. Potrzebuje pani odpoczynku – mówi, a policzek drga jej nieznacznie, to znak, że w linii szczęki pojawiło się napięcie. – Proszę odpoczywać, Chase. Potrzebujemy pani.

Powinam czuć ulgę. Żadnych więcej pytań ani strachu, że odkryje, co zrobiłam. Ale komendant Towers przebywa tu prawie tak samo długo jak ja i znam ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że to nie koniec kłopotów.

Błędnie interpretuje mój wyraz twarzy i kładzie dłoń na mojej. Ma chłodną, suchą skórę i jestem przekonana, że wyczuła falę gorąca, którą wzbudziły we mnie kłamstwa i zdrada. Ale ona tylko na mnie spogląda.

– Dobrze sobie poradziłaś, Lee. Nie sądzę, by wielu żołnierzom na twoim miejscu udało się wrócić. Zrób sobie przerwę, pozbieraj się, a potem do roboty.

Po jej wyjściu zagrzebuję się w posłaniu, usiłując znaleźć wygodną pozycję, wsłuchana w szelest pościeli. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz odmówiłam wykonania rozkazu, nie mówiąc już o łganiu w żywe oczy własnemu dowódcy.

Choć właściwie wygląda na to, że nie ja jedna kłamię.

Komendant Towers urwała rozmowę, gdy tylko wspomniałam o wschodnim sektorze. To nie mógł być zbieg okoliczności. Problem w tym, że jeśli przyznam przed sobą, że coś jest na rzeczy, będzie to znaczyć, że wierzę w szalone teorie spiskowe Cormaca. I w to, że być może na kilka sekund przed utratą przytomności doświadczyłam tam czegoś więcej niż halucynacji.

Myśli tłuką mi się po głowie, a pokój wiruje, jak gdyby wraz z zasadami znikły wszelkie prawa grawitacji i fizyki. Nie mogę dłużej tu leżeć i pozwalać, żeby zżerała mnie niepewność. Kapitan Lee Chase nie miewa chwil zwątpienia. Nigdy się nie waha i nad niczym nie zastanawia się dwa razy.

Zmuszam się, by znów usiąść, przerzucam nogi przez krawędź łóżka i przelękam gorzką, piekącą żółć, która podchodzi mi do gardła.

Wpadający przez okno lekki wietrzyk niesie z sobą ziemistą, torfowosiarkową woń bagna. Mieszkanie na Avonie ma jeden plus: to na tyle młoda planeta, że żyje tu stosunkowo mało owadów. Siatki w oknach nie są potrzebne. Główny szpital znajduje się bliżej centrum, ale ja leżę w lazarecie urządzonym w prowizorycznym baraku. Postawiono go w odpowiedzi na liczne przypadki drobnych schorzeń i omdleń, które notorycznie dają się we znaki nowo przybyłym.

Po tej stronie budynku małe kwadratowe okienka wychodzą na mokradła. Tylko płot wokół bazy dzieli nas od majaczącej w dali ciemnej głuszy. Mimowolnie szukam w powietrzu zapachu skał i wilgoci, który wypełniał podziemne grotty rebeliantów. Jedyne, czego pragnę, to, by wszystko wróciło do normy. Mam nadzieję, że nigdy więcej nie ujrzę Flynna Cormaca, zdaję sobie bowiem sprawę, że jeśli przyjdzie nam się jeszcze kiedyś spotkać, będzie nas prawdopodobnie dzieliła lufa mojego gleidla.

Lekarze dopiero za kilka dni pozwolą mi opuścić teren jednostki, ale choć wciąż odczuwam ból, nie jest on na tyle silny, by zatrzymać mnie w łóżku. Nie jestem jeszcze gotowa na wizytę u Molly'ego, więc wybieram się na przechadzkę z kilkorgiem podkomendnych nędzną, zakurzoną drogą, która robi tu za główną ulicę. W bazie trudno o odskocznię od codziennych obowiązków: nasz sprzęt komunikacyjny jest niewiele lepszy niż ten klecony na bagnach przez rebeliantów. Sygnał holowizyjny ma tak fatalną jakość, że trzeba być naprawdę zdesperowanym, żeby cokolwiek oglądać, bo obraz śnieży przez dziewięćdziesiąt procent czasu. Do oficjalnej komunikacji używamy satelitów wzmacniających, ale jeśli Towers nie jest w wyjątkowo dobrym humorze, nie ma szans, by pozwoliła nam korzystać z nich w celach tak błahych jak rozrywka. Na szczęście wieczór jest w sam raz na spacer. Ładny na tyle, na ile to możliwe na Avonie. W zimnym powietrzu wisi gęsta wilgoć. Na szczęście nie ma mgły, więc liche światło ustawionych wzdłuż ubitej drogi latarni jako tako rozprasza ciemność.

A jednak wycieczka do miasta jak zawsze działa na mnie trzeźwiąco. Wciśnięci między wykonujące polecenia TerraDynu wojsko a protestujących rebeliantów miastowi na co dzień muszą się zmagać z surowymi zasadami i narzuconymi przez władzę godzinami policyjnymi. Większość z nich pracuje na bagnach przy zbiorze wodorostów, inni nadzorują rozwój ekosystemu, a więc wykonują zadania niezbędne do tego, by planeta miała w przyszłości szansę stać się samowystarczalna. Rebeliantów jest jednak tak dużo, że z całą pewnością mają w mieście sporo utajonych sympatyków. A niewiele trzeba, żeby sympatyk przeistoczył się w bojownika – zazwyczaj wystarczy, że trafi się ku temu odpowiednia okazja.

Odkąd kilka miesięcy temu doszło do zawieszenia broni, zapanował względny spokój, ale nawet poza służbą nie możemy sobie pozwolić na całkowite rozprężenie. Obserwujemy każdego przechodnia, wyczuleni na najdrobniejsze symptomy zmian. W dodatku – wiedząc, jak niewiele brakuje, by rebelianci rozpętali wojnę – jestem dwa razy bardziej nerwowa niż pozostali.

Ten spacer to z pewnością pomysł Alexiego. Razem z Mori stanęli w progu mojego pokoju tuż po tym, jak wróciłam ze stołówki. Alexi prawdopodobnie podejrzewa, że nie mówię całej prawdy o tym, co wydarzyło się na bagnach.

Ale nie może się dowiedzieć. Jest ostrożny, trzyma się blisko. Żebra dobrze mi się goją, a dzięki zwiększonym dawkom leków sińce już prawie zniknęły. Jego jednak niepokoi coś innego. I nie ma pojęcia, co robić.

Staram się, jak mogę, pokazać mu, że wszystko w porządku. Mori opowiada właśnie jakiś wyjątkowo niecenzuralny dowcip – obraźliwy dla wszystkich występujących w nim postaci: oficerów, terrabiedy i tylu grup etnicznych, że nie potrafię ich zliczyć, i tak wulgarny, że przekracza wszelkie granice. Parskam śmiechem, odgrażając się, że każę jej czyścić latryny przez tydzień, po czym wspinam się na nasyp i pokonuję kilka metrów wzdłuż ogrodzenia. Jednak już po chwili zeskakuję. Wciąż męczą mnie zawroty głowy. Wciąż nie jestem w pełni sił.

Większość budynków w mieście to domy mieszkalne, w niektórych z nich główne pomieszczenia przerobiono na sklepy lub warsztaty. Zmierzamy do tego, w którym w zamian za przydziały zboża klienci otrzymują wypieki. Zamierzamy zamienić wojskowe racje żywnościowe na pieczywo domowej roboty. Wprawdzie ma ono lekki posmak mułu, ale nikomu, kogo notorycznie karmią w stołówce pasteryzowanym żarciem sprzed dziesięciu lat, nie przyjdzie do głowy grymasić.

Tuż za rogiem Alexi zderza się czołowo z jakimś facetem. Obaj tracą równowagę, nieznajomy odzyskuje ją pierwszy, wychylając się do przodu.

– Uważaj pan!

Nie jest wiele starszy od nas, ale ma na twarzy więcej blizn niż niejeden żołnierz.

– Przepraszam – odpowiada spokojnie Alexi, spec od zażegnania

kryzysów. – Byłem nieostrożny. Dokąd pan idzie?

– Ja się wam spowiadać nie muszę! – woła chłopak.

Na Avonie jest mnóstwo takich ludzi. Na Weronie zresztą też. Wściekłych na cały świat i gotowych wyładować złość na pierwszym, który się nawinie. Rozejm z rebeliantami wcale nie znaczy, że miastowi lubią nas choć odrobinę bardziej.

Mori staje między Alexim a chłopakiem.

– Właściwie to pan musi – stwierdza spokojnie.

Jest drobna, ale za to silna i obeznana w swoim fachu, i właśnie teraz świetnie to widać. Niby od niechcienia kładzie dłoń na kaburze.

– Bo za trzydzieści minut zaczyna się godzina policyjna – dodaje.

Chłopak spluwa na lewo od jej buta.

– Domyśl się, *trodair* – mówi, a w sposobie, w jaki wypowiada to słowo, kryje się więcej jadu niż w jakiegokolwiek obeldze.

– Chodźmy – rzuca Alexi, przewracając oczami. – Zaraz nam zamkną sklep.

Mori nie reaguje, jakby go nie słyszała. Wciąż świdruje wzrokiem miastowego, a na jej twarzy nie widać żadnych emocji. Włoski na rękach i karku stają mi dęba. Coś jest nie tak.

– Powie nam pan, dokąd się wybiera – cedzi lodowato.

Trudno uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, która kilka minut temu śmiała się i żartowała.

– I proszę podwinąć rękaw. Zeskanujemy genotag.

– Kapralu – wtrącam. – Proszę go zostawić. Niech idzie.

Miastowy wyraźnie wyczuł, że coś się kroi. Nie zna Mori, ale fakt, że zdołał przeżyć w tym miejscu, wskazuje, że nie jest głupi. Potrafi czytać emocje. Cofa się o krok i ogląda przez ramię. Wewnątrz domu dostrzegam przyklejoną do szyby dziecięcą twarz. Wstrząśnięta, uświadamiam sobie, że chłopak spogląda na młodszego braciszka, który obserwuje całe zajście. Nic dziwnego, że zgrywa chojraka.

Widzę, jak walczy z pokusą, by ustąpić, nie narażać się. Błagam go w myślach, żeby wrócił do domu.

Ale on zaciska zęby.

– Tak? A jeb się, ty głupia su...

Powietrze rozdziera ryk lasera. Oślepiąca jego błyskiem odskakuję, odruchowo chwytając za broń. Przez chwilę, która trwa całą wieczność, szukam palcem spustu, ale nie udaje mi się go znaleźć. Miastowy osuwa się na kolana. Krzyk dziecka w oknie. Rozpłataną twarz chłopaka. Dłoń Mori z pistoletem skierowanym w miejsce, gdzie stał.

Kolejne sekundy pamiętam jak przez mgłę. Doskakuję do Mori, Alexi rzuca się na ziemię obok ciała, przechodnie zaczynają biec, niektórzy do nas, inni

w przeciwnym kierunku. Jakaś kobieta krzyczy. Czuję smród palonych włosów.

Mori spogląda przed siebie, spokojnie, bez wyrazu. Potrząsam nią raz, drugi – w końcu wymierzam policzek. Pod wpływem uderzenia jej głowa odskakuje do tyłu, ale oczy nadal są nieruchome. Odczepiam od paska latarkę i kieruję strumień światła na jej twarz. Źrenice ma tak rozszerzone, że nie widać tęczówek.

Nie. Nie było żadnych znaków. Żadnego ostrzeżenia. Jakim cudem nie miała snów? Alexi porzuca leżące w błocie ciało i zrywa się na równe nogi.

– Lee – dyszy. – Spadamy stąd! Zaraz się zrobi paskudnie, nie może nas tu być.

Nagle Mori odzyskuje przytomność. Jestem pierwszą osobą, którą widzi. Mruga powiekami i mówi:

– Hej, pani kapitan. Co jest?

Nieruchomieję, ale już po ułamku sekundy włącza się instynkt. Chwytam ją za ramię i na pół prowadzę, na pół wlokę ulicą, podczas gdy Alexi zabezpiecza tyły. Trzyma gleidel w gotowości, upewniając się, że nikt nie zamierza przeprowadzić natychmiastowej akcji odwetowej.

Nic nierozumiejąca Mori zaczyna zadawać pytania, ale już po chwili milknie gwałtownie. Odwróciła głowę i wiem, że dostrzegła leżący w błocie bezwładny, nieruchomy kształt.

Dźwięk dzwonka nad drzwiami sklepu. Dziewczynka podnosi wzrok znad czytnika. „Tylko nie to – myśli. – Zaraz, ten jest jakiś inny”.

– Dzień dobry – dobiega ją matczyzny głos.

Skulona pod ladą obserwuje nogi matki, która odwraca się do klienta.

– Czym mogę słu...

Nie kończy.

– Uszanowanko, pani Chase.

Głos jest lekki i swobodny, a mimo to mrozi krew w żyłach.

– Zastanowiła się pani nad naszą propozycją?

Dziewczynka przyciska oko do szczeliny w plasteń. Widzi ojca, który zamiera w połowie schodów.

– Już mówiliśmy, że nie jesteśmy zainteresowani – odpowiada ojciec, powoli pokonując ostatnie stopnie i stając między żoną a klientem.

– Noah – rozlega się szept matki. – Oni coś biorą, spójrz tylko.

Dziewczynka przenosi wzrok na mężczyzn w progu. Ich oczy są jak oczy lalek, czarne szklane kulki bez tęczęwek.

FLYNN

Dziura w siatce została załatwana, ale podobne przejście znajduje się kilkadziesiąt metrów dalej. Tym razem uważniej splatam za sobą druty i zacieram ślady. Wygląda na to, że od czasu strzelaniny w mieście wojsko wzmocniło ochronę, jednak kilka dodatkowych patroli strażników nie wystarczy, by powstrzymać McBride'a – zwłaszcza jeśli nie będą się go spodziewać.

Czuję się okropnie. Niepasujący mundur, skradziony kilka miesięcy temu z wojskowego transportu, drapie mnie i łaskocze. Wprawdzie powtarzam sobie uparcie, że to nie zdrada, że muszę ich ostrzec, jeśli chcę zapobiec zerwaniu rozejmu, a jednak wciąż czuję się jak zdrajca. Już odkrycie włamania do magazynu, oznaczające, że McBride i jego zgraja są teraz uzbrojeni, było straszne. Ostatnie zabójstwo cywila dało im pretekst, na który czekali, co oznacza, że nie mam wyjścia.

Pochyliam głowę, mijając wojskowy patrol, i pospiesznym krokiem zagłębiam się w uliczkę. Ten jeden raz cieszę się z deszczu, który sprawia, że nikt nikomu nie przypatruje się zbyt uważnie.

Nie powinienem wiedzieć, gdzie sypia kapitan Chase, ale nasz wywiad działa lepiej, niż żołnierzom się wydaje. Nie starcza im własnego personelu, by obsłużyć całą jednostkę, muszą się więc posiłkować ludźmi z miasta, których zatrudniają jako kucharzy, zaopatrzeniowców i dozorców. Wprawdzie nie mają oni dostępu do zabezpieczeń ani tajemnic jednostki, ale na przykład taki dozorca jest w zasadzie niewidzialny i może wejść wszędzie. W związku z tym całkiem nieźle orientujemy się w topografii bazy.

Kwatery oficerskie są w większości prowizoryczne. Jubilee mieszka w baraku, który – jestem tego niemal całkiem pewien – służył wcześniej jako magazyn. Nie ma właściwie okna, tylko wywietrznik, który poszerzono i osłonięto przezroczystym plastikiem, by wpuścić do środka nieco światła.

W żołądku czai mi się strach, że jeśli McBride'owi uda się dopiąć swego, może nastąpić to, czego tak bardzo się obawiamy. Liczba ofiar będzie tak wielka, że TerraDyn oraz wojsko odpowiedzą bezpardonowym atakiem. My stracimy wielu ludzi, oni stracą wielu, a Avon pograży się w chaosie.

Nie wiem, jak to zatrzymać, i właśnie dlatego włamuję się przez okno do oficerskiego baraku w poszukiwaniu jedynej osoby, która może pomóc mi zapobiec otwartej wojnie.

Wyważenie płyty w oknie zabiera pół minuty. Chwytam się parapetu i podciągam, nie zwracając uwagi na protest mięśni obolałych od odpychania się drągiem od bagiennego dna. Wnętrze jest niemal pozbawione mebli i dokładnie

odpowiada moim wyobrażeniom. Jako pierwszy rzuca mi się w oczy wiszący na ścianie jasnoszary mundur bojowy, niczym widmowy wartownik nad pryczą śpiącej żołnierki. Gdyby miała go na sobie tamtej nocy na tyłach baru, mój nabój pewnie nawet by jej nie drasnął. Staram się przełknąć rosnący w gardle gniew. Wojskowi mają do dyspozycji cienkie i lekkie pancerze, wyrób najnowocześniejszej technologii. Dla nas zostaje amunicja z przemytu i pistolety po dziadkach.

Jubilee śpi na boku, rozkopana – długa brązowa noga na kołdrze, stulona pięść przy brodzie, druga dłoń wsunięta pod poduszkę. Na tle prześcieradła lśnią zwisające z szyi nieśmiertelniki. Nawet w łóżku ma na sobie moro, choć to tylko szorty i podkoszulek. Uśpiona wygląda łagodniej. Zaciskam palce na parapecie i szeptem wypowiadam jej imię:

– Jubilee.

Zrywa się i natychmiast staje się jasne, czemu śpi w tej pozycji – w ręce, którą wysunęła spod poduszki, ściska broń. Jednym ruchem strząsa koc i siada prosto, próbując szybkim mruganiem odpędzić sen. Sekundę później mnie zauważa i otwiera usta ze zdumienia. Widzę, jak przyciska palec do spustu, jednak nie na tyle mocno, by wystrzelić.

– Cormac – szepcze przez ściśnięte gardło. – Cholera, co ty tu robisz?

– Jestem sam – zapewniam ją. – I nieuzbrojony. Nie strzelaj, bo będziesz się musiała gęsto tłumaczyć z tego, jak się znalazłem w twojej sypialni.

Mierzy mnie wzrokiem przez chwilę, która wydaje się ciągnąć w nieskończoność. W końcu prycha pojednawczo i opuszcza broń, ale jej nie odkłada. Podejrzliwie obserwuje, jak prześlizguję się przez parapet i ląduję na podłodze. Nawet jeśli ma ochotę skomentować jakoś fakt, że jestem ubrany w kradziony mundur, nie robi tego.

Pomieszczenie jest małe, stoją w nim tylko wąskie łóżko, szafka na ubrania i rozklekotany stolik, na którym tkwi oprawiona w ramkę fotografia – jedyny osobisty przedmiot w całym oszczędnie urządzonej pokoju. We wpadającym przez okno słabym świetle dostrzegam na zdjęciu kobietę, mężczyznę i dziecko. W tym samym momencie uświadamiam sobie, że to mała Jubilee Chase. Mężczyzna, z pewnością jej ojciec, jest wysoki i smukły, o ciemnej karnacji, matka zaś wygląda na Chinę – rozpoznaję jej rysy w twarzy stojącej obok dziewczynki. A także w twarzy dziewczyny patrzącej na mnie z łóżka. Ciekawe, jakimi ludźmi są jej rodzice i co pomyśleliby o rozgrywającej się właśnie scenie.

Odzywam się pierwszy:

– Co tu się, do diabła, działo zeszłej nocy?

Nie chciałem, by te słowa zabrzmiały tak obcesowo, ale już nie mogę ich cofnąć i zawisają ciężko w panującej między nami ciszy.

– To była furia.

Zawsze się chowają za tym czymś, co nazywają avońską furią. Nie potrafię ukryć sceptycyzmu. Jubilee go dostrzega, zaciska usta i odwraca wzrok. Ma wyrzuty sumienia.

– Nie zareagowałam wystarczająco szybko.

Jakbym dostał obuchem w łeb.

– Byłaś przy tym? Przecież zginął niewinny cywil, on nie miał nic wspólnego z...

– Wiem! – nie wytrzymuje. – Daruj sobie kazania, Cormac. Źle się stało. Powinna była temu zapobiec – dodaje, a w jej głosie słychać napięcie.

Nici porozumienia między nami w każdej chwili grozi zerwanie, nie ma sensu pogarszać sytuacji.

– Nie ty nacisnęłaś spust... – mamrocze powoli i bez przekonania, myśląc przy tym: ty tylko stałaś i patrzyłaś, jak robi to ktoś inny.

– To bez znaczenia. Kiedy jeden z moich ludzi odstrzelił komuś pół twarzy, odpowiedzialność spada na mnie – stwierdza i potrząsa głową. – Ona stacjonowała tu dopiero od kilku tygodni. Nigdy nie wspominała o snach.

– Co mają z tym wspólnego sny?

– To jedyne ostrzeżenie, że człowieka dopadnie furia. Jeśli go stąd na czas wywieziemy, wszystko będzie w porządku. Furia prędzej czy później atakuje każdego, kogo tutaj przyślą, oprócz... – nie kończy, ale wiem, co chciała powiedzieć. „Oprócz mnie”. Wśród wszystkich *trodairí* na Avonie jest jedyną, której nic nie złamie, wiedzą o tym nawet rebelianci.

Jubilee zamyka oczy.

– Tym razem ostrzeżenia nie było. To trwało kilka sekund. A Mori potem nawet nie pamiętała, co się stało.

Jak to możliwe? Osuwam się na skraj łóżka i dopiero teraz zauważam, jak bardzo Jubilee jest zmęczona. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, jej oczy nie były tak mocno podkrążone. Teraz ma spuchnięte powieki, zapadnięte policzki. Widać, że gnębi ją to, co się stało. A więc mówi prawdę, a przynajmniej tak jej się wydaje.

– Co będzie z tą żołnierką? – pytam w końcu.

Jubilee zaciska zęby i otwiera oczy.

– Właśnie leci na Paradise. Pewnie wyląduje za biurkiem i przeczeka tam do końca służby.

Cóż za wygodne rozwiązanie. Żadnego procesu ani kary za zamordowanie niewinnego nastolatka. Ukryją ją w jakimś spokojnym miejscu i nikt się nigdy nie dowie, co zrobiła. Mam ochotę wykrzyczeć Jubilee prosto w twarz, że stoi po złej stronie barykady.

Jednak powoli zaczynają mnie dręczyć wątpliwości. Moja rozmówczyni wydaje się niezwykle pewna swego. Co, jeżeli przypadłość zwana furią istnieje

naprawdę? Nagle przypominam sobie słowa wypowiedziane przez Jubilee w celi w samym sercu naszej kryjówki: „Nic nigdy nie jest czarno-białe”.

– Cormac – wzdycha dziewczyna. – Po co przyszedłeś? Zachciało ci się pogawędki z twoją ulubioną najemniczką? – z goryczą powtarza słowo, którego kiedyś użyłem.

– Przykro mi, że tak cię nazwałem. – Kiedy to mówię, nagle uświadamiam sobie, że to prawda. – Przyszedłem, żeby cię ostrzec.

– Mamy świadomość, że przyszłość rozejmu jest niepewna – odpowiada powoli i oschle. – Dobrze wiemy, że to, co się zdarzyło, tylko pogarsza sprawę.

– Nie chodzi o strzelaninę – mówiąc to, sięgam pod kołnierzyk skradzionego munduru i wyciągam zawieszoną na łańcuszku pamiątkę po siostrze. – To klucz do składu broni. Była tam większość naszego sprzętu. Dzięki temu mieliśmy pewność, że nikt z nas nie zacznie działać bez porozumienia z resztą.

Coś w twarzy Jubilee się zmienia.

– Mieliście?

Mogłaby mnie wydać, zażądać, bym powtórzył to jej zwierzchnikom. Mogłaby znów wziąć mnie na muszkę. Przełykam ślinę.

– Ktoś rozwalił zamek i włamał się do środka. Pistolety, materiały wybuchowe, wszystko zniknęło.

Jubilee sztywnieje, tylko usta jej drgają. Wiem, że przebiegł ją ten sam lodowaty dreszcz strachu, który poczułem i ja, gdy odkryłem zniszczone drzwi. Dojście do podobnych wniosków zajmuje jej jedynie krótką chwilę.

– McBride?

Potakuję, starając się nie patrzeć na broń, którą wciąż trzyma w ręce.

– Nie mogło być inaczej.

Pytanie, zadane chłodnym tonem, następuje natychmiast, jak wystrzał z karabinu:

– Jak wielu ma zwolenników?

– Przynajmniej jedna trzecia z nas go popiera – odpowiadam.

Dobrze robisz, powtarzam sobie w duchu, choć dzielenie się z nią tą informacją we mnie samym wywołuje wstręt.

– Teraz pewnie jeszcze więcej. Po twojej ucieczce i śmierci tamtego chłopaka.

– Potrzebne mi nazwiska – żąda zdecydowanym tonem.

– Żadnych nazwisk.

– Jeśli będziemy wiedzieli, kogo szukamy, być może dotrzemy do nich, zanim...

– Żadnych nazwisk – powtarzam ostrzej. – Jeżeli dopadniecie McBride’a, krzyżyk mu na drogę. Ale dla pozostałych jeszcze nie wszystko stracone.

Jubilee powoli wypuszcza powietrze.

– Boże, Cormac. To wszystko... Po co mi to mówisz? Wiesz, że jeśli przygotowujemy się na atak, twoi ludzie tego nie przeżyją.

Wyrzuty sumienia wykręcają mi żołądek.

– McBride będzie szedł od strony miasta, ale jeszcze nie dzisiaj. Zorganizowanie akcji zajmie mu trochę czasu, więc zdążycie wzmocnić ochronę, wypuścić więcej patroli, zabezpieczyć koszary tak, żeby to było widoczne. Jeśli zobaczy, że się go spodziewacie, nie będzie ryzykował. Chce się bić, ale nie jest samobójcą.

Jubilee milczy, przesywając mnie długim, poważnym spojrzeniem. Potem opuszcza podbródek i przymyka powieki.

– Sprytnie – przyznaje, ocierając czoło. – Ktoś wie, że tu jesteś?

– No coś ty – odpowiadam.

Usiłuję nadrobić beztróskim tonem, ale w ciszy i ciemności brzmi to po prostu słabo. To właśnie o tę słabość oskarża mnie McBride.

– Ja też nie jestem samobójcą.

Ze zdumieniem zauważam, że kącik jej ust unosi się niemal niedostrzegalnie w leciuteńkim uśmiechu, który jednak znika ułamek sekundy później. Jubilee bierze szybki oddech.

– Pogadam z komendant na temat zabezpieczeń, ale ty powinieneś już wracać.

Waham się przez moment, z ciężkim sercem.

– Nie przyszedłem tylko po to, żeby cię ostrzec. Jubilee...

– Lee – poprawia mnie ostro.

– Tylko kiedy jesteś żołnierzem – odpowiadam cicho. – Miałem nadzieję, że dziś będziesz kimś innym.

Podnoszę na nią wzrok i widzę, że marszczy brwi. Nie mam jednak wyboru, więc brnę dalej:

– Słuchaj – zaczynam powoli – musisz pogadać z żołnierzami. Musicie pójść na jakieś ustępstwo, naprawdę może być drobne. Żebym mógł powiedzieć: „Widzicie, jednak chcą z nami rozmawiać”. W przeciwnym razie coraz więcej ludzi będzie popierało McBride’a.

– Cormac – odzywa się Jubilee, jest zniecierpliwiona. – Nawet gdyby to było w mojej mocy, nie zrobiłabym tego, nie teraz. Wszystkie nasze działania skądś się biorą. Staramy się uniknąć prawdziwego niebezpieczeństwa. Te przepisy mają was chronić w tym samym stopniu co nas.

– Zamykanie szkół? Ograniczanie dostępu do leczenia? Odcięcie od holowizji?

– To akurat nie my – odpowiada mi natychmiast. – Atmosfera Avonu zakłóca sygnały.

– Ale to wy zmieniliście kody dostępu do wszystkich satelitów

wzmacniających TerraDynu. W tej chwili jesteśmy całkowicie odcięci. To właśnie mógłby być ten drobiazg. Nie mówię o programach informacyjnych, ale filmy, audycje edukacyjne... Jakies okno na świat, żebyśmy mogli pokazać naszym dzieciom, że nie wszędzie jest tak samo.

Jubilee zaciska palce na kolbie pistoletu.

– Wiesz, jak to zorganizowano dziesięć lat temu na Weronie? Bardzo sprytnie. Wykorzystano program dla dzieci nadawany w całej galaktyce. Zaszifrowane wiadomości w ustach animowanych mitycznych stworów.

– Ja nawet nie wiem, gdzie jest Werona – odpowiadam. – Karzecie nas za coś, co się wydarzyło dekadę temu i lata świetlne stąd. Nie mamy tu słońca, gwiazd, jedzenia ani leków, żadnych rozrywek, żadnej odskoczni, w dodatku nikt nie chce nam powiedzieć, czy to się kiedykolwiek zmieni. To jak strzelanie z armaty do wróbla.

– Do wróbla? – rzuca z wściekłością Jubilee, widać, że z trudem nad sobą panuje. – Do tego twoim zdaniem sprowadza się największa wojna ostatniego wieku? Rebelianci wybrali sobie slumsy Werony, gdzie panowały największy tłok i ścisk. Żeby było jak najwięcej ofiar. Przeszmuglowali tam broń, radioaktywne bomby, co tylko sobie możesz wyobrazić. Kiedy wybuchło powstanie, wszystkie miasta, od November po Sierre, stanęły w ogniu, zanim się ktokolwiek zorientował. Ci, których nie zabili rebelianci, zginęli z rąk szabrowników. Tysiące. Dziesiątki tysięcy ludzi. Oni już nie mają głosu.

Czuję się, jakby coś naciskało mi na klatkę piersiową i nie pozwalało zaczerpnąć tchu. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić tak wielkiego miasta trawionego ogniem, a co dopiero kilku naraz.

Jubilee czeka na moją reakcję, a gdy ta nie następuje, lekko potrząsa głową i mówi:

– Te wszystkie regulacje mają przyczynę. Być może niektóre są zbyt surowe, nie mnie o tym sądzić. Ale jeśli składając przysięgę i strzegąc prawa, nawet za wszelką cenę, ocalisz choć jedną małą dziewczynkę przed utratą rodziców... – mówiąc to, przełyka ślinę – nie uważasz, że warto?

Słowa o sprawiedliwości i ochronie ludzkiego życia słyszane z ust *trotaire* przyprawiają mnie o migrenę. McBride z pewnością uznałby, że Jubilee po prostu kłamie. Sean stwierdziłby, że ma klapki na oczach. Ja sam, patrząc na nią w półmroku pokoju, nie wiem, co mam myśleć. Wiem jedno: ból kryjący się w jej opowieści jest równie głęboki jak nasz.

Dziewczyna milknie i jej twarz stopniowo odzyskuje zwykły, chłodny wyraz, do którego wszyscy są przyzwyczajeni. Tymczasem w mojej głowie powoli formuje się przerażające odkrycie.

– Skąd pochodzisz, Jubilee? Z jakiej planety?

Nie odpowiada od razu, a kiedy wreszcie się odzywa, jest dziwnie

nieobecna:

– Z Werony. Moje rodzinne miasto nazywało się November.

Przez dłuższą chwilę ciszę zakłócają tylko odgłosy zza okna – startujące i lądujące w oddali wahadłowce, przechadzający się tam i z powrotem ludzie, słabe dźwięki muzyki z jednego z baraków. Czuję, że zaczynam trochę lepiej rozumieć siedzącą przede mną dziewczynę, jej dzikiego ducha, gniew skrywany pod kamienną maską. Moja siostra oszalałaby na jej punkcie.

No nie, reflektuję się. Orla najchętniej powiesiłaby ją ku przestrodze. Ale gdyby Jubilee urodziła się jako jedna z nas, byłyby wielkimi przyjaciółkami.

Jeszcze raz zerkam na fotografię na stoliku. Sam nie mam choćby jednego zdjęcia siostry, tylko zamazane wspomnienia jej śmiechu i ciemnego warkocza przerzuconego przez ramię. Pamiętam drobiazgi, na przykład to, jak wiązała buty. I rzeczy dużo większe i straszniejsze, na przykład jej twarz, kiedy zegnała się ze mną dzień przed egzekucją. Ale to nie wystarczy. To zawsze będzie za mało.

Wreszcie Jubilee przerywa milczenie:

– Nie powiedziałam im o tobie.

Te słowa brzmią tak, jakby ją samą przyprawiały o mdłości, drażniły, szokowały. A jednak jej wierzę. Usiłuję się trzymać złości i desperacji, które mnie tu przywiodły, ale coraz trudniej mi uważać ją za wroga.

– Dlaczego?

Zerka na mnie, w jej oczach przelotnie odbija się światło latarni za oknem. Po chwili odwraca wzrok.

– Nie wiem – stwierdza i kurczowo ściska róg koca, zdradzając wewnętrzne rozdarcie, którego nie słyhać w jej spokojnym głosie. – Bo gdyby twoi ludzie cię słuchali, nie zastawialiby pułapek na trasach naszych patroli. Bo gdyby cię aresztowano, być może zaczęliby ich zastawiać jeszcze więcej.

Mam ochotę dotknąć jej zaciśniętej dłoni o zbieleiałych kostkach. Elokwencja mnie zawodzi, nie mam słów, by opisać absurd tej sytuacji – siedzę w środku nocy na łóżku żołnierki i marzę o tym, by jej dotknąć. Przyglądam się jej dłoni, bo nie ufam sobie na tyle, żeby spojrzeć jej w twarz.

O dziwo, gdy się odzywam, mój głos brzmi spokojnie:

– Właśnie dlatego tak się boję śmierci. Bo wiem, co się stanie, kiedy mnie zabraknie.

Jubilee jeszcze mocniej zaciska palce na kocu, a ja wypuszczam powietrze z płuc. Słowa płyną do mnie z jakichś ukrytych głębin, nawet Sean nigdy ich nie słyszał.

– A obawiam się, że zginę wcześniej, niżbym chciał.

Jubilee długo milczy, zaczynam podejrzewać, że mnie nie słyszała. W końcu jednak odzywa się ledwo słyszalnie:

– Ja też.

Przygląda mi się bacznie brązowymi oczami. Drzemiąca w nich empatia powinna być dla mnie niezrozumiała, przecież jesteśmy wrogami. Ale nie jest.

– Czemu nie dopadła cię furia? – wymyka mi się pytanie. – Co z twoimi snami?

Jubilee spuszcza wzrok, ma napięte ramiona i drżący podbródek.

– Ja nie mam snów.

– Mówiłaś, że prędzej czy później zdarza się to tu każdemu.

– Nic mi się nie śni, Cormac. W ogóle. Odkąd na Weronie zabito moich rodziców. W bazie szkoleniowej przebadali mnie od stóp do głów, byli pewni, że śnię, tylko tego nie pamiętam, ale ich aparatura dowiodła, że nie. Po prostu.

– Wszyscy śnimy, Jubilee. W przeciwnym razie byśmy powariowali.

– Niektórzy tutaj mają pewną teorię – odpowiada podejrzenie lekko, z uśmiechem, którego nie widać w jej oczach. – Twierdzą, że nie mam snów z tego samego powodu, z którego nie ima się mnie furia. Zaczęło się w żartach, ale to równie dobra teoria jak każda inna. Mówią, że nie mam duszy. Że to miejsce mnie nie złamało, bo nie mam serca, które można by złamać.

We wpadającym przez okno słabym świetle latarni widzę zarys jej twarzy, wydatne kości policzkowe i zaciśnięte usta.

– Dobra, dobra – mówię cicho. – Wiesz, że to nieprawda. Oboje wiemy.

Nie odpowiada od razu, wpatrzona w nasze dłonie na kocu, które dzieli tylko kilka centymetrów. W ciszy słyszę słabnący stukot deszczu o dach.

– Nie możesz tego wiedzieć – szepcze, wciąż na mnie nie patrząc. – Co możesz wiedzieć o duszach i sercach, i jak się je tutaj łamie? W ogóle mnie nie znasz.

– Jubilee...

Nie potrafię się powstrzymać i zbliżam dłoń do jej dłoni. Nie cofa się, ale i nie podnosi wzroku, tylko obserwuje, jak splatam jej palce z moimi.

– Serca i dusze, i jak je łamać? To jedyne, czego można się nauczyć na Avonie.

Słowa już nie wystarczą.

To głupie, złe i jeszcze milion innych określeń przebiega mi przez głowę. Mimo to wyciągam rękę. Przesuwam palcami po jej skroni i wzdłuż policzka. Ciężar, który noszę głęboko w sercu, nieznacznie ustępuje, gdy napotykam gładką skórę, wciąż ciepłą od snu. To coś, do czego wcześniej sam przed sobą nie umiałem się przyznać: ani kiedy po raz pierwszy ujrzałem ją u Molly'ego, ani gdy opatrywałem jej rany, ani kiedy rozmawialiśmy w ciszy jaskini *fianna*. Skoro jednak nasze życie i tak zaraz się skończy – jeśli jutrzejszy dzień przyniesie wojnę, śmierć i chaos – to ta prawda, która właśnie się wydarzyła, jest wszystkim, co mam.

Jubilee tkwi w bezruchu do momentu, gdy dotykam jej podbródka. Nagle

podnosi rękę i chwytą mnie za nadgarstek, jakby chciała go odepchnąć.

Ale tego nie robi. Jej palce są ciepłe, serce bije tak szybko, że czuję trzepotanie pulsu w opuszcze jej kciuka. Zamiera i przygląda mi się brązowymi oczami. Choć otacza nas półmrok, dostrzegam w nich wewnętrzną walkę. Czuję ją jak swoją własną, bo to jest również moja walka.

Trotaire. Fianna. Oboje jesteśmy wojownikami – zmęczonymi wojną.

– A właśnie, że cię znam – szepczę i w ciemności słyszę, jak wstrzymuje oddech.

Nachylam się, przyciąga mnie jej ciepło. Ona też zmienia pozycję, unosi brodę. Nasze nieznaczne ruchy i subtelne gesty przyzwolenia podkreślają wahanie. Ale wtedy muskam ustami jej usta i wszystko rozplywa się w deszczu i ciszy.

Nagle jej dłoń zaciska się na moim nadgarstku i zaczyna mnie odpychać.

– Wynoś się – mamrocze, a w jej oczach płonie nieustępliwość.

Wypełniająca ją ciepło stopniowo przeradza się w gniew.

– Słucham? – opieram się o ułamek sekundy za długo, usiłując zebrać rozproszone myśli.

– Idź, Cormac. No już.

– Jubilee...

Nie pozwala mi skończyć. Podnosi drugą rękę i wciska mi w pierś lufę pistoletu. Z potarganymi włosami i w podkoszulku w niczym nie przypomina Niewzruszonej Chase, a mimo to nie rozluźnia zaciśniętych na kolbie palców.

– Powiedziałam: wyjdź!

Odsuwam się powoli i trzymając ręce na widoku, wstaję z łóżka.

– Jubilee, proszę. Musimy porozmawiać, chodzi o przyszłość rozejmu, o Avon.

Wiem, co jeszcze powinienem powiedzieć: przepraszam. Ale nie żałuję. Choć nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje, nie chcę za to przepraszać. To pierwsza rzecz od miesiący, której jestem zupełnie pewien.

– Porozmawiać? – pyta, choć wciąż dzieli nas wycelowany we mnie gleidel. – Nie będzie żadnej rozmowy. Wracaj do domu, Cormac. Nic tu po tobie. Wynoś się i daj mi robić, co do mnie należy.

Słyszając jej lodowaty ton, trudno uwierzyć, że jeszcze przed chwilą mój dotyk wyzwolił w niej ciepło.

Cofam się do okna.

– Nie rób tego. Potrzebuję cię. Razem mamy szansę to wszystko powstrzymać.

Ale znów stoi przede mną urodzony żołnierz.

– Jeżeli chciałeś zyskać współnika, trzeba było wybrać kogoś innego. Ja nie wchodzę w konszachty z rebeliantami. Idź już, Cormac – mówi i ciężko przełyka ślinę. – Proszę.

Ostatnie słowo to apel, nie rozkaz, i tym mnie pokonuje.

– Czyste niebo – szepczę.

Niezgoda na utratę nadziei. Marzenie o tym, co niemożliwe.

Patrzy, jak podchodzę do okna i kiedy oglądam się po raz ostatni, wciąż trzyma pistolet w wyciągniętej ręce.

Dziewczynka śni o swoim pierwszym locie. Wraz z nią na pokładzie wahadłowca znajdują się dziesiątki innych osieroconych przez wojnę dzieci. Niektóre płaczą ze strachu, inne dodają sobie otuchy rozmową, kilkoro się śmieje.

Ucisza je ryk silnika. Dopiero gdy wychodzą z atmosfery Werony i ryk przechodzi w szum, do dziewczynki znów docierają ich głosy. Dzieci wydają zduszone okrzyki, zdumione tym, jak ich ręce i nogi dryfują w powietrzu, i tylko pasy bezpieczeństwa trzymają je w fotelach.

Dziewczynka wygląda przez szybę, za którą łagodny, znajomy błękit nieba ginie w ciemnościach. Pokazują się gwiazdy – najpierw powoli, po jednej, a potem nagle wszystkie naraz rozbłyskują jak diamenty, a każda z nich to nowy, nieodkryty świat. Ale choć patrzy i patrzy, nic nie czuje. Jak to możliwe? Kiedyś chciała zostać odkrywczynią, nurkować w głębinach i zdobywać szczyty, chciała podróżować do gwiazd. Ale tamtej dziewczynki już nie ma. Zginęła wraz z rodzicami w sklepiku w slumsach miasta November. Nie ma już duszy, którą można by zranić.

Opuszcza zasłonę.

JUBILEE

Trzymam wycelowany w okno gleidel jeszcze przez dobrą minutę. Nie mam pojęcia czemu – nie strzeliłabym do Cormaca, oboje o tym wiemy. Może po prostu muszę sobie przypomnieć, kim jestem i kim on jest, i jak powinny wyglądać sprawy między nami. Że za każdym razem ma nas dzielić lufa wyciągniętej broni.

Serce wali mi szaleńczo, jak po musztrze, tak mocno, że aż boli. Jak on śmiał? Jak mógł być tak głupi, żeby wracać tu po incydencie w mieście? Owszem, nie podałam dowódczyni jego rysopisu, ale tamtej nocy w barze siedziała cała zgraja żołnierzy, którzy rozpoznaliby go bez najmniejszego problemu.

Upuszczam pistolet na koc, z trudem rozluźniając zeszywniałe palce. Za mocno go ściszałam. Poniosły mnie emocje. Krzywiąc się, wstaję i sięgam po zawieszoną na oparciu krzesła manierkę.

Co on sobie myślał? Że padnę mu w ramiona? Że zostaniemy tragicznymi kochankami rozdzielonymi przez dramatyczne okoliczności na targanej wojną planecie?

Powinnam mu była powiedzieć o znalezionym na wyspie identyfikatorze. To dowód, że nie oszalał, że na ziemi niczyjej rzeczywiście coś było. I choć nie wierzę w jego teorię spiskową, to jednak w tym, co mówi, jest trochę racji. Problem w tym, że w chwili, gdy to przyznam, związę nas ze sobą jeszcze mocniej. Cormac będzie miał powód, by dalej narażać nas oboje na niebezpieczeństwo za sprawą absurdałnego pomysłu, że jesteśmy po tej samej stronie konfliktu, że kiedykolwiek moglibyśmy się stać sojusznikami.

Upijam długi łyk wody z manierki i nagle czuję, że to nie wystarczy. Ochlapuję twarz, zaczynam szorować dłońmi policzki, oczy i usta. Pragnę się uwolnić od jego zapachu, dotyku palców na skórze, łaskoczącego ciepłego oddechu.

Ale w żaden sposób nie potrafię wymazać z pamięci tej pełnej znużenia tęsknoty w jego głosie i tego, jak na mnie patrzył.

Ciskam manierkę na łóżko i wychylam się przez okno. Na zewnątrz nie ma nic, tylko ciemność. Nie widać gwiazd ani księżyców – nie na Avonie. Tylko gęsta czerni rozciąga się w głąb bazy i dalej, na bagna. Przed oczami staje mi fosforyzujące światło rozkwitające zwodniczo w mroku jaskini. Nic dziwnego, że moi żołnierze wierzą w błędne ogniki.

Nagle błyska. Pomarańczowa poświata dochodząca z jakiegoś miejsca poza zasięgiem mojego wzroku odbija się od pobliskich budynków i rozprasza zasłonę deszczu, podświetlając pojedyncze krople.

Ni stąd, ni zowąd jeden z budynków drży w posadach i rozlega się

ogłuszający łoskot. Wciąż dzwoni mi w uszach, kiedy macając na oślep w ciemności, z trudem gramolę się z podłogi. Wybuch.

Pierwsza myśl: Flynn. Mam pustkę w głowie, brak mi sił, by wyobrazić sobie, co się stało, jeśli znalazł się zasięgu eksplozji. Bez namysłu narzucam kombinezon bojowy, chwytam gleidel i buty i pędem ruszam do drzwi. Dopiero kiedy biegnę w kierunku wzbijających się w niebo płomieni po przeciwnej stronie bazy, przychodzi mi do głowy straszna myśl.

Może Cormac wcale nie zna swoich ludzi tak dobrze, jak mu się zdawało. Może właśnie rozpętała się wojna.

Na miejscu panuje chaos. Płoną koszary, a ja nie mogę się uwolnić od myśli o skutkach wybuchu bomby w budynku pełnym śpiących żołnierzy. Odpycham na bok jakiegoś rozhisteryzowanego cywila i podbiegam bliżej.

Połowa baraku legła w gruzach, z drugiej buchają płomienie. Zaczynam się krztusić piekącym smrodem palonego plastenu i polimerowych desek. Rozpinam kombinezon i wydieram z koszulki pasek materiału szerokości dłoni, by owinąć nim nos i usta. Wokół leżą ciała ludzi, którzy w czasie eksplozji znaleźli się nieopodal. Żołądek ściska mi się boleśnie, ale nie mam czasu sprawdzać, kto zginął. W ostrym blasku ognia nie sposób stwierdzić, czy Cormac jest wśród ofiar.

Na razie niewielu tu dotarło. Służyłam kiedyś w oddziale ratunkowym i weszło mi to w krew, ale nie u każdego pierwszym odruchem będzie pobiec w stronę wybuchu. Nie widzę w pobliżu innych oficerów poza jednym oszołomionym porucznikiem z rękawem nasiąkniętym krwią. Nie mam teraz czasu się nim zająć.

Z budynku obok wysypuje się tłum dezorientowanych, przerażonych ludzi. Żadnego celu, żadnego porządku. Niech to szlag. Świeżaki. Ci na górze myślą, że wysyłają tu wyszkolonych żołnierzy, ale kilka miesięcy na przyjemnym, bezpiecznym poligonie nie przygotowuje nikogo do życia na tej przeklętej planecie.

– Tutaj! – wołam, przekrzykując huk pożaru.

Tylko kilka głów odwraca się w moim kierunku, podbiegam więc bliżej.

– Sześć grup – krzyczę i rozpycham łokciami otumanioną gromadę. – Ty i ty... tak, ty, później włożycie spodnie. Przynieście gaśnice. Przecież was szkolili! Słuchaj, patrz na mnie. Biegiem do koszar, chwytaj gaśnice i wracać. Już!

Są w takim szoku, że boją się mnie bardziej niż tego, co rozgrywa się za ich plecami. Ruszają pędem do baraku, jakby ich goniło stado dzikich psów.

Tymczasem rozdzielam pozostałych na drużyny ratunkowe i w miarę jak deszcz i gaśnice torują nam drogę, wchodzimy do części budynku najdalej od eksplozji, gdzie płomienie sięgają najniżej.

Następujące później chwile giną w morzu dymu i żaru. Wyciągamy z budynku kolejne ofiary. Niektóre wiercą się i zanoszą kaszlem, inne leżą nieruchomo, lepkie od krwi. Mniej więcej co dziesięć minut kilkoro z nas wybiega

na zewnątrz zaczerpnąć kilka haustów skażonego powietrza, jednak za każdym razem trudniej złapać oddech. Przybyłe w międzyczasie oddziały strażackie walczą z ogniem przy użyciu szlauchów i chemikaliów, które pieką w oczy prawie tak samo jak dym.

Kiedy po raz czwarty albo piąty wyłaniam się na zewnątrz, ktoś szarpie mnie za ramię.

– Pani kapitan! – krzyczy mi do ucha major Jameson. – Dość!

Kiwam głową, dym w płucach sprawia, że nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa. Jak dobrze wiedzieć, że ktoś wyższy stopniem, prawdziwy dowódca, przejął kontrolę. Potrzebuję tylko kilku minut, by odzyskać równowagę, i mogę ponownie włączyć się do akcji, tym razem jako szeregowy członek ekipy ratunkowej.

Ale kiedy staję na nogi, Jameson ciągnie mnie przez rozdeptane błoto i wpycha prosto w ręce czekającego z boku lekarza, po czym znika w chmurze dymu.

– Już wystarczy – krzyczy medyk.

Choć go słyszę, jego słowa do mnie nie docierają. Mężczyzna marszczy brwi, wciska mi w ręce maskę tlenową i wraca do bardziej potrzebujących. Dopiero wtedy uświadamiam sobie, że zorganizowane przeze mnie naprędce oddziały zastąpiono nowymi. Dostrzegam kilkoro mieszkańców sąsiedniego baraku, którzy kulą się z boku pod kocami, przyciskając do twarzy maski.

Odwijam brudny skrawek materiału, przykładam aparat do nosa i zaciągam się świeżym powietrzem. Po dłuższej chwili zrywam się na nogi, zbyt gwałtownie, i zataczam oszłomiona nagłym dopływem tlenu. Mimo to udaje mi się odzyskać równowagę i po raz ostatni zaczerpnąwszy życiodajnej mieszanki, ruszam w kierunku miejsca, gdzie zwijają się jak w ukropie ratownicy medyczni.

Wszędzie wokół widać ciała na noszach. Żywi transportowani są do szpitala na intensywną terapię, ofiary śmiertelne zaś do prowizorycznej kostnicy, czyli po prostu na skrawek ziemi, gdzie ułożone obok siebie zwłoki przykryto płachtami prześcieradeł. Cofam się, by przepuścić grupę ratowników niosących poważnie rannego mężczyznę. Jest tak mocno poparzony, że nie sposób stwierdzić, gdzie kończy się zwęglona skóra, a zaczyna ubranie. O dziwo, mężczyzna nie krzyczy. Wpatruje się w puste nocne niebo szeroko otwartymi oczami. Nasze spojrzenia spotykają się na ułamek sekundy. Nie znam go. Ogarnia mnie gwałtowna ulga, która po chwili przeradza się w uczucie mdłości. Ten człowiek jest czyimś towarzyszem broni, czyimś przyjacielem. To, że nie należy do mojego plutonu, nie powinno mieć dla mnie znaczenia.

Przepycham się przez tłum rannych, przyglądając się badawczo każdej twarzy. Odnajduję wśród nich kilkoro swoich ludzi. Na razie żadne z nich nie jest w stanie krytycznym. Pot splywa mi po skroniach i plecach, unoszący się w powietrzu lepki pył osiada na twarzy. Pożar powoli dogorywa, ale ktoś ustawił

wokół reflektory, więc choć płomienie gasną, ciemność nocy nadal nie ma tu wstępu. Świerzbi mnie, by wrócić do budynku, którego konstrukcja zaczyna trzeszczeć pod ciężarem wody i proszków gaśniczych. Długo nie postoi i potrzebna jest każda para rąk, by ewakuować rannych, zanim wszystko runie.

Nigdzie nie widzę lekarza, który odsunął mnie od akcji. Ruszywszy w stronę płomieni, przepuszczam kolejne nosze. Zerkam na rozciągniętego na nich człowieka i świat zatrzymuje się na chwilę, która wydaje się wiecznością.

– Pani kapitan, musimy...

– Gdzie go znaleźliście? – rzucam gwałtownie, patrząc na twarz Cormaca, ledwie widoczną spod maski z tlenem.

– Tam, po drugiej stronie.

– Diagnoza?

– Wstrząs mózgu, trochę dymu w płucach. Przeżyje.

Znikają, a Cormac wraz z nimi.

A więc był tu. Był na miejscu wybuchu. Czy możliwe, że wiedział, co się wydarzy?

Nie mam jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać, ponieważ moją uwagę przyciąga coś innego. Reflektory rozproszyły tępą pomarańczową lunę, nasycając wszystko rozżarzoną czerwienią. Zaczynam widzieć kolory. I wtedy właśnie na skraju skupiska ciał zauważam wyzierającą spod prześcieradła jaskraworóżową plamkę.

Mięśnie reagują szybciej niż mózg. Ruszam przed siebie, nie zważając na pieczenie w płucach i roztrzęsione nogi, a gdy biegnę, cały świat zawęża się to tego maleńkiego przebłyску koloru. To jakaś pomyłka. On żyje. Przecież to się zdarza notorycznie – podczas identyfikacji ciał na polu bitwy ktoś wstaje i odchodzi na własnych nogach.

Muszę go przenieść do szpitala.

Ślizgając się w błocie, rzucam się ku Alexiemu i zdzieram z niego prześcieradło. Chłopak patrzy w niebo, jedno oko ma zbieleiałe i zamglone, osadzone w pokancerowanej, zwęglonej skórze. Druga część twarzy pozostała nietknięta, niemal anielsko spokojna i równie piękna jak w chwili, gdy go pierwszy raz ujrzałam.

Przesuwam dłońmi nad jego twarzą i szyją, zdjęta absurdalnym pragnieniem wygładzenia pomarszczonej od poparzeń skóry. Nagle jakby dotarł do mnie bolesną falą jego głos: „Nie chciałbym umrzeć, tak wyglądając”. Przeczესuję palcami pokryte pyłem różowe włosy, żeby oczyścić je z grudek błota.

Wciąż usiłuję doprowadzić go do porządku, gdy czyjaś dłoń zaciska się na moim ramieniu i zaczyna mnie odciągać od ciała. Opieram się z wrzaskiem, usiłując się uwolnić. Jakieś głosy krzyczą mi do ucha, ale ich nie słyszę. Wtedy cios w szczękę sprawia, że świat wiruje, a ja zwałam się na ziemię. Gwałtownie

łykam powietrze, pluję śliną wymieszaną z krwią i zanoszę się kaszlem. Mój umysł dopiero teraz rejestruje ból w przeżartych dymem płucach.

Tym razem dotyk dłoni jest delikatniejszy. Podnoszę głowę. Stoi nade mną komendant Towers. Jasne strąki włosów ma byle jak związane na karku, mundur – wymięty i przepocony. Zaczerwieniona dłoń krwawi w miejscu, które spotkało się z moją żuchwą.

– Weź się w garść, Chase! – krzyczy, chwytając mnie za ramiona, a jej twarz jest tylko kilka centymetrów od mojej. – Odejdź stąd.

– Ale ja muszę...

– To rozkaz! – mówi, a jej głos jest prawie tak samo szorstki i ochrypły jak mój. – Bo postawię cię przed sądem polowym! Zrozumiano? Zrobiłaś swoje, pewnie obwieszają cię za to orderami, o ile ma to jakiegokolwiek znaczenie, ale teraz wynocha!

Gapię się na nią oszołomiona zawrotami głowy. Wreszcie potakuję i wstajemy razem, ślizgając się w błocie. Potykam się, zamroczona, i odchodzę, a ona wraca do swoich zajęć.

Przed oczami znów błyska mi zdeformowana twarz Alexiego, ale nie mogę teraz o nim myśleć. Wiem, kim muszę się zająć w następnej kolejności. „Wstrząs mózgu, trochę dymu w płucach. Przeżyje”.

Z tak drobnymi obrażeniami Flynn z pewnością nie wylądował w szpitalu, lecz w prowizorycznym lazarecie. Splunąwszy mieszanką błota, żółci i krwi, ocieram twarz rękawem. Śmierdzą potem, sadzą i śmiercią, ale to nie ma znaczenia.

Jeżeli okaże się, że Cormac o wszystkim wiedział, że siedział uśmiechnięty obok mnie i dotykał mojego policzka, by dać rebeliantom czas na przedostanie się do bazy – to sama go zabiję.

Dziewczynka śni o duchach Werony. Pamięta je, ale jedynie przez sen, ponieważ tylko małe dzieci wierzą w duchy.

Jest w szkole. Nauczycielka, wysoka, smukła kobieta o jasnych włosach spiętych w koczek, usiłuje zwrócić na siebie uwagę uczniów, przekrzykując wycie syren, warkot dronów, a nawet pojedynczy odległy trzask eksplozji. W końcu daje za wygraną, odkłada czytnik i włącza projekcję na frontowej ścianie.

– Myślę, że na dzisiaj wystarczy – mówi.

Ściąga usta, popatrując na zegar.

– Chcecie porozmawiać o tym, co się dzieje?

Dziewczynka spogląda w okno. Przez chwilę wydaje jej się, że widzi swoje odbicie, ale potem obraz się porusza, przeistacza w małą świetlną kulkę, widoczną tylko dlatego, że okno spowite jest cieniem. Kulka odskakuje, wraca i znów odskakuje, jakby na nią czekała.

Siedzący z tyłu zielonooki chłopiec nachyla się i szepcze:

– Nie idź za nim. Chce cię zwabić na bagna.

Duch podskakuje w miejscu i czmycha. Kilka minut później w sąsiednim kwartale wybucha pożar i dziewczynkę wraz z resztą dzieci prowadzą w bezpieczne miejsce.

FLYNN

Unoszę sklezione powieki. Światło razi jak ostrze noża, więc z powrotem zamykam oczy i czekam, aż nieznośne pulsowanie zelżeje.

Za drugim razem jest nieco lepiej. Brudnoszary sufit powoli nabiera ostrości i natychmiast uświadamiam sobie, że nie jestem w domu, gdzie wszystkie sufity wykute są w skale. Do moich uszu dochodzi przenikliwe, miarowe pikanie, ale dopiero po dłuższej chwili ustaliam ich źródło – monitor aparatu medycznego.

Lekko odwracam głowę, ale świetlne fajerwerki zmuszają mnie do ponownego zamknięcia oczu. Jakiś przedmiot przyczepiony do ust i nosa utrudnia mi oddychanie. Wyciągam rękę i wyczuwam pod palcami miękki plastik. Kiedy go odrywam, natychmiast zaczynam się krztusić. Czyjaś dłoń dotyka mojej i z powrotem przyciska maskę.

Kiedy znów uchylam powieki, widzę nad sobą Jubilee. Jest brudna i potargana, twarz pokrywają jej czarne smugi, a oczy błyszczą gniewnie. Warstwa błota i sadzy tłumi tępy, półmetaliczny odblask bojowego munduru.

– Wiedziałeś o wszystkim? – syczy. – Przysięgam na Boga, że cię zamorduję.

Wpatruję się w nią, rozpaczliwie usiłując zrozumieć, o co jej chodzi, ale czuję się, jakbym brodził po pas w grząskim bagnie.

– Co się stało? – pytam.

Jubilee odchyła maskę, żeby ułatwić mi mówienie. Zachłystuję się oddechem, z pokierszowanego gardła dobywa się świst, przelyk kurczy się boleśnie i zanoszę się niekontrolowanym kaszlem. Przed oczami stają mi czarne plamy i rozlewają się coraz szerzej. Walczę o tlen, a krew gwałtownie pulsuje mi w skroniach.

Dziewczyna z powrotem opuszcza maskę i przytrzymuje, aż atak paniki mija. Mrugam, by powstrzymać łzy.

– Któryś z rebeliantów dostał się do bazy – odpowiada lodowatym, pełnym wściekłości tonem. – Podłożył bombę w koszarach Bravo, kiedy wszyscy spali. Zginęło ponad trzydzieścioro żołnierzy – dodając to, nachyla się i nieruchomo spogląda mi prosto w oczy. – Wtedy, kiedy z tobą rozmawiałam.

Jej słowa przyprawiają mnie o fizyczny szok, fala adrenaliny spływa żyłami w dół ramion, aż cierpną mi palce.

– O Boże... – odzywam się, a plastikowa maska połyka moje słowa. – Nie... Nie miałem pojęcia. Przecież wiesz, że nigdy bym...

Jubilee wciąż wpatruje się we mnie surowo. Niewzruszona Chase, absolutnie bezwzględna. Smugi sadzy i pyłu na jej twarzy przypominają barwy wojenne.

Przez chwilę mam wrażenie, że wyciągnie broń i zastrzeli mnie tu i teraz, tak wyraźna jest malująca się w jej rysach udręka. W końcu powoli wypuszcza powietrze, zwiesza głowę i już wiem, że mi wierzy.

– Nawdychałeś się dymu i masz wstrząs mózgu, ale pewnie lekarze nie zbadali cię zbyt dokładnie. Coś jeszcze cię boli?

Przesuwa ręką po moim ramieniu. Podskakuję.

– Chyba nie.

Boli mnie wszystko, a jedyne, na co mam ochotę, to zamknąć oczy i odpłynąć. To musiał być McBride albo któryś z jego zbirów. Wszystko wymyka mi się spod kontroli i nie mam pojęcia, co robić, żeby wyprowadzić Avon na prostą.

Udaje mi się odwrócić głowę i omiatam wzrokiem pomieszczenie.

– Chyba nie powinno mnie tu być, kiedy wszyscy się obudzą – charczę.

Ktoś rozciął mi koszulę i przymocował do piersi elektrody. W pikaniu aparatu obok łóżka słyszę rytm własnego serca.

Jubilee potrząsa głową, przesuwając palcami po mojej nodze i obmacując bok, by sprawdzić stan żeber. Zaledwie kilka dni temu robiłem dla niej to samo. Czy każde nasze spotkanie musi się kończyć tym, że jedno ląduje w szpitalu?

– Nikt tutaj nie wie, kim jesteś – odpowiada. – Pamiętaj, że miałeś na sobie mundur.

Wysuwa podbródek i już wiem, że to kolejna zadra, kolejny grzech, którego nie ma zamiaru mi wybaczyć.

– Muszę się stąd wydostać – mówię i odciągam maskę, żeby mnie lepiej słyszała. – Muszę ich powstrzymać, inaczej będzie jeszcze gorzej.

Jubilee sięga po butelkę i przechyla ją tak, żebym sięgnął ustami wbudowanej słomki. Każdy łyk pali mnie w gardle.

– Pij, to ci pomoże. Jak tylko nabierzesz sił, jakoś cię stąd wyciągnę.

Odkłada butelkę i sięga po leżący na półce nad moją głową plaster. Zakleja mi przedramię, żeby ukryć genotag. Zamieram. Co bym powiedział, gdyby ktoś postanowił go zeskanować?

Nie patrząc na mnie, z posępną miną wygładza plaster i wstaje.

– Muszę iść. Jeśli ktoś się obudzi, mów, że jesteś z Patrona. Wczoraj przyjechał stamtąd nowy transport, nikt ich tu jeszcze nie zna.

Odwraca się i wychodzi, już nie jak dawniej, sprężystym, pewnym krokiem, ale ze znużeniem powłócząc nogami. Nawet zamknięta w celi, poturbowana, zakrwawiona i związana nie straciła stalowego charakteru – teraz się garbi i chowa dłonie do kieszeni, żeby powstrzymać ich drżenie. Dobrze wiem, co wysysa z niej energię, ponieważ dręczy mnie to samo.

Przeegraliśmy. Rozejm dobiegł końca.

Znów jest przy mnie, kiedy budzę się po nocy spędzonej na krztuszeniu się

słodkim, gęstym płynem, który na szczęście zaczyna koić ból poparzonego gardła. Kiedy nie zanosilem się kaszlem, udawałem, że śpię, żeby uniknąć niewygodnych pytań. Cały czas myślałem o Seanie i wyobrażałem sobie, jak się o mnie martwi, jak tłumaczy pozostałym moją nieobecność i chodzi nerwowo tam i z powrotem, coraz bardziej spanikowany. Pozostaje mi tylko wierzyć, że nie dzieje się nic gorszego. Bo jeśli wysadzenie koszar było pierwszą salwą McBride'a, to oznacza, że na bagnach właśnie zaczęła się wojna.

Uniform Jubilee sprawia, że nie jestem w stanie myśleć o niej inaczej niż jak o żołnierce, zwłaszcza że już raz trzymała mnie na muszce. Ona jednak przysunęła sobie plastikowe krzeselko i ułożyła głowę na splecionych na skraju łóżka ramionach. Oczy już mnie nie pieką, jedno z lekarstw, które mi dali, przytłumiło rozsadzający głowę ból na tyle, że gdy spoglądam na Jubilee, otacza ją delikatna świetlna aura. Z tego, co widzę, zdążyła obmyć twarz, choć wzdłuż linii włosów wciąż widnieją czarne smugi. Nadal nie zdjęła brudnego kombinezonu. A więc w bazie wciąż panują podejrzenia, że wybuch był sygnałem do ataku. Zsuwam maskę z tlenem i biorę ostrożny oddech. Jeśli nie będę się zbyt głęboko zaciągał, powinienem poradzić sobie bez wspomagania. Jubilee jest blisko, czuję zapach potu, sadzy i rozpaczy. Mam ochotę wyciągnąć do niej rękę. Po kilkunastu sekundach wyczuwa chyba, że nie śpię, i podnosi głowę.

Mruga, po czym natychmiast przytomnieje. Chrząka.

– Zamachowiec nie żyje – mówi. – Zginął w wybuchu.

Zmuszam się do tego, by oddychać powoli. Ostry smród środka dezynfekującego szczypie mnie w język. To mógł być ktokolwiek z naszego obozu. Modłę się, żeby agresorem nie okazał się ktoś z mojego najbliższego otoczenia.

– Czy to był... – zaczynam ochryplym szeptem.

– McBride? – przerywa mi Jubilee. – Nie. Wprawdzie nigdzie nie ma odcisków palców, ale badanie zębów wykazało, że zamachowcem był człowiek nazwiskiem Quinn. Davin Quinn. Nigdy nie był karany, nawet grzywną czy mandatem. Miastowy.

Milknie, a do mnie powoli dociera waga tych słów. Miastowy. Nie rebeliant ani dotknięty furią żołnierz. Poza tym znałem Davina Quinna, znam jego córkę. Nie jest nawet naszym sympatykiem. Nie ma z nami nic wspólnego.

Tymczasem Jubilee mówi dalej, zdezorientowana i poirytowana:

– Mieliśmy go w systemie tylko dlatego, że kilka miesięcy temu dentysta wyrwał mu ząb. Jakim cudem twoim ludziom udało się wciągnąć w to takiego człowieka?

Choć to idiotyczne, chce mi się śmiać. Wciąż nie wierzę w to, co słyszę.

– Nie udało się. To, że Quinn wysadził to miejsce w powietrze, jest równie prawdopodobne jak teoria, że zrobiłaś to ty. Był w bazie, bo pewnie miał tu po prostu coś do załatwienia. Jestem pewien, że to nie on.

– On – podkreśla Jubilee. Nachyla się bliżej i dodaje ściszym głosem, by nie usłyszał nas nikt na oddziale: – Miał przy sobie detonator. Kamery zarejestrowały, jak rozmawia z jakąś dziewczyną, po czym odwraca się i wchodzi do budynku minutę lub dwie przed wybuchem.

– W takim razie ktoś go zmusił – upieram się. – On ma córkę w moim wieku.

Przed oczami staje mi uśmiechnięta twarz Sofii Quinn z czasów, gdy byliśmy dziećmi. Ciekawe, czy to z nią rozmawiał na nagraniu.

– Nie zrobiłby jej tego. Nie miał żadnych powodów – tłumaczę.

– Mori też nie miała powodu, żeby strzelać do cywila – zauważa cicho Jubilee.

– To był przypadek furii – obstaję przy swoim. – Zupełnie inna sprawa. Twoja podkomendna była z innego świata, a Davin się tutaj urodził. Przecież furia nie dotyka tubylców.

Nagle w duszy kielkuje mi zimny strach. Dawniej w pełni podzielałem powszechne wśród rebeliantów przekonanie, że furia to tylko wymówka stosowana przez *trodairí*, ale gdy Jubilee spojrzała mi w oczy i przysięgła, że tak nie jest, zmieniłem zdanie. Jednak Davin Quinn był człowiekiem miłującym pokój. Nie miał do załatwienia żadnych porachunków – miał córkę, dla której warto było żyć.

– Co do jednego masz rację. To nie była furia. Człowiek, którego dopadnie, chwyta nóż, żeby zadźgać nim swojego przyjaciela albo kogokolwiek, kto się akurat nawinie.

Jubilee mówi szybko i gniewnie. Dopiero zerknąwszy przez ramię na moich nieprzytomnych współlokatorów, nabiera powietrza i zniża głos.

– Skonstruowanie bomby wymaga czasu, namysłu i premedytacji. Furia... jest dzika. Brutalna. Mija równie prędko, jak uderza.

Potrząsam głową i zaciskam zęby.

– On tego nie zrobił z własnej woli. Przysięgłbym na swoje życie. Coś go do tego zmusiło. Albo ktoś.

Jubilee wzdycha zniecierpliwiona, ocierając twarz. Widzę, że coś ją gnębi. A może uwierzyła, że w wydarzeniach zeszłej nocy kryje się jakieś drugie dno?

Po chwili uświadamiam sobie, że przygląda mi się w napięciu. Powoli zaczynam ją poznawać i rozumieć niuanse jej mimiki – wiem, że sprowadziło ją do mnie coś więcej.

– Powiedz, co się dzieje.

Wciąż nie panuję nad mową. Dym, który wciągnąłem w płuca, zmienił mój głos w ochryplą parodię samego siebie.

Jubilee przez chwilę wpatruje się we mnie bacznie brązowymi oczami, po czym skupia wzrok na ścianie za moją głową i dostrzegam w jej rysach jakąś ulotną, ale silną rozterkę. Boję się, że jeśli znów się odezwę, na dobre zamknie się

w sobie, milczę więc i czekam.

– Cormac, zrozum – mówi w końcu. – Jesteś moim wrogiem. Ja nie rozmawiam z rebeliantami.

Rozpina kombinezon, by sięgnąć do kieszeni, i coś z niej wyjmuje.

– Wtedy byłam skupiona na tym, by dostać się z powrotem do bazy...

Urywa gwałtownie i podaje mi tajemniczy przedmiot.

Sięgam po niego bez namysłu, a ona kładzie go na mojej otwartej dłoni.

– Znalazłam to, kiedy zabrałeś mnie na wschód – tłumaczy, unikając mojego spojrzenia. – Do tego ośrodka, którego tam nie było.

Powinienem się wściec, powinienem chcieć jakoś ją ukarać za to, że mnie oszukała. Ale trzymam właśnie w ręku dowód na to, że nie zwariowałem, i nagle ulatuje ze mnie cały gniew. To czip identyfikacyjny, przypominający trochę te, które noszą żołnierze. Z całą pewnością dowodzi, że coś musiało tam kiedyś być. Po jednej stronie dostrzegam elastyczny układ scalony, po drugiej – kod kreskowy. Szkoda, że nie mam skanera.

– Czy to należy do wojska?

Jubilee kręci głową.

– Nasze są nowocześniejsze. Ten jest stary, sprzed jakichś dwudziestu lat.

– Chcesz powiedzieć, że jakimś cudem trafiłem do zabudowań, które stały tam dwadzieścia lat, po czym zniknęły w ciągu kilku godzin?

– Nie wiem – odpowiada i wzrusza ramionami. – Wiem tylko, że choć starsze modele mieszczą mniej informacji, łatwiej je zaszyfrować. Odczytanie tego czipa wymagałoby bardzo konkretnego typu skanera, takiego, którego już nie mamy. A więc nie zdołamy się dowiedzieć, do kogo należał.

– Czemu mówisz mi to akurat teraz?

– Bo to jest to, czego szukałeś. Dowód. A ja go przed tobą ukrywałam.

Przyglądam jej się badawczo, ale znów patrzy w ścianę i nie potrafię rozszyfrować tego, co kryje się w jej oczach.

– Jubilee...

Przerywa mi ruchem głowy.

– Ja też coś tam widziałam, jakiś błysk, wizję, jakby wspomnienie ośrodka, który się tam kiedyś znajdował. Nie wiem, jak to możliwe, skoro zniknął, ale go widziałam.

Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Przenoszę spojrzenie na identyfikator, obracam go w dłoniach, jakby miało mnie to naprowadzić na jakiś trop.

– Czekał... stop! – krzyczy.

Jubilee, zrywa się z krzesła i zaciska palce na moim nadgarstku. Zamieram, ale ona patrzy na czip.

– Odwróć go – mówi.

Robię, co każe, i gdy folia łapie światło, dostrzegam jakiś błysk. Jubilee

wydaje z siebie cichutki okrzyk i nachyla się tak, że oboje patrzymy teraz na płytkę pod tym samym kątem.

Przez chwilę całkowicie rozprasza mnie bliskość dziewczyny, mimo swądu sadzy i palonych syntetyków. Ale potem przekręca czip tak, że dostrzegam to samo co ona, i znikają wszelkie myśli o jej twarzy tuż przy mojej.

Pomiędzy obwodami ukryta jest litera, widoczna tylko wtedy, kiedy światło we właściwy sposób odbija się od lśniącej powierzchni. To V. Oboje wpatrujemy się w nie, usiłując rozgryźć jego znaczenie.

– VeriCorp? – zgaduję szeptem.

Tylko że w logo VeriCorpu znajduje się zarówno V, jak i C, poza tym korporacja jest za mała, by korzystać z własnego systemu identyfikacji.

Nagle Jubilee wstrzymuje oddech i odbiera mi płytkę. Zanim zdążę zaprotestować, obraca ją do góry nogami. Nagle znaczek przestaje przypominać literę V. W całej galaktyce nie ma osoby, która nie znałaby tego symbolu. Lambda.

– LaRoux Industries.

Chciałbym zapytać ją, co to znaczy, i czy wojskowi wiedzą coś, czego my nie wiemy, czy wiedzą, po co firma, która nie ma na Avonie nic do ugrania, miałaby stawiać tajną bazę w samym środku bagna. Ale po jej minie poznaję, że jest tak samo zdezorientowana jak ja.

Wtem komunikator na rękawie jej kombinezonu odzywa się, trzaskając.

– Sztab bezpieczeństwa do kapitan Chase – chrzęści jakiś zniekształcony głos.

Jubilee zerka na mnie. Odwraca się po ułamku sekundy, ale zdążyłem dostrzec panikę w jej oczach. Włącza nadajnik.

– Tu Chase – odpowiada, nachylając się nad urządzeniem.

– Czy mogłaby się pani do nas zgłosić?

To prośba, nie rozkaz. Widzę, że jej napięte ramiona lekko się rozluźniają.

– Jestem trochę zajęta – odpowiada, rozchylając dwoma palcami żaluzje w oknie i wyglądając na zewnątrz. – Chodzi o zamachowca?

– Nie ma pośpiechu, ale przydałaby nam się pani pomoc jako świadka. Mamy coś o facecie, który uprowadził panią z baru.

Te słowa rozlewają się w moim wnętrzu jak lawa. Umęczone płuca odmawiają posłuszeństwa i wybucham kaszlem. Jubilee obraca się gwałtownie i spogląda na mnie takim wzrokiem, jakby się spodziewała, że natychmiast zniknę w wojskowym areszcie. Czeka, aż minie mi atak kaszlu, po czym przyciska kciukiem guzik nadajnika.

– Proszę powtórzyć – mówi z kamiennym spokojem. – Coś mi tu trzeszczy.

– Porywacz z baru – odpowiada głos. – Przeczesał mi tony nagrań z monitoringu i trafiliśmy na coś, co umożliwia identyfikację.

Zdumienie Jubilee przeistacza się w grozę.

– I? Kto to?

– Obraz jest dość niewyraźny, mnóstwo zakłóceń. Właśnie próbujemy go wyczyścić.

– Zajmijcie się zamachowcem – warczy Jubilee.

Przełyka ślinę i gdy znów się odzywa, jest już spokojniejsza.

– Kimkolwiek był facet u Molly’ego, zniknął stąd dawno temu. Teraz musimy się dowiedzieć więcej o ataku na bazę i ustalić, czy Davin Quinn działał sam.

– Pani kapitan – odpowiada powoli odbiornik. – Większość moich ludzi zajmuje się zamachem, ale dla bezpieczeństwa bazy musimy poznać twarz tego człowieka. Na wypadek, gdyby zechciał spróbować jeszcze raz.

Jubilee obrzuca spojrzeniem pozostałych lokatorów sali, nieprzytomnych, niereagujących na bodźce.

– W porządku – mówi. – Wpadnę później i zobaczę, co da się zrobić.

Opuszcza rękę i spogląda na mnie. Komunikator milknie.

Mogę się tylko na nią gapić, osłupiały. Ciszę przerywają jedynie miarowe pikanie aparatury i stłumione odgłosy z zewnątrz: warkot silników, urywki rozmów, wizg lądującego po przeciwległej stronie bazy wahadłowca. Nie dają mi zapomnieć, że znajduję się w samym środku terytorium wroga.

Z trudem wyrrywam się z odrętwienia i odrzucam koce. Nie zważając na mdłości i zawroty głowy, dźwigam się do pozycji siedzącej. Muszę uciekać.

– Hej, przestań!

Jubilee chwyta mnie za ramiona i popycha z powrotem na łóżko. W tej chwili jest ode mnie znacznie silniejsza i nie jestem w stanie się jej przeciwstawić.

– Gdyby cię ścigali, myślisz, że siedziałabym tu spokojnie? Już dawno wywlokłabym cię stąd tylnymi drzwiami.

Próbuję odpowiedzieć, ale powala mnie atak kaszlu.

Jubilee czeka, aż mi przejdzie, wciąż ściskając mnie za barki. W końcu powoli puszcza.

– Mamy trochę czasu. Twoje płuca nie wytrzymają teraz przeprawy przez bagna.

Przełykam ślinę.

– Jak długo mogę tu zostać?

– Nie wiem – mówi Jubilee i robi kilka kroków tam i z powrotem. – Wczoraj byłbyś priorytetem, ale dziś wszyscy mają na głowie inne sprawy. Możesz za to podziękować swojemu koledze Quinnowi. Daj mi pomyśleć.

Zamyka oczy i ściąga usta w wąską linię.

– Prędzej czy później się zorientują, że nie powiedziałaś im wszystkiego – odzywam się.

Jubilee zaciska zęby i przecina dłonią powietrze.

– Na razie wierzą komendant Towers, która uważa, że przeżyłam traumę i dlatego nie pamiętam twojej twarzy, mimo że zanim wyciągnąłeś mnie z baru, rozmawiałam z tobą dobre dziesięć minut.

– Powiedz im, że uderzyłaś się w głowę, że to amnezja albo coś takiego. I uważaj. Jeśli cię stracę...

– Wiem – przerywa mi z goryczą.

Jest na siebie wściekła, że tu przyszła. Wściekła, że mi pomaga.

– Jeśli mnie stracisz, stracisz również bezpośredni dostęp do informacji – kończy.

Ale ja wciąż myślę o pierwszej części tego zdania. Chciałbym jej powiedzieć, że się pomyliła, ale sam jeszcze nie wiem, jak brzmi jego prawdziwe zakończenie.

Jubilee ze świstem wciąga powietrze.

– Słuchaj. Idę tam teraz, ale jeśli do rana nie wrócę, będziesz musiał sam wymyślić sposób, jak się stąd wydostać. W ostateczności pozostaje ci kradzież łodzi.

Nie potrafię odgadnąć, co kryje się za jej spokojną miną, ale jakaś nuta w głosie sprawia, że zapala mi się czerwona lampka.

– Co znaczy: „jeśli nie wrócę”?

Jubilee ściąga brwi, ale odpowiada bez zająknięcia:

– Wkrótce zaczynam swoją zmianę. Jeżeli o świcie wyślą mnie na patrol, rano mnie tu nie będzie. W takim wypadku musisz sobie radzić sam. Jak to się u was mówi? Czystego nieba.

Te słowa w jej ustach sprawiają, że serce ściska mi się boleśnie. Nie czekając na odpowiedź, Jubilee cicho podchodzi do drzwi. Przystaje w progu, wsparta o futrynę.

– Dlaczego nie mogłeś po prostu trzymać się z daleka?

– Już mówiliśmy – powtarza ojciec. – Nie jesteśmy zainteresowani.

– Noah – szepcze matka. – Spójrz na nich.

– Ostatnia szansa – mówi mężczyzna o oczach jak szklane kulki.

Dziewczynka obserwuje go przez szczelinę w ladzie i widzi, jak unosi tunikę, ukazując zatknięty za pasek pistolet.

– Bardzo bym nie chciał opowiedzieć wszystkim, że trzymacie z lambda.

– Z nikim nie trzymamy – odpowiada matka. – Nie chcemy mieć z tym nic wspólnego.

Dziewczynka przesuwa się i teraz patrzy na rodziców stojących obok siebie nieopodal drzwi.

– Proszę... – mówi ojciec. – Mamy córkę.

Świat nagle zwalnia. Dziewczynka słyszy złowrogi szcęk odbezpieczanego pistoletu i nagle przypominają jej się szkolenia. Długim ślizgiem wyskakuje spod lady, wyciąga gleidel, rzuca się między napastnika a rodziców, powala dwóch mężczyzn, zanim ten z pistoletem zdoła wycelować. Kilka sekund później wszyscy trzej leżą na podłodze, rozbrojeni, unieszkodliwieni.

Tyle że to się tak nie potoczyło.

JUBILEE

W bazie wciąż panuje chaos. W powietrzu unosi się swąd dymu i gorzkich chemikaliów, i choć ewakuowano cywilny personel, jest tu większy tłok niż kiedykolwiek wcześniej. Każdy ma zadanie do wykonania – a jeśli nie, to właśnie w pośpiechu szuka czegoś, czym mógłby się zająć.

Wpadam do baraku tylko na chwilę, żeby się przebrać. Cormac zapewnił mnie, że Davin Quinn nie miał powiązań z McBride'em, jest więc mało prawdopodobne, by zamach oznaczał wypowiedzenie wojny. Do tego, co mam zamiar zrobić, niepotrzebny mi strój bojowy. Z trudem ściągam kombinezon – jest sztywny od brudu i śmierdzi dymem. Kopniakiem posyłam go w kąt pokoju, później się nim zajmę. Jednak nawet po przebraniu się w świeży mundur i kurtkę ze sztucznej skóry nadal czuję na sobie swąd pożaru. Powinnam wziąć prysznic i, do diabła, wreszcie się przespać. Niestety, biorąc pod uwagę sytuację, w której znalazł się Cormac, nie mam na to czasu.

Może nie trzeba było go okłamywać. Może powinnam mu była powiedzieć, co zamierzam. Ale zaczynam poznawać Romea i jego sposób myślenia, i wiem o nim już na tyle dużo, żeby rozumieć, że nigdy by na to nie przystał. Niewykluczone, że miałby rację.

Sztab bezpieczeństwa mieści się niedaleko od mojej kwatery, ale gdy tylko ruszam w jego stronę, ogrania mnie potworne zmęczenie. Zaczynam więc biec, usiłując rozruszać zeszywniałe mięśnie. Niemal natychmiast odzywa się pieczenie w płucach i mimowolnie wyobrażam sobie, co czuje Cormac, nawdychawszy się tyle dymu.

W kwaterze bezpieczeństwa roi się od wojskowych. Choć oficjalnie potwierdzono śmierć zamachowca, nasi ludzie muszą się teraz dowiedzieć wszystkiego o nim, o samej bombie i o tym, jak została podłożona. Z walącym sercem, zdjęta niepewnością, do której nie przywykłam, kiwam głową wartownikowi przy drzwiach, po czym wślizguję się do środka.

Siedziba sztabu to jeden z pierwszych obiektów wybudowanych tu na stałe. Żadnych lichych polimerowych ścianek, żadnych prefabrykatów. Tylko beton i gruby, solidny plasten. Nagrania przechowywane są na serwerze w jednym z dalszych pomieszczeń, zaś w głównej sali mieści się centrum monitoringu i mój wzrok natychmiast pada na szereg ekranów podłączonych do umocowanych na terenie całej bazy kamer. Na jednym z nich widzę wewnątrz knajpy Molly'ego.

Spodziewałam się, że bar będzie opustoszały, jednak interes najwyraźniej kwitnie. Alkohol Molly'ego stanowi bowiem alternatywną formę terapii dla żołnierzy, którym lekarze nie są w stanie pomóc. Mrużę oczy, bacznie śledząc

migający obraz. Teraz już nie dziwi mnie absolutna pewność mojego rozmówcy, że odczytane nagranie pozwoli ustalić tożsamość porywacza. Choć przekaz ma niską rozdzielczość, kamera umocowana jest tak, że zapewnia znakomity widok na moje stałe miejsce przy barze – właśnie tam Cormac po raz pierwszy zagroził mi pistoletem.

Przełykam ślinę, starając się o nim nie myśleć. Wycofuję się, by przejść do serwerowni, i z impetem na kogoś wpadam.

– Pani kapitan.

Robi mi się zimno.

– Pani komendant – bąkam i odwracam się przodem do niej, odruchowo stając na baczność.

– Sądziłam, że zrobiła sobie pani kilka dni wolnego.

Chyba po raz pierwszy widzę ją w takim stanie. Jasne włosy ma niedbale związane na karku, mundur rozchełstany. Twarz jednak nie zdradza zmęczenia i tego jej zazdroścę. Wyobrażam sobie, że sama wyglądam, jakbym nie spała od tygodnia.

– To niemożliwe. Sytuacja jest zbyt poważna.

Przynajmniej tym razem nie kłamie.

Towers kiwa głową w roztargnieniu, zupełnie jakby właśnie takiej odpowiedzi oczekiwała. Jest wyraźnie rozproszona, raz po raz zerka na ekrany. Kamery obejmują każdy centymetr bazy, od koszar przez bar Molly'ego po pomieszczenie, w którym się znajdujemy. Widzę samą siebie, stojącą kilka kroków od dowódczyni.

– Pójdzie pani ze mną? – rzuca dziwnie oficjalnym jak na te okoliczności tonem.

Na ułamek sekundy wstrzymuję oddech. Przestań się zachowywać jak dzieciak, który coś zbroił, upominam się w duchu. Przecież nikt tu nie potrafi czytać w myślach.

– Oczywiście, pani komendant.

Po chwili prowadzi mnie korytarzem, zaglądając do kolejnych pokoi. Za którymś razem wtyka głowę przez próg i ostrym tonem rozkazuje:

– Wy tam, wychodzić!

Z pomieszczenia w pośpiechu wyłania się dwóch spłoszonych szeregowców, popatrujących z niepokojem to na Towers, to na mnie. Wchodzę za dowódczynią do środka, po czym zamieram, uświadomiwszy sobie, gdzie się znajduję. Repozytorium nagrań. Komendant podchodzi do jednego z biur, przysuwa mi krzesło, po czym ciężko opada na drugie. Siadam ostrożnie, nie spuszczać z niej wzroku i usiłując nie okazać zdenerwowania. Jeżeli zdążyli oczyścić wideo, to znaczy, że się spóźniłam. Mają wyraźny obraz twarzy Cormaca. Wiedzą, że odwiedziłam go w lazarecie, i to nie raz. A komendant Towers wie, że ją

okłamalam.

Ona jednak nie patrzy ani na ekrany, ani na serwery.

– Pani kapitan, chciałam zapytać o stan pani zdrowia – zaczyna i choć ma współczującą minę, w oczach dostrzegam żywe zainteresowanie i pełną napięcia czujność. – Ostatnio sporo pani przeszła.

– Wszystko w porządku.

Kolejne kłamstwo. Zaledwie kilka tygodni temu jej troska dodałaby mi otuchy. Teraz nie mogę się pozbyć wrażenia, że mnie przejrzała i dokładnie wie, co ukrywam.

Towers kiwa głową i przypatruje mi się jeszcze przez chwilę, po czym przenosi wzrok na podłogę.

– Przykro mi z powodu porucznika Alexiego. Wiem, że sporo was łączyło.

Walczę ze ścisaniem w gardle. Potrząsam głową, by pozbyć się wspomnienia zwęglonej skóry na jego twarzy, i mówię krótko:

– Dziękuję.

– Wciąż ustalamy, jak do tego doszło. I dlaczego. Zamachowiec, ten cały Quinn, pojawił się znikąd. Na nagraniu widać, jak idzie w stronę koszar, kamera śledzi każdy jego ruch do momentu eksplozji, i nic. Pracują nad tym nagraniem nasi najlepsi behawioryści, ale wciąż niczego nie znaleźli: ani śladu skrywanej agresji czy oznak poczucia winy, nic, co by wskazywało, że zamierza unicestwić dziesiątki ludzi.

Zaciskam zęby. Potwierdza się to, co mówił Cormac – Quinn nie mógł być zamachowcem. Nie był typem mordercy. A jednak w tym, co zostało z jego dłoni, znaleziono detonator. Czy możliwe, że nie wiedział, co robi?

– To miejsce... – mruczy pod nosem Towers, wpatrzona w jakiś punkt ponad moją głowę. – Ono zżera nas wszystkich, kawałek po kawałku.

– Ktoś musi odwalić tę robotę, pani komendant.

Słabe pocieszenie, skoro nawet wewnątrz solidnego gmachu kwatery unosi się smród palonego plastenu. Osiada na włosach, na ubraniu, wsiąka w skórę.

Towers spogląda na mnie gwałtownie i szybko kiwa głową.

– Oczywiście. Czasami zastanawiam się po prostu, ile trzeba czasu, by Avon całkiem nas pochłonął.

Takie wynurzenia zupełnie nie są w jej stylu. Zawsze lubiłam w niej to, że podobnie jak ja jest otwarta i bezpośrednia, przedkłada działanie nad introspekcję, natychmiastową reakcję nad jałowe rozważania. A teraz siedzi przede mną lekko zgarbiona, spoglądając wyczekująco, jakby szukała w moich oczach odpowiedzi.

Ale ja nie potrafię jej pomóc. Przez jedną szaloną chwilę czuję, jak wzbiera we mnie szczerłość, i niczego tak nie pragnę, jak wyznać jej całą prawdę. Mocno zaciskam wargi. Towers wzdycha i prostuje plecy.

– Chase, chcę zapytać o coś, co powiedziała pani podczas naszej ostatniej

oficjalnej rozmowy.

Sztywniej, choć staram się tego nie pokazać.

– Słucham.

– Tamten rebeliant uważał, że mamy na wschodnich bagnach jakąś bazę czy ośrodek. Zgadza się?

Mimowolnie wychylam się do przodu. Nie potrafię ukryć podniecenia: ona coś wie.

– Tak jest.

Dowódczyni również lekko się nachyla, jej gesty są lustrzanym odbiciem moich, odbiera każdy najdrobniejszy sygnał. Znacznie przewyższa mnie w sztuce wyciągania zeznań i manipulacji, muszę się więc mieć na baczności. Zwieszam ręce, opierając łokcie na kolanach. Swoboda i luz.

– Zastanawiałam się, skąd u niego ten pomysł – ciągnie Towers. – Trochę to dziwne. Przecież tubylcy doskonale znają teren.

Waham się przez chwilę. Zaraz coś zauważy, stwierdzi, że to do mnie niepodobne, domyśli się, że coś ukrywam. Mimo to potrzebuję chwili do namysłu, sprawa jest zbyt ważna. Kto wie, czy nie znalazłabym w niej sojuszniczki. Mam zaledwie stopień kapitana, a ona dowodzi całą awońską placówką, więc gdy usłyszy o tajemniczych knowaniach LaRoux Industries, niewykluczone, że z jej pomocą czegoś się dowiem. Co jednak, jeśli jest zamieszana w rodzący się na mokradłach spisek? Z pewnością osoba zarządzająca bazą musiałaby być w coś takiego wtajemniczona.

Chrząkam.

– Po prostu tak mi powiedział – odpowiadam, obserwując jej twarz w poszukiwaniu znaków, choćby najsubtelniejszych, które zdradzą mi, ile wie. – Też uznałam to za niedorzeczne, ale udawałam, że mu wierzę.

Dowódczyni nie reaguje. Słucha mnie z pozornie uprzejmym zainteresowaniem, nie okazując żadnych emocji. A jednak dostrzegam niemal niezauważalne drgnienie mięśni wokół szczęki.

– Jestem pewna, że coś mu się ubzdurało – ciągnę beztroskim tonem i wygodniej rozsiadam się na krześle. – Że to jedna z bajek, które rebelianci opowiadają sobie wieczorami przy ognisku. Głupia historyjka o pojawiających się i znikających obiektach.

Towers kiwa głową.

– Coś jeszcze?

– Tylko ten nonsensowny wymysł – odpowiadam.

Dowódczyni prostuje się, przygląda włosy i wstaje.

– Dziękuję, pani kapitan.

Przyglądam się jej uważnie, szukając czegoś, czegokolwiek, co wyjaśni jej nagłe zainteresowanie i równie nagłą rezygnację. Nie jest to łatwe zadanie – choć

mówią na mnie Niewzruszona Chase, z nas dwóch to ona jest mistrzynią pokerowych zagrań. A jednak dostrzegam odrobinę rozbiegane spojrzenie, ściągnięte usta, bardziej niż zwykle skulone ramiona. Coś ją niepokoi. Drażni. I nie sądzę, by miało to związek wyłącznie z zamachem.

– Nie ma za co – odpowiadam. – Naprawdę uważam, że to zwykłe banialuki.

Kiwa głową, unosząc kąciuki ust w nikłym uśmiechu.

– Jasne. Proszę wracać do swoich spraw, będziemy w kontakcie.

Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale mam niezwykle silne przeczucie, że komendant Towers stoi po mojej stronie i jest tak samo zdeterminowana, by odkryć, co się dzieje. Porusza się szybko, gwałtownie, niespokojnie. Nie może się doczekać końca tej rozmowy. Ja również – jeszcze nie zapomniałam, po co naprawdę tu przyszedłam.

Znów przez krótką jak mgnienie oka chwilę mam ochotę wszystko jej opowiedzieć. Jednak gdybym to zrobiła, wyjawiałabym swoją rolę w całej tajemnicy. Musiałabym przyznać, że miałam w garści najważniejszego człowieka *fianna* i nie raz, lecz dwa razy pozwoliłam mu uciec. Sprzeniewierzyłam się swoim obowiązkom.

Ale przede wszystkim w ten sposób zdradziłabym zaufanie Cormaca.

Przygryzam więc wargę i podnoszę się z krzesła. Salutuję wychodzącej dowódczyni, po czym przez kilka chwil stoję nieruchomo, usiłując zebrać myśli. Wreszcie cicho zamykam za nią drzwi. Wyrzucając stąd techników, nieświadomie wyświadczyła mi przysługę. Przysuwam krzesło do drzwi. Zamknięcie ich na klucz od razu wzbudziłoby podejrzenia, ale szurgot krzesła może na moment rozproszyć wchodzącego, co pozwoli mi odsunąć się od konsoli.

Biorę głęboki oddech, siadam i rozpoczynam poszukiwania.

Dopiero po dłuższym czasie udaje mi się dotrzeć do miejsca, gdzie przechowywane są nagrania, ale nie to jest najtrudniejsze. Skasowanie plików trwa zaledwie kilka sekund. Za to odnalezienie kopii bezpieczeństwa stanowi prawdziwe wyzwanie.

Okazuje się, że moje palce odnajdują właściwą drogę szybciej niż głowa. Przypominam sobie, co przekazał mi kolega z poligonu, który swego czasu terminował u pewnego dzieciaka zajmującego się tym zarobkowo. Mój dawny dowódca pozwalał nam uczyć się na własną rękę. „Nigdy nie lekceważcie niczego, co może posłużyć wam w bezkrwawej walce”, mówił. Wówczas kręciłam nosem – do czego niby miałyby mi się przydać umiejętności włamywania się do zabezpieczonych plików? Ale teraz bezgłośnie układam usta w słowa podzięki dawnemu dowódcy i jego dalekowzroczności.

Teraz najważniejsze jest skupienie. Wiem o tym, ale jednocześnie nie potrafię się pozbyć przeświadczenia, że sprzeniewierzam się wszystkim złożonym w życiu przysięgom, każdemu otrzymanemu rozkazowi. I wszystkiemu, w co

wierzę. Jest to coś, czego w głębi duszy – o ile ją w ogóle posiadam – nie potrafię sobie wybaczyć. Pomagam rebeliantowi. Kryminaliście. Człowiekowi, którego kumpel zamordował właśnie trzydzieści osób, w tym kogoś, kogo kochałam jak brata.

Oczy zachodzą mi mgłą ze zmęczenia. Przerywam pracę, żeby otrzeć twarz rękawem. Na materiale zostaje ciemna smuga potu i brudu. Raz po raz słyszę zbliżające się do drzwi kroki, które jednak niezmiennie oddalają się korytarzem w takt mojego łomoczącego serca. A jednak w każdej chwili ktoś może stanąć w progu.

I w końcu – sukces. Czwarta i ostatnia kopia. Wojskowi zawsze zabezpieczają wszystko poczwórnice: trzy razy, bo tak się przyjęło, i czwarty dla pewności. Przez długą, zapierającą dech w piersiach chwilę system zastanawia się nad moim poleceniem, wreszcie plik znika. Żadnych fanfar, całkowita pustka. Nikt nigdy się nie dowie o dokonanej właśnie przeze mnie zdradzie.

Pospiesznie wyłączam komputer, starannie zacierając ślady. Zamykam monitor, krzesło odstawiam na miejsce, wymykam się na korytarz i pozwalam, by zamknęły się za mną drzwi.

W głowie mam próżnię, huczy mi w uszach. Roztrzęsiona, przemierzam hol na nogach jak z waty. Raz po raz przelykam ślinę, walcząc z napadami mdłości. Muszę wrócić do baraku. Wziąć prysznic, położyć się na kilka minut. Zastanowić się, ochłonać. Znaleźć sposób, by wydostać stąd Cormaca, teraz, gdy udało nam się zyskać na czasie.

Korytarz prowadzi do głównego pomieszczenia, gdzie dwójka techników z repozytorium dołączyła do oficerów pełniących akurat służbę. Stoją stłoczeni wokół monitorów, które nie wyświetlają już jednak transmisji z poszczególnych części bazy. Na wszystkich widnieją te same zapętlone cztery sekundy.

Podchodzę bliżej – i zamieram. Na ekranach wyświetla się bowiem to samo nagranie, które właśnie z wielkim trudem udało mi się usunąć. Jeden z techników musiał przenieść je na dysk lokalny, żeby kontynuować pracę po tym, jak komendant Towers wyrzuciła ich z repozytorium. Jest już odczyszczone i powiększone. Wszystko jak na dłoni: kształtny podbródek, gęste brwi, arogancki uśmiech.

Wycofuję się po cichu, tłumiąc panikę, i niezauważona wymykam się na zewnątrz. Staram się iść normalnym krokiem, raz po raz kiwając głową bądź salutując napotykanym po drodze równie zmęczonym oficerom.

Na razie nagranie mają tylko w sztabie bezpieczeństwa. Minie trochę czasu – prawdopodobnie kilka godzin – zanim dopełnią wszystkich formalności, by je upublicznić. Gorączkowo rozważam różne sposoby wyciągnięcia stąd Cormaca, zanim do tego dojdzie. Nie mam czasu myśleć o konsekwencjach. Najpierw muszę go wydostać, później się zastanowię, co to dla mnie oznacza.

Wtem jednak na ścianach budynków rozbłyskują ekrany, oblewając ścieżki i skrzyżowania białym światłem. Z głośników dobiega ogłuszające dudnienie. Spoglądam w górę. Wszędzie wokół widzę to samo: zwielokrotnione ujęcie twarzy Cormaca. Wyświetla się u Molly'ego i w koszarach, w każdym z biur i na przystani.

A także w szpitalu.

Porzucam wszelkie pozory i puszczam się biegiem. Kto ośmieli się mnie zatrzymać? Nazywam się kapitan Chase. Jestem tu u siebie.

Gwałtownym szarpnięciem otwieram tylne drzwi szpitala, płosząc sanitariusza, który upuszcza na podłogę tacę z jedzeniem. Mamrocę pod nosem krótkie przeprosiny i pędem zagłębiam się w korytarz prowadzący do sali, w której leży Cormac. Po drodze wbiegam do pralni i chwytam lekarski uniform mniej więcej w jego rozmiarze. Sztuczka stara jak świat, ale nie mam ani lepszego pomysłu, ani czasu.

Wpadam do sali i natychmiast zauważam holowid w rogu. Twarz Cormaca uśmiecha się do mnie, włosy lekko opadają mu na oczy. Potem dostrzegam łóżko, skłębioną pościel, kilka plamek krwi na prześcieradle, wyrwaną igłę kroplówki, rozrzucone elektrody. Maski tlenowej leży na podłodze, a na ekranie monitora medycznego wyświetla się płaska linia.

Chwytam się framugi. Fala mdłości i zawrotów głowy przetacza się przeze mnie z siłą tsunami. Dzwoni mi w uszach i uginają się pode mną kolana.

Łóżko jest puste.

Pozostali pacjenci nadal są nieprzytomni, tylko jedna żołnierka unosi głowę, otumaniona środkami przeciwbólowymi, i mamrocze coś, czego w panice nie udaje mi się wychwycić. Najwyraźniej widziała, jak uciekał – w zamroczeniu usiłuje mi przekazać, w którą stronę pobeiegł.

Zataczając się, wybiegam z sali i szybko ruszam do tylnego wyjścia. Cormac jest ranny, ktoś go na pewno zauważy, zanim zdoła się wydostać z jednostki, w końcu wszyscy już wiedzą, kogo szukają. A nawet jeśli uda mu się zbiec, nie zdoła dotrzeć do jaskiń bez łodzi. Piesza przeprawa zajmie mu wiele godzin i zważywszy na jego stan, najprawdopodobniej utonie, zanim dotrze do swoich ludzi. Choć ogromne zmęczenie sprawia, że na myśl o powrocie na mokradła robi mi się słabo, nie waham się ani przez chwilę.

Już po kilku krokach do ust napływa mi silny metaliczny smak, a zawroty głowy nasilają się. Nogi drżą tak samo jak wtedy na grzędawisku, zanim ujrzałam widmo tajnej bazy. Mrugam i nagle wszystko tonie w fali świszczącego szeptu. Osobne głosy – dwa, może trzy – ale nie potrafię wychwycić słów.

Byłe dostać się na łódź. Zaciskam zęby i ruszam w stronę przystani. Wiem tylko jedno i tylko o jednym jestem w stanie myśleć: muszę znaleźć Cormaca.

Zawsze są razem: zielonooki chłopiec i duch. W sklepie matki, w garażu ojca. Na Paradise. W jednostce na Patronie. Chłopiec to jeden z żołnierzy, który zginął w pierwszych tygodniach jej bytności na Avonie. Jego twarz widnieje na każdym monitorze.

Duch prowadzi ją opustoszałymi ulicami miasta November, u kresu ruin czeka na nią zielonooki chłopiec z pudełkiem zapalek i czarującym uśmiechem.

– Nie idź za mną – mówi, dotykając jej policzka. – Tym razem za mną nie idź.

FLYNN

Gąbczasty muł oblepia mi kostki, płuca pieką, a ból niczym ostrze przebija bok z każdym oddechem. Przeprowa w bród przez bagna byłaby wystarczająco ciężka dla człowieka w pełni sił, a ja czuję się, jakby mnie potracił wahadłowiec. Pierwsza godzina przechodzi w kolejną, i kolejną, aż przestaję je liczyć.

Gdybym mógł, poczekałbym. Ale nawet kiedy zamykam oczy, pod powiekami wyświetla się zapętlone nagranie: spoglądam na Jubilee z uśmiechem, otwieram usta, obraz podskakuje i wszystko zaczyna się od początku. Chciałem ukraść łódź, jednak na przystani roіło się od patroli, a nagranie z baru odtwarzało się również na ścianie portowego baraku.

Już raz próbowałem samotnego marszu przez mokradła. Nie miałem wtedy dymu w płucach. Byłem jednak tylko ośmioletnim chłopcem uciekającym przed statkiem, który miał mnie wywieźć do sierocińca na innej planecie. Ekpa poszukiwawcza *fianna* znalazła mnie wtedy zaledwie kilka kilometrów od miasta.

Tym razem nikt mi nie pomoże. Przedzieram się przez łany wodorostów, dysząc ochryple i nasłuchując dźwięków pościgu. Nie mogę sobie pozwolić na odpoczynek dłuższy niż kilka sekund. Kręci mi się w głowie i nie potrafię stwierdzić, czy tańczące przed oczami iskierki to błędne ogniki, czy efekt zamroczenia.

Brnę przez sięgające pasa błoto i gęstą czarną wodę. To brodzę, to płynę, to potykam się i idę na czworakach. Umazany szlamem pozwalam, by obmył mnie nurt, i znów wpadam w grzęzawisko.

Moje zeszywniałe ciało zna drogę do domu, więc resztkami sił wlokę się w tamtym kierunku. *Trodairí* wiedzą, jak wyglądam. Jeśli mnie złapią – rozpoznają twarz i zeskanują genotag – wykorzystają mnie, by odnaleźć kryjówkę *fianna*. Obarczą odpowiedzialnością za zamach i wszystkie inne nieszczęścia, które zdarzyły się na Avonie. I nie spoczną, póki nie wytną nas w pień.

Mija jeszcze półtorej godziny, zanim w oddali ukazuje się ciemny zarys jaskiń. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, co widzę. Dom.

Każdy ruch wymaga starannie obliczonego wysiłku. Teraz wyciągnę rękę i odgarnę wodorosty. Przepisnę się przez nie, a potem zrobię kolejny krok. Dłonie mam spocone i zbieiałe z zimna, skórę i ubranie przesiąknięte wodą, włosy kleją mi się do czoła.

Nigdy nie próbowałem się wspinać na przystań z wody, zawsze podpływałem czólnem, ale po długich minutach zachłystywania się powietrzem i podciągania na drżących z wysiłku ramionach udaje mi się wgramolić na brzeg.

Natychmiast dopada mnie niejasne przeczucie, że coś jest nie tak. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, o co chodzi: kilka metrów dalej kołysze się porzucona wojskowa motorówka. Na ławce leży kamizelka kuloodporna, czyli łódź nie została skradziona.

Pędem ruszam przed siebie, zataczając się i zostawiając za sobą ślady wymieszanego z wodą błota. Latarnie się wypaliły, na podłodze pogrążonego w ciemności i ciszy tunelu widnieją jakieś ciemne smugi. W pewnym momencie dostrzegam na środku korytarza przewrócony kosz i rozsypane wokół stwardniałe na kamień bułki.

W sali zebrania panuje martwa cisza. Wysoko wciąż płoną latarnie i nagle mokre plamy nabierają jaskrawoczerwonej barwy. Prowadzą do sterty skłębionych szmat.

Po chwili uświadamiam sobie, że kłęb ma ręce, głowę i oczy, które patrzą nieruchomo prosto na mnie. Zwłoki. W jednej chwili wszystko nabiera ostrości. Podłoga jest lepka od krwi, a wzdłuż ścian leżą rozrzucone ciała – cztery, sześć, nie... osiem. Niektóre ofiary zostały tu przyciągnięte, o czym świadczą jaskrawe pasma krwi na podłodze. Wyloty ran i ubrania są szerniałe, a w powietrzu unosi się swąd palonego ciała – ci ludzie nie zostali zastrzeleni z naszej broni. To robota wojska.

Zataczam się na ścianę, chwytam jej kamiennej powierzchni, a wewnątrz groty wiruje wokół mnie. Nie mogę oderwać wzroku od ciał. Leżące najbliżej należy do Mike'a Doyle'a, który odciągnął McBride'a od Jubilee, który najpiękniej śpiewał i śmiał się najgłośniej z wszystkich *fianna*. Dopiero po chwili dostrzegam, że leży skulony wokół innego, filigranowego ciała. Pod jego dłonią zauważam dziecięcą rączkę. Mrugam i koncentruję spojrzenie na drobnej twarzy. To Fergal, bratanek Seana.

Rzucam się ku nim i potknąwszy się, padam na kolana. Miednicę i kręgosłup przeszywa mi szpila bólu.

– Fergal... – charczę drżącym głosem, chwytając maleńką dłoń. – Fergal, odezwij się, błagam.

Ale kiedy dotykam jego twarzy, znacząc bladą jak płótno skórę krwawymi odciskami palców, wiem już, że choć Mike osłonił chłopca własnym ciałem, nie zdołał go ocalić. Oczy dziecka są puste, powieki nieruchome.

– Nie...

Z gardła wyrywa mi się głośny jęk i zmartwiały z przerażenia walczę z atakiem mdłości. W ostatniej chwili odwracam się na bok i wymiotuję, wciskając zbielełe pięści w kamienną posadzkę. Zacerpnąwszy haust powietrza, unoszę głowę.

Wtedy właśnie dostrzegam Jubilee.

Kłęcz z tyłu sali, tak samo nieruchoma jak otaczające ją zwłoki. Patrzy

przed siebie. Jedną ręką wsparta o podłogę, w drugiej, wiszącej bezwładnie, ściska broń. Kolba jest lepka od krwi – jej lub ich. Spojrzenie ma puste. Gdyby nie to, że klęczy, pomyślałbym, że nie żyje.

Błagam... Błagam... To słowo łomocze mi w głowie w tym samym rytmie co serce, choć nie wiem nawet, o co proszę. O to, żeby się obudzić z tego koszmaru? Żeby się okazało, że to nie ona? Żeby, kiedy się odwrócę, Fergal wstał i rzucił mi się na szyję?

Odwracam się od maleńkich zwłok, wbijając zamglony wzrok w *trodaire*, jej zakrwawione ubranie, pistolet, który ściska w dłoni. Nie chcę na nią patrzeć. W końcu podbiegam do niej i padam na kolana.

– Coś ty zrobiła? – jęczę ochryple, z głębi trzewi. – Ufałem ci, ufałem!

W jej oczach odbija się pustka, źrenice ma tak rozszerzone, że nie widać tęczówek. To jest to ich szaleństwo, ta ich furia. Patrzy na mnie zmartwiała niczym zwierzę na muszce myśliwego, ale jestem niemal pewien, że mnie nie widzi.

– Powiedz coś!

Chwytam ją zakrwawionymi palcami za ramię i potrząsam, aż zaczyna jęczeć. Nie opiera się, jej rozszerzone źrenice są ślepe i obojętne. Znów rozglądam się po sali, błagając w duchu, by coś się zmieniło, bezskutecznie szukając jakiegoś rozwiązania – i mój wzrok zatrzymuje się na broni. W tej chwili pragnę tylko zemsty. Targany rozpaczą i gniewem, chwytam *trodaire* za rękę, obrzydliwie lepka od krwi, wyrywam jej pistolet i kieruję go w jej stronę.

Nagle spogląda mi w oczy i wreszcie spod zasłony szoku i furii wyziera rozpoznanie. Przesuwa wzrokiem po wnętrzu groty, po ciałach na podłodze i śladach krwi. Jej rysy napęniają się bólem i przerażeniem. Osuwa się, w ostatniej chwili podpierając na rękach, i dopiero wtedy zauważa warstwę krwi, która sprawia, że skóra klei jej się do skalnej podłogi. Podniósłszy wzrok, dostrzega wycelowany w siebie pistolet, drżący w mojej niepewnej dłoni. Widzę, jak w jej oczach kielkuje druzgocące dla nas obojga zrozumienie.

Unosi roztrzęsioną dłoń ku pistoletowi. Wiem, że powinienem odskoczyć, zanim mnie obezwładni i moje zwłoki dołączą do tych zaścielających podłogę, ale mięśnie nie reagują. Ona jednak zaciska palce na lufie, nie na kolbie. Przyciąga ją bliżej i przyciska sobie do czoła.

Zamyka oczy, przytrzymując broń nieruchomo – i w tym momencie dostrzegam w niej Jubilee, tak samo złamaną i zrozpaczoną jak ja, błagającą, by to się skończyło. Obojętnie jak.

Nie potrafię nacisnąć spustu.

Wtem ciszę przerywają czyjeś dudniące kroki. Spoglądam w stronę wylotu tunelu. Najpierw, jak wryty, staje w nim Turlough Doyle, po chwili wpada na niego biegnący kilka metrów z tyłu Sean. Jako ostatni z tunelu wyłania się McBride.

Na kilka sekund wszyscy zamieramy w bezruchu. Nagle ciszę rozdziera

dziki wrzask – Turlough dopada Mike'a, rzuca się na kolana, chwytając ramię męża i obraca go na wznak. Z pełnym rozpaczy jękiem tuli się do zmarłego, wciskając twarz w jego koszulę.

Sean dostrzega Fergala. Martwieje i przez moment przypomina wykuty z kamienia posąg. Nawet w przyćmionym świetle latarni widzę, jak krew odpływa mu z twarzy.

Kiedy McBride zauważa Jubilee, tężeje. Szlochy Turlougha tłumią dźwięk wyciąganego z kabury gleidla.

– Odsuń się, Cormac – nakazuje cichym, równym, całkowicie spokojnym głosem.

Spojrzenie ma chłodne i obojętne, jakby na widok tego, co się stało, wyparowały z niego wszelkie emocje.

Może i nie jestem w stanie nacisnąć spustu, ale on nie będzie miał z tym problemu. Chciałbym rzucić gleidel na ziemię i podbiec do Seana, ale rozdygotane ciało nie słucha rozkazów, które wydaje mózg.

McBride rusza naprzód i odpycha mnie, jakbym nic nie ważył. Ciężko uderzam o podłogę i ostry ból na ułamek sekundy przyćmiewa uczucie rozpaczy. On tymczasem zatrzymuje się przed Jubilee.

– Kapitan Chase – mówi cicho.

Te słowa przeznaczone są tylko dla naszej trójki. Celuje jej między oczy. Jubilee się nie rusza.

– Za pokój na Avonie.

Palec McBride'a zawisa nad spustem. Zrywam się na nogi i wpadam na niego z impetem. Rozlega się przeszywający ryk i strzał idzie w powietrze.

– Opuść broń – wyrzucam z siebie, zdyszany, zanim zdąży spróbować ponownie. – Tu się dzieje coś o wiele większego. Potrzebujemy jej.

Usiłując odzyskać równowagę, McBride porzuca fasadę spokoju.

– Odsuń się, bo sam oberwiesz – dyszy.

Trzyma gleidel w obu dłoniach i celuje w moją pierś.

Jubilee porusza się za moimi plecami, słyszę odgłos trącej o skałę skóry.

– Pozwól mu – szepcze głosem ostrym jak tłuczone szkło.

– Nie.

Mam wrażenie, jakby ktoś mówił za mnie. Ten ktoś potrafi się wznieść ponad nienawiść i rozpacz, i nie dba o to, że dźwięk głosu Jubilee przyprawia mnie o mdłości, że jej zdrada coś we mnie nieodwracalnie zламаła. Liczy się dla niego tylko fakt, że jej potrzebuję, by ocalić swoją planetę.

Sean drżącą ręką chwytając pistolet, ale wciąż niezdecydowany trzyma go przy boku.

– Flynn – odzywa się gardłowo, tonem, który trafia mnie prosto w serce. – Przestań.

– Czego ci naobiecowała? – pyta McBride z pogardą. – Zawsze byłeś słaby, Cormac, ale nawet ja nie sądziłem, że tak nisko upadniesz. Że zdradzisz własną rodzinę, bo masz chrapkę na jakąś *trodairé*.

Nadal nie mogę oderwać wzroku od Seana. Oddycha ciężko, ściskając pistolet w rozdygotanej dłoni. Unoszę gleidel Jubilee i zwalnię zabezpieczenie. Grotę wypełnia cichy jęk ładowanej baterii. Na moment wszystko zastyga. Turlough, skulony nad ciałem Mike’a. Sean, nieruchomo wpatrzony w moją twarz. Jubilee, klęcząca z zamkniętymi oczami w oczekiwaniu na koniec. Przez chwilę, zdającą się ciągnąć w nieskończoność, istnieję tylko ja i wybór, którego właśnie dokonałem.

A potem chwila mija.

– Zdrajca – syk McBride’a przeszywa mnie jak ostrze noża.

Omijam go wzrokiem i spoglądam na Seana, który stoi wciąż w tym samym miejscu, z pistoletem przy boku.

– W ten sposób nie wrócisz Fergalowi życia. Ona tego nie zrobiła, furia istnieje naprawdę. Zawsze mi ufałeś. Zaufaj jeszcze raz.

Cały świat zawęży się do tego jednego obrazu: twarzy mojego kuzyna. Nagle przed oczami stają mi nasze wszystkie wspólne lata, zawadiackie uśmiechy, rozpacz, chwile milczenia. Sean zrozumie. Uwierzy, że nie kłamię, że furia jest chorobą, szaleństwem, które rozprzestrzeniło się po całej planecie i może uderzyć w każdego, a Jubilee to nasza jedyna nadzieja na znalezienie rozwiązania. Przecież mnie zna.

Sean unosi pistolet i celuje we mnie. Zaczerwienione oczy napotykalają moje spojrzenie, a pół sekundy później mój kuzyn pociąga za spust.

Nie trafia. Strzał odbija się od ściany, napęliając grotę przerażającym łoskotem i nagle wszystko ożywa. McBride z rykiem postępuje do przodu i jeszcze raz mierzy z gleidla prosto do Jubilee. Przypadam do niej jednym susem, chwytam za ramię i podrywam z ziemi, zasłaniając ją własnym ciałem. Rozlega się pisk lasera. Zgniatam dłoń Jubilee w żelaznym uścisku i rzucam się do tunelu za naszymi plecami.

Nogi same niosą mnie właściwą drogą, nie zważając na umysł, wciąż oślepiony sceną w jaskini – Fergal, nieruchomy i spokojny, aż trudny do rozpoznania, skulony nad ciałem Mike’a Turlough i Sean, mój Sean, mierzący do mnie z pistoletu.

Wiem, że jeśli puszczę Jubilee, upadnie, więc nie zważając na jej bolesny jęk, obejmuję ją mocno i wciągamy w ciemność.

Każdy bodziec dociera do niej osobno. Krzyk matki. Swąd spalenizny. Drżenie sklepowej lady, jakby coś ciężkiego bardzo mocno uderzyło o podłogę. Ostry, przeszywający huk strzałów. I jakiś głos, który mówi: „I kto to posprząta”. Dziecięcy krzyk w oddali. Smak metalu.

Chciała być odważna. Ale nie była, miała tylko osiem lat i gdy przyjechali po nią urzędnicy z sierocińca, nikt się nie zatroszczył, by obmyć jej ręce z krwi.

JUBILEE

Uścisk Flynnna na mojej dłoni jest zimny i nieprzejednany. Próbuję zebrać myśli, zrozumieć, gdzie jesteśmy i co się dzieje. Odruchowo wracam do tego, co wbijano mi do głowy podczas szkoleń: zorientować się w sytuacji, ustalić pozycję przeciwnika, ocenić stan własnych obrażeń, uwzględnić przeszkody... Łzawią mi oczy, z trudem oddycham. Flynn rzuca się w bok i ciągnie mnie przez wąską szczelinę w skale. Czuję, jak szorstki kamień zdiera mi skórę z podbródka i ramion.

Przez cały czas bezskutecznie usiłuję sobie cokolwiek przypomnieć, jednak tam, gdzie powinny być obrazy, zieje pustka. Widzę porzucone szpitalne łóżko, pamiętam, jak postanowiłam wsiąść do łodzi i szukać Flynnna na bagnach. Ale potem jest już tylko krew: rozpalająca każdy por skóry, metaliczna na języku i szumiąca w żyłach.

Zamykam oczy – krew w jaskini, jest jej więcej, niż widziałam przez całe życie spędzone na polu bitwy. Przypomina ściennie malowidło ogłaszające porażkę rebeliantów – hardych i strasznych, ale zbyt młodych lub słabych, by stawiać opór. Krew zlepia nasze dłonie, moją i Flynnna. I nagle jest już tylko to dziecko, zwinięte w kłębek, przygniecione ciałem człowieka, który próbował je osłonić. Nie wiem, czy to był chłopiec, czy dziewczynka. Nie wiem... Nie wiem.

Ten ciężar jest nie do zniesienia: pusta kabura przy biodrze, świadomość tego, co zrobiłam. Kolana uginają się pode mną i upadam, szarpiąc Flynnna za rękę. Zatrzymuje się i prawie wyrywa mi ramię ze stawu, usiłując poderwać mnie na nogi.

– Stój – dyszę, dławiąc się zapachem krwi na własnej skórze.

Teraz rozumiem ten metaliczny posmak w ustach i obezwładniające drzenie kończyn. Już wiem, jak smakuje furia. Krwią.

– Flynn, zatrzymaj się, błagam. Niech mnie zabiją.

– Jeszcze czego – syczy przez zaciśnięte zęby.

Ma nieprzeniknioną twarz. Nie słucha, a mnie w tej chwili nie starczy sił, żeby go przekonać. Podjął decyzję i jeśli dalej będę go spowalniać, będzie zmuszony oddać za nią życie.

Dźwigam się z ziemi, uwieszona na jego ramieniu. Chrząka – z wysiłku albo z bólu, a może, by dać mi do zrozumienia, że docenia moje starania – i ruszamy dalej.

Drgawki targają mną z siłą rozpędzonego pociągu, dziesięć razy mocniej niż na wysepce na wschodzie. Mocniej niż po pierwszej w życiu misji bojowej. To, co się dzieje teraz, w niczym jej nie przypomina. Żadna część zdobytej podczas

szkoleń wiedzy nie pozwala zrozumieć masakry dokonanej na nieuzbrojonych, niewinnych ofiarach. Na dzieciach.

Mój umysł jest zastygły i nieruchomy jak palce Flynna zaciśnięte na moim nadgarstku, i nie potrafię się wyrwać z ciasnych pęt paniki i przerażenia. Gdzie nie spojrzę, widzę krew, i wszędzie czuję jej zapach: na skórze, ubraniach, we włosach. Walczę z przyływem mdłości, ale wiem, że nie mogę się zatrzymać, ponieważ uciekamy przed ludźmi, którzy myślą, że Flynn ich zdradził. Stawką jest jego życie.

Nagle uświadamiam sobie, że to koniec. Dobrnęłam do punktu, w którym nie jestem w stanie dalej funkcjonować – wyczerpanie, szok, poczucie winy, żal, wszystko kłębi się razem w jednym wirze. Mam wrażenie, że gwałtownie zbliżam się do przepaści, i wiem, że jeśli Flynn pociągnie mnie przez krawędź, być może już nigdy nie stanę na nogach.

Wolałabym, żeby mnie tu zostawił. Niech mnie dopadną. Wszystko byłoby lepsze niż to.

Ale wtedy naprawdę czuję szarpnięcie. Flynn ściska mnie w pasie i skacze. Przez jedną pełną zamętu i szaleństwa chwilę spadamy – a potem uderzamy w lodowatą powierzchnię wody. Tafla zamyka się nad moją głową i popadam w odrętwienie.

*We śnie dławi się, bezskutecznie łapie ustami powietrze, uwieczona w próżni.
Nie widać gwiazd, jest tylko gęsta ciemność, która wciska jej się do gardła
i głębiej, do serca.*

Śni jej się, że tonie.

FLYNN

Obejmuję ją ciasno i wlokę przez mokradła. Z oddali dochodzą mnie stłumione wrzaski McBride'a – usiłuje znaleźć kogoś, kto zmieści się w szczelinie, przez którą precisiłem się z Jubilee. W całkowitej ciszy, przerywanej tylko cichym pluskiem wody, oddaliśmy się w noc.

Brnąc w kierunku naszej skały, niemal czuję przy sobie obecność Orli. Kiedy byłem dzieckiem, przebywaliśmy tę trasę wiele razy, żebym w razie nalotu potrafił dotrzeć na miejsce z zamkniętymi oczami. Skała, ledwie wystająca z wody, ma niecałe dwa metry długości. Nie wie o niej nawet Sean.

Mocniej przyciągam Jubilee do siebie i spoglądam na nią badawczo. Jest oszołomiona. Łapię ją za podbródek i odwracam do siebie. Drugim ramieniem nadal ją obejmuję w obawie, że jeśli puszczę, zniknie pod powierzchnią wody. Ściskam ją mocniej. Dopiero wtedy podnosi powieki.

– Jubilee, słyszysz mnie?

Nie odpowiada, tocząc oczami w ciemności, rozdygotana w moich objęciach.

– Żołnierzu! – rzucam ostro, ściszone, lecz napiętym głosem.

Szeroko otwiera oczy. Widzę, jak budzą się w niej wojskowe instynkty. Lekko prostuje szyję.

– Ta skała jest pod spodem wydrążona, będę cię trzymał, ale kiedy się zanurzymy, musisz wstrzymać oddech. Zrozumiano?

Kiwa głową. Kiedy opiera się ręką o kamień, na powierzchni zostaje czerwona smuga. Przeprawa wplaw nie wystarczyła, żeby zmyć krew.

Z trudem nabieram haust powietrza. Czuję nadciągający atak kaszlu. Powierzchnia wody zamyka się nad naszymi głowami. Przez cały czas ściskam nadgarstek Jubilee. W toni unoszą się głucho dźwięki odległych nawoływań. W końcu, krztusząc się, wypływamy na powierzchnię w moim ciasnym schronie. Jedyne niewielką jego część wypełnia woda – reszta to skała i mała półeczka, którą Orla wybudowała dla mnie, gdy byłem w wieku Fergala.

Przyciskam dłonie Jubilee do kamiennej krawędzi tak długo, aż instynktownie zaciska na niej palce, a ja odzyskuję swobodę ruchów. Po omacku odnajduję podwieszoną siatkę z artykułami pierwszej potrzeby. Uczucie ulgi sprawia, że serce bije mi odrobinę lżej. Po chwili wyczuwam pod palcami cylindryczny kształt małej latarki. Naciskam guziczek i w rozedrganym świetle pomagam Jubilee wdrapać się na wąską półkę. Kulimy się w przestrzeni przeznaczonej dla dziecka. Wraz z oddechem z gardła dziewczyny wyrывa się drżący, tłumiony szloch.

Zaciskam zęby. Muszę opracować jakiś plan, ale myślami wciąż jestem przy Seanie. Powinienem z nim teraz być, jakoś mu ulżyć w żalobie. Chciałbym mu powiedzieć, jak mi przykro, że nie dotarłem na czas, że nie udało mi się ocalić Fergala.

Stężałe rysy Jubilee odrobinę się rozluźniają. Przechylam latarkę tak, że snop światła obejmuje część jej twarzy. Ma rozchylone wargi, oczy szeroko otwarte, a z nosa i podbródka ścieka jej woda. Muszę ją rozruszać. Dodać tyle energii, żeby wystarczyło, by nas stąd wydostać. Przełknąwszy żal i odrazę, odgarniam jej z policzka przemoczone włosy.

Wzdryga się pod moim dotykiem.

– Flynn, proszę, przestań.

Choć twarz pokrywają jej krwawe smugi, wygląda na o połowę młodszą, niż jest. Gdyby nie to, że już jestem pobity, tymi słowami zadałaby mi ostateczny cios: właśnie teraz postanowiła zwrócić się do mnie po imieniu. Teraz, kiedy nie mogę nawet na nią patrzeć.

Zdażyłem już ją poznać i trudno mi uwierzyć, że dłonie ma zbroczone krwią mojej rodziny.

– Weź się w garść – mówię. – Musisz być teraz przytomna. Jeśli będę musiał cię wlec całą drogę, złapią nas oboje.

– Trzeba było pozwolić mu mnie zabić – mówi, a jej głos jest głuchy i pełen rozpacz.

– To nie byłaś ty – zmuszam się, by to powiedzieć. – To furia.

To nie była ona. Powtarzam to sobie w kółko, niezdolny spojrzeć w oczy prawdzie. Łudzę się, że takie wyjaśnienie choć trochę złagodzi ból.

– Nic nie pamiętam.

Głos jej się łamie, roztrzęsiona kuli się w sobie, ale nie jest to ten sam dygot, któremu towarzyszyły rozszerzone źrenice i urywane ruchy. Jest w szoku. Obejmuję ją niechętnie, żeby nie ześliznęła się z powrotem do wody. I nagle uświadamiam sobie, że nie trzymam w ramionach kapitan Chase, lecz przerażoną dziewczynę, która pragnie się wtopić w otaczającą nas skałę i zostać tu na zawsze.

– Zabiłam twoich ludzi. Powinieneś... powinieneś się zemścić, czemu tego nie robisz?

– Bo to nie byłaś ty – powtarzam jej te słowa prosto do ucha, rozpaczliwie pragnąc, by okazały się prawdziwe dla nas obojga.

– Skąd możesz wiedzieć? – odpowiada gniewnym szeptem. – Przestań, Flynn... Po prostu przestań.

Chwyta mnie za koszulkę, chce odepchnąć, ale jej opór nagle słabnie. Pozwala, bym przygarnął ją do siebie i targana szlochem przywiera do mojej piersi.

Goście lzy spływają mi po policzkach. Mocno przełykam ślinę, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Przez moment marzę o tym, by zapomnieć

o wszystkim, co się stało, trzymać ją w objęciach i pozwolić, aby bliskość uleczyła nas oboje. Ale nie mogę. Jubilee nawet pachnie inaczej – jej włosy mają woń spizgu.

Serce każe mi ją objąć. To samo serce pragnie, by cierpiała.

Tymczasem ona trzęsie się coraz mocniej i ja również zaczynam dygotać. Sięgam ku wiszącej w górze siatce i macam na ośle, aż trafiam na ogrzewacz. Wciskam go między nas i powoli robi się cieplej.

Raz po raz dalekie głosy niosą się po wodzie i odbijają echem w skalnej bańce. W końcu zapada cisza i dopiero wtedy, po dłuższej chwili, Jubilee znów się odzywa.

– Co teraz? – pyta ledwie słyszalnym szeptem.

Chciałbym mieć na to odpowiedź. Serce tłucze mi się o żebra, walczę z uczuciem paniki, pokusą, by ulec rozpacz, przerażeniu i wyczerpaniu. Teraz, gdy przestałem się ruszać, odzywa się ból w przeżartych dymem płucach.

– Nie wiem.

– Identyfikator LaRoux Industries – szepcze Jubilee, zapatrzona w ciemność. – Kiedy go znalazłam tam, na wyspie, miałam to samo uczucie. Ten sam smak na języku...

Te same niewidzące, rozszerzone źrenice, które widziałem w grocie. Przygarniam ją mocniej, zanim znów zacznie dygotać. Nie chcę dopuścić do siebie strachu, bo w połączeniu z rozpaczą to będzie dla mnie za wiele. Nie mam teraz sił zastanawiać się nad tezą, że to korporacja jest odpowiedzialna za szaleństwo, które nęka moją ojczyznę.

– Muszę się dostać do jednostki – mówi Jubilee z nagłym, głuchym zapamiętaniem, jakby recytowała kolejny rozdział instrukcji. – Złożyć meldunek... Muszę im powiedzieć.

Podrywam głowę.

– Jubilee, nie. Wywiozą cię stąd jak wszystkich, którzy...

... zmieniają się w morderców. Nie jestem w stanie wypowiedzieć tych słów na głos, ponieważ jeśli to zrobię, staną się prawdziwe.

Jubilee mruga, udręczona.

– Taki jest regulamin. Ja nie umiem inaczej.

– Słuchaj – zaczynam, łapię ją za ramię i ściskam tak mocno, że spogląda na mnie odrobinę przytomniej. – Zostałaś mi tylko ty. Tylko ty jesteś w stanie mi pomóc powstrzymać to, co tu się dzieje, cokolwiek to jest. Nie mogę dłużej węszyć w waszej bazie, ale ty możesz.

– Nie mogę... O Boże.

Oczy zachodzą jej mgłą i wiem, że już mnie nie widzi. Widzi krew, ciała i wylot lufy.

– Nie dam rady.

– Dasz – odpowiadam cicho i nieustępliwie.

– Skąd wiesz?

– Bo jesteś Jubilee Chase – mruczę. – Nie jesteś tym, czym cię uczyniła ciemność.

Łagodnie rozbujane światło wiszącej latarki zmienia układ cieni na jej twarzy, nieodgadnionej dopóki znów na mnie nie spogląda. Po raz ostatni przechodzi ją dreszcz, a potem kiwa głową. Oddycham z ulgą, dostrzegłszy wreszcie przebłysk tego, co – jestem pewien – tkwiło w niej przez cały czas. Nagle znów widzę żołnierkę, dziewczynę, którą zdążyłem już poznać i z którą wiązę wszystkie swoje nadzieje.

– Zabierz mnie z powrotem – szepcze.

Wyłączamy latarkę i ześlizgujemy się w lodowatą toń, zostawiając za sobą kryjówkę mojej siostry, zimną i pustą.

Chłopiec, którego nie powinno tu być, leży obok niej na pokrywie ścigacza, na obrzeżach miasta, pod kocem. Tym razem ma różowe włosy, choć gdy dziewczyna przesuwa po nich dłonią, zmieniają się pod jej dotykiem, wydłużają i skręcają na skroniach w łagodne pukle.

Oboje patrzą w niebo.

– Tę nazwiemy „łowczyni” – mówi chłopiec, a w jego głosie dźwięczy śmiech. – Widzisz, tam ma strzelbę, ta mgławica to jej włosy, a te kilka gwiazdek obok siebie to zmarszczka, która jej się robi między oczami, kiedy na mnie wrzeszczy.

– Spadaj, nie robi mi się żadna zmarszczka.

– Twoja kolej.

Dziewczyna patrzy w puste niebo. Jedyne gwiazdozbiory na Avonie to te, które powstają w ich wyobraźni.

– Nie mogę – szepcze, zaciskając powieki. – Nie umiem.

Wie, jakie jest zakończenie tego snu. Chłopiec ją pocałuje, będą leżeć przytuleni, a kiedy wślizgną się z powrotem do bazy, ona wróci do codziennych zadań, niezmieniona, może poza tym, że bez koca będzie jej odrobinę chłodniej.

Ale tym razem zielonooki chłopiec bierze ją za rękę i gdy dziewczyna otwiera oczy, niebo jest pełne gwiazd.

JUBILEE

Podziemna przystań roi się od rebeliantów. Klębią się jak mrówki wokół mrowiska, jak drony naprawcze wokół zepsutego firebirda. Na ubraniach niektórych z nich widnieją czerwone i rdzawobrazowe plamy, ale nie poruszają się, jakby byli ranni. Zbyt wielu ludzi tutaj ma na sobie krew najbliższych.

– McBride nie zdążył ich jeszcze zorganizować – mówi cicho Flynn, wrywając mnie z zamyślenia. – Być może uda nam się to wykorzystać.

Nawet w jego szeptach słychać rozpacz. Powinien być teraz wśród swoich. Pomagać im. Ale nie może, ponieważ to właśnie jego ścigają. Przeze mnie.

Przesuwam wzrokiem po ciemnej powierzchni wody, aż natrafiam na to, czego szukałam: kołyszącą się kilka metrów od brzegu łódkę.

– Tym przyplłynęłam.

Spoglądam na niego i dostrzegam drgający mięsień koło szczęki. Flynn wciąż z bolesną tęsknotą w oczach przygląda się swoim ludziom. Po chwili jednak kiwa głową i przenosi wzrok na przycumowane do przystani łodzie.

Brodzimy w nieznośnie żółtym tempie, uważając, by nie spowodować choćby najłżejszej falki, i jeszcze wolniej, gdy woda zaczyna sięgać nam kolan, bioder, wreszcie pasa. Uruchamiam wojskowe nawyki i zmuszam umęczone mięśnie do wysiłku, który pozwala kontrolować każdy ruch. Ostrożność – w tym jestem dobra. To zadanie, na którym mogę się skupić i dzięki temu nie myśleć o... o niczym innym.

Gdybyśmy teraz spróbowali się wspiąć na łódź, ktoś by nas zauważył, więc chwytamy ją z dwóch stron i wyprowadzamy w stronę ziejącego wylotu przystani. Już mam odetchnąć z ulgą, kiedy oślepia mnie promień światła odbity od powierzchni wody.

Flynn zduszonym szeptem rzuca coś ostrzegawczo po irlandzku, a ja odruchowo tężeję. Czyjś krzyk odbija się echem od ścian i nagle rój ludzi rzuca się w naszą stronę. Przez moment działamy niczym jeden organizm. Chwytam burtę, unieruchamiając łódź, a Flynn winduje się na pokład, po czym obciążając przeciwny bok, łapie mnie za rękę i wciąga za sobą. Dopada motoru. W oślepiającym świetle reflektorów, które sprawia, że z oczu ciekną mi łzy, ścigający jawią mi się jako niewiele więcej niż zamazane kształty. Flynn szarpie zapłon, raz, drugi, aż silnik, kaszląc, budzi się do życia i dziób uruchomionej zbyt gwałtownie łodzi wyskakuje w górę nieoczekiwanym zrywem. W tym momencie w burtę wbija się nabój, a w jaskini rozbrzmiewa zwielokrotniony echem huk wystrzału. Przypadamy do dna. Wiedziona instynktem dopadam Flynna i wrywam mu gleidel.

Podniósłszy wzrok, dostrzegam na jego twarzy cień strachu. Boi się mnie. Nie wydaje z siebie głosu, nie przekazuje mi żadnego, nawet niemego sygnału, ale ta sama nic porozumienia, która pomogła nam razem wspiąć się na łódkę, sprawia, że wiem, o czym myśli. Widzi, jak umazana krwią ściskam w dłoniach broń, która zabiła pół tuzina jego ludzi. Jest mi niedobrze, straszliwa świadomość tego, co zrobiłam, przenika mnie do szpiku kości. W tym momencie oddałabym wszystko, żeby tylko przestał tak na mnie patrzeć.

Prujemy w stronę wylotu jaskini. Tymczasem rebelianci wskakują do łódek i ruszają w pościg. Są zbyt blisko, żebyśmy zdołali zgubić ich na mokradłach. Na tyle blisko, by do nas strzelać – i na tyle blisko, by sami stali się celem.

Flynn odwraca się gwałtownie, gdy przysuwam głowę do celownika. Nie mam zamiaru nikogo więcej dzisiaj zabić, nie kiedy znów jestem sobą. Nawet w samoobronie. Ale skutecznie oślepiają mnie wymierzone w nas reflektory.

Unoszę głowę, przebijam wzrokiem rozjarzoną biel i dostrzegam sklepienie z szorstkiego kamienia, poprzecinane naturalnymi żłobieniami i ociekające wilgocią. Laser nie uszkodzi skały, ale podziela na zgromadzoną w szczelinach wodę. Unoszę broń i wciskam się w ławkę, mierząc ponad głowę Flynnna, przez co staję się idealnym celem dla ścigających nas rebeliantów. Flynn krzyczy, ale go nie słyszę. Mój świat się zawęża, skupiony na jednym celu.

Gleidel podskakuje mi w dłoniach. Przypadam do dna. Ryk lasera odbija się echem od ścian, a zaraz potem rozlega się trzask rozpychanej gorącą parą skały oraz rumor odrywających się od sufitu i wpadających do wody kamieni. Następnie gorączkowy jazgot silników oznajmia, że rebelianci rozpiezchli się na boki, próbując uniknąć gradu skalnych odłamków, z których kilkanaście sterczy teraz z płycizny u wylotu przystani.

Podnoszę się w samą porę, by dostrzec ginącą w tyle paszczę jaskini, na wpół przesłoniętą tryskającą spod rufy fontanną wody, oraz zlepek łodzi manewrujących w nowo powstałym labiryncie głazów, które blokują im drogę.

Zerkam na Flynnna. Udało się.

Płyniemy w milczeniu. Nic nie zostało do powiedzenia, nawet gdyby starczyło nam sił, by przekrzykiwać wycie motoru. Kiedy odwracam się na moment, dostrzegam zamazaną plamę poblądłej twarzy, zaczerwienionych oczu i zmieszanych z wodą łez. Więcej nie próbuję na niego patrzeć.

Niebo z atramentowoczarne robi się grafitowe, a nad horyzontem niczym fatamorgana pojawiają się odległe światła bazy. Flynn redukuje bieg i ryk silnika przechodzi w cichy pomruk. Lawirujemy pomiędzy kępami wodorostów, aż dziób łodzi z wywracającym wnętrzości szarpnięciem wbija się w mulisty brzeg. Motor gaśnie.

Dzwoniąca w uszach cisza przypomina powidoki, które ukazują się człowiekowi nagle wrzuconemu w ciemność. Na Avonie nie ma żab ani owadów,

żadnych dźwięków, które ożywiłyby martwą mokradła. Wpatruję się w oddalone światła bazy tak długo, że tracę ostrość widzenia.

– Dokąd pójdziesz? – pytam przecinającym ciszę szeptem.

– Nie mam pojęcia. Dokądś.

Głos ma szorstki. Od długiego milczenia. Z zimna. Z rozpaczy. Sama nie wiem.

Wciskam mu w rękę porzuconą na dnie łodzi kurtkę. Będzie jej potrzebował bardziej niż ja.

– Wiesz, ten barman, Molly... Przekaze mi wiadomość, gdybyś...

Głos mi się łamie i klei do gardła. Gdybyś mnie potrzebował, dodaję w myślach.

Flynn kiwa głową, ale nie mam pewności, czy usłyszał. Czuję, że znów dopada mnie szok, zimne palce strachu przebiegają mi po kręgosłupie i unieruchamiają w kleszczowym uścisku. Nie uczono mnie o tym na szkoleniach. Na to nic nie może człowieka przygotować.

Gdyby chodziło tylko o mnie, położyłabym się na dnie łódki, poczekała, aż przegnije i zatonie, a moje ciało zapadnie się w muliste dno. Niestety, to niemożliwe. Ciężko przelykam ślinę, resztkami sił odpędzając posępne myśli. Flynn miał rację – tylko ja mogę się teraz dostać do bazy i spróbować wybadać, co dzieje się na Avonie.

Z trudem zmuszam zeszywniałe mięśnie do działania, gramolę się przez krawędź łodzi i ląduję po uda w lodowatej wodzie. Kolana uginają się pode mną i w ostatniej chwili chwytam się burty.

– Flynn...

Powinnam czuć się nieswojo, wypowiadając jego imię – tak długo go unikałam, chcąc utrzymać dzielący nas dystans. Jednak teraz moją uwagę zaprzęta sposób, w jaki to na niego działa: wydaje się mniej podejrzliwy, choć wciąż patrzy smutno. Zaciska zęby.

– Chcę, żebyś wiedział, że nigdy nie zrobiłabym tego twoim bliskim.

Boję się powiedzieć to głośno. Mój szept jest pełen napięcia.

– Nigdy. Sama wolałabym zginąć.

Serce łomocze mi tak mocno, że niemal rozsadza pierś.

– Wiem, Jubilee – odpowiada wreszcie Flynn, unosi się na kolanach i jego twarz zrównuje się z moją. – Wiem.

Wie. Jego słowa wydają się szczerze. Mimo to nie jest w stanie patrzeć na mnie dłużej niż przez kilka sekund.

A ja nie mogę przestać patrzeć na niego.

– Nie poddawaj się – mówię i te słowa skierowane są zarówno do niego, jak i do mnie. – Potrzebujesz tylko czegoś prawdziwego, czego będziesz mógł się złapać. Jednej prawdziwej rzeczy.

Patrzy na moje dłonie uczezione burty, pokryte lepka, zaschniętą warstwą krwi. Chcę je cofnąć, ukryć w ciemności, ale on jest szybszy. Delikatnie łapie mnie za rękę, nabiera garść wody i zaczyna ścierać z mojej skóry obrzydliwą, skrzepłą powłokę.

Ramiona ciążą mi nagle, sztywne jak u lalki, jakby należały do kogoś innego. Piekące oczy zachodzą mgłą. A potem czuję już tylko palce Flynnna, które masując najpierw jedną, potem drugą dłoń, powoli wracają w nie życie. Obmywają ostatnie ślady krwi, które łączą mnie z furją.

Skończywszy, nieruchomieje i spogląda na moją dłoń w swojej. Chwila rozciąga się do granic możliwości, aż pęka. Flynn puszcza moją rękę, cofa się i odwraca naznaczoną smutkiem twarz. Wzdycham cicho w odpowiedzi na niezrozumiały ucisk w sercu i bolesne targnięcie w duszy. Nie powinnam za nim tęsknić, a jednak tęsknię – za tym chłopakiem, który miał święte prawo pociągnąć za spust, a zamiast tego rzucił się między mnie i śmierć. Jedynym, który wierzy, że nie jestem tą, za którą wszyscy mnie uważają: bezduszną żołnierką, dziewczyną, której nie sposób złamać serca, bo go nie ma. Jedynym, który potrafił mi udowodnić, że sama myliłam się co do siebie.

Rośnie we mnie rozpaczliwe pragnienie – pragnienie jego dotyku, spokoju w chaosie, ulgi, którą niesie ze sobą jego obecność. Pragnę go. Marzę o tym, żeby nadszedł świt i wydobył jego rysy z cienia. Wiem, że nie pośle po mnie Molly'ego. Nie wróci. W głębi serca zdaję sobie sprawę z tego, że już nigdy więcej go nie zobaczę.

– Żegnaj, Flynnie Cormacu.

Bawi się z zielonookim chłopcem i niczemu się już nie dziwi: tak mocno wrósł w jej sny, że wydaje jej się, jakby istniał w nich od zawsze. Skrada się wąską uliczką, a serce podskakuje jej radośnie na każdy szmer. Nagle chłopiec wyskakuje zza pieca do spalania odpadów:

– Bziu, bzzziu! Nie żyjesz!

Dziewczynka wydaje z siebie pisk i posłusznie pada na ziemię. Chłopiec wybucha śmiechem i kuca obok niej.

– Dobra, to teraz ty będziesz bandytą.

Ale kiedy dziewczynka siada, jego już nie ma. Została sama, a ze wszystkich stron otaczają ją ruiny miasta November.

FLYNN

Zamykam oczy. Nie jestem w stanie patrzeć, jak odchodzi, ponieważ mnie zniszczyła. A także dlatego, że nigdy więcej jej nie zobaczę. Serce płonie mi żądzą zemsty i płonie dla niej, i nie potrafię przewidzieć, które pragnienie okaże się zwycięskie.

Kiedy otwieram oczy, świt jest już blisko. Jubilee zniknęła, a wraz z nią nadzieja, że uda się okiełznać ten chaos. Już wcześniej ta bitwa zdawała się nie do wygrania, ale teraz myśl o LaRoux Industries na Avonie i ich związku z epidemią furii czyni mnie całkowicie niezdolnym do następnego kroku. Jakie znaczenie ma fakt, że objawy Jubilee – atak drgawek, smak krwi na języku – okazały się dokładnie takie same jak uczucie, które ogarnęło ją, kiedy znalazła identyfikator? Tylko my wiemy o powiązaniach LaRoux Industries z Avonem i tylko nam zaświtał w głowach pomysł, że być może przypadłość zwana furią nie jest czymś, co planeta robi ludziom, lecz krzywdą wyrządzoną jej przez ludzi.

Została tylko jedna osoba, która może mi uwierzyć, która musiała patrzeć, jak ktoś, komu ufała i przy kim czuła się bezpieczna, zmienia się w potwora. A nuż do córki Davina Quinna nie doszły jeszcze wieści o tym, że zdradziłem *fianna*, i wysłucha mojej wersji zdarzeń, zanim mnie wyda? Być może za kilka dni, gdy wszystko się uspokoi, zaryzykuję wypad do miasta i spróbuję ją odszukać.

Prostuję się i narzucam kurtkę. Jest odrobinę za ciasna, ale ciepła. Staram się nie myśleć o Jubilee, jej dowódcach i pozostałych żołnierzach, którzy prawdopodobnie powitali jej powrót z wielką ulgą. Nie chcę wyobrazić jej sobie w barze, otoczonej kolegami z plutonu. Ale widzę to, oczyma duszy widzę, jak wraca do swoich, a oni przyjmują ją z otwartymi ramionami. Moi bliscy już nigdy mnie tak nie przywitają.

Powoli sięgam po wiosło i obracam łódkę w stronę mokradeł. Z dala od jednostki i z dala od domu. Z dala od wszystkiego poza pustym przestworem avońskiej głuszy.

Tym razem jest na Patronie i wraz z dawnym dowódcą patrolują okolicę, gdy nagle dociera do nich wiadomość, że w sąsiednim sektorze słyszano strzały. Wojna dobiegła końca ponad dziesięć lat temu, ale wciąż tu i ówdzie ukrywają się grupki bojowników, wrząc tłumioną nienawiścią, która w nierównych odstępach czasu zaczyna kipieć.

Choć nie mają z sobą pełnego ekwipunku, dowódca się nie waha. Natychmiast prowadzi ich do ślizgacza, po czym rozkazuje płynąć do sąsiedniego sektora, na pomoc osaczonemu na skraju lasu plutonowi.

Jeszcze nigdy się nie biła, nie na pierwszej linii. Zdjęta strachem, zerka na dowódcę. Ten puszcza do niej oko, i jest w tym jakieś ciepło, którego postanawia się uchwycić. Nabiera powietrza.

– Tam nie będzie jak na poligonie – mówi głośno dowódca do całego plutonu, ale patrzy właśnie na nią. – Jeśli ktoś wam mówił, że prawdziwa walka przypomina ćwiczenia, kłamał.

Dziewczyna przełyka ślinę i poprawia w dłoni gleidel, żałując, że to nie zwykła strzelba. Kiedy podnosi oczy na dowódcę, na pokładzie są już tylko oni.

– Masz refleks, Lee, i szybko się uczysz. Wystarczy, że będziesz uważać. Miej oczy szeroko otwarte, a dostrzeżesz to, czego nie widzą inni.

JUBILEE

Reflektory wokół jednostki jarzą się oślepiającym światłem i gdy podchodzę do wskazanego przez Flynna uszkodzonego fragmentu ogrodzenia, opuszcza mnie adrenalina. Wraz z nią odpływa uczucie. Potykając się, docieram do płotu i z trudem odplątnę zgrabiętymi palcami druty siatki na tyle, by precyzyjnie się na drugą stronę. Przejście przez bramę wywołałoby zbyt wiele pytań, na które nie mam odpowiedzi. Jeśli dowódcy odkryją, co zrobiłam, odeślą mnie stąd natychmiast i nie zostanie już nikt, kto zdołałby dociec, co dzieje się z Avonem.

Powinno spróbować coś zjeść albo się przespać, by opanować dreszcze, ale prawie nie pamiętam, jak trafić do baraku. Usiłując odtworzyć w myślach trasę, którą poruszał się Flynn, kiedy mnie porwał, wchodzę w wąską uliczkę na tyłach baru Molly'ego. Ściany są pokryte graffiti, część napisów została zdrapana, część wydaje się świeższa. Jeden z nich jest w połowie po hiszpańsku, w połowie po irlandzku. Rozpoznaję jedno słowo: *trodair*. Jaskrawoczerwoną farbę naniesiono z tak bliska, że przed zaschnięciem spłynęła długimi, wąskimi strużkami.

Nie potrafię się opędzić od obrazów, które wżarły mi się w umysł: krew i zwęglone ciała, zabarwiony na karmazynowo kamień i... Drżąc, odrywam wzrok od czerwonego graffiti. Nie po to cię oszczędził, żebyś teraz zaczęła histeryzować, myślę.

Zbieram siły, kiedy nagle tylnymi drzwiami z baru wypada trzech żołnierzy. Zaraz za nimi w progu staje Molly.

– Do domu, ale już – mówi stanowczo, choć bez gniewu.

Od razu widać, że trzech smarkacze wypili więcej, niż powinni, choć wciąż trzymają się na nogach. Żaden z nich nie należy do mojego plutonu.

Molly dostrzega mnie i wyciąga szyję.

– Lee?

Włącza światło nad drzwiami i uliczkę zalewa fala ostrego blasku. Jak przez mgłę słyszę nawoływania trójki żołnierzy, mówią coś do mnie, ale nie rozumiem słów. Cofam się o krok, nękana zawrotami głowy, a serce wali mi tak mocno, że ledwo mogę oddychać. Wyciągam ręce i w tej samej chwili uświadamiam sobie, że nie mam się czego chwycić.

Czyjaś silna dłoń łapie mnie za ramię, podpira i stawia mocno na nogi. Mrugam i dostrzegam obok zmartwioną twarz Molly'ego.

– Mam gdzieś na zapleczu to specjalne zamówienie, skarbie, zaraz poszukam – dudni swoim łagodnym, tubalnym głosem.

Słowa te docierają do uszu trójki nowicjuszy, którzy oddalają się w stronę koszar.

– Świetnie – odpowiadam słabo i pozwalam, by barman wciągnął mnie do środka.

Wchodzimy do pogrążonego w półmroku, zakurzonego magazynu i Molly sadza mnie na jakiejś starej skrzynce. Kiedy po dłuższej chwili podnoszę głowę, wpatruje się we mnie z troską i niepokojem. Nawet on nie jest w stanie patrzeć na bliską omdlenia kapitan Chase, nie myśląc przy tym, że zbliża się koniec świata.

– Okropnie wyglądasz – mówi cicho. – Coś się stało na patrolu?

Spoglądam w dół i z zaskoczeniem stwierdzam, że moje ubranie jest ubrudzone błotem i miejscami wciąż mokre. Kilka plam ma inny kolor. Rdzawoczerwony. Otwieram usta, jednak zamiast odpowiedzi wyrywa się z nich na wpół histeryczny szloch.

– Zrobię ci drinka – oznajmia nie na żarty strwożony Molly i odwraca się do drzwi.

Chwytam go za ramię.

– Nie chcę drinka. Potrzebuję twojej pomocy.

Molly pociera ogoloną głowę. W przyćmionym świetle zaplecza wijące się wokół jego palców tatuaże zdają się nabierać życia. Nie po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że chciałabym umieć odcyfrować napisy pokrywające jego skórę od dłoni aż po ramiona – niestety, choć pamiętam kilka słów po chińsku, wiedza dotycząca znaków uleciała mi z głowy dawno temu. Molly wyjawiał kiedyś, że jedną rękę zdobia cytaty ze *Sztuki wojny* i *Księcia*, drugą zaś słowa mędrców ze wszystkich stron pradawnego ziemskiego świata, takich jak Konfucjusz, Martin Luther King czy Gandhi. „Wojna i pokój”, wyjaśnił, gdy mu oznajmiłam, że niezły z niego wariat.

Światło i ciemność. Jin i jang.

Rebeliant i żołnierka.

Molly zawsze podchodził niezwykle poważnie do swojej kulturowej spuścizny i usiłując się w niej odnaleźć, bezkrytycznie łykał każdy motyw napotkany w starożytnych filmach czy książkach. Chyba dlatego od razu mnie polubił – jestem jedną z zaledwie kilku osób zdolnych wymówić jego prawdziwe imię. Wywodzi się z terrabiedy, jego rodzice niedługo po przybyciu do nowego świata zmarli pod wpływem surowych warunków, on zaś jako osieroczone niemowlę został zaadoptowany przez obcą rodzinę na planecie Babel. Nie mam pojęcia, jakim cudem wylądował tutaj, w kolonii w znacznym stopniu zdominowanej przez Irlandczyków. Choć oprócz krwi nic go nie łączy z naszym wspólnym chińskim dziedzictwem, nie przestaje go ono fascynować. Ze mną było zupełnie inaczej – matczynych nauk unikałam jak ognia.

Potem matka zginęła, a ja na zawsze utraciłam możliwość poznania swoich korzeni.

Molly wciąż się waha, jakby podejrzewał, że jednak przyda mi się szklanka

czegoś mocniejszego.

– Co się dzieje? – pyta w końcu.

– Chciałabym cię prosić o przekazanie mi wiadomości.

Choć zdaję sobie sprawę, że nie ma szans, aby Flynn Cormac jeszcze kiedykolwiek się ze mną skontaktował, w zakamarkach serca tkwi niezgoda na to, by zerwać ostatnią wiążącą nas nić.

– To ważne. Nie wiem, kto ją przyniesie ani kiedy, ale jeśli to się stanie, musisz mi ją przekazać. Mnie i tylko mnie.

Molly zatroskany ściąga brwi.

– Skarbie, w coś ty się wpakowała?

Biorę głęboki oddech, wciąż rozdygotana, targana resztkami ataku paniki, który dopadł mnie w ciemnej uliczce przed drzwiami baru.

– Nie mogę ci powiedzieć, Baoija.

W bazie jest tylko kilka osób, które znają jego prawdziwe imię, i jeszcze mniej takich, które go używają. Na jego dźwięk Molly nieruchomieje, po czym kiwa głową. Ściska mnie za ramię i mówi:

– Będę się miał na baczności. Idź odpocząć, mała. Wyglądasz jak śmierć na chorągwi.

Odnalazłszy drogę do kwatery, próbuję skorzystać z jego rady. Nawet po tym, jak pod prysznicem zmyłam z siebie resztki krwi i błota i przebrałam się w czyste, suche rzeczy, nadal czuję się brudna. I choć nauczono mnie zasypiać w każdych warunkach, mimo wycieńczenia i rozpaczliwej potrzeby odcięcia się od wspomnień tej koszmarnej nocy jeszcze długo leżę, wpatrując się w sufit.

Może dlatego, że ilekroć zamknę oczy, pod powiekami ukazuje mi się dziecko z kryjówki rebeliantów, z odstrzeloną połową głowy, ze skórą i włosami zwęglonymi w sposób, który dowodzi niezbicie, że użyto wojskowego gleidla. Dziecko, które zabiłam, gdy nie byłam sobą.

Przewracam się z boku na bok, desperacko marząc o tym, by wyrwać się z plątaniny myśli. Gdybym tylko miała kogoś, z kim mogłabym się skontaktować i odbyć choćby najbanalniejszą rozmowę, nie wahałabym się ani chwili. Chociaż Towers to służbistka, jeśli chodzi o wykorzystywanie sygnału satelitów wzmacniających do oglądania holowizji, linie nadawcze są dobre i czyste. Tyle że tresuje się nas na samotników – nie mamy szansy znaleźć przyjaciół. Dwa lata temu zadzwoniłabym do któregoś z towarzyszy z grupy szkoleniowej, ale teraz jesteśmy rozsypani po całej galaktyce. Nie mam nikogo innego. Wszyscy, z którymi niegdyś służyłam, albo nie żyją, albo stacjonują tak daleko, że równie dobrze mogliby być martwi.

Czasem myślę, że celowo nas izolują. Zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym została w sierocińcu i nie zaciągnęła się do wojska. Albo gdybym w którymś momencie zdołała się uwolnić od żądzy zemsty. Dawny

dowódca zawsze mi powtarzał, że muszę znaleźć coś, o co warto stoczyć walkę, a nie coś, co mnie do niej pcha. Czy gdybym go słuchała, potrafiłabym później nawiązać przyjaźń trwającą dłużej niż pobyt w tej samej jednostce?

Nie wiem, skąd naszły mnie myśli o dawnym dowódcy, ale nagle zaczynam tęsknić za jego obecnością. Potrafił bowiem sprawiać, że to, co niewyobrażalne, stawało się możliwe, i nagle górską wspinaczką czy przeprawa przez równinę już nie wydawały się takie trudne.

Gwałtownie zrywam się z posłania, tknięta nagłym olśnieniem. Mój kapitan! Flynn i ja szukamy powiązań LaRoux Industries z tym, co dzieje się na Avonie. Przyczyny, która sprawiła, że porzucony identyfikator z wygrawerowaną lambda znalazł się na terenie tajemniczej znikającej bazy. Jak mogłam być tak głupia? Mój dawny dowódca opuścił tę planetę ponad rok temu, istnieje więc pewne ryzyko – ale nawet jeśli sława i bogactwo go zmieniły, nie wierzę, że mógłby odmówić mi pomocy, jeśli go o nią poproszę.

Odrzucam koc, wstaję i siadam przy biurku. Odgarnąwszy na bok zaśmiecające blat szpargały, przyciskam wewnątrz dłoni do pokrywy ekranu, który wysuwa się usłużnie i ustawia na wysokości mojej głowy. Chwilę potem z wnętrza pod ekranem wyłania się klawiatura. Komputer nie jest wyposażony w system sterowania wzrokiem – z zasady korzystamy ze sprzętu starej generacji, wiedząc, że jeśli wpadnie w ręce rebeliantów, nie na wiele im się przyda.

Wpisuję kolejne linijki kodu. Urządzenie jest dość prymitywne, ale można na nim wiele zdziałać, jeśli tylko się wie, jak to zrobić. A człowiek, z którym zamierzam się połączyć, dopilnował swego czasu, bym posiadała umiejętności, których nie mają inni.

Skanuję system w poszukiwaniu oprogramowania śledzącego ruchy klawiszy, po czym zabieram się do dzieła. Wpisuję adres sieciowy i dodatkową linijkę kodu, która przeprowadzi połączenie przez bezpieczny serwer proxy i pozwoli mi ukryć swoje położenie. Następnie wprowadzam tagi, które sklasyfikują rozmowę jako prywatną i usuną ją z wojskowego rejestru – nie jest to idealne zabezpieczenie, ale istnieje szansa, że o ile ktoś nie zacznie naprawdę węszyć, po rozmowie nie będzie śladu.

Już mam wcisnąć enter, gdy dopadają mnie wątpliwości. Zajęta szyfrowaniem linii, zdołałam na moment zapomnieć o tym, po co to robię. A jeśli on rzeczywiście się zmienił i nie jest już tym samym człowiekiem, u boku którego służyłam? A jeśli pomimo tych wszystkich wysiłków ktoś śledzi mój każdy wirtualny krok? A jeśli...

Zamykam oczy. Mogłabym wymienić tysiąc argumentów przeciw temu, by się z nim kontaktować. I tylko jeden argument za: ufam mu. Palec opada na klawisz i odchylam się na krześle, z zaciśniętymi powiekami czekając, aż sygnał dotrze do satelity, który połączy mnie z siecią hiperprzestrzenną.

Zdającą się nie mieć końca ciszę przerywa ciche trzeszczenie głośników i pod powiekami rozbłyska mi światło.

– Co jest? – odzywa się niegrzecznie rozespany głos.

Otwieram oczy. U niego również panuje ciemność, nie licząc mżenia ekranu komputera. Półmrok sprawia, że wydaje się blady niczym zjawa.

Mimo to wygląda dobrze. Lepiej niż zapamiętałam. Jest bez koszuli, a z jego piersi zniknęły nieśmiertelniki. Zapisał włosy i jest w nim jakaś swoboda, której wcześniej nie było. Jakby znalazł to, czego szukał – to, czego wszyscy szukamy, w okopach, w koszarach, wśród mokradeł.

– Szefie... – dukam przez wyschnięte nagle gardło.

Otwiera oczy szerzej, mruga i siada prosto.

– Lee?

Nagle w głośnikach rozlega się inny głos, stłumiony, senny.

– Tarver – mówi z wahaniem głos. – Wracaj do łóżka.

Ktoś jest z nim w pokoju. Kobieta.

Merendsen zerka przez ramię, ale za jego plecami widzę tylko ciemność.

– Śpij, Lilac.

Polecenie, choć szorstkie, wypowiedziane zostało z czułością, która chwytła mnie za serce. Czuję, że się czerwienię – nigdy nie spodziewałabym się po nim takiego tonu. Nagle zaczynam się zastanawiać, w czym mu przeszkodziłam. Kto wie, czy nie jest nagi, kamera pokazuje go tylko od pasa w górę.

Kiedy odwraca się z powrotem do mnie, czułość znika, a w jego rozespanym głosie pojawia się nuta zniecierpliwienia.

– Lee, do cholery, masz pojęcie, która jest godzina?

Nie pomyślałam o różnicy czasów. W ogóle o niczym nie myślałam poza tym, że rozpaczliwie pragnę ujrzeć twarz człowieka, któremu mogę zaufać.

– Przepraszam, szefie.

Choć odszedł z wojska, nie potrafiłabym zwracać się do niego inaczej. Teraz, gdy otrząsnął się ze snu, widzę na jego twarzy coraz większe zakłopotanie. Nie winię go. Nie służyliśmy razem od roku, nie rozmawialiśmy od dziewięciu miesięcy.

– Co się dzieje, Lee?

Waham się, nasłuchując odgłosów po drugiej stronie linii. Choć panuje tam cisza, wiem, że córka Rodericka LaRoux leży w łóżku Merendsena i dociera do niej każde moje słowo.

– Czy możemy porozmawiać na osobności?

Po chwili milczenia Merendsen zapewnia:

– Wszystko w porządku. Ona śpi.

Kręcę głową i przetykam ślinę. Boję się mówić dalej.

Merendsen patrzy lekko w dół, na moją twarz na ekranie zamiast w kamerę.

Spoglądam w małą soczewkę, żeby widział moje oczy.

Bez słowa odsuwa się od biurka i wstaje. Jednak jest ubrany, w nisko wiszące na biodrach spodnie od dresu, a mimo to czuję, że wyrwałam go ze snu. Wychodzi z kręgu rzucanego przez monitor światła i kiedy kamera automatycznie ustawia ostrość, widzę jego pograżoną w cieniu sylwetkę nachylającą się nad łóżkiem. Do moich uszu dociera cichy, jęklivy protest Lilac LaRoux i dostrzegam parę ramion próbujących pociągnąć go z powrotem na posłanie.

Cicha rozmowa, zduszony śmiech Merendsena. Westchnienie kapitulacji. Milczenie. A potem miękki, niedający się pomylić z niczym innym odgłos pocałunku.

Merendsen wraca do komputera.

– Sekundę.

Rozedrgany mętnik światła i dźwięku podpowiada mi, że komputer Merendsena jest mobilny i to jedyny sprzęt, jaki posiada.

Po chwili obraz się uspokaja i znów widzę twarz dowódcy. Kamera automatycznie ustawia ostrość i okazuje się, że Merendsen wyszedł na zewnątrz. Jest ciemno, a w tle dostrzegam dywan kwiatów skąpany w srebrzystobłękitnym blasku księżyca.

– Dobra, Lee – zaczyna Merendsen i bierze głęboki, uspokajający oddech. – Mów, co się dzieje.

Mam tak ściśnięte gardło, że nie jestem w stanie wykrztusić słowa. Mój rozmówca wydaje się zupełnie odmieniony, a zarazem dokładnie taki sam jak kiedyś, i ogarnia mnie dziwna nieśmiałość, której nie czułam, odkąd opuściłam Weronę.

Merendsen nachyla się nad ekranem.

– Naprawdę zadzwoniłaś w środku nocy, żeby pogapić się na wezglowie mojego łóżka?

Przebłysk humoru, to bardzo w jego stylu. Wzruszona, potrząsam głową.

– Szefie... czy mogę panu zaufać? Czy to, co powiedział mi pan przed przeniesieniem, nadal jest aktualne?

Merendsen trzeźwieje.

– Zawsze, Lee – odpowiada stanowczym głosem, dokładnie takim, jakim go zapamiętałam: to głos prawdziwego przywódcy. – Zawsze, słyszysz?

Kręci mi się w głowie i mam wrażenie, że tonę, walcząc o każdy haust powietrza.

– Pańska narzeczona... Jak dobrze ją pan zna?

– Lepiej niż ktokolwiek inny, Jubilee – zapewnia ostrożnie.

Zdaję sobie sprawę, że świadomie zwrócił się do mnie pełnym imieniem. Wie, że używała go tylko moja rodzina, i wie, jaki powoduje ból. Sprawdza mnie. Moją wytrzymałość i to, jak bardzo potrzebuję jego pomocy.

– Czemu pytasz o Lilac?

Unoszę podbródek i spoglądam w maleńką soczewkę kamery.

– Potrzebne mi informacje o firmie jej ojca.

– Chcesz, żebym szpiegował przyszłego teścia?

Z trudem powstrzymuję grymas. Nagle zaczynam żałować, że zadzwoniłam.

– Nie, chodziło mi o to, że...

– Bo wiesz, Lilac i ja jesteśmy w tym naprawdę świetni.

Gwałtownie spoglądam w ekran: zdumienie odbiera mi mowę.

– Uwierz mi, Lee, nie chcesz się mieszać w sprawy LaRoux Industries. Nie wiem, co ci się udało wywęszyć, ale... odpuść. Wiem, że to trudne.

– Nie mogę. Ludzie umierają i sądzę, że stoi za tym LRI. Był ze mną jeszcze ktoś... ale teraz zostałam sama. Nikt inny się tym nie zajmie.

– Lee – mówi Merendsen powoli i jakby łagodniej. – Gdzie jesteś?

– Na Avonie.

Nie odpowiada od razu, lecz wyraźnie zachodzi w nim jakaś zmiana. Trudno stwierdzić dlaczego, ale w jego spojrzeniu pojawia się lęk. Troska. Jakimś cudem, mimo dzielących nas milionów lat świetlnych, dostrzegł w mojej twarzy echo ostatnich wydarzeń.

– Na Avonie? – powtarza szorstkim, zdławionym głosem. – Wciąż jesteś na Avonie?

Kiwam głową. Chce mi się płakać z ulgi. Zanim w moim życiu pojawił się Flynn, nie płakałam od czasów Werony. A teraz mam wrażenie, jakbym zbierała łzy specjalnie na tę chwilę. Tyle że Merendsen jest ostatnim człowiekiem we wszechświecie, przy którym chciałabym się rozkleić.

Kręci głową.

– Nikt tam nie wytrzyma dłużej niż miesiąc. Ja ledwo wytrzymałem dwa.

– Nic mi nie jest – kłamię. – Ale zbliża się audyt planetarny i jest tu coraz gorzej. Niewykluczone, że LaRoux Industries ma z tym coś wspólnego.

– Co się dzieje?

Chciałabym mu opowiedzieć o znikającej bazie, którą widzieliśmy z Flynnem na mokradłach, ale język odmawia mi posłuszeństwa.

– Furia – odpowiadam więc krótko. – Jest coraz gorzej.

– Zabieraj się stamtąd – mówi bez wahania Merendsen. – Wyjedź. Poproś o przeniesienie. W ostateczności zostaje ci samowolka.

– Samowolka? – Czuję, jak ugina się podę mną podłoga. – Szefie, ja bym nigdy...

– Nie mylisz się, Lee. Co do LaRoux Industries – mówi zasępiony Merendsen. – Widziałem pewne dokumenty, w których wspomniano o Avonie. To było... mniej więcej wtedy, kiedy poznałem Lilac. Sądziłem jednak, że te eksperymenty skończyły się dawno temu. Że położyliśmy im kres.

– Jakie eksperymenty?

Merendsen marszczy brwi.

– Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział – odzywa się po dłuższej chwili milczenia. – Lee, trzymaj się. Znajdę jakiś sposób, żeby się do ciebie dostać.

– Nie – odpowiadam, nachylając się nad ekranem, jakby to miało sprawić, że Merendsen będzie mnie lepiej słyszał. – Szefie, nie prosiłam, żeby pan przyjeżdżał. Przez sytuację z *fianna* robi się tu coraz niebezpieczniej, a pan jest przecież teraz cywilem. Potrzebuję tylko informacji, żeby przedstawić sprawę na górze i poprosić o wyjaśnienia.

– Nie mam zamiaru siedzieć tu beczynnym i czekać, aż potajemnie cię uciszą za zadawanie niewłaściwych pytań. – Merendsen mówi szybciej, zdradzając rzadkie u siebie wzburzenie. On również nachyla się nad ekranem: dzieli nas centymetry, a zarazem cały wszechświat. – Są rzeczy, o których nie mogę rozmawiać nawet na bezpiecznej linii.

Ulga, którą poczułam, zrozumiałwszy, że podziela moje podejrzenia co do firmy Rodericka LaRoux, ustępuje miejsca trzymającemu za gardło, lodowatemu przerażeniu. Co może być tak tajne – gorsze od furii, od przyznania się do szpiegowania teścia i od wzmianki o pogrzebanych dawno temu dokumentach – że gotów jest przelecieć przez pół galaktyki, żeby mi o tym powiedzieć?

– Czekaj na mnie – ciągnie tymczasem Merendsen. – Kiepskie tu mamy połączenia, ale coś wymyślę. Będę musiał zostawić Lilac, nie chcę znów jej w to wplątywać. Nie wiadomo, co się stanie.

Opieram się pokusie, żeby mu powiedzieć, że przywiezienie tu Lilac LaRoux to najgorsze, co mógłby zrobić.

Merendsen wciąż mówi:

– Poczekasz na mnie, prawda? Lee, sprawa jest poważna. Żebyś mi tylko nie wykręciła któregoś ze swoich numerów, zanim dotrę na miejsce, jasne?

– Tak jest. – Kiwam głową.

– Przysięgasz?

Niespodziewanie przed oczami miga mi twarz Flynna. Zanim Merendsen wskoczy na statek, może minąć kilka tygodni. Co będzie, jeśli wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu Flynn w międzyczasie skontaktuje się ze mną przez Molly'ego? Jak mogę obiecać, że będę tu siedzieć beczynnym, skoro życie tego idioty może być w niebezpieczeństwie?

Nagle uświadamiam sobie, jak bardzo się zmieniłam. Jak to możliwe, że kapitan Lee Chase ryzykuje zdrowiem, życiem i bezpieczeństwem swoich ludzi dla jednego rebelianta i planety, za którą ów rebeliant gotów jest umrzeć?

To nie w moim stylu.

Powoli kiwam głową i ignorując ścisk w żołądku, oznajmiam:

– Obiecuję: żadnych numerów.

Merendsen przygląda mi się bacznie, zaniepokojony moim długim namysłem.

– Przylecę tak szybko, jak się da – mówi w końcu.

Obraz na ekranie gaśnie, a w jego miejsce wyświetla się informacja, że połączenie zostało zakończone. Przyciskam dłonią klawiaturę i całe urządzenie bezszelestnie znika w biurku. Jakby nic się nie wydarzyło.

Próbuję nie myśleć o tym, jak zareagowałby Flynn na wieść o tej rozmowie. Rano zostawię mu wiadomość u Molly'ego. Nie mam mu wiele do zakomunikowania poza tym, że być może już wkrótce uda mi się czegoś dowiedzieć. To nie wystarczy. Wiem, że nie może wystarczyć i wciąż wyobrażam sobie jego żal, frustrację oraz nienawiść do mnie i mojego świata.

Wiem, że wiadomość do niego nie dotrze. Wiem, że jest ścigany i ta jednostka to ostatnie miejsce, w którym chciałby się znaleźć. Ale postanowienie pozostawienia mu tych kilku słów w jakiś sposób koi mój niepokój. Daje nadzieję. To będzie dowód, że go nie skreśliłam. Że gdyby wrócił...

Ale jego nie ma, a ja zostałam sama.

– *Xiao jie, mei kan jian ni lai guo zher.*

Ten głos wyrywa ją z zamyślenia – minęło wiele lat, odkąd słyszała język swojej matki. Odwraca się i dostrzega stojącego za barem olbrzymiego, groźnie wyglądającego, wytatuowanego faceta. To jej pierwszy wolny wieczór, odkąd tu przybyła, i zaczyna żałować, że nie poszła prosto do koszar.

– *Przepraszam – wypala odruchowo. – Nie mówię po chińsku.*

To prawda. Nie używała tego języka od śmierci rodziców.

– *No tak – odzywa się barman z przyjaznym, lecz znaczącym uśmiechem. Zupełnie jakby czytał w jej myślach. – Mam na imię Molly. Witaj na Avonie.*

Wciąż gapi się na niego jak głupia, zdumiona łagodnym głosem płynącym z tej wytatuowanej góry mięśni.

Barman wybucha śmiechem, najwyraźniej przyzwyczajony do wrażenia, jakie wywiera na nieznajomych. Przez moment, mimo braku jakiegokolwiek podobieństwa, przypomina jej ojca.

– *Każdy ma jakąś przeszłość – mówi do niej, wskazując tatuaże, które nagle wydają się nabierać życia. – Ale tylko od ciebie zależy, czego będziesz się trzymać.*

FLYNN

W ciągu kilku dni, które spędziłem w ukryciu, wojsko potroilo patrole i podejrzewam, że każdy żołnierz zaopatrzony został w zdjęcie porywacza Lee Chase. Nie wiedzą jednak, że prędzej czy później McBride i *fianna* wezmą odwet za masakrę dokonaną przez Jubilee w jaskini, a wtedy polowanie na mnie spadnie na sam dół listy ich priorytetów.

Dbam o to, by wciąż się przemieszczać. Nigdy zbyt blisko nie zbliżam się do jednostki ani zbyt daleko od niej nie oddalam. Wojskowa baza tkwi jak krępe, buńczuczne monstrum przyczajone na horyzoncie krajobrazu pełnego wijących się łagodnie strumieni i spokojnie dryfujących kęp wodorostów. Na tym mglistym tle budynki z prefabrykatów, złożone z ostrych krawędzi, zardzewiałego metalu i plastenu, wyglądają nienaturalnie i wrogo.

Zawsze traktowałem to miejsce, pełne ciężko obutych stóp ugniatających ziemię w siną breję, jak strup, który należy zdrapać. Kiedy byłem mały, wyobrażałem sobie, że pewnego dnia odpadnie i ze spodu wyłoni się Avon: lśniący, dziewiczy i zdrowy.

Okrzyżłem jednostkę szerokim łukiem, aż znalazłem ocieniony fragment brzegu, w sam raz, by ukryć łódź. Pół godziny później przekradam się między dwoma budynkami na skraju miasta, unikając czujnych oczu wartowników.

Zamierzam się dowiedzieć, czy dziewczyną, z którą Davin Quinn rozmawiał tuż przed zamachem, była jego córka Sofia. W dzieciństwie bawiliśmy się razem i mam nadzieję, że może, ale tylko może, wciąż będzie skłonna mi zaufać. Muszę ją zapytać, czy domyśla się, co zmieniło jej miłującego pokój ojca w mordercę. Co zmieniło Jubilee. To pytanie – i obraz nieruchomej, pozbawionej wyrazu twarzy Jubilee, jej oczu tak samo czarnych jak w wieczór naszej wizyty na opuszczonej wyspie – towarzyszyły mi bezustannie w ciągu trzech ostatnich dni.

Miasto to skupisko podniszczonych budynków, poprzecinane błotnistymi ulicami bez nazw – na tablicach informacyjnych widnieją tylko numery. Zazwyczaj przechadzają się tędy ludzie, ale teraz, w związku z godziną policyjną, a także za sprawą zwykłej ostrożności, okolica ziele pustką. Chciałbym móc powiedzieć, że mieszkańcy boją się jedynie ciężkiej ręki wojska, wiem jednak, że wielu z nich padło ofiarą krzyżowego ognia obu stron. Przemykam pomiędzy zaciemnionymi budynkami, ze spuszczoną głową i postawionym kołnierzem pożyczonej kurtki. Spowity w szarości, jestem tylko kolejnym cieniem.

Jakiś pies przebiega mi drogę. Odruchowo odwracam głowę w kierunku, z którego nadbiegł, i zamieram.

Coś porusza się w ciemnościach, coś większego niż pies. Serce podskakuje

mi w piersi, opanowuję jednak strach i powoli, gładko wślizguję się w wąską, ocienioną domami przecznicę. Na tym polega sztuka – żadnych szybkich, gwałtownych ruchów, które przyciągałyby uwagę.

Wzdłuż ulicy suną trzy sylwetki. Od razu uświadamiam sobie, że nie są to żołnierze. Nie maszerują po wojskowemu, w jednym rytmie, ubijając ziemię ciężkimi buciorami. Poruszają się ostrożnie, chyłkiem, i po chwili rozpoznaję ten ruch: *fianna*. Z przodu idzie McBride, a tuż za nim, po bokach, jeszcze dwóch ludzi. Jednego nie potrafię zidentyfikować, ale w mgnieniu oka orientuję się, kim jest drugi. Sean.

Zbliżają się do skrzyżowania. Z pochyloną głową przywieram do ściany, wtapiając się w jej szare tło – w ciemnościach to najlepszy sposób, by pozostać niezauważonym. McBride skrada się płynnie, jakby miasto należało do niego, pozostała dwójka trzyma się tuż za nim. Idą od jednostki w stronę obrzeży miasta: najwidoczniej załatwili już swoją sprawę. W cieniu nisko opuszczonego kaptura Seana majaczą tylko usta – zwykle roześmiane, teraz ściągnięte w ponurą, zaciętą krechę. Stracił Fergala, stracił mnie i nie ma już nikogo.

Tak bardzo chciałbym z nim porozmawiać, zrobić krok do przodu, zawołać go, ale tkwię w miejscu, zaciskając pięści. Wkrótce cała trójka znika w półmroku. Serce wyrywa mi się z piersi w ślad za kuzynem. Odwracam się jednak olbrzymim wysiłkiem woli i ruszam w przeciwnym kierunku. Nie przyszedłem tu bez powodu i jeśli chcę mu pomóc – jemu i pozostałym – muszę dokończyć to, co zacząłem.

O mało nie zderzam się z patrolem *trodairí*. Wprawdzie dzieli nas cała przecznica, ale pogrążony w myślach o Seanie zauważam ich, gdy tylko kilka sekund dzieli mnie od przecięcia ulicy. Klnąc w duchu, daję nura w ciemność i obserwuję, jak nadchodzą. Poruszają się pewnie, całkiem inaczej niż grupa McBride'a, i jak orientuję się po chwili, podążają ich tropem.

Kucam, macając na oślep w błocie, aż natrafiam na nieduży, śliski kamyk. Ciskam go w boczną uliczkę i usuwam się w cień, patrząc, jak żołnierze zmieniają kurs, by zbadać źródło nowego, bliższego dźwięku. Nic więcej nie mogę zrobić i mam nadzieję, że to wystarczy.

Po cichu ruszam w dalszą drogę, skręcam w trzecią przecznicę i odliczając numery, docieram do domu Davina. Teraz należy on do Sofii, jednak nie na długo. Sofia nie skończyła jeszcze szesnastu lat i teoretycznie rzecz biorąc, nadal jest niepełnoletnia. Najprawdopodobniej załadują ją na pierwszy wychodzący z kosmodromu statek. Wyprostowawszy ramiona, lekko pukam do drzwi, przez cały czas rozglądając się za kolejnymi patrolami.

Sofia otwiera dopiero po długiej chwili – miała zapewne nadzieję, że usłyszy dźwięk moich oddalających się kroków. W końcu jednak drzwi się uchylają i w szparze ukazuje się fragment jej smukłej postaci o jasnorudych włosach. Spod kołnierzyka sukienki wyziera bandaż i – zauważywszy drugi wokół nadgarstka –

przypominam sobie, że dziewczyna z nagrania w chwili wybuchu znajdowała się niedaleko jego epicentrum. Błada skóra, charakterystyczna dla mieszkańców tej pozbawionej słońca planety, czyni ją podobną do widma, a pod oczami ostro odznaczają się ciemne, półkoliste sińce. Cierpienie pożera ją od środka.

Nie patrzy na mnie, jej wzrok od razu ześlizguje się na błotnistą ulicę.

– Dziękuję – mówi znużonym, ochrypłym głosem – ale naprawdę nie potrzeba mi więcej jedzenia.

Drzwi zaczynają się zamykać.

– To dobrze – odpowiadam, wyciągając ręce z kieszeni, żeby pokazać jej, że są puste – bo go nie przyniosłem. Sof, to ja, Flynn. Wpuść mnie, zanim ktoś nas zobaczy.

Spojrzenie jej się wyostrza, wargi rozchylają się w wyrazie zaskoczenia i na ułamek sekundy smutek znika jej z twarzy. Istnieje niepisana umowa między miastowymi a *fianna*. Nawet jeśli nas nie popierają, to gdy przechodzimy, odwracają wzrok, a nagabywani przez żołnierzy twierdzą, że nikogo nie widzieli. Wielu z nich zresztą nie robi tajemnicy z tego, że nam kibicuje, i choć Davin był człowiekiem ostrożnym, kurczowo czepiam się nadziei, że jego córka – dziewczyna, która kradła książki z klasy, po czym tknęła sieć fantastycznych kłamstw, by wymigać się od konsekwencji – ma w sobie więcej ognia. Oraz że ten ogień jeszcze całkiem nie zgasł.

Po nieznośnie długiej chwili Sofia wychyla się przez próg, obrzuca wzrokiem pustą uliczkę, po czym zapraszająco cofa się do środka. Jak wszystkie domy w mieście, i ten jest nieduży. Tu i ówdzie widać charakterystyczne drobiazgi dodane dziewczęcą ręką: jaskrawoczerwony czajnik na kuchni, rozwieszony na ścianie pas importowanego jedwabiu. Poza tym wewnątrz urządzone jest standardowo – ściany pociągnięte bladożółtą farbą, bezosobowe meble z przydziału. Gumiaki jej ojca wciąż stoją przy drzwiach, obok zestawu do testów. Zanim Davin dostał pracę w wojskowym magazynie, zarabiał na zbieraniu próbek, na podstawie których technicy w laboratorium niezmiennie stwierdzali, że na Avonie wciąż brakuje bakterii niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania planety. Nieduży stół na środku pomieszczenia zastawiony jest naczyniami z jedzeniem – darami sąsiadów, którzy tylko w ten sposób byli w stanie okazać Sofii swoje współczucie.

Dziewczyna zamyka drzwi. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, byliśmy mniej więcej tego samego wzrostu i próbowała powalić mnie na ziemię na błotnistym szkolnym dziedzińcu. Teraz jestem od niej wyższy o dobre osiem czy dziesięć centymetrów. Szukam odpowiednich słów, jakiegoś sposobu, żeby pokazać, że dzielę jej ból, ale to ona odzywa się pierwsza:

– Kto cię tak, do cholery, załatwił?

Ku własnemu zdumieniu wybucham śmiechem. I choć jest to śmiech cichy

i pełen smutku, opada ze mnie część napięcia. Od trzech dni nie zamieniłem słowa z drugim człowiekiem.

– Bagno mnie załatwiło – odpowiadam, a Sofia wykrzywia wargi w leciutkim uśmiechu. – Tak mi przykro, Sof. Chciałbym móc powiedzieć coś, co ci pomoże. Wiem, że to niemożliwe.

Gospodyni zaciska usta w wąską kreskę i odwraca wzrok. Wygląda na strasznie zmęczoną.

– Nie powinieneś tu przychodzić, Flynn. Twoja twarz jest na każdym holobordzie. Porwanie oficera? Co się z tobą dzieje?

– To długa historia. Posłuchaj, Sof, nie mam dokąd pójść. Przyszedłem tu, bo... bo pomyślałem, że może ty mnie zrozumiesz.

– Jak to nie masz dokąd pójść?

Marszczy brwi, a ja uświadamiam sobie, że nikt jej nie doniósł o masakrze ani o wyborze, którego dokonałem, by ocalić Jubilee.

– A jaskinie...?

Przełykam ślinę. Minęły trzy dni, a ja wciąż nie potrafię o tym mówić.

– McBride i reszta chcą mnie dopaść jeszcze bardziej niż żołnierze. Zrobiłem coś, czego nie są w stanie zrozumieć.

Oczy Sofii rozszerzają się lekko, ale zbyt dobrze umie ukrywać emocje, żeby dać po sobie poznać coś więcej.

– Co zrobiłeś?

– Uratowałem życie żołnierce. Po tym, jak... – urywam i zaciskam zęby, próbując się opanować. – Po tym, jak dopadła ją furia.

Jej wzrok prześlizguje się na stojące przy drzwiach gumiaki, po czym znów spoczywa na mnie i widzę w nim rozpacz, która dorównuje mojej.

– Potrzebuję tylko miejsca, gdzie będę mógł się przespać – szepczę. – I kilku informacji. Wiem, że to niebezpieczne. Rano już mnie tu nie będzie.

– Chodź – mówi miękko Sofia. – Dam ci wody, umyjesz się. Możesz pożyczyć ciuchy ojca.

Mówi bez zająknięcia, ale choć nie widzieliśmy się długie lata, rozdeleni przez konflikt, w który oboje zostaliśmy wplątani w chwili narodzin, nadal dobrze ją znam. Wyraźnie dostrzegam wyrysowany na jej twarzy ból.

– Możesz tu zostać, ile będziesz chciał.

Sam nie wiem, co jest silniejsze: strach czy ulga.

– Na to nie mogę się zgodzić, Sof. Znajdą mnie tu, a wtedy aresztują i ciebie. Nie możesz...

– Mogę, bo próbowałeś ocalić ją przed furia – przerywa mi, a w jej głosie narasta ten sam ogień, który pamiętam z dzieciństwa. – Bo jeśli ktoś próbowałby ocalić mojego ojca, znalazłby tu schronienie, póki wojsko nie wyciągnęłoby mnie stąd siłą.

Dopiero przy czwartej miednicy wyciskana ze ściereczki lodowata woda spływa czysta, a mimo to Sofia wciąż donosi więcej. Choć koszula i spodnie, które dla mnie znalazła, są o wiele za duże, dotyk czystej, suchej tkaniny niesplamionej krwią ani błotem to czysta rozkosz. Ale gdy siedzę już na podłodze obok małej kuchenki, wracają ponure myśli. Wpatruję się w starannie pocerowane wyblakłą bladożółtą nitką mankiety spodni.

Kiedy Sofia siada obok i podaje mi grubą, zakalcowatą kromkę czegoś, co my, tutejsi, nazywamy *arán*, zauważam, że nitka pasuje kolorem do jej sukienki, która jest o dobrych kilka centymetrów krótsza, niż powinna.

Zamykam oczy. Ten konflikt nie powinien jej dotyczyć, ale wszyscy tkwimy w nim po uszy. Żałuję tylko, że wszystko zbliża się do tak brutalnego końca.

– Nie jesteś głodna? – pytam, gdy wreszcie udaje mi się przełknąć.

Sofia wzrusza ramionami, wpatrzona w rozżarzone do czerwoności grzałki pieca.

– Ostatnio nic innego nie robię, tylko śpię i jem. Ludzie w kółko coś przynoszą. Ale przecież sama nie dam temu rady.

Odkąd pamiętam, Sofia miała tylko ojca. Jej matka uciekła z Avonu tuż przed wybuchem pierwszej rebelii i z tego, co wiem, od tamtego czasu nie miały żadnego kontaktu. Zerkam na zastawiony sąsiedzkimi darami stół.

– To byłaś ty, prawda? – pytam ścisłym głosem, choć jesteśmy sami. – Dziewczyna na nagraniu z monitoringu, tuż przed... tuż przed.

Jej rysy twardnieją, zamyka oczy i przelyka ślinę. Krew napływa jej do policzków. Mam ochotę wziąć ją za rękę, pokazać, że czuję ten sam ból, ale powstrzymuje mnie bijące od niej napięcie.

– Wiesz – szepcze – można by pomyśleć, że najgorsze będą spojrzenia. W wybuchu zginęli nie tylko żołnierze. Ludzie stracili członków rodziny. Patrzą na mnie, jakby uważali, że powinnam była to przewidzieć albo jakoś go powstrzymać. Ale nic mnie to nie obchodzi – dodaje łamliwym głosem. – Po prostu tęsknię za tatą.

Jej rozpacz odbija się głuchym echem w mojej klatce piersiowej. Samotność nie powinna być najgorsza. Tym, co powoduje tępy ból w sercu, nie powinna być tęsknota za *trotaire*, którą znam dopiero od kilku tygodni. Bo furia mi ją odebrała.

– Niczego nie mogłaś przewidzieć – mruczę. – To się nie powinno było wydarzyć.

Sofia bierze gwałtowny wdech i podciąga kolana pod brodę.

– To nie był on, Flynn. Wiem, że żołnierze mają nagranie. Mówią, że miał detonator. Ale on niczego nie planował. Nie chciał mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Ostatnio zrobił się małomówny, wyglądał na zmęczonego, ale uznałam, że stresuje się nową pracą. Nigdy nie zaryzykowałby moim życiem, nawet gdyby ktoś go do tego nakłaniał. Zresztą coś bym zauważyła.

Sofia patrzy przed siebie nieobecny wzrokiem, odtwarzając w pamięci tamte ostatnie kilka minut.

– Domyśliłabym się.

– Sof, wierzę ci – zapewniam, a moje spojrzenie znów ześlizguje się na jej bandażu.

– W takim razie jesteś jedyny – odpowiada z goryczą, zaglądając mi w oczy. – *Trodairí* twierdzą, że rodziny zawsze zaprzeczają, jakoby ich bliscy byli zdolni do przemocy.

– Sądziłyśmy, że furia jest wymówką żołnierzy, ale ona istnieje naprawdę. Widziałem, jak działa. I jeśli dotknęła również twojego ojca, to znaczy, że jest coraz gorzej.

Wmuszam w siebie jeszcze trochę zakalcowatego pieczywa. Choć umieram z głodu, każdy kolejny kęs staje mi w gardle.

– To ja załatwiłam mu pracę w jednostce – mówi Sofia. Jest nieruchoma, język jej ciała nie zdradza absolutnie nic. – Przez to zbieranie próbek, brodzenie całymi dniami w zimnej wodzie miał taki artretyzm, że rano ledwo chodził. Namówiłam wojskowego zaopatrzeniowca, żeby go wziął do magazynu.

Już jako dziecko złotousta Sofia potrafiła każdego tak zaczarować, że wyciągała nas ze wszystkich tarapatów.

– Gdyby nie ja – szepcze, wpatrzona pustym wzrokiem w gumki przy drzwiach – w ogóle by go tam nie było.

Rano ze snu wrywa mnie bębnienie gradu o dach. Silny zastrzyk adrenaliny powoduje, że prostuję się w mgnieniu oka i oszołomiony rozglądam po otaczających mnie ścianach z prefabrykatu. W końcu dociera do mnie, że jestem u Sofii i spędziłem noc w dawnym pokoju jej ojca.

A zaraz potem: że ten dźwięk to nie stukot gradu, lecz odległe dudnienie wystrzałów.

Odrzucam cienki koc, zamroczony zrywam się na nogi i otwieram gwałtownie tylne drzwi. Błotniste uliczki są pełne biegnących we wszystkie strony cywilów, którzy próbują znaleźć schronienie. Kanonada dobiega od strony mokradeł. Najwyraźniej któryś z licznych patroli znalazł McBride'a i jego ludzi – albo też McBride zdołał zwabić tropiących w pułapkę. To taktyka wymyślona przez moją siostrę. Sam pomagałem ją rozpowszechniać.

Plutony żołnierzy suną miarowym krokiem w kierunku odgłosów walki. Nigdzie nie ma śladu Jubilee, choć nie jestem pewien, czy gdyby była wśród nich, potrafiłbym ją rozpoznać. W hełmach, pełnym rynsztunku i objuczeni plecakami z amunicją, wszyscy wyglądają tak samo. Nie sposób nawet odróżnić kobiet od mężczyzn.

Czyjaś dłoń zaciska mi się na ramieniu i szarpnięciem odciąga od drzwi.

– Zobaczą cię – syczy Sofia, zaspana, ale rozpalona ze strachu.

Rzuca we mnie koszulą ojca i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że wciąż jestem półnagi i półprzytomny po nagłej pobudce. Odpycha mnie od tylnego wyjścia.

Nawet po zatrzaśnięciu drzwi wciąż słyszę odległy klekot wystrzałów.

Rozruchy nie ustają przez cały dzień, a ich echo dobiega z różnych stron, co oznacza, że McBride wciąż jest niedaleko i z powodzeniem broni swoich pozycji. Wojsko jest wprawdzie liczniejsze i wyposażone w lepszą broń, ale McBride i *fianna* znają te tereny o wiele lepiej niż żołnierze, z których żaden jeszcze nie wytrzymał tu dłużej niż dwa miesiące.

Sofia kilka razy wychodzi na ulicę i z każdego z tych wypadów przynosi strzępki informacji. Dowiaduję się, że mimo zwiększonej czujności wojska w kilku miejscach doszło do wybuchu walk i rebelianci atakują metodami partyzanckimi. Stosując taktykę „uderz i zniknij”, wywabiają żołnierzy na mokradła, gdzie jest im o wiele trudniej się bronić. Wojsku pozostaje podjąć tę grę i walczyć na bagnach, przez co tracą technologiczną i organizacyjną przewagę.

Nieemożność włączenia się do walki i powstrzymania tego, co się dzieje, doprowadza mnie do rozpacz. Czy Sean jest tam z nimi? Czy gdyby mnie zobaczył, otworzyłby ogień? Oddałbym wszystko, żeby móc z nim porozmawiać, wytłumaczyć, czemu stanąłem między nim a Jubilee. Jego ból towarzyszy mi przez cały czas – w chwili, gdy uniósł broń, wszystkie wspólnie spędzone lata nie wystarczyły, by zasypać przepaść, która pojawiła się między nami. Trzask odbezpieczanego pistoletu nadal dźwięczy mi w uszach. Czy chybił dlatego, że w ostatniej chwili zadrżała mu ręka? A może był po prostu zbyt roztrzęsiony, żeby precyzyjnie wycelować?

Sofia raz po raz próbuje mnie czymś zająć, pokazując meble, które wymagają naprawy i szpary w suficie, których załatwienie jej ojciec wiecznie odkładał na później. I choć ręce zajęte mam robotą, umysł wypełnia kłębowisko myśli przeradzające się w panikę, ilekroć słyszę coraz to nowe wystrzały.

– Myślisz, że ona tam jest? – pyta w końcu Sofia, widząc, jak po raz trzeci upuszczam śrubokręt, którym usiłuję naprawić kulawe krzesło. – Ta *trodair*, której ocaliłeś życie?

– Nie wiem – odpowiadam przez ściśnięte gardło. – Możliwe.

– Trudno uwierzyć, że tak po prostu cię zostawiła.

Wbrew jej zapewnieniom, ilekroć wspomina o żołnierzach albo samej Jubilee, w głosie Sofii pobrzmiwa wstręt.

– To ja ją zostawiłem – szepczę.

Śrubokręt ciąży mi, jakby był z ołowiu. Opieram rozdygotaną rękę na udzie.

– Uratowałem ją, bo potrzebna mi była żywa. Sam nie zdołałem się dowiedzieć, co się dzieje, ale nie mogę... – Głos ucieka mi z płuc jak od ciosu pięścią w brzuch.

Sofia odpowiada dopiero po dłuższej chwili.

– Przepraszam – mówi, tym razem znacznie łagodniej. – Wiem, jakie to okropne siedzieć tu i czekać bez żadnej gwarancji, że to cokolwiek da.

Podnoszę głowę i napotykam zamyślane, pełne troski spojrzenie jej szarych oczu.

– Jak mogę ci pomóc? – pyta w końcu.

– Zrobiłaś już aż nadto – odpowiadam. – Niedługo się stąd wyniosę. Nie mogę cię narażać.

Szkoda tylko, że nie mam bladego pojęcia, co dalej.

– Nie ty jeden kogoś straciłeś – rzuca ostrzej Sofia. – Pozwól, że sama będę decydować, czy się narażać, czy nie.

Wpatruje się we mnie twardo, zaciskając pięści. Przypominam sobie, że jako dziecko zawsze bardzo się pilnowała, żeby gestem albo głosem nie zdradzić tego, co działo się w jej głowie. Bez wysiłku odczytując intencje innych, sama pragnęła pozostać tajemnicza. Teraz zastanawiam się, czy specjalnie pozwoliła mi to zobaczyć. To pragnienie.

– Jest pewne miejsce – mówię powoli – w którym ona zostawi mi wiadomość, jeśli zdoła się czegoś dowiedzieć. Ale nie mogę tam pójść, to za duże ryzyko.

– Jakie miejsce? – pyta natychmiast Sofia.

– Bar U Molly’ego Malone’a w jednostce.

– Nie otwieraj drzwi i nie zapalaj światła, póki nie wrócę.

Dziewczyna czeka, słuchając przepuszczonej przez syntezatory techrockowej ballady z szafy grającej. Zielonooki chłopiec miał się z nią spotkać w knajpie Molly'ego, ale za każdym razem w drzwiach staje ktoś inny. Przy drugim końcu baru siada wysoka blondynka. Z tyłu sali, przy stoliku w kącie, żołnierz o ciepłym spojrzeniu obejmuje roześmianą rudowłosą towarzyszkę. Jakiś facet z różowymi włosami proponuje dziewczynie drinka; po kolejnej odmowie daje za wygraną.

Na sąsiednim stolku przysiada jej matka, próbując zwrócić na siebie jej uwagę, ale dziewczyna nie słucha.

– Czekam na kogoś – powtarza uparcie. – Mieliliśmy zrobić to razem. Nawet duch z Werony ją opuścił.

JUBILEE

Minęły cztery dni, a Flynn wciąż nie daje znaku życia. Nie odebrał nawet wiadomości, którą zostawiłam u Molly'ego, a w której prosiłam, by uzbroił się w jeszcze trochę cierpliwości. Nie powinno mnie to dziwić. Poza tym nie zdołałam się dowiedzieć niczego nowego, choć przekopałam się przez dokumentację w sztabie bezpieczeństwa i dokładnie zbadałam nagranie z Davinem Quinnem. Natrafiłam przy okazji na kilka kadrów, na których widnieję ja sama w wieczór masakry w jaskini – uchwycona przez kamery na północnych obrzeżach jednostki, kierując się w stronę łódki. Nie pamiętam tego, ale to bez wątplenia ja. Nie widać mojej twarzy, jednak zachowuję się i poruszam jak ja. Nie mam również żadnych wieści od Merendsena w sprawie mojego jedyne tropu i jedynej nadziei.

Po raz kolejny zaglądam do baru, ale Molly tylko współczująco kręci głową. Z trudem maskując frustrację, przemykam z powrotem do baraku. Na szczęście nie słynę z promiennego uśmiechu, więc nawet jeśli wyglądam na lekko wkurzoną, nikt nie uzna tego za dziwne. Trudno mi przypomnieć sobie, jak się zachowywałam, gdy było normalnie.

Nie ma to jednak teraz szczególnego znaczenia, ponieważ sytuacja daleka jest od normalności. Oblężona jednostka zmieniła się w strefę wojny. Na razie wciąż możemy wysyłać i odbierać ludzi oraz towary drogą powietrzną, ale zgłoszono już brak kilku wyrzutni rakietowych i spekuluje się, że to sprawa rebeliantów. To jedynie kwestia czasu, zanim zaczną ostrzeliwać wojskowe transporty.

Gwałtownym pchnięciem otwieram drzwi baraku, wprawiając w drżenie cienkie ściany. Ściągam buty, rzucam kurtkę na oparcie krzesła i dopiero wtedy zauważam mrugający monitor. Pilna wiadomość. Jeśli od kogoś z dowództwa, to nie zwiastuje to nic dobrego.

Ale może wiadomość jest od Merendsena?

Rzucam się na krzesło i przyciskam otwartą dłoń do ekranu, żeby go uruchomić i potwierdzić swoją tożsamość. Cały proces trwa kilka sekund, podczas których w ciszy słyszę łomot własnego serca. Ileż bym dała za taki komputer, jakie mają w kwaterze głównej, w mgnieniu oka przechodzący ze stanu uśpienia do pełnej funkcjonalności. Minęły cztery dni – być może Merendsen zdołał już ustalić, kiedy przez tę jego zapomnianą przez Boga i ludzi planetę, gdziekolwiek ona się znajduje, będzie przelatywał najbliższy transportowiec.

W końcu monitor rozbłyska. Wiadomość jest od komendant Towers. Serce ściska mi się z rozczarowania i niepokoju.

Choć wiem, że to niemożliwe, nagle wpadam w panikę, że Towers odkryła,

co wydarzyło się w kryjówce *fianna*, dowiedziała się o mojej rozmowie z przyszłym zięciem Rodericka LaRoux albo o tym, że zaczęłam systematycznie łamać wszelkie przysięgi i regulaminy, by pomóc rebeliantowi ocalić jego ludzi – a przy okazji również moich. Spodziewam się zapisu wideo, ale okazuje się, że to tylko kilka linijek tekstu:

TerraDyn wysłało do nas agenta, żeby ocenił poziom bezpieczeństwa w obliczu ostatniego zamachu. Ekspert wyruszył w drogę jeszcze przed wybuchem zamieszek, ale mimo ryzyka postanowił lądować. Proszę się nim zająć. Biorąc pod uwagę pani niedawne doświadczenia, ma pani największe z nas wszystkich pojęcie o tym, co się dzieje. Proszę się ubrać i zameldować w moim biurze o 19.00 – A.T.

Teraz serce pulsuje mi jeszcze szybciej. Niby jak mam odnaleźć odpowiedzi na nurtujące mnie pytania, ukryć swoje powiązania z rebeliantami, dopilnować bezpieczeństwa bazy i spotkać się z Merendsenem, mając na głowie jakiegoś pajacowatego „eksperta” z pełnej łśniących metropolii planety?

Z jękiem spoglądam na zegar. Mam dziesięć minut na to, by przypomnieć sobie, gdzie – do diabła – jest mój galowy mundur, i dotrzeć do głównego sztabu.

Dziewczyna stoi z tyłu, przeczesuje włosy palcami i opiera się o bogato zdobioną tapetę, zupełnie jakby ściana mogła ją wchłonąć, jeśli tylko przyciśnie się do niej wystarczająco mocno.

Młoda kobieta o rudych włosach i przenikliwych niebieskich oczach maluje usta, w lusterku odbija się twarz znana z ekranów i billboardów. Kiedy zauważa dziewczynę, odwraca się z tłumionym okrzykiem.

– Biedactwo! – woła. – Potrzebna ci sukienka, inaczej nikt z tobą nie zatańczy.

Dziewczyna próbuje protestować, ale ruda nie słyszy i otula ją długą, połyskliwą suknią barwy wschodu słońca nad Avonem. Kiedy dziewczyna spogląda w lustro, jest całkowicie odmieniona. Bierze głęboki oddech, a na jej twarz powraca przebłysk uśmiechu. Obraca się, podziwiając sukienkę w kolorze nadziei.

Nagle zauważa plamkę na powierzchni tkaniny. Pociera ją palcami, ale plama tylko się powiększa. Trze obiema rękami, modląc się, by nikt nie zauważył skazy.

Szoruje coraz mocniej i wtedy uświadamia sobie, że to jej dłonie brudzą materiał. Każde dotknięcie pozostawia czerwone ślady, aż cała sukienka nabiera barwy krwi. Dziewczyna szlocha z przerażenia i wstydu, ale krew nie schodzi – i nie zejdzie już nigdy.

FLYNN

W kółko odczytuję te kilka słów: „Być może coś znalazłam. Czekaj i bądź cierpliwy”. Wiadomość nie jest podpisana, ale samo jej istnienie wskazuje na tożsamość autorki.

– Jesteś pewna, że to wszystko?

Sofia zrzuca kurtkę i tupiąc, strzepuje błoto z butów, po czym spogląda na mnie, unosząc jedną brew.

– A co, myślisz, że była jakaś druga część, której postanowiłam ci nie przekazać?

Kurtka ląduje na haczyku, buty stają przy drzwiach obok ojcowskich gumiaków. Wszystko na swoim miejscu. Od wielu lat nie byłem w takim domu.

Odwracam skrawek papieru. Słowa skreślono na odwrotnej stronie paragonu dostawy i choć usiłuję dostrzec w nich jakieś ukryte dno, zaszyfowaną treść, która uszła początkowo mojej uwadze, niczego nie znajduję.

– Barman naprawdę twierdził, że wiadomość leżała tam kilka dni? Czy ona sobie myśli, że będę po prostu siedział tu beczynnie i czekał?

Zgniatam papier w kulkę i wrzucam do miednicy, żeby woda rozpuściła tusz.

– Może nie chce, żeby ucięli ci łeb – odpowiada Sofia lekkim tonem, choć na jej twarzy nie widać rozbawienia.

Podkradam się do okna i wyglądam na zewnątrz przez szparę między żaluzją a framugą. Jedyne, co jestem w stanie dostrzec przez wąski otwór, to błoto i raz na jakiś czas ludzki kształt przemierzający się zbyt szybko, bym zdołał go zidentyfikować. Świerzbą mnie nogi, nieprzyzwyczajone do tak długiej beczynności.

Kiedy ukrywałem się na mokradłach, marzyłem o tym, by przespać się w prawdziwym łóżku. Teraz marzę tylko o tym, by móc pójść, gdziekolwiek zechcę.

Czyli do Jubilee.

– Jak myślisz, co znalazła?

Głos Sofii wyrywa mnie z zamyślenia. Gospodyni przypatruje mi się, oparta o zastawiony stół.

– Przeczytałaś mój list.

– Daj spokój – zbywa mnie. – Powiedz mi lepiej, co to za sprawa.

– Próbujemy zbadać, co się dzieje na Avonie. Czemu planeta się nie rozwija, czemu doprowadza ludzi do szaleństwa i czemu korporacje ukrywają tu tajne ośrodki na opuszczonych wyspach.

Sofia milczy dłuższą chwilę, pozornie niewzruszona moimi rewelacjami.

– W takim razie – mówi wreszcie powoli – wygląda na to, że dziewczyna robi postępy. A ty będziesz tu bezpieczny, póki mnie nie wywiozą.

Natychmiast ulatuje ze mnie część frustracji, a jej miejsce zajmuje współczucie. Choć zaledwie kilka miesięcy dzieli Sofię od szesnastych urodzin, w świetle prawa jest sierotą wojenną. Wkrótce przetransportują ją do jednego z sierocińców na Babel lub Patronie. Ryzyko, że dzieci rebeliantów same wyrosną na bojowników, maleje bowiem, jeśli zabierze się je z ich rodzinnych stron. Ja również miałem podzielić ten los po śmierci Orli, zanim uciekłem, by zamieszkać w siedzibie *fianna*.

– Kiedy?

– Nie wiem – mówi Sofia, wzrusza ramionami i rzuca mi blady uśmiech. – Na razie szukają mojej matki, ale nie znajdują. Nigdy nie chciała, żeby ją odnaleziono. Pewnie zgłoszą się po mnie przy okazji najbliższego transportu z zaopatrzeniem, tego albo następnego. Zawsze przychodzą bez ostrzeżenia, żeby człowiek nie miał czasu na ucieczkę.

Moja wina. Znowu moja wina.

– Nie będzie mnie tu, kiedy przyjdą, Sof. Idę do jednostki. Jeżeli Jubilee rzeczywiście coś odkryła, muszę znaleźć sposób, żeby się do niej dostać.

– Chyba zwariowałaś – stwierdza dziewczyna i prostuje plecy, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami. – Nie twierdzę, że żołnierze nie są teraz skupieni na walce, ale pamiętaj, że twój wizerunek jest wyświetlany w całej bazie mniej więcej co piętnaście minut.

– W takim razie poczekam, aż się ściemni.

Sofia przygryza wargę i marszczy brwi. Przygląda mi się, jakby zmagając się z jakąś decyzją, po czym mamrocząc coś pod nosem, kieruje się do swojego pokoju.

– Poczekaj – mówi.

Znika za drzwiami, a po chwili wyłania się, dierząc w dłoniach wiadro z wodą i niedużą płócienną torbę. Odstawia wiadro, klęka i wywraca do góry dnem torbę, z której wysypują się ubrania i kilka pamiątek. Kiedy wypada z niej mały

szkicowany portret ojca – większość miastowych nie ma dostępu do aparatów fotograficznych – uświadamiam sobie, że to jej podręczny bagaż.

Dziewczyna nie zwraca jednak uwagi na rozsypane rzeczy. Opróżnia torbę i chwyta leżący na kuchennym blacie nóż. Rozcina podszewkę, ujawniając ukryte dno. Ku mojemu zdumieniu wyciąga z niego kilka nieoznaczonych pakunków i spogląda na nie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Podnosi na mnie wzrok i kącik jej ust unosi się w półuśmiechu.

– Siadaj – komenderuje, wskazując palcem w stronę chodnika na podłodze.

Z wahaniem spełniam polecenie, tymczasem ona rozdziera pierwszy pakunek i podejrzliwie wącha jego zawartość. Staje za moimi plecami i nagle na głowę spływa mi coś lodowato zimnego. Z moich ust wyrywa się krótki okrzyk.

– Co ty wyprawiasz?

– Ratuje ci tyłek – odpowiada bezbarwnym głosem.

Szybkimi, dokładnymi, choć delikatnymi ruchami zanurza mi palce we włosach. Kropla mazidła ścieka mi na czoło, Sofia ociera ją nadgarstkiem.

– Trudno mi sobie ciebie wyobrazić jako platynowego blondyna, więc sądzę, że inni też będą mieli z tym kłopot.

– Poważnie? – pytam i próbuję się wyrwać, ale ona po prostu chwyta mnie za włosy i przytrzymuje w miejscu jak kocia mama niesfornego kociaka. – Skąd, do cholery, wytrzasnęłaś rozjaśniacz?

– Poprosiłam – odpowiada krótko.

Jakby to była najprostsza rzecz na świecie, co w przypadku złotoustej Sofii zapewne jest prawdą, choć wiem, że okupiła swoje zdolności ciężką pracą. Kończy wcierać rozjaśniacz i sięga po pozostałe pakunki. Z kąta kuchennego przynosi ścierkę i talerz, po czym wysypuje na niego brązowy proszek z obu woreczków, dodaje kilka kropel wody i miesza, aż proszek zmienia się w pastę.

– Dobra – mówi, odetchnąwszy głośno. – Rozbieraj się.

Unoszę brwi.

– Do tego nie musisz mnie namawiać. Który facet nie zrzuciłby ciuchów na prośbę pięknej dziewczyny?

Sofia prycha i kiedy rozpinam guziki koszuli, świadomość, że wywołałem u niej choćby chwilowy uśmiech, sprawia, że oddycha mi się nieco łatwiej.

– A teraz, skoro już wiem, że odpowiedź będzie inna niż ta, którą miałem nadzieję usłyszeć, może mi wyjaśnisz, po co się rozbieram?

– Odrobinę cię podkolorujemy.

Nabiera trochę papki na ściereczkę, ujmuje mnie za ramię i kolistymi ruchami zaczyna wcierać w nie maż, pozostawiając na mojej skórze ciemnobrązowe smugi, które kojarzą mi się z pastą do butów.

– Na Avonie nie uświadczysz białego z opalenizną. Ludzie uznają, że nie pochodzisz stąd.

– Będę wyglądał jak idiota – jęczę, spoglądając na swoją nienaturalnie brązową rękę.

– No i co z tego? Bardzo dobrze. Na idiotów nikt nie zwraca uwagi. Nikt nie zakłada, że mają coś do ukrycia.

Patrzę, jak smaruje mi ramię coraz wyżej. Sprytnie. Więcej niż sprytnie – pomysł jest genialny. Tego właśnie uczy cię życie spędzone na targanej wojnami planecie: jak odczytywać ludzkie intencje, jak wtapiać się w tło i jak zniknąć.

Ale to akurat nigdy nie wpadłoby mi to do głowy.

– Sofia, po co ci były te rzeczy?

Zaciska usta i nie odpowiada. Starannie naciera mazidłem moje barki, potem szyję, uszy i twarz, omijając oczy. Kiedy na nią patrzę, przychodzi mi do głowy, jak bardzo różni się od Jubilee. Jasnorude włosy, delikatna, o miękkich rysach i ustach jakby stworzonych do uśmiechu. Wygląda niewinnie, chwilami wręcz wydaje się szczęśliwa, nie licząc ukrytego w oczach smutku.

– Chciałaś uciec – odgaduję cicho. – Kiedy po ciebie przyjdą...

– Dokąd niby miałabym uciekać?

Rozprowadza miksturę po mojej klatce piersiowej, do momentu, gdy jest pewne, że biała skóra nie będzie widoczna w wycięciu koszuli.

– Na Avonie już nic mnie nie trzyma. Chyba że przyjęliby mnie do *fianna*, jak myślisz?

Patrzę, jak nachyla się nad moimi dłońmi, uważnie wcierając pastę w skórę wokół paznokci. Taka dziewczyna jak ona, bystra i wygadana, byłaby dla nas cennym nabytkiem. Gdyby należała do naszej grupy, być może pomogłaby mi powstrzymać McBride'a.

A może leżałaby teraz martwa obok Mike'a i Fergala, a ja tamtego dnia straciłbym o jedną osobę więcej.

– Nie idź na bagna, Sof.

Zagląda mi w oczy.

– Nie pójdę – zgadza się, wypuszczając wstrzymywany oddech. – Teraz musimy poczekać, aż się wchłonie – dodaje kategorycznym tonem.

Wstaje i zaczyna szorować nad miednicą usmarowane papką ręce.

– Nie będę już pytał, do czego chciałaś tego użyć... ale masz gdzie zdobyć więcej?

Sofia wzrusza ramionami.

– Nie przejmuj się. Jakoś sobie poradzę – odpowiada, płucze dłonie i spogląda na mnie z ukosa. – A ty?

– Teraz nawet Sean mnie nie rozpozna.

– Nie o to mi chodziło.

Sofia badawczo przygląda się mojej twarzy, tak jak wtedy, gdy próbuje zdecydować, od którego z żołnierzy wyłudzić dodatkowe racje żywnościowe.

– Flynn... Jesteś pewien, że ona jest tego warta?

Tym mnie zaskakuje. Przerwywam oskubywanie ręki z zaschniętych okruchów masy i spoglądam na dziewczynę z namysłem.

– Nie robię tego dla niej.

Sofia uśmiecha się lekko.

– Takie bujdy możesz opowiadać kolegom z *fianna*, ale mnie nie oszukasz. Widzę, jak rozszerzają ci się źrenice, kiedy o niej myślisz. Mówisz szybciej i przestajesz uważać na słowa. Ja od razu zauważam takie rzeczy. Jak sądzisz, jak bajeruję *trodairi*?

Potrząsam głową, choć wiem, że Sofia wyczyta z mojej twarzy poczucie winy. To, że myśl o dziewczynie, która wymordowała moich ludzi, której dłonie obmyłem z ich krwi, wciąż wywołuje we mnie tęsknotę, jest nie do zniesienia.

– Sof, ona zrobiła coś takiego, że moje uczucia naprawdę nie mają tu nic do rzeczy.

– Nigdy nie umiałeś kłamać.

Czekamy jeszcze chwilę, aż pasta i rozjaśniacz zadziałają, po czym Sofia pomaga mi wyplukać włosy i zmyć z ciała brunatną skorupkę. Ku mojej uldze spod warstwy wyschniętej mazi wyłania się skóra o znacznie bardziej naturalnym złotobrazowym odcieniu. Wprawdzie nadal wyglądam niedorzecznie, ale o ile nikt nie będzie przyglądał mi się zbyt uważnie, nie powinienem wzbudzić podejrzeń.

Nie mam czego pakować, więc po skończonym sprzątaniu stoję w drzwiach, zbierając się w sobie, by przestąpić próg. Zaczęło padać i słyszę krople deszczu miękko rozbijające się o uszczelniony mchem dach.

Sofia przygryza wargę, a w jej zmęczonych oczach wreszcie rozbłyska iskierka rozbawienia.

– Faktycznie wyglądasz jak idiota.

– To chyba dobrze.

– Wejść do baru przez zaplecze, od uliczki na tyłach budynku – radzi, a z jej twarzy znika wesołość. – Niedługo mnie zabiorą, więc pewnie już się nie zobaczymy,

Jej rzeczowy ton chwyta mnie za serce.

– Może i nie – przyznaję. – Ale nigdy nie wiadomo.

Sofia jest ostatnią osobą, która łączy mnie z domem. Ostatnią rodowitą mieszkanką Avonu, która patrzy na mnie bez nienawiści. Przełykam ślinę i dodaję przez ściśnięte gardło:

– Będę o tobie myślał.

Dziewczyna kręci głową, wyginając usta w leciutkim uśmiechu.

– Ja o tobie też. Nigdy nie zapomnę, jak głupio wyglądałeś.

– Przynajmniej mnie zapamiętasz.

Wisielczy humor pomaga. Troszkę. Robię krok w jej stronę, żeby ją

uściskać. Sofia poważnie, cofa się i odwraca wzrok.

– Lepiej nie – mówi cicho. – Tak będzie łatwiej. Nie powinnam dłużej myśleć o tym miejscu jak o domu. Lepiej, jeśli stanie się tylko chwilowym przystankiem.

Gardło ściska mi się jeszcze mocniej i milczymy oboje, wsłuchani w miękki stukot deszczu. Uważnie przyglądam się dziewczynie, którą kiedyś znałem, kolejnej ofierze tej wojny, zastanawiając się, w jaki sposób to, co przeżyła, ją naznaczy.

– Czystego nieba, Sof.

Nie potrafię powiedzieć nic więcej.

– Czystego nieba – odpowiada szeptem. – Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Dziewczyna chwyta pędzelek i wysuwając koniuszek języka, wpatruje się w kartkę. Sztuka kaligrafii polega na całkowitym zaangażowaniu w każde pociągnięcie. Jeśli zadrży jej ręka, zrobi się kleks. Piękno zostanie utracone.

Musi napisać do zielonookiego chłopca i nie może z tym zwlekać ani chwili dłużej.

Zaciska palce na pędzelku, aż bieleją jej kostki – za mocno. Znaki na papierze skręcają się, roniąc duże, okrągłe łzy tuszu, i zlewają jeden z drugim.

Po chwili są nie do rozpoznania, a ona nie potrafi sobie przypomnieć, co chciała napisać.

Wpatruje się w kartkę. W sercu łomocze niepokój, słowa balansują, nieuchwytnie, tuż poza skrajem pamięci. Co chciała mu przekazać?

Rozmazane litery bledną i wkrótce kartka jest pusta.

JUBILEE

– Pani kapitan, spóźniła się pani.

Komendant Towers gromi mnie gniewnym spojrzeniem, ale ja nie zwracam na nią uwagi. Nie jestem w stanie wykrztusić z siebie przeprosin ani nawet zaskutkować. Całą moją uwagę pochłania mężczyzna stojący po drugiej stronie biurka. Zauważam broń – choć odszedł z armii, zbyt długo był żołnierzem, by ryzykować przybycie bez niej. Ma na sobie czyste, schludne cywilne ubranie: wysokie buty, spodnie i dopasowany podkoszulek, czyli w zasadzie to samo co my, żołnierze, nosimy na co dzień. Z potarganymi włosami, które byle jak ukryłam pod czapką, i wymagającymi polerowania guzikami, czuję się jak idiotka.

Jednak przede wszystkim ogarnia mnie ulga. Kiedy wyobrażałam sobie człowieka, którego przyjdzie mi oprowadzać po bazie, nawet przez chwilę nie pomyślałam, że będzie to Tarver Merendsen.

– Opowiadałem właśnie pani komendant, że służyliśmy kiedyś razem – mówi gość, spoglądając prosto na mnie.

Dostrzegam drgnienie ust, ledwie widoczny cień uśmiechu.

– Dobrze znów panią widzieć, pani kapitan.

– Tak jest...

Nie mam siły mówić, nie mam siły oddychać. Nie tak dawno temu to ja nazywałam go kapitanem.

Komendant Towers wyłącza trzymany w dłoni czytnik i rzuca go na biurko. Wygląda na rozdrażnioną. Jej zwykle chłodna fasada zdaje się pękać pod jakimś niewidocznym naciskiem.

– Pan Merendsen przybył do nas, aby skontrolować poziom bezpieczeństwa w świetle ostatnich wydarzeń – mówi, popatrując to na mnie, to na niego. – Ktoś w TerraDynie wyraził obawę, że nie wypełniamy swoich zobowiązań. W związku z wojskowym doświadczeniem naszego gościa firma przysłała go tu jako niezależnego eksperta, żeby ocenił nasze działania.

W jej głosie słyszę skrywaną irytację. Nie podoba jej się sugestia, jakoby nie potrafiła należycie wykonywać swojej pracy.

– Wiem co nieco o życiu na Avonie – wtrąca się gładko Merendsen z uprzejmym skinieniem głowy. – W pełni rozumiem wyzwania, z którymi musi się mierzyć pani komendant. Jestem jednak pewien, że od czasu, gdy tu stacjonowałem, wiele się zmieniło. Być może kapitan Chase zgodzi się oprowadzić mnie po jednostce?

Okazuje się, że nawet Towers nie jest całkowicie odporna na jego urok. Rozluźnia się nieznacznie i odprawia nas lekkim skinieniem dłoni.

– Śmiało. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował w trakcie pobytu, proszę się zwracać do kapitan Chase. Czy wszystko jasne?

W ten zawołany sposób daje mi do zrozumienia, że mam robić dobrą minę do złej gry. Kiedy zwraca na mnie surowe, świdrujące spojrzenie, wyprężam się na baczność i salutuję sztywno. Merendsen kiwa głową i oboje odwracamy się do wyjścia.

– Chwileczkę, pani kapitan. Panie Merendsen, zechce pan poczekać na zewnątrz?

To, że zwraca się do niego jak do cywila, wywołuje u mnie niekontrolowane drgnienie mięśni, on jednak pozostaje niewzruszony. Przenosi wzrok z komendant Towers na mnie i uświadamiam sobie, że nie jest pewien, czy powinien zostawić mnie z nią sam na sam. Wciąż nie wie, po co go tu wezwałam ani komu może zaufać.

Tego ostatniego nie wiem nawet ja.

Nieznacznie kiwam głową i Merendsen sięga ku klamce.

– Oczywiście, pani komendant. Pozwoli pani, że w międzyczasie nieco się rozejrzę.

Towers czeka, aż zamkną się za nim drzwi. Nie mogę oderwać od niej wzroku – oczy ma jeszcze mocniej podkrążone niż ja. Wokół ust dostrzegam cieniuteńkie zmarszczki, jakby ostatni tydzień ją postarzył.

– Pani kapitan.

Jej rozognione spojrzenie przeraża mnie bardziej niż cokolwiek innego. Wygląda na potwornie zmęczoną, a zarazem zbyt rozedrganą, żeby odpuścić. Wszystko zaczęło się od tamtej dziwnej rozmowy, kiedy zapytałam o tajną bazę widmo we wschodniej części mokradeł.

Czekam, ale się nie odzywa.

– Pani komendant?

Zaciska wargi, najwyraźniej zmagając się z jakimś dylematem. W końcu mówi cicho:

– Proszę mu nie opowiadać o tym, co się tu ostatnio dzieje.

Serce zaczyna mi bić szybciej.

– Ale... on przecież wie, co się dzieje, dlatego go tu przysłano. Zamieszki...

– Nie o to chodzi – przerywa mi Towers, potrząsając głową. – Proszę mu nie mówić wszystkiego. Niech zrobi swoje i spada.

Siląc się na swobodę, postanawiam dalej udawać głupią.

– Nie rozumiem.

– Po prostu... sama to pani najlepiej oceni – rzuca zniecierpliwiona.

Milknie, z wyraźnym trudem próbując opanować nerwy. Prostuje plecy i ściąga łopatki.

– Byłabym wdzięczna, gdyby nie wspominała mu pani o tych pogłoskach na

temat tajnej bazy na wschodzie – wypowiadając te słowa, spogląda mi prosto w oczy.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Kłamstwo przychodzi mi gładko. Nie potrzebowałam wiele czasu, by przyzwycząić się do oszukiwania przełożonych. Na myśl o tym żołądek skręca mi się boleśnie.

Komendant Towers odrobinę się rozluźnia, a ja po chwili namysłu dodaję:

– Ale wie pani, że mam do niego zaufanie, prawda?

– To nie o niego się martwię – odpowiada.

Gwałtownym ruchem sięga po czytnik i zwraca go w moją stronę. Na wyświetlaczu widnieje pierwsza strona jednego z czasopism rozrywkowych: zapętlone ujęcie pozujących przed aparatami Merendsena i Lilac LaRoux. Mój dowódca pochyla głowę i przyciska wargi do skroni ukochanej.

Przełykam ślinę i z trudem opanowuję chęć opowiedzenia jej o wszystkim. Jestem niemal pewna, że orientuje się w sytuacji lepiej ode mnie. Skoro zdaje sobie sprawę z istnienia tajnej bazy i z obecności LRI na Avonie, to całkiem możliwe, że wie, w jaki sposób te fakty łączą się z wybuchami agresji Mori i Davina Quinna. I moim.

Najpierw jednak muszę porozmawiać z Merendsenem. Najwyraźniej zdobył jakieś informacje dotyczące rodzinnej firmy narzeczonej i jeśli pozwolą mi one dojść do prawdy, być może w ogóle nie będę musiała wplątywać w to dowódczyni. Problem z komendant Towers polega bowiem na tym, że wciąż nie mam pojęcia, po której stoi stronie.

Roztrzęsiona opuszczam gabinet. Merendsen stoi bokiem jakieś dziesięć kroków ode mnie, z dłońmi splecionymi za plecami. Towers traktuje go podejrzliwie. Skąd więc u mnie przeświadczenie, że mogę mu ufać? Przecież ludzie się zmieniają. Całkiem możliwe, że on również siedzi w tym wszystkim po uszy.

Na dźwięk zamykanych drzwi Merendsen odwraca się do mnie z tym samym półuśmiechem, którym częstował mnie, ilekroć czekał, aż zrozumiem, że wpadłam w kłopoty. Tyle że tym razem czeka, by pomóc mi się z nich wydostać.

Wtedy podejmuję decyzję. Muszę komuś zaufać i tym kimś będzie on.

– Dobrze pana widzieć, szefie.

– Teraz wystarczy „Tarver”.

– Jak pan sobie życzy.

Uśmiecha się szeroko.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Lee.

Z lekkim grymasem obrzuca wzrokiem mój biały galowy mundur i stwierdza:

– Ładna czapka.

Jego pogodna mina sprawia, że na kilka chwil spływa ze mnie napięcie i zdobywam się nawet na uśmiech, prowadząc go korytarzem na dziedziniec. Jak każdego wieczoru jednostka tętni życiem. Nastął właśnie czas wymiany patroli. Odwracam się do Merendsena z przemożną chęcią opowiedzenia mu natychmiast o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu dwóch ostatnich tygodni. Zamiast tego pytam cicho:

– Jest pan głodny? Pomyślałam, że moglibyśmy wyskoczyć do Molly’ego.

Merendsen unosi brew.

– Wolałbym się rozejrzeć po jednostce. Sprawy mają się niewesoło i wygląda na to, że sytuacja na zewnątrz jest patowa.

Nie ma spokojniejszego i mniej przewidywalnego miejsca, w którym mogłabym odbyć z nim tę rozmowę. Niewykluczone, że ktoś zdążył nabrać podejrzeń i w moim baraku zamontowano podsłuch. Powtarzam więc:

– Molly trzyma na zapleczu prawdziwe przysmaki. Na pewno nie ma pan na nic ochoty?

Merendsen pociera tył głowy. Rozpoznaję ten gest z czasów, gdy nosił krótko przyciętą fryzurę. Teraz ma dłuższe włosy. Odrobinę klóci się to z regułami, ale one przecież już go nie obejmują. Przypatruje mi się uważnie.

– Właściwie to chętnie wrzucę coś na ruszt. Prowadź.

Lawiruję wśród tłumu, omijając najgorsze kałuże i połącze grząskiej ziemi. Na terenie jednostki rzadko nosimy galowe mundury między innymi dlatego, że nigdy nie zostają białe dłużej niż pięć minut, chyba że stoi się całkowicie nieruchomo, we wnętrzu, i nie myśli zbyt intensywnie o mokradałach. Dziś zmuszeni jesteśmy iść bardziej błotnistą i gęściej uczęszczaną drogą, trzymając się budynków, które osłaniają nas od rozciągających się za płotem bagien. Nie po to ściągnęłam tu Merendsena, żeby załatwił go zbłąkany pocisk wystrzelony przez rwącego się do bitki rebelianta. Po chwili zaczyna padać deszcz. Pojedyncze krople wkrótce przeradzają się w bębniącą o prefabrykowane dachy ulewę. Przyspieszam kroku.

Drzwi do zaplecza baru Molly’ego są zamknięte, na szczęście wiem, gdzie właściciel trzyma klucz. Sięgam pod najniższy stopień, szukam wgłębienia i wyciągam klucz paznokciami. Niezdarnie szarpię się z zamkiem, świadoma spoczywającego na mnie spojrzenia byłego kapitana. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby tutejsze budynki wyposażone były w standardowe skanery odcisków palców, ale w związku z ciągłymi awariami zasilania powodowanymi przez burze oraz długim czasem oczekiwania na części zamienne prymitywne rozwiązania sprawdzają się najlepiej. No i przynajmniej dzięki temu Molly nie musi nikomu tłumaczyć, dlaczego wpisał mnie na listę zaopatrzeniowców i kurierów mających dostęp do lokalu.

W końcu zamek ustępuje. Odkładam klucz na miejsce i prowadzę

Merendsena po drewnianych stopniach, starannie zamknawszy za nim drzwi. Wewnątrz pali się światło, ale pomieszczenie jest puste, nigdzie nie ma śladu Molly'ego ani żadnego z pracowników magazynu. Doskonale.

Obracam się do mojego towarzysza, ale wyjaśnienia zamierają mi na ustach. Merendsen nie patrzy na mnie tak, jak patrzył Flynn. Nie widzi mnie umazanej krwią. Nie widzi morderczyni. Uśmiecha się szeroko, tak samo jak rok temu, kiedy wciąż był moim dowódcą, a ja spieprzyłam jakieś zadanie – i nagle odnoszę wrażenie, że od tamtego czasu nie minął ani jeden dzień i nic się nie zmieniło. Zasycha mi w ustach.

– No dobrze, Lee – odzywa się miękko, lecz stanowczo. – Mamy tylko dwa dni. Wojskowi solidnie się wkurzyli na wieść o tym, że przyjeżdża do nich cywilny audytor, i to w dodatku bez ostrzeżenia, więc więcej nie udało się wynegocjować. Musimy się streszczać. Zaczynij od początku.

Jest w jego sposobie bycia coś, czego sama nigdy nie zdołałam opanować: potrafi być pewny siebie, a nawet surowy, a mimo to nadal miły i wspierający.

Chciałabym odpowiedzieć, ale gardło mam zaciśnięte, a wargi odmawiają mi posłuszeństwa. Nie jestem w stanie choćby zacząć opowiadać mu o tym, jak straszliwie się pogubiłam.

– Wszystko się pochrzało. Wszystko...

Spuszczam głowę i zamykam oczy, wściekła na siebie za to, że się przy nim rozklejam. Ale on kładzie mi ręce na ramionach i mocno ściska, a kiedy znów na niego spoglądam, patrzy cierpliwie.

– Wszystko się da naprawić.

Słyszałam te słowa z jego ust tysiące razy.

Kiwam głową, nie ufając własnemu głosowi, a rysy Merendsena miękną, aż w końcu łamie wszelkie znane nam obojgu zasady i bierze mnie w ramiona. Jego ciało jest ciepłe i mocne, i pachnie znacznie lepiej niż ktokolwiek na Avonie, ponieważ nie miał jeszcze okazji wykąpać się w kiepsko filtrowanej bagiennej wodzie. Czepiam się go kurczowo, odpędzając myśli o zielonych oczach i bólu, i o tym, że najbardziej na świecie pragnęłabym zatonać w innym uścisku.

Tak bardzo się zatracam, że w pierwszej chwili nie dociera do mnie skrzypienie otwieranych drzwi. Nie uchodzi ono jednak uwadze Merendsena, który podnosi głowę. Moment później zacieśnia uścisk, ale tym razem ostrzegawczo. Odwracam się ku wejściu.

W progu stoi Flynn.

Zamieram jak sparaliżowana w ramionach byłego dowódcy, niezdolna wykrztusić słowa.

– Mogę ci w czymś pomóc, przyjacielu? – pyta Merendsen pogodnie, cofając się nieznacznie, na tyle powoli, by nie wzbudzić podejrzeń.

Jego sylwetka zdaje się mówić: nie ma tu nic do oglądania.

Flynn nie zwraca na niego uwagi. Patrzy na mnie, a jego twarz jest wyprana z emocji. Oddycha ciężko, jak po długim biegu, ale ciało ma sztywne i napięte. Jest przemoczony, z włosów ścieka mu woda. Wpatruję się w niego zdumiona, zauważywszy nagle, że przez te kilka dni nabrał opalenizny, a mokre, klejące się do głowy, dawniej ciemne pukle ma ufarbowane na platynowy blond. Wygląda całkiem inaczej. A zarazem nic się nie zmienił.

Mam sucho w ustach. Jego twarz nie wyraża niczego. Ani przebaczenia, ani wstrętu. Mimo to on też nie jest w stanie oderwać ode mnie wzroku.

Do mojego mózgu przedostaje się niepozorny dźwięk – dobrze mi znany cichutki szelest. Merendsen powoli wyciąga broń z kabury. Przenosi wzrok to na mnie, to na Flynna, a na jego twarzy nie widać już przyjaznego uśmiechu.

– Nie – wyduszam z trudem, jakbym to ja właśnie przybiegła. – Nie.

Merendsen zamiera, ale nie chowa pistoletu.

– Co się dzieje, Lee? – pyta stłumionym, domagającym się natychmiastowej odpowiedzi tonem.

Flynn nadal nie zwraca na niego uwagi, jakby w ogóle nie zauważył, że nie jesteśmy sami.

– Dostałem twoją wiadomość – wykrztusza wreszcie. Głos ma szorstki i łamliwy, w jego brzmieniu słychać ślady nieodgadnionych przeżyć, które przytrafiły mu się od czasu naszego rozstania. – I przyszedłem.

– Kazałam ci czekać – odpowiadam mu ostro, napięta jak struna.

Zanim otwiera usta, wzdłuż jego szczęki wyraźnie zarysowują się mięśnie.

– A ty byś czekała?

Nie potrafię odpowiedzieć. Albo raczej: potrafię, ale nie pomogłoby mi to postawić na swoim.

Wreszcie Flynn odwraca wzrok i uświadamiam sobie, że obecność Merendsen wcale nie uszła jego uwadze. Spogląda na mojego byłego dowódcę co najmniej chłodno.

– Wybacz, przyjacielu – zwraca się do niego, naśladując jego ton. – Zaskoczyłeś mnie. Dopiero wylądowałem. Szukam pracy.

Nie potrafi przekonująco kłamać, nie tu i nie teraz.

– W porządku – uspokajam go. – Znam Merendsen od dawna. Możemy mu ufać.

Flynn nie odpowiada, obserwuje nas, a mnie uderza nagła świadomość, że mimo cywilnego ubioru Merendsen wciąż wygląda jak żołnierz. Stoi jak żołnierz, porusza się jak żołnierz. Nie sposób się nie domyślić, że to wojskowy.

Merendsen wygląda na równie nieprzekonanego jak Flynn. Podejrzliwie obrzuca wzrokiem jego tlenione włosy i sztuczną opaleniznę. Przebranie okazało się skuteczne – człowieka o takim wyglądzie łatwo zlekceważyć, i o to chodziło, a mimo to wzbiera we mnie potrzeba, by bronić Flynna przed jego niemym

osądem. Opanowuję ją.

– Merendsen, to jest Flynn. Flynn Cormac. Młodszy brat Orli Cormac.

Ten akt zdrady aż zapiera Flynnowi dech w piersiach. To jednak nic w porównaniu z reakcją Merendse na. Powątpiewający półśmiech znika mu z twarzy i zastępuje go lodowaty chłód. Na Avonie nie ma i nie było żołnierza, który nie znałby tego nazwiska.

Powietrze gęstnieje od napięcia. Merendsen nie unosi broni, ale to, jak robi krok do tyłu i przenosi ciężar ciała na palce, podpowiada mi, że w razie potrzeby jest gotowy do walki. Trudno się nie zastanawiać, co mu się przytrafiło podczas pobytu na bezludnej planecie. Co sprawiło, że jego instynkty są równie wyostrzone jak w czasach, gdy odbywał aktywną służbę.

– Dobra, Lee. Mów, o co chodzi. Zakładam, że nie zebraliśmy się tu, żeby się pozabijać.

Flynn przygląda mi się spod zmrużonych powiek, również sprężony do skoku.

Średnio sobie radzisz, Lee, myślę.

Biorę się w garść.

– Flynn, to jest Tarver Merendsen, mój dawny dowódca, który stacjonował kiedyś na Avonie. Ściągnęłam go tu i poprosiłam o pomoc.

Obojętne spojrzenie Flynn podpowiada mi, że nazwisko to nic mu nie mówi. Ale niby skąd miałyby go znać? Na mokradła nie dociera holowizja. Nie oglądają tam wiadomości i zapewne nie słyszeli o katastrofie kosmicznego liniowca o nazwie Ikar. Dodaję więc:

– Jest narzeczonym Lilac LaRoux.

Flynn blednie pod sztuczną opalenizną, obrzucając nas pełnym grozy i wyrzutu spojrzeniem.

– Co, do chole... – odskakuje i z brzękiem wpada na spiętrzone skrzynki z butelkami.

Na ten dźwięk Merendsen zastyga w jeszcze większym napięciu, gotowy do natychmiastowego działania, nie odrywając oczu od Flynn.

– Uspokójcie się obaj! – rzucam ostro. – Ostatnie, czego nam teraz trzeba, to wzajemne podejrzania. Po prostu... posłuchajcie mnie przez chwilę, okej? Flynn, ja mu ufam. Powierzyłabym mu własne życie. Zna Avon, służyliśmy tu razem. To dobry człowiek i nawet jeśli zamierza poślubić Lilac LaRoux, niczego to nie zmienia. Poza tym może nam pomóc.

Boże, mam nadzieję, że to prawda.

– Szefie... – zwracam się do Merendse na. – Flynn nie jest...

Trudno mi znaleźć właściwe słowa, jakiś sposób, by wytłumaczyć moje związki z Flynnem, który nie sprawi, że zabrzmie, jakbym straciła rozum.

„Kto mówi, że go nie straciłaś?”, kołacze mi się w myślach.

– On nie jest taki, jak pan myśli – bąkam wreszcie bez większego przekonania.

W porównaniu z gorącą obroną Merendseną te słowa brzmią dość żałośnie. Nie mam jednak pojęcia, jak opisać, kim Flynn stał się dla mnie w ciągu ostatnich tygodni. Sama bowiem nie potrafię się zmierzyć z uczuciami, których od dłuższego czasu starałam się unikać. Pierwszy raz w życiu cieszę się, że nie miewam snów, ponieważ boję się, co powiedziałyby mi o Flynnie. Przechodzi mnie dreszcz.

– Czy możecie mi obiecać, że się nie pozabijacie, póki wszystkiego wam nie opowiem?

Merendsen odzywa się pierwszy. Prostuje plecy i opiera się o ścianę. W tej pozornie nonszalanckiej pozie moje wytrenowane oko dostrzega czujność.

– Oczywiście – mówi.

Flynn z powrotem skupia uwagę na mnie. Widzę w jego oczach rozgoryczenie i gniew spowodowane świadomością, że wyłączyłam go ze swoich planów, choć przecież oboje braliśmy pod uwagę, że nigdy więcej się nie spotkamy.

– W porządku – mamrocze pod nosem.

Biorę głęboki oddech.

– Dobrze. Szefie, niech pan lepiej usiądzie. Prawdopodobnie uzna pan, że oszalałam, ale zapewniam, że to nieprawda. Hm, w każdym razie nie w ostatnich kilku dniach.

Zaczynam opowieść od wieczoru, kiedy poznałam Flynną, wbiłam mu w nogę różową wykałaczkę, a potem wyruszyliśmy na poszukiwanie nieistniejącej tajnej bazy.

Dziewczynka stoi pośrodku klasy. Wszystkie spojrzenia skierowane są na nią. Uczniowie siedzą w ustawionych rzędami ławkach, ściany udekorowane są rysunkami. Nadeszła jej kolej, by opowiedzieć o swojej rodzinie. Matka dała jej jedwabny chiński kaftan, ale dziewczynka schowała go na dnie torby. Zamiast niego pokazuje wszystkim hologramowe zdjęcie, na którym stoi między matką a ojcem. Wszyscy troje, uśmiechnięci, machają do obiektywu.

– A to kto? – pyta nauczyciel i gdy dziewczynka jeszcze raz spogląda na hologram, uświadamia sobie, że widnieją na nim cztery postacie.

Na zdjęciu pojawił się jakiś chłopak, ciemnowłosy i przystojny, z lśniącoymi nieśmiertelnikami na szyi.

– Kto to? – powtarza nauczyciel. Dziewczynka wpatruje się w niego, za wszelką cenę usiłując sobie przypomnieć, ponieważ zależy jej na dobrej ocenie.

Chłopiec na obrazku ma brązowe oczy.

Stoi między jej rodzicami i nagle odpowiedź przychodzi do niej sama.

– To mój starszy brat – odpowiada, zwracając się do całej klasy.

– Nie jestem jej bratem.

Chłopak z hologramu siedzi teraz w pierwszej ławce. Kręci głową.

– Nie jestem jej bratem. Wiecie, co ona zrobiła?

Dziewczynka spuszcza wzrok, czerwona ze wstydu, i orientuje się, że zdjęcie, które trzyma w dłoni, spływa krwią. Strużki czerwieni ściekają jej z palców aż do nadgarstka.

FLYNN

Mimowolnie obserwuję ją, kiedy z nim rozmawia, chłonie każdy jego gest, wpatrzona w niego jak w obrazek. Nie chcę tego widzieć, ale nie potrafię odwrócić wzroku. Patrzenie na nią, patrzenie na nich, to tortura równie nieznośna, jak przysłuchiwanie się odgłosom walki, w którą nie mogę się włączyć.

Jubilee nie jest już sama: ma swój pluton, swoją panią komendant, dawnego dowódcę. Udało jej się otrząsnąć. Ale ja nadal jej potrzebuję i nienawidzę się za to.

Zaczyna od wieczoru, w którym się poznaliśmy, opisuje naszą wizytę w nieistniejącym ośrodku, swoją ucieczkę i samobójstwo Davina Quinna. Jest spokojna, rzeczowa i przypisuje mi więcej zasług, niż się spodziewałem. Trzyma emocje na wodzy – jej opowieść przypomina wojskowy meldunek. Do czasu. W pewnym momencie dochodzi bowiem do wspomnienia nocy, kiedy opuściłem szpital, a ona znalazła się na mokradłach.

Wtedy traci nad sobą panowanie, a w jej łamliwym głosie pobrzmiewa echo tamtej koszarnej chwili, gdy ocknęła się otoczona przez śmierć. Trudno mi tego słuchać: odwracam się, zaciskając palce aż do bólu na półce, o którą się dotąd opierałem. Rozpacz w jej głosie powinna złagodzić moją udrękę, upewnić w przekonaniu, że pamięta – a jednak sprawia tylko, że tęsknię za jej dotykiem, marząc o tym, by odnaleźć ukojenie w łączącej nas wspólnocie doświadczeń. Przez ostatnie kilka dni ani na moment o niej nie zapomniałem.

Kiedy kryłem się na bagnach i podczas pobytu w domu Sofii, myśl o Jubilee towarzyszyła mi bezustannie. Sądziłem, że zmieni się to, kiedy ją zobaczę, ale ta walka wciąż się we mnie toczy: nierozwiązywalny konflikt między pragnieniem jej obecności a życzeniem, by zniknęła z mojego życia.

Jubilee porzuca próbę dokładnego wyjaśnienia masakry w jaskini i kończy gwałtownie:

– Wtedy Flynn pomógł mi wrócić do jednostki. Od tamtego czasu się ukrywał, ponieważ za to, że mi pomógł, grozi mu u swoich śmierć, a ja działałam tutaj, próbując wpaść na jakikolwiek trop. Dlatego się z panem skontaktowałam. Ponieważ jest pan blisko LaRoux Industries i jako jedyny nie uzna pan, że po prostu mi odbiło. I nie zastrzeli Flynna na miejscu.

– Zastanawiał się nad tym – wtrącam z mimowolną nutą wrogości w głosie, która sprawia, że brzmi on dokładnie tak, jak nie chciałbym, by brzmiał. Agresywnie. Jak u McBride’a.

Merendsen wzrusza ramionami.

– Gdyby trzeba było cię zabić, Lee zajęłaby się tym dawno temu – mówi, przysuwając sobie skrzynkę i siada. – W porządku. A więc furia eskaluje. Dopada

ludzi dotąd odpornych, takich jak Lee, i cywilów, którzy wcześniej byli bezpieczni.

– I uważamy, że ma to coś wspólnego z LaRoux Industries – dodaje Jubilee, skupiona na Merendsenie. – Nie mają tutaj żadnych interesów, a jednak są na Avonie. Albo byli. Identyfikator, który znalazłam na bagnach, nie byłby może dostatecznym dowodem dla dowództwa, ale mnie wystarczy.

– Sądźcie, że ośrodek, który znalazł Cormac, należał do LRI? Osobiście nie poszedłbym z tym do *monsieur* LaRoux. Nie brak mu arogancji i wierzy, że jest nietykalny. Głównie dlatego, że rzeczywiście jest – przyznaje Merendsen i przeczesuje włosy palcami. – Rany, co za pogmatwana sprawa. Lee, LaRoux to niebezpieczny człowiek. Sami nie macie szans.

– To dlatego miałam nadzieję, że nam pan pomoże, szefie – przyznaje Jubilee. – Biorąc pod uwagę pańskie kontakty.

Po sposobie, w jaki Jubilee wysuwa podbródek, poznaję, że chce powiedzieć coś jeszcze. Wygląda na to, że Merendsen zna ją równie dobrze, bo cierpliwie czeka na dalszy ciąg. I ten rzeczywiście następuje:

– Po cholere chce się pan żenić z Lilac LaRoux?

Już po chwili Jubilee sprawia wrażenie, jakby żałowała tego wybuchu. Mimo to bojowo zadziera głowę.

Merendsen wybucha śmiechem i pojednawczo wyciąga rękę do góry.

– Oj, spodziewałem się tego – mruczy, uspokoivszy się nieco. – Cóż, Lee, tęskniłem do wygodnego życia. Wiesz, jak kocham luksus. A teraz serio: jak myślisz?

– Naprawdę nie mam pojęcia. Próbuję zrozumieć... Ale na miłość boską, Lilac LaRoux?

Wyrzuca z siebie to nazwisko, jakby uważała, że samo w sobie stanowi wystarczająco mocny argument, jakby sądziła, że gdy Merendsen usłyszy je jeszcze raz, pojmie wreszcie swój błąd.

– Przecież to jedna z nich.

Merendsen tylko się uśmiecha.

– Żenię się z nią, ponieważ ją kocham. Ponieważ jest uparta, dobra, silna i mądra, i ponieważ nie wyobrażam już sobie bez niej życia.

Jubilee podchodzi bliżej i kuca przed nim jak petentka.

– Tarver, błagam, powiedz, że nie przeszedłeś na ich stronę.

Po raz pierwszy zwróciła się do mnie po imieniu w momencie, gdy czułem, że zdradziłem wszystko, co dotąd było mi drogie, i że zakochuję się w dziewczynie, która wymordowała mi rodzinę. Jednak wypowiedzenie imienia Merendseny przychodzi jej z łatwością. Zaciskam zęby i odwracam wzrok.

Merendsen powoli, spokojnie wypuszcza powietrze z płuc.

– Lee, poświęciłem cenne i rzadkie chwile, które mogłem spędzić sam na sam z Lilac, żeby przylecieć na tę nieszczęsną planetę. Bez urazy, Cormac. Więc

Lee, oto jestem. Mam nadzieję, że nie zapomniałaś, z kim masz do czynienia?

– Przepraszam, szefie – mówi Jubilee, ale w jej głosie nie słyszę skruchy. Słyszę za to smutek. – Brakowało mi pana.

– Nie tobie jednej – rzuca Merendsen swobodnie. – Dobrze. Moja ukochana to dokładnie ta osoba, której potrzebujemy, jeśli chcemy trochę powęszyć. Gdzie jest najbezpieczniejszy komunikator?

– U mnie.

Jubilee dźwiga się na nogi i nagle jakby sobie o mnie przypomniała. Gestem pokazuje, żebyśmy szli za nią.

– Zaprowadzę was.

Jej dawny dowódca kiwa tylko głową i ruszamy ku drzwiom: oni z przodu, ja za nimi. Po drodze dochodzi mnie odległy huk wystrzałów, który oznacza, że moi ludzie walczą właśnie o życie. Beze mnie.

Wraz z zielonookim chłopcem bawią się w berka wśród uliczek i zaułków miasta November. Dziewczynka zwalnia, czekając, aż chłopiec pomyśli, że już ją ma, po czym daje nura w boczną alejkę. Wtedy chłopiec potyka się na czymś śliskim i z hukiem ląduje na ziemi.

Dziewczynka słyszy jego płacz i biegnie ku niemu ile sił w nogach. Zdarł sobie skórę z obu kolan, na spękany chodnik kapie krew. Dziewczynka próbuje opatrzyć zadrapania, ale mimo wysiłków nie udaje jej się zatamować krwi. Kolory odpływają z jego twarzy.

– To przez ciebie – szepcze chłopiec i sięga dłonią ku jej policzkowi, ale w połowie ruchu jego palce zmieniają się w pył.

– Nie! – szlocha dziewczynka. – Przepraszam. Nie zostawiaj mnie.

Nic z tego. Zielonooki chłopiec obrócił się w proch i dziewczynka myśli z przerażeniem, że jeśli go dotknie, spopielałaby kształt się rozsypie i zniknie po nim wszelki ślad.

– Flynn, wróć.

JUBILEE

Merendsen wyciąga z kieszeni nieduże urządzenie i naciska kilka przełączników, poruszając się powoli po wąskiej przestrzeni baraku w poszukiwaniu podsłuchów. W czasach, gdy go znałam, nie miał do dyspozycji takiej aparatury. Wreszcie gestem nakazuje mi włączyć komputer. W pełni świadoma skupionych na mnie spojrzeń obu mężczyzn zasiadam do ukrytej w biurku konsoli.

Wiem, że Merendsen obserwuje moje wysiłki, bo chce zyskać pewność, że nikt nie rejestruje ruchów klawiatury, nikt nas nie nagrywa i omijamy wojskowe oprogramowanie do śledzenia połączeń. Nie rozumiem jednak baczego wzroku Flynna. Choć go nie widzę, wiem, że stoi tuż za mną, czuję na karku jego spojrzenie jak rozpalony do czerwoności laser. Przecież nie zna się na komputerach. Prawdopodobnie nigdy ich nie używał – rebeliantom na mokradłach z całą pewnością nie rozdaje się komunikatorów podłączonych do hipernetu. Mimo to nie spuszcza ze mnie oczu.

Poruszam się lekko na krześle, speszona. Palec ześlizguje mi się na niewłaściwy klawisz i muszę skasować to, co napisałam. W końcu przyzywam Merendsenę skinięciem podbródka. Mój dawny dowódca spogląda na ekran, po czym nachyla się, by wpisać adres Lilac LaRoux. Pogasiliśmy prawie wszystkie światła w nadziei, że przypadkowi przechodnie uznają, iż udałam się na bardzo mi potrzebny odpoczynek. Merendsen prostuje się, a ja wstaję i ustępuję mu miejsca. Lilac LaRoux nie ma żadnego powodu, by ze mną rozmawiać – najlepsze, co mogę zrobić, to przekazać pałeczkę jej narzeczonemu. Cofam się i splatam ręce za plecami.

– Miejmy nadzieję, że nie śpi – mamrocze pod nosem zaaferowany Merendsen.

Niecierpliwi się, myślę. Nie może się doczekać, aż ją zobaczy, całym ciałem skierowany ku ekranowi. Zerkam na Flynna, który wbija wzrok w monitor, z zaciętą miną i naprężonymi ramionami.

Wzdycham.

– Mam nadzieję, że nie wyszła z psiapsiółkami na któryś z tych swoich słynnych balów.

Merendsen prychnął śmiechem.

– Nie sądzę – mówi wesoło.

Mam ochotę poprosić go o wyjaśnienie, gdy na ekranie rozbłyskuje obraz: twarz dziewczyny w moim wieku, może młodszej. W pierwszej chwili jej nie rozpoznaję bez eleganckiej fryzury, makijażu, efektownej sukni i biżuterii.

Spoglądam na nią z zaskoczeniem, usiłując połączyć tę zaspaną, rozczochraną postać z dziedziczką fortuny najbogatszego człowieka w galaktyce. Jest ładna – wręcz piękna – ale w niczym nie przypomina wizji, która staje mi przed oczami, gdy myślę o Lilac LaRoux.

– Tarver – szepcze, tłumiąc ziewnięcie i trąc zaspane powieki.

Najwyraźniej ją obudziliśmy, bo ma na sobie jedwabny szlafrok.

– Cześć, piękna – odzywa się Merendsen z czułością, której nigdy wcześniej u niego nie słyszałam. – Przestałaś już się gniewać, że tak nagle wyjechałem?

Dziewczyna lekko przytomnieje. Z uśmiechem przysuwa się bliżej kamery.

– Tarver! – powtarza nieco trzeźwiej. – Żli ludzie z bagien jeszcze cię nie ostrzelali?

Jej uśmiech staje się odrobinę kpiarski, a rysy rozjaśnia iskierka rozbawienia.

Tłumię w sobie chęć protestu. Lilac LaRoux najwyraźniej nie widzi ani mnie, ani stojącego kilka kroków dalej Flynnna. Ale Merendsen chichocze tylko, jakby to był pyszny żart.

– Nie, ale nie chwał dnia przed zachodem słońca. Co słyszać w domu?

– W porządku. Nie miałam jeszcze okazji wypróbować nowej wanny.

Lilac nachyla się nad ekranem i przesuwa palcami wzdłuż dekoltu szlafrocza. W jej pozornie niewinnych, pełnych kokieterii ruchach jest tyle gracji, że nagle zaczynam jej tego zazdrościć. Znow spoglądam na Flynnna, który patrzy w dół, unikając obrazu na monitorze.

– Ktoś powinien przetestować nową instalację, sprawdzić, czy aby wszystko działa – mówi Merendsen z rozbawieniem, przyciszonym głosem, najwyraźniej zarezerwowanym dla prywatnych rozmów.

– Masz chwilkę? Mogłabym zabrać ze sobą komunikator i pokazać ci, jak bardzo żałuję, że cię tu nie ma – mruczy Lilac, rozchylając lekko dekolt peniuaru.

Dostrzegam na tyle dużo, by zrozumieć, że nie ma nic pod spodem. Odwracam się gwałtownie i wbijam wzrok w sufit. Za późno. Teraz rozumiem, czemu Flynnn z takim zaangażowaniem wpatruje się w podłogę.

– Oj, daj już spokój – jęczy cicho Tarver. – Powiedziałem, że przepraszam za ten wyjazd, a ty mnie dalej dręczysz. Poza tym, hm... – dodaje, lekko zmieszany – jest tu ze mną Lee, więc może być jednak...

Milknie i zerka na mnie przez ramię.

Niech cię szlag, Merendsen. Chrząkam cicho, wchodząc w krąg rzucanego przez monitor światła.

Lilac wydaje z siebie pisk zaskoczenia i otula się szlafrokiem pod samą brodę.

– Tarver! – wykrzykuje stłumionym głosem. – Czemu nic nie powiedziałaś? I kto to jest, do cholery? – dodaje, czerwona ze wstydu.

– To jest Lee – oznajmia Merendsen, siląc się na obojętność, ale niezbyt

dobrze mu idzie ukrywanie rozbawienia. – Spokojnie, jestem pewien, że patrzyła w ścianę. Lee jest niezwykle dyskretna i nie wierzy w magię romantyzmu.

Taktownie odwracam wzrok od dziewczyny na ekranie.

– Pomyłka, szefie. Patrzyłam w sufit.

Po drugiej stronie linii zapada cisza, po czym rozlega się ciche, ostrożne pytanie:

– Lee to kobieta?

Z trudem tłumię okrzyk zaskoczenia. Merendsen nie powiedział swojej narzeczonej, że wyprawił się do sąsiedniego układu gwiazdowego dla dziewczyny? Wiem, że nie myśli o mnie w ten sposób. Dla niego jestem po prostu dawną towarzyszką broni. Poproszona przez kogoś ze swoich żołnierzy zrobiłabym to samo. Ale dla Lilac LaRoux może nie być to tak oczywiste...

– Faktycznie, nie zauważyłem – odpowiada Merendsen, celowo omijając mnie wzrokiem. – Jest tu z nami jeszcze kolega Lee. Lilac, możesz się przełączyć na bezpieczną linię?

Dziewczyna przytomnieje i w jednej chwili po nadąsanej, rozżalanej przyszej pannie młodej nie zostaje nawet ślad.

– Daj mi dwie sekundy.

Natychmiast pochyla się nad klawiaturą – tak samo jak ja nie ufa wzrokowemu interfejsowi. Wstaje i sięga ręką za monitor. Po dźwiękach domyślam się, że naciska jakieś przełączniki. Nie rozumiem, co próbuje zrobić. Cokolwiek to jest, najwyraźniej opanowała posługiwanie się znacznie bardziej zaawansowaną technologią niż ta, z którą sama mam do czynienia. Merendsen nie mógł jej tego nauczyć.

W końcu sadowi się z powrotem w fotelu, dzierżąc w dłoni nieduże urządzenie, które po włączeniu sprawia, że obraz na ekranie przeskakuje i śnieży. Lilac reguluje go, naciskając kilka guzików. Najwyraźniej aparacik wytwarza jakiś rodzaj pola zakłócającego. Mimowolnie przenoszę wzrok na Merendsen, zastanawiając się, po co im takie środki bezpieczeństwa.

– Dobra. Mów.

Z ekranu patrzy na nas ktoś zupełnie inny niż zalotne, frywolne stworzenie, z którym mieliśmy do czynienia zaledwie przed chwilą. Ta Lilac ma głowę na karku.

– To jest Flynn Cormac – zaczyna Merendsen, gestem przyzywając Flyna w krąg światła. – Jeden z tutejszych rebeliantów.

Nie zdziwiłabym się, gdyby z ust Lilac wyrwał się dramatyczny okrzyk lub płytka refleksja na temat niedorzeczności posiadania tlenionych włosów. Zamiast tego dziewczyna nachyla się ku ekranowi i obrzuca Flyna badawczym spojrzeniem.

– Aha – mówi spokojnie. – Czyżby przedstawiciel sławetnych *fianna*?

Wygląda trochę inaczej, niż można by się spodziewać.

– I o to chodziło – odpowiada Flynn bez mrugnięcia okiem. – Zacznie łatwiej zginać w tłumie komuś, po kim nie widać jego ponurej sławy.

Choć sili się na żartobliwy ton, czegoś mi w nim brakuje. Jakiejś nuty, którą nieświadomie nauczyłam się rozpoznawać.

Ku mojemu zdumieniu Lilac uśmiecha się szelmowsko.

– Bardzo słusznie – orzeka z aprobatą. – Widzę, że wszyscy tutaj opanowaliśmy do perfekcji sztukę sprawiania mylnego pierwszego wrażenia.

Poza mną, odzywa się jakiś cienki, jadowity głosik w mojej głowie. Ja jedna jestem dokładnie taka jak zawsze.

Wbrew moim oczekiwaniom Merendsen nie zagłębia się w szczegóły historii, którą mu przed momentem opowiedziałam, lecz przechodzi prosto do sedna.

– Biorąc pod uwagę wszystko, co przekazała mi Lee – zwraca się do narzeczonej – wygląda na to, że miałaś rację.

– Szepty?

Twarz dziewczyny w poświęceniu monitora robi się biała jak płótno.

Merendsen kiwa głową.

– W dodatku przybierają na sile. Ludzie wariują tu tak samo jak naukowcy z tamtej stacji, tyle że dużo szybciej.

Lilac przymyka oczy, a jej pogodne rysy zmieniają się jak pod wpływem głębokiego, gryzącego smutku.

– Wiedziałaś – stwierdza cicho. – Przecież mówiłam, że czuję...

– Wierzę ci – przerywa jej Tarver i choć na nas nie patrzy, wiem, że nie ma ochoty dzielić się z nami tym, co kryje się za tą tajemniczą wymianą zdań. – Nie mam zamiaru popełniać po raz drugi tego samego błędu.

Lilac unosi powieki i jej spojrzenie się wyostrza.

– Twoi znajomi dobrze się czują? Wszystko... Wszystko u was w porządku?

Tym razem zwraca się bezpośrednio do nas. W jej głosie zachodzi ogromna zmiana, a w oczach niezwykle wyraźnie maluje się współczucie. Jakimś cudem wie dokładnie, przez co przechodzimy. Ale jak to możliwe? LRI to firma jej ojca. Co takiego strasznego mogli jej zrobić?

– Ja... nie jestem pewna. – Zwątpienie niemal odbiera mi mowę.

– Coś wymyślimy – wtrąca Merendsen. – Pomożemy im.

– Tarver, wiesz, że nie możesz za długo tam zostać. Spróbuj się dowiedzieć jak najwięcej, ale jeśli to, co się dzieje, ma jakiś związek z szeptami, ściągniesz na siebie uwagę niewłaściwych osób. Już i tak bez przerwy patrzą nam na ręce, a będzie tylko gorzej.

Kto ich obserwuje? Jej ojciec? Rozmowa toczy się w tak szybkim tempie, że nie jestem w stanie nadążyć za każdym słowem.

– Wiem. Mam dwa dni, potem będę musiał złożyć raport. Ale Lee i Cormac szukają bazy, którą być może założyło tutaj LRI, w pewnej opuszczonej okolicy. Ci dranie nie pierwszy raz działają w sekrecie na terytorium innej korporacji, więc jestem pewien, że mają spore doświadczenie w zacieraniu śladów.

– Patron – mówi Lilac. Spogląda w ekran ponuro, ale czujnie, bacznie śledząc każde najlżejsze drgnienie twarzy narzeczonego.

Merendsen potakuje.

– Tę bazę niedawno skądś tu przenieśli, musiały zostać jakieś ślady w dokumentach. Możesz to sprawdzić?

– Spróbuję się dostać do plików ojca. Wprawdzie pozmieniał hasła, ale... – urywa Lilac. – Pogadam z Waletem.

Merendsen się krzywi.

– Jesteś pewna? Nie wiem, czy nie za bardzo mu ufamy.

Jego narzeczone kręci głową.

– Daj spokój, Tarver. To on nas nauczył, jak się bronić i jak chronić swoją prywatność. Gdyby nie on, nie rozmawialibyśmy teraz.

Merendsen burczy coś z niezadowoleniem, niemal gniewnie, ale potem kiwa głową.

Chrząkam.

– Jaki znowu Walet? – pytam podejrzliwie.

Wciągnięcie w to wszystko Merendsena, a potem jego narzeczonej to jedno, ale teraz czuję, że sprawy gwałtownie zaczynają wymykać mi się spod kontroli.

– Walet Kier – wyjaśnia Lilac. – Haker, który działa w ukryciu gdzieś na Koryncie. Proszę się nie martwić, pani kapitan. Można mu zaufać.

Merendsen wciąż patrzy tylko w ekran, a kiedy się odzywa, jego głos łagodnieje. Tęskni za nią.

– Przykro mi, że cię w to wplątałem, Lilac. Być może nie będziemy mieli tu następnej okazji do rozmowy. Uzyskanie bezpiecznego połączenia jest trudne nawet w najlepszych warunkach, a do tych nam daleko.

– Jakoś się z wami skontaktuję – odpowiada stanowczo dziewczyna.

Hakerzy, panny z towarzystwa o niespotykanych talentach technicznych... To wszystko mnie przerasta.

– Co za absurd – wybucham, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich obecnych, po czym zwracam się do Merendsena: – Szefie, sądziłam, że pomoże nam pan zgłosić to dowództwu. Od razu powinnam była to zrobić.

Czuję na sobie wzrok Flynna.

– Proszę o tym zapomnieć. – Głos Lilac jest ostry niczym strzał z bicza.

– Doceniam to, że chce nam pani pomóc, panno LaRoux – mówię do tej istoty z innego wszechświata. – Ale gdybym zwróciła się do generała Macintosha, on przynajmniej byłby w stanie coś z tym zrobić.

Lilac LaRoux nie odpowiada od razu. Nie zdziwiłabym się, gdyby Merendsen zaprotestował w jej imieniu, on jednak czeka, wpatrzony w twarz na monitorze. Wreszcie Lilac przekrzywia głowę i mówi:

– Pani kapitan, planeta, na której roztrzaskał się Ikar, nie była tym, co później opisywały media. Zanim nadszedł ratunek, zebraliśmy z Tarverem całą masę dowodów na to, że mój ojciec był zamieszany w spisek, który by go zrujnował, gdyby został ujawniony.

Wysycha mi w ustach i mimowolnie spoglądam na Flynna, który dopiero teraz podniósł wzrok znad podłogi.

– Czemu zatem nie pójdziecie z tym do mediów?

– Ponieważ mój ojciec wszystko zniszczył.

– Nikt nie byłby w stanie zniszczyć wszystkich dowodów w takiej wielkiej sprawie – oponuje Flynn i wiem, że myśli w tej chwili o znalezionym przeze mnie na mokradłach identyfikatorze.

– Nie, nie mówię o dowodach, panie Cormac. On zniszczył całą planetę.

W pokoju zalega cisza. Czuję, że Flynna ogarnia ta sama panika, która sprawiła, że powietrze nagle zgęstniało, i nie mogę oddychać. Spoglądam na niego i napotykam puste spojrzenie. Serce ściska mi się boleśnie.

– Pozwoliliśmy, by ją pogrzebał – szepcze Lilac i zamyka oczy. – Sądziliśmy... Zdawało nam się, że na tym się skończy. Wiedzieliśmy, że zabrał szeptę ze szczeliny, ale dopiero kilka miesięcy temu odkryliśmy, że one wciąż żyją.

– Szeptę? – przerywam jej.

Merendsen porusza się nieznacznie i znacząco chrząka, a ja uświadamiam sobie, że mimo wszystkich środków bezpieczeństwa boi się o tym rozmawiać.

– To nie twoja wina, Lilac – mówi cicho. – Teraz już wiemy.

– LaRoux nie może zniszczyć Avonu – odzywa się chrapliwie Flynn i widzę, jak drżą mu ręce.

– Przecież tu są ludzie. Nie tylko koloniści, ale żołnierze, cywilny personel, przedstawiciele korporacji. To byłby masowy mord.

Ale Lilac LaRoux słucha go ze ściągniętym czołem i pełnym znużenia smutkiem w kącikach ust.

– Nie zna pan mojego ojca.

Wciąż z trudem usiłuję pojąć sens tego, co przed chwilą usłyszałam. Jeżeli to wszystko prawda, jesteśmy straceni. Nawet gdybyśmy zdołali się zbliżyć do prawdy, nikt nie może się o niczym dowiedzieć, ponieważ w momencie, kiedy LaRoux zacznie podejrzewać, że traci kontrolę nad planetą, zniszczy ją, a wraz z nią zginą wszyscy, którzy tutaj żyją. Ja. Komendant Towers. Molly. Flynn.

Nie mamy najmniejszych szans.

– Jedyne nadzieje w tym, że uda się znaleźć dowód.

Głos Lilac LaRoux znów jest samą rzeczowością, smutek ukrył się w jakimś

zakątku, gdzie pozostaje niewidoczny. Choć nadano mi przydomek Niewzruszona Chase, w sztuce panowania nad emocjami młoda dziedziczka bije mnie na głowę.

– Jeśli znajdziecie dowód na to, co się tam dzieje, oraz sposób, by go upublicznić, będziecie bezpieczni. Mój ojciec nie ośmieli się niczego zniszczyć, jeżeli galaktyka będzie patrzeć mu na ręce.

Lilac odrywa oczy od środka ekranu, szukając mnie wzrokiem.

– Panie Cormac, pani kapitan, nie jesteście sami. Pomogę wam. Trzymajcie się.

Żadne z nas nie przypuszczało, że córka Rodericka LaRoux będzie się przejmować nieszczęściem mieszkańców Avonu, a tym bardziej, że okaże nam pomoc albo zrozumienie.

– Jeszcze jedno – ciągnie Lilac, wrywając mnie z krótkiego zamyślenia. – Jeżeli rzeczywiście to, co się zdarzyło, ma związek z eksperymentami mojego ojca, niech pani będzie ostrożna. Proszę ufać Flynnowi i ufać sobie, ale temu, co pani czuje, a nie temu, co widzi. Oni wiele potrafią, mieszają ludziom w głowach, sprawiają, że widzi się i słyszy rzeczy, które nie istnieją. Proszę zaufać uczuciom.

Cofam się o krok. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Zaufać uczuciom? Z trudem opanowuję chęć spojrzenia na Flynn'a, choć czuję na sobie jego wzrok. Rатуje mnie Merendsen, który mówi:

– Lepiej już kończmy. Na wszelki wypadek.

Lilac kiwa głową.

– Jasne.

Żadnych próśb o przedłużenie rozmowy ani przekornych żądań, by poświęcił jej więcej czasu. Jest spokojna, cicha i kompetentna. Przychodzi mi do głowy, że byłby z niej dobry żołnierz, ale już po chwili odrzucam tę myśl jako całkowicie nedorzeczną.

– Zobaczę, co uda mi się do jutra znaleźć, i jakoś się z wami skontaktuję.

Merendsen wzdycha głośno, nagle zrezygnowany. Nie widzę jego twarzy, ale domyślam się, że patrzy narzeczonej prosto w oczy i nie wie, co mógłby jeszcze powiedzieć.

Lilac spogląda na niego z czułością.

– Bądź ostrożny, Tarver – mówi do niego. – Pamiętaj, że masz do mnie wrócić.

– Obiecuję.

Unosi dłoń i lekko muska ekran koniuszkami palców, a pół sekundy później Lilac robi to samo. Choć dzielą ich lata świetlne, ci dwoje trzymają się za ręce. Odwracam wzrok, żeby nie zakłócać im tej chwili intymności. Na kilka sekund zapada cisza, po czym przekaz się urywa i monitor raptownie gaśnie. U dołu wyświetla się napis „połączenie zakończone”.

Merendsen odchyła się na oparcie, oddychając szybko. Zaraz potem okręca

się na krześle.

– No i tak – wzdycha ciężko. – Dzielna dziewczyna, co? Wciąż się zastanawiasz, czemu chcę ją poślubić?

Muszę przełknąć ślinę, by wydusić z siebie głos.

– Myliłam się. Przepraszam.

Merendsen się uśmiecha.

– Przyzwyczaiła się do tego. Ja już zresztą też. A w każdym razie pracuję nad tym. Ludzie traktują ją jak głupią gąskę, której tylko fatałaszki w głowie, ale tak jest lepiej. Nikt nie podejrzewa, że może coś ukrywać.

– Coś... czyli co? – wtrąca się Flynn tak nagle, że aż podskakuję.

Przez moment zapomniałam, że w pokoju jest ktoś poza Merendsenem i jego narzeczoną na ekranie.

Mój dawny dowódca kręci głową.

– To wszystko jest dość... Nie mogę powiedzieć wam wszystkiego. Będziecie musieli mi zaufać. Ale kilka rzeczy wam zdradzę. Tyle, ile trzeba.

Siadamy – ja na kufrze z ubraniami, a Flynn na skraju łóżka. Merendsen wyraźnie nie wie, od czego zacząć. Przebiera nerwowo palcami. Nigdy wcześniej nie widziałam u niego takiej reakcji, ani na polu walki, ani wtedy, gdy przyznano mu pierwsze odznaczenia i musiał je przyjąć przy całej kompanii. Uderza mnie, że jesteśmy pierwszymi ludźmi, przed którymi postanowił uchylić rąbka tajemnicy. Utrzymanie jej było dla kogoś warte zniszczenia całej planety.

– Pamiętacie katastrofę Ikara osiem miesięcy temu?

W ten sposób rozpoczyna się najdziwniejsza historia, jaką kiedykolwiek słyszałam: rozbity statek kosmiczny, dwoje ocalonych, planeta po terraformacji, gdzie flora i fauna stanęły na głowie, głosy na wietrze, niezrozumiałe wizje. Merendsen opowiada prostym, rzeczowym językiem, a mimo to opowieść wydaje się zupełnie niewiarygodna. Bezludna planeta, sekretna terraformacja, żadnych osadników, żadnych wzmianek w rządowych dokumentach. Ale to jeszcze nie wszystko.

– Natknęliśmy się tam na pewne istoty. Byty. Zupełnie inne od wszystkiego, co mamy tutaj.

– Tutaj... czyli na Avonie?

W głosie Flynnna dźwięczy niedowierzanie.

– Tutaj, czyli w naszym wszechświecie.

Tarver milknie na moment, po czym mówi dalej:

– LaRoux Industries otworzyło na tamtej planecie szczelinę, przejście do innego wymiaru. Takie jak te, dzięki którym statki podróżują w hiperprzestrzeni, tyle że tamto było otwarte na stałe i żyły w nim myślące, czujące istoty. Naukowcy z LRI przeciągnęli je na tę stronę i uwięzili.

– Istoty?

Nie udaje mi się ukryć sceptycyzmu. Jego słowa brzmią jak historie tych młokosów, którzy przybywszy na Avon, bezkrytycznie dają wiarę szalonym opowieściom o błędnych ognikach.

Merendsen uśmiecha się posepnie.

– Nie macie pojęcia, o czym mówię. Tak naprawdę nie wiemy, czym są te istoty. Lilac i ja nazywaliśmy je szeptami.

– Czemu uważacie, że ma to cokolwiek wspólnego z Avonem? – pyta podenerwowany Flynn. – Tu mieszka mnóstwo ludzi, ktoś by zauważył obecność obcych.

– Nie, jeśli LaRoux przetrzymuje je w tajnym, ruchomym ośrodku – odpowiada mu Merendsen, unosząc brwi. – Szepty zdolne są do rzeczy, o których nie mamy bladego pojęcia. To one odmieniły tamtą planetę. Przyspieszyły wzrost roślin i przeobraziły zwierzęta w jakieś stwory z innego świata.

Widzę, jak Flynn wpatruje się w mojego dawnego dowódcę, jakby doznał nagłego szoku. On i ja poznaliśmy się tylko dlatego, że tamtego wieczoru próbował u Molly’ego wyciągnąć od żołnierzy informacje na temat ośrodka na bagnach i jego związków z hamowaniem terraformacji na Avonie. Jego argumenty, które wówczas w moich uszach brzmiały obłąkańczo – teorie spiskowe głoszące, że korporacje celowo spowalniają rozwój życia na planecie – wracają gwałtowną falą, od której dreszcz przebiega mi po kręgosłupie.

Nagły przyływ złości sprawia, że zrywam się na równe nogi.

– Jeżeli ma pan rację, to przecież nie mamy szans z nimi walczyć!

Merendsen z zaskoczeniem unosi brwi.

– Walczyć? Lee, szepty nie są naszymi wrogami. To ofiary LaRoux Industries, dokładnie tak samo jak mieszkańcy Avonu. Nigdy nie okazywały nam wrogości, przeciwnie, pomagały. Tylko że one nie są takie jak my i nie postrzegają nas tak, jak my postrzegamy siebie nawzajem, jako jednostki, każda jedyna w swoim rodzaju. Nie rozumieją pojęcia śmierci. Wszystkie są jak jeden organizm.

Spogląda w okno, omijając mnie wzrokiem.

Czuję, że nie powiedział nam całej prawdy, a jedynie udzielił kilku drobnych wskazówek. Poznają to po tym, jak unika mojego spojrzenia, po drgnieniu dłoni, gdy powstrzymuje się przed nerwowym przeczesaniem włosów, po krótkich, wypowiedzianych ze sztuczną swobodą zdaniach, które zadają kłam znaczeniu jego opowieści.

– Szefie, co pan przed nami ukrywa?

Patrzy najpierw na mnie, potem na Flynn. Przez chwilę milczy, po czym siada prosto.

– Tam się wydarzyło coś... co nas odmieniło. A konkretnie mnie.

– Taka przygoda odmieniłaby każdego – wtrąca sucho Flynn.

– Chodzi mi o prawdziwą zmianę – odpowiada cicho Merendsen. – Czasami

je czuję, wciąż są częścią mnie. Odległe i ciche, ale są. A ostatnio robią się głośniejsze.

Przechodzi mnie mimowolny dreszcz i bacznie obrzucam wzrokiem jego twarz w poszukiwaniu jakichś oznak tej przemiany. Potem siadam wolno, czując, jak spływa ze mnie gniew.

– Co ma pan na myśli? To znaczy... że nie jest pan sobą?

– Jestem sobą – odpowiada natychmiast Merendsen z rzadkim u siebie rozdrażnieniem. – Tym samym człowiekiem, którym byłem zawsze. Przecież mnie znasz.

Ma rację, rzeczywiście znam swojego dowódcę i wiem, że nigdy nie był skłonny do ukrywania prawdy tylko po to, by chronić własną skórę. Dreszcze rozprzestrzeniają się po moim ciele, wypełniając mnie paskudną, zimną pewnością.

– Co by się stało, gdyby w LaRoux Industries dowiedzieli się, co się z panem dzieje?

Merendsen wreszcie spogląda mi w oczy i dostrzegam w jego twarzy potwierdzenie moich podejrzeń: strach. Nie mogę sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek wcześniej widziała go przerażonego.

– Przyszliby po mnie, Lee.

Myślę o dziewczynie na ekranie, o tych wszystkich momentach, gdy Merendsen powstrzymywał ją przed powiedzeniem jednego słowa za dużo, o tym, jak błyskawicznie się tu znalazł, uświadomiwszy sobie, że te tak zwane szeptu znajdują się także na Avonie. O wszystkich drobnych wskazówkach, fragmentach ich rozmowy, elementach układanki, których złożenie pozostawił mnie. „Nikt nie podejrzewa, że Lilac może coś ukrywać. Obserwują nas. Ufaj temu, co czujesz. Dzielna dziewczyna”.

– Rozumiem, szefie – mówię z mocą.

Merendsen kiwa głową.

– Dzięki, Lee.

Tymczasem Flynn przygląda nam się z kamienną twarzą. Wiem, że nie pojmuje znaczenia słów, które właśnie wypowiedziałam do przyjaciela. Musiałby znać Tarvera Merendsena tak samo dobrze jak ja, żeby wyłapać pozostawione przez niego wskazówki. Za to zna mnie. Rozpoznaje ogień w moim głosie i błyszczące w oczach oddanie. Kiedy zauważa, że na niego patrzę, gwałtownie odwraca wzrok.

– Szefie – odzywam się drżącym głosem. – Kiedy rozmawiał pan z Lilac, wspominał pan coś o oszalałych naukowcach...

Gdyby się okazało, że to szeptu, a nie mój własny obłąd, skłoniły mnie do wymordowania ludzi w jaskini, czy cokolwiek by się zmieniło? Czy dla Flynnu miałyby to jakieś znaczenie? Pytanie zamiera mi na ustach. A jeśli odpowiedź brzmi: „nie”?

Merendsen przygląda mi się uważnie.

– Chcesz wiedzieć, czy szepty mogą być przyczyną ataków furii?

Nie odpowiadam, nie mogę, gardło mam tak zaciśnięte, że z trudem oddycham. Walczę z pokusą, by spojrzeć na Flynna, sprawdzić, czy to coś zmienia między nami. Ale wiem, że tego nie zrobię. Tak czy inaczej, to ja nacisnęłam spust.

Merendsen wzdycha.

– Żadnemu z nas się to nie przytrafiło. Ale znaleźliśmy tam... pewne dowody wskazujące na to, co się stało z pierwotną załogą stacji badawczej niedaleko miejsca, w którym rozbił się statek. I owszem, Lee, wiele wskazywało na to, że to była właśnie furia.

Ton ma spokojny, wręcz łagodny, ale znam go za dobrze, by uwierzyć w ten spokój. W jego głosie drzemie głęboko ukryty gniew, który każe mi się zastanawiać, co jeszcze się wydarzyło, a o czym nam nie mówi.

– Nie wiem, do czego LaRoux używa szeptów, ale całkiem możliwe, że furia jest skutkiem ubocznym tych działań. Tak czy owak, eksperymenty LaRoux nie zakończyły się na tamtej planecie.

Zaciskając palce na krawędzi kufra, odwracam się i ominąwszy wzrokiem Flynna, spoglądam na drzwi. Lecz choć na niego nie patrzę, czuję jego obecność i ciężar winy rozciągnięty między nami jak postronek, który zarazem łączy nas i nie pozwala się do siebie zbliżyć.

– Lee, daj mi pistolet.

Merendsen wstaje i wyciąga rękę. Bez względu na to, czy jest żołnierzem, czy nie, wydał mi rozkaz, wydaję więc gleidel z kabury i mu podaję. Odwraca go i odsłania panel dostępu. Odsuwa osłonkę i oddaje mi broń.

– A teraz spójrz na odczyt. Kiedy ostatnio go użyto?

Spoglądam na wyświetlacz.

– Cztery dni temu. Strzeliłam w sufit jaskini, żeby zablokować wylot i dać sobie i Flynnowi czas na ucieczkę.

– A przedtem? Ile strzałów z niego oddano?

Serce podchodzi mi do gardła.

– Szefie, proszę, ja nie mogę... Nie rozumie pan...

– To rozkaz, żołnierzu.

Z trudem zmuszam się, by spojrzeć na wyświetlacz, i przewijam odczyt, spodziewając się zobaczyć zapis dwudziestu, trzydziestu strzałów. Ekranik jest jednak pusty. Nikt nie używał gleidla od wielu dni. Zdrętwiała dłoń opada mi na udo.

Merendsen nachyla się i przykrywa ją swoją.

– Możliwe, że szepty przywiodły cię do jaskini, ale nie po to, byś kogokolwiek mordowała. To nie z twojej broni strzelano.

Kręci mi się w głowie.

– To nie ja ich zabiłam...

Nie potrafię opanować gonitwy myśli. Czuję, że tracę oddech. Jedyńm, na czym jestem w stanie się w tej chwili skupić, jest Flynn. Z trudem unoszę głowę. Patrzy prosto na mnie, pobladły. Krew łomocze mi w uszach, a jego spojrzenie sprawia, że zamieram w bezruchu.

Flynn odrywa ode mnie wzrok i chwiejnie zrywa się na nogi. Chcę coś powiedzieć, ale nie mogę. On tymczasem dopada drzwi i maca zmartwiałyimi palcami w poszukiwaniu zasuwki. Kiedy otwieram usta, już go nie ma, a ja siedzę jak skamieniała, patrząc za nim i bezskutecznie usiłując odzyskać równowagę.

Merendsen kuca przede mną, wyciąga rękę i delikatnie obraca moją twarz w swoją stronę. Traktuje mnie tak, jak uczono nas traktować pogrążone w szoku ofiary katastrof.

– Trudno uwierzyć, że nie sprawdziłaś pamięci – mówi cicho, z uśmiechem w głosie. – Nic się nie zmieniłaś. Zawsze patrzysz w przyszłość, nigdy za siebie.

– Nie było pana tam – odpowiadam łamiącym się głosem. – To nie pan się ocknął, nie pamiętając, jak się tam znalazł, cały we krwi. Nie widział pan...

– Hej, ciii... – uspokaja mnie i krzepiąco ściska za ramię. – Teraz już wiesz. Oboje wiecie.

Zerkam na drzwi, choć zdaję sobie sprawę, że nie zobaczę w nich Flynna.

– Poszedł.

– Potrzebuje czasu, żeby się z tym wszystkim uporać.

Potrząsam głową.

– To całkiem tak jak ja.

Merendsen wzdycha.

– Wiesz, że on się w tobie podkochuje, prawda?

Podrywam głowę i odnajduję spojrzenie byłego dowódcy. Jeżeli chciał wyciągnąć mnie z odrętwienia, z pewnością mu się to udało.

– Niech pan nie gada głu...

– Daj spokój – przerywa mi.

Przełykam ślinę, myśląc o nocy, kiedy Flynn oświadczył, iż udowodni mi, że mam duszę i nie jestem bez serca. Tamtej nocy mnie pocałował. Myślę o tym, jak obmywał mi dłonie z krwi, choć wiedział, że prawdopodobnie nigdy więcej się nie spotkamy. O wyrazie jego twarzy, kiedy stanął w progu zaplecza i zastał mnie w ramionach Merendsena.

– W pewnym momencie każdemu z nich zaczyna się wydawać, że jest we mnie zakochany – mówię wreszcie z zakłopotaniem.

Jest wprawdzie różnica między zachowaniem Flynna a reakcjami młodych rekrutów, którzy dostają się pod moje dowództwo, ale nie mam siły teraz o tym myśleć.

Przejdzie mu.

– A czy on jest taki sam jak twoi nowicjusze?

W ciszy słyszę łomotanie swojego serca, trzewia skręcają się, przyprawiając mnie o mdłości, a w duszy narasta głucha rozpacz.

– Nie, ale to nie ma znaczenia – szepczę. – Stoimy po przeciwnych stronach barykady. Jesteśmy wrogami.

Merendsen uśmiecha się blado.

– Rozmawiasz z facetem, który zamierza poślubić Lilac LaRoux – zauważa. – Nie ma takiej przeszkody, której nie da się pokonać.

Te słowa sprawiają, że i ja leciutko się uśmiecham.

– Nie sądzę, żeby różnice klasowe dorównywały różnicom wynikającym z tego, że moi ludzie zabijają jego ludzi i *vice versa*.

Merendsen poważnieje.

– Jak już wspominałem, nie mogę powiedzieć ci o wszystkim, co nam się przytrafiło na tamtej planecie. Ale uwierz mi, nie chodziło tylko o to, że ona była bogata, a ja biedny.

Przełykam ślinę i spuszczam wzrok.

– Ale pan nie musiał zmywać z jej rąk krwi swoich pobratymców. Są rzeczy, z którymi po prostu nie da się żyć.

Merendsen na krótką chwilę ujmuje moje dłonie.

– Są też takie, bez których się nie da.

Dziewczynka śni, że się budzi, bezpieczna we własnym łóżku w pokoiku nad sklepem.

Duch unosi się pod sufitem, rozświetlając sypialnię miękką zielonkawą poświatą.

Dziewczynka siada na pościeli, ale z jakiegoś powodu się nie boi. Zawieszona między niebytem a światem sennych marzeń przypomina sobie, że już go widziała. Nie tylko w szkole, nie tylko w uliczce. Wszędzie.

– Znam cię – szepcze cichutko, żeby nie obudzić rodziców.

Małeńki ogień kołysze się łagodnie. Ciałem dziewczynki wstrząsa dreszcz, a na języku pojawia się metaliczny smak, ale one również są znajome i nie budzą strachu.

Między jednym oddechem a drugim świat wokół niej się zmienia: tapeta staje się wodą, zasłony to wodorosty, a wymalowane na suficie odblaskowe gwiazdki przeobrażają się w meduzy wszelkich kształtów i rozmiarów. Dziewczynka siedzi na rafie koralowej i wdycha wodę jak powietrze. Wszędzie wokół rozciąga się świat z jej marzeń, wyraźny, barwny i całkiem realny. Dziewczynka śmieje się zachwycona.

Tuż przed nią rozkwita fioletowy ukwiał, obok następny i następny, aż powstaje z nich szlak wiodący ku niezbadanym głębinom, pełnym łodzi podwodnych i morskich stworów, czekającym tylko, aby je odkryła.

FLYNN

Nie mam dokąd pójść i nie mam czasu do namysłu. Chwiejnym krokiem biegnę błotnistą ulicą, targany bezładnym kłębowiskiem myśli. Wciąż mam mokre ubranie i nagle zaczynam się trząść, szczękając zębami z zimna. Powinienem się zastanowić nad tym, co usłyszałem od Merendsena, nad jego słowami o istotach z innego wszechświata, ale prawda jest taka, że jedyne, o czym jestem w stanie myśleć, to Jubilee. Czuję narastający smutek, jakby dotarło do mnie, że bezpiecznie jest dopuścić go do siebie teraz, gdy wiem, że to nie ona nacisnęła spust. Tak wiele jednak muszę zrozumieć – jeśli nie ona, to kto? – a ze wszystkich stron otaczają mnie *trodairi*. Pograżony w myślach omal nie wpadam na jednego z nich.

Nasze spojrzenia się spotykają. Cofam się i przepraszająco unoszę dłoń. Tamten otwiera usta, żeby zadać jakieś pytanie, ale wtedy obracam się na pięcie i pospiesznie odchodzę. Nie trzeba było stamtąd wybiegać.

Muszę znaleźć jakąś dziurę, gdzie będę mógł w spokoju się zastanowić. Wiem, że w oczach żołnierzy jestem jednym z nich, ale co zrobię, jeśli któryś się do mnie odezwie?

Wślizguję się w uliczkę na tyłach baru Molly'ego, walcząc z pokusą obejrzenia się przez ramię. Grunt to nie wzbudzać podejrzeń przesadną ostrożnością, powtarzała mi Sofia. Opuszczam więc ramiona i nieco unoszę podbródek.

Uchylam drzwi i wchodzę do środka. Mógłbym się tu zadekować, na zapleczu znalazłoby się pewnie nawet coś do jedzenia i picia, a przede wszystkim zyskałbym trochę czasu, żeby pomyśleć.

Nagle staję oko w oko z barmanem. Góruje nade mną niczym olbrzymi masyw i widzę, że sięga po butelkę, po czym znacząco zaciska palce na jej szyjce.

– Czeka! – wołam, w ostatniej chwili powstrzymując go od rozbicia mi butelki na skroni. – Niech pan zaczeka, jestem znajomym Jubilee.

To wystarczy, by odroczyć egzekucję, ale facet wciąż świdruje mnie spojrzeniem tak przenikliwym, że mam wrażenie, jakby przejrzał mnie na wylot.

– Niby czemu miałbym w to uwierzyć?

Gorączkowo szukam przekonującego wyjaśnienia.

– Zostawiła u pana wiadomość. Była przeznaczona dla mnie. Jubilee za mnie zaręczy.

Cisza jest nie do zniesienia, mimo to tkwię w bezruchu i przygryzam policzek od środka. W końcu olbrzym odzywa się dudniącym głosem:

– Możesz tu zostać, póki nie pogadam z Lee. Ale jeśli będziesz rozrabiał, od razu wołam wojsko.

Czuję skurcz w żołądku, bo uświadamiam sobie, że facet mnie rozpoznał. Albo pamięta wieczór, kiedy porwałem Jubilee z baru, albo skojarzył mnie z krążącym po jednostce nagraniem. Postanowił jednak poczekać – ze względu na nią. Zaplata ramiona na piersi i dodaje ciszej:

- A jeżeli ją skrzywdzisz, w jakikolwiek sposób, sam cię załatwię.
- Tak jest – odpowiadam cicho.

Chciałbym mu obiecać, że Jubilee będzie ze mną bezpieczna. Ale obaj wiemy, że nie byłbym w stanie dotrzymać takiej obietnicy.

Przyglądam się ogolonej głowie barmana i niezrozumiałym znakom na jego ramionach. Mówi z charakterystycznym dla przybyszów nosowym akcentem z jakiegoś zapomnianego zakątka wszechświata. Jest jedną wielką zagadką. Ciekawe, co go tu przyгнаło.

- Chodź na salę – rzuca.
- Na salę?
- Myślisz, że cię tu zostawię bez nadzoru?

Kładzie mi ciężką łapę na ramieniu, aż uginają się pode mną kolana.

- Będziesz polerował szklanki, tak żebyś cały czas miał cię na oku.

Muszę się zatrzymać, pomyśleć, potrzebuję czasu i spokoju. Skoro to nie Jubilee wymordowała moich ludzi, muszę się dowiedzieć, kto to zrobił. Ale postawa Molly’ego wskazuje, że nie mam nawet cienia wyboru. Przelykam ślinę.

- Oczywiście.

Z bijącym sercem wchodzę za nim do pełnego *trodairí* baru. Właściciel niedbałym gestem kciuka wskazuje mi stojącą pod kontuarem skrzynkę z czystym szkłem, więc od razu zabieram się do pracy – ze spuszczoną głową, modląc się, by białe włosy i opalenizna okazały się wystarczającym kamuflażem. Ale choćbym nie wiem jak mocno starał się uporządkować myśli i skupić się na zadaniu, przed oczyma wciąż staje mi oszołomiona twarz Jubilee i uczucia, które załśniły w jej oczach, kiedy na mnie patrzyła. Mój świat rozerwano i zszyto na nowo już tyle razy, że został ze mnie zlepek postrzępionych ścinków – niezdolny myśleć, niezdolny odczuwać niczego poza drętwością.

Jakieś pół godziny później otwierają się drzwi i w progu stają Jubilee z Merendsenem. Ostatni raz widziałem ją tak załamana w noc masakry w jaskini. Dłoń nieruchomieje mi na polerowanym właśnie kieliszku.

Merendsen ledwo zerka w moją stronę i kieruje się wprost do stolika zajętego przez grupę żołnierzy. Jubilee jednak, zauważywszy mnie, zamiera na ułamek sekundy. Na jej twarzy odbija się ulga – to o mnie tak się martwiła – po czym niemal od razu zastępuje ją gniew. Dziewczyna rusza do baru, ale wtedy Molly swobodnym krokiem zastępuje jej drogę. Nieznacznie kręci głową – nie teraz, zdaje się mówić – i po długiej, nerwowej chwili wahania Jubilee ustępuje. Odwraca się do mnie plecami i wślizguje na miejsce obok swojego byłego

dowódcy.

Trodairí prześcigają się w stawianiu mu drinków, a on dyryguje nimi, jakby był do tego stworzony. Mimo atmosfery grozy, która zawisła ciężko w powietrzu od momentu ponownego wybuchu walk, swobodny styl bycia Merendsena sprawia, że już po chwili żołnierze pokładają się ze śmiechu. Żartuje głównie z siebie samego, choć bohaterką kilku historii jest też młoda Jubilee. Przez dobre dwadzieścia minut opowiada, jak uderzyła się w głowę na tyle mocno, że przez kilka tygodni czuła w ustach smak zdechłego szczura. Ludzie przy stoliku zaśmiewają się do rozpuku. Facet jest naprawdę dobry. Nie sposób się domyślić, że jeszcze godzinę temu siedział z nami w baraku i szeptem wyjawiał nam swoje najmroczniejsze sekrety.

Z Jubilee jest inaczej. Jej śmiech za każdym razem rozlega się z sekundowym opóźnieniem, a wesołość nigdy nie sięga oczu. Pozwala Merendsenowi przejąć inicjatywę, uwalniając się od obowiązku reagowania. Pije wolniej niż pozostali. Jej spojrzenie raz po raz traci ostrość, staje się nieobecne, choć ani razu nie próbuje mnie odszukać. Jak długo jeszcze będę tu tkwił, polerując szklanki w sali pełnej ludzi, którzy chcą mnie zabić? Cholera.

Sylwetka Jubilee, sprężona w charakterystyczny, pełen gracji sposób, podpowiada mi jednak, że wciąż jest czujna. Wciąż roztrzęsiona, tak samo jak ja, i niezdolna do zwykłych reakcji. Chciałbym do niej podejść. Chciałbym... Nie mam pojęcia, co chciałbym zrobić.

Wraz z upływem wieczoru żołnierze przy stoliku wykruszają się jeden po drugim, aż zostaje tylko Jubilee i jej dawny dowódca. Kilkoro niedobitków ustawia się w kolejce do baru, Molly podlicza rachunki, a ja sprzątam puste szkło. Jubilee kreśli palcem esy-floresy w rozlanym na stoliku piwie. Powstały wzorek przypomina tradycyjne irlandzkie sploty.

Ciekawe, czy o tym wie.

Nie potrafię zapanować nad bałaganem w głowie. Kłębią się we mnie żal i ulga, a myśli wciąż uporczywie wyrrywają się do tej dziewczyny. Kiedy podnoszę wzrok, ona stoi tylko kilka metrów dalej, pogrążona w rozmowie z Mollym. Upuszczam polerowaną szklankę, która z brzękiem rozbija się o podłogę. Barman marszczy brwi i gestem pokazuje mi drzwi na zaplecze. Wychodzę.

Jubilee wślizguje się tam chwilę później. Kiedy w półmroku dostrzegam jej sylwetkę, muszę się zdobyć na olbrzymi wysiłek woli, by zostać na miejscu, wtulony plecami w stertę skrzynek. Ze zmęczenia kręci mi się w głowie i sam fakt, że Jubilee znajduje się w tym samym pomieszczeniu, sprawia, że serce bije mi szybciej, choć nie wiem – z tęsknoty, z gniewu czy jakiegoś zupełnie innego powodu. Kotłowanina uczuć pozbawia mnie zdolności myślenia.

– Molly mówi, że możesz tu zostać – oznajmia, a w jej głosie słychać zmęczenie. – Gdyby ktoś pytał, powiesz, że jesteś jego kuzynem.

Udawanie kuzyna stutrzydziestokilowego Chińczyka przekraczałoby nawet zdolności Sofii.

– Ale...

– Molly jest sierotą, tak jak ja. Był adoptowany. Na innych planetach żyje mnóstwo rodzin, których nie łączą więzy krwi. Po prostu tutaj nie jesteście do tego przyzwyczajeni.

Zapada milczenie. Jubilee opiera się o ustawioną naprzeciwko stertę skrzynek z piwem i krzyżuje ręce na piersiach, sztywna i niepewna. Patrzy na mnie bez słowa tak długo, że mam ochotę wrzasnąć, by przerwać nieznośną ciszę. W końcu wybucha:

– Co ci odbiło, żeby rzucać szklankami w sali pełnej ludzi? Chcesz, żeby cię aresztowali?

Frustracja przejmuje kontrolę nad splątaniem kłębowiskiem emocji. Zrywam się na równe nogi.

– To ty mi kazałaś sterczeć godzinami za tym cholernym barem, pod tą samą kamerą, która pokazała moją twarz całej...

– Bo uciekłeś! Gdybyś został, znalazłabym jakieś miejsce, w którym można by cię ukryć, a my w tym czasie coś byśmy wymyślili.

– Ty byś znalazła? Wy byście wymyślili?

Mówię to z goryczą. Jednocześnie nie opuszcza mnie świadomość, że Jubilee nie jest morderczynią. Mogę jej dotknąć i nie muszę się za to nienawidzić. Co nie zmienia faktu, że pozostaje *troisième*.

Szukam słów, które ją do mnie zniechęcą i oddalą nas od siebie.

– Wydaje ci się, że pozwolę się odstawić na boczny tor? Tak sobie to obmyśliliście z twoim kochanym dowódcą?

– Na boczny tor? – wybucha Jubilee z niedowierzaniem, choć zarazem w jej oczach pojawia się ulga.

Wpatruje się we mnie gorączkowo, nie jest w stanie odwrócić wzroku. Żadne z nas nie potrafi zacząć rozmowy o tym, jak bardzo wszystko się zmieniło teraz, gdy wiemy, że jest niewinna.

– Cholera, Flynn, złamałam dla ciebie wszystkie złożone w życiu przysięgi! Stałam się zdrajczynią. Czarnym charakterem..

– Zrobiłaś to z dobrych pobudek – mówię, choć zdaję sobie sprawę, że w jej uszach te słowa brzmią pusto.

– Racja – odpowiada krótko. – Wiem o tym. I gdybym mogła cofnąć czas, postąpiłabym tak samo. Tylko... nigdy, w najśmielszych przypuszczeniach nie wyobrażałam sobie, że znajdę się w takiej sytuacji – wyznaje, po czym odwraca się i pociera powieki. – Opowiadałam ci, że moi rodzice zginęli podczas powstania na Weronie. Ale nie dodałam, że mordercami nie byli rebelianci, lecz ich sympatycy. Czyli ludzie tacy jak ja.

Milknę. Jubilee nie oczekuje, że będę się z nią spierał albo udowadniał, że to nie jej wina. Po prostu słucham.

– Zamierzali urządzić sobie w sklepie mojej mamy magazyn. Rodzice odmówili, bo nie chcieli mieć z tym nic wspólnego. A wtedy tamci ich zabili.

Głośno przetyka ślinę i opanowuje drżący głos.

– To byli ich znajomi, Flynn. Sąsiedzi. Współpracownicy. Ludzie, którym mówi się „dzień dobry” w parku. W czasie wojny stanęli po stronie, z której się nawet nie wywodzili, i zastrzelili dwoje ludzi na oczach ich schowanej pod ladą ośmioletniej córki.

Przysuwam się do niej powoli.

– To dlatego nie znosisz, kiedy używam imienia Jubilee? Tak się do ciebie zwracali rodzice.

– Kiedyś nie znosiłam. Teraz jest inaczej. – Jeszcze raz przetyka ślinę. – Wiesz, że zniszczyłeś mi życie?

Nie jestem w stanie się odezwać. Oddycham równie gwałtownie jak ona, a frustracja i tęsknota skręcają się we mnie w szybko płonący lont.

– Wszystko było w porządku, aż pojawiłeś się ty i wywlokłeś mnie na bagna – ciągnie Jubilee. W jej głosie słychać teraz coś pomiędzy szlochaniem a oskarżeniem. – Nie miałam mieć duszy, miałam być martwa.

Jubilee musiała zginąć razem z rodzicami w ich sklepie w November. Lee była tylko snem.

Z baru dobiegają dźwięki szafy grającej. Najwyraźniej Molly próbuje w ten sposób zagłuszyć nasze podniesione głosy. Podchodzę do Jubilee, nie potrafię się powstrzymać. Oczy ma pełne łez, policzki czerwone, a ja wreszcie mogę na nią patrzeć, pragnąć jej, mogę jej dotknąć bez strachu, że rozpacz sprawi, iż każda potrawa będzie smakować jak popiół.

– Zniszczyłeś mi życie – powtarza cichym, łamiącym się głosem. – Zniszczyłeś mnie, bo kazałeś mi się obudzić. A teraz nie mogę się już ciebie pozbyć.

Kiedy wyciągam rękę i dotykam jej ramienia, obejmuję palcami gorącą skórę, jej głos znowu zaczyna kipieć emocjami.

– I nie chcesz mnie zostawić w spokoju.

Pochłaniam ją wzrokiem, jakby próbując nadrobić cały ten czas, kiedy starałem się na nią nie patrzeć.

– Myślisz, że uśmiecha mi się tutaj z tobą siedzieć? – odpowiadam ochryple. – Pewnie ci się zdaje, że gdybyś teraz wyszła, pobiegłbym za tobą?

Spogląda na mnie wyzywająco.

– A nie?

– Dobrze wiesz, że tak – daję za wygraną. – I nie mam pojęcia, czemu to dla ciebie taki problem.

Wyrywa ramię i cofa się, aż wpada plecami na drzwi.

– To jest problem, ponieważ bym ci na to pozwoliła! – wybucha, po czym bierze drżący oddech i dodaje cicho: – Problem polega na tym, że chciałabym, żebyś to zrobił.

Robię krok w jej stronę, pochylam głowę i nagle nasze usta się stykają. Nie pragnę w tej chwili niczego innego. Jubilee przywiera do mnie, jakby tylko na to czekała, rozchyła wargi i oplata ramionami moją szyję. Kłębiam się we mnie rozpacz, pożądanie i gniew, ale pod tą gmatwaniną uczuć płonie iskra desperackiej nadziei, którą wyczuwam we wzbierającej między nami energii. Przesuwam ręką w górę jej pleców, odnajdując palcami nagą skórę i wgłębienie kręgosłupa, a jej dłoń zaciska się w moich włosach. Z ust Jubilee wyrywa się zduszony okrzyk, na ułamek sekundy zamiera, a potem znów jesteśmy razem, jakby po trwającej wieczność rozłące.

Jubilee odsuwa się z gwałtownym jękiem i odwraca głowę. Oddycha szybko i ciężko, a ja przygważdżam ją do drzwi i przywieram biodrami do jej bioder. Tego właśnie pragnę.

– Flynn, nie możemy... – dyszy. – Nie możemy.

Pochylam się i całuję ją poniżej linii żuchwy. Czuję, jak jej ciało porusza się przy moim.

– Potrzeba nam tylko jednej prawdziwej rzeczy – tchnę jej do ucha, przypominając sobie, co powiedziała tamtego wieczoru, kiedy pomogłem jej wrócić do jednostki, tej samej nocy, kiedy zmywałem krew z jej dłoni. – Czegoś prawdziwego, czego można się złapać. To jest prawdziwe.

– Chcesz prawdy? Oto ona: jesteśmy wrogami.

Mimo protestów wciąż ciasno oplata mnie ramionami. Przyciskam wargi do jej skroni i opieram czoło o jej ciemne włosy.

– Nie jestem twoim wrogiem, Jubilee Chase – szepczę. – Ani ty moim, prawda?

Pochylam głowę i chwytam ustami jej usta. Jej skóra parzy mi palce i nagle wszystko inne zlewa się i znika, zostaje tylko to, co między nami, ona i ja, my razem.

Nagle zmienia się dobiegająca z baru muzyka i jakby na sygnał Jubilee nabiera powietrza, po czym mówi cicho:

– To zbyt niebezpieczne.

– Mam to w nosie.

I rzeczywiście tak jest. Muskam jej szyję obok łańcuszka, na którym zawieszona są nieśmiertelniki. Słowa zamierają Jubilee na ustach, a ja odchylam jej kołnierzyk i całuję zagłębienie między szyją a barkiem.

Jej ciało wypręża się pod moim dotykiem. Jednak już po ułamku sekundy sztywnieje i gdy unoszę wzrok, gryzie wargę, spoglądając na mnie ze smutkiem.

– Nie możemy, Flynn.

Usta ma czerwone i gorące, oczy zamglone, ale kiedy przełyka ślinę, odzyskuje panowanie nad sobą, a w jej spojrzeniu wzbiera determinacja.

– Nie chodzi o to, że to niebezpieczne dla nas. Chodzi o pozostałych. Gdyby przyszło co do czego, gdybyś musiał wybrać, kogo byś ocalił? Swoich ludzi czy mnie?

Odgarniam jej włosy z twarzy, przesuwam szorstkimi palcami po jej gładkim policzku. Nie protestuje, czeka, aż pozbieram myśli. Gdy uciekaliśmy z jaskini przed McBride'em, opowiedziałem się po jednej ze stron, tyle że wciąż nie wiem, po której. Czy pragnąłem wówczas ocalić tę dziewczynę, czy raczej zapobiec wojnie? Nie mogę sobie teraz pozwolić na to, by wybiec w przyszłość do momentu, kiedy będę musiał wybrać.

Jeszcze chwila, a na nowo pogrążę się w chaosie spraw, z którymi nie mam siły się mierzyć. Tylko jednego jestem absolutnie pewien. Wypowiadam szeptem imię Jubilee, nachylam się nad nią, a ona tym razem nie protestuje. Zapraszająco kładzie mi stuloną dłoń na policzku i nasze usta stykają się w pocałunku, który odciąga mnie od skłębionej gorączki myśli ku czemuś niespiesznemu i spokojnemu. Czemuś prawdziwemu.

Kiedy zatrzymujemy się, by zaczerpnąć oddechu, Jubilee opuszcza głowę. Całuję ją w czoło i czekam, aż się odezwie.

– Prędzej czy później jedno z nas będzie musiało dokonać wyboru i jeśli zabniemy w to jeszcze bardziej, będzie to niewłaściwy wybór. Tylko my rozumiemy, co się dzieje. Jesteśmy im potrzebni.

Odwraca się i wymyka z moich objęć.

– Nie masz czasem dość bycia potrzebną? – pytam.

Nagle uświadamiam sobie, że sam mam wszystkiego dosyć. Ogarnia mnie zmęczenie i tęsknota za siostrą, za kuzynem, przyjaciółmi. Mam dosyć wściekłości McBride'a, rozpaczę Sofii, własnej bezsilności. Chcę uciec.

Chcę Jubilee.

– Nigdy nie miałam, aż do teraz.

Wygląda na pokonaną, ale nie wyciąga do mnie ręki. A ja, choć wszystko we mnie krzyczy i wyrывa się w jej stronę, nie ruszam się z miejsca. Ponieważ wiem, że ma rację.

– Idź już.

Resztkami sił pozwalam jej odejść. Robię to dla dobra ludzi, którzy polują na mnie z bronią w ręku. Ludzi, którzy uważają ją za morderczynię, a mnie za zdrajcę.

Jubilee długo milczy. Wreszcie sięga ręką klamki i wypada w noc. Drzwi zamykają się z hukiem, ale się nie zatrząskują – wiedzione impetem z drżącym łoskotem odbijają się od futryny.

Uderzam otwartą dłonią w ścianę. Szczypiący ból przenika mi rękę aż do

barku. Przez coraz węższą szparę widzę oddalającą się sylwetkę. Mija reflektor i tuż przed tym, jak drzwi zamykają się ponownie, wydaje mi się, że z wahaniem zwalnia kroku. Potem szczelina znika, rozlega się szcęk zamka i każde z nas zostaje samo po swojej stronie drzwi.

Dziewczyna czeka. Znajduje się na pokładzie kosmicznego lotniskowca krążącego po orbicie nieznanej planety. Nie ma ze sobą bagażu. Tkwi przyklejona do iluminatora, a serce podskakuje jej na widok każdego pojazdu, który opuszcza się na lądowisko. Jest pewna, że gdy przyjdzie właściwy moment, rozpozna ten, który przybył właśnie po nią.

Jakiś mężczyzna podchodzi i oznajmia, że pojazd badawczy, na którym znalazła zatrudnienie, jest gotowy do odlotu. Prowadzi ją do lądowiska po prawej stronie, gdzie czeka nieduży, ale zgrabny stateczek. Iluminatory mienią się złotem i zielenią. Dziewczyna dostrzega przez nie zarysy ludzkich sylwetek: ciemnowłose dziecko, nadąsaną nastolatkę z fałszywym identyfikatorem, starszą kobietę, której nie rozpoznaje.

Jej towarzysz, o którym nie wiadomo skąd wie, że jest jej dowódcą, wskazuje dłonią trap.

– No i?

Gdzieś głęboko w jej umyśle rodzi się wątpliwość: to się przecież nie wydarzyło i nie może dzieć się teraz. Nie tak potoczy się jej życie. Będzie mroczne, zimne i prawdopodobnie bardzo krótkie, a lśniąca światła liniowców nigdy nie były przeznaczone dla niej.

– Nie mogę – szepcze.

Kapitan odwraca się w jej stronę i dziewczyna dostrzega w jego zielonych, bardzo zielonych oczach odbicie własnej rozpacz.

– Przepraszam. Nie mogę – powtarza mężczyźnie.

JUBILEE

Nie pamiętam drogi powrotnej do baraku. Kiedy tam dotarłam, myśli wciąż wirowały mi w głowie, a skóra mrowiła w miejscach, których dotykał. Jedyne, co mi pozostało, to przygotować się do snu, oddać rutynie powtarzanej od lat każdego wieczoru, gdy po ciężkim dniu nie miałam już na nic siły. Nie wolno mi się teraz skupiać na rozpamiętywaniu, dać się porwać fali adrenaliny. Nie powinnam wracać do tego, co się przed chwilą wydarzyło.

Nie mogę się zakochać w chłopaku, który jest uosobieniem wszystkiego, z czym walczyłam od czasów, gdy byłam ośmioletnim dzieckiem.

Wiem jednak, że mi się to nie uda, zatem jedyne, co mogę zrobić, to trzymać się od niego z daleka.

Choć następnego dnia służbę rozpoczynam dopiero późnym przedpołudniem, wiedzona długoletnim przyzwyczajeniem budzę się skoro świt. Brak wiadomości od Merendsena oznacza, że nie mam jak spożytkować rozsadzającej mnie woli działania, a to grozi pograżeniem się w niechcianych rozważaniach. Powinnam dać ciału odpocząć, póki mogę, zanim znów będzie trzeba wyjść na bagna. Pracujemy tu ciężko, w zimnie i wilgoci – rebelianci za ogrodzeniem są prawie niewidzialni, pociski nadlatują nie wiadomo skąd. Przeciwnik jest zbyt blisko, by zaatakować z powietrza, a zarazem zbyt daleko, by ostrzelać go z terenu jednostki. Kombinezony nasiakają błotem, po wyschnięciu drapią, i codziennie czuć ode mnie bagnem, choćbym nie wiem jak długo szorowała się pod prysznicem. Kiedy podążamy za rebeliantami na mokradła, ci rozplývają się w powietrzu i niczym błędne ogniki wyprowadzają nas na zdradliwy teren.

Do rozpoczęcia służby zostało kilka godzin, ale już teraz ogarnia mnie chęć działania. Ilekroć siadam beczynnienie – za każdym razem, gdy zamykam oczy – widzę Flynna. „Jedna prawdziwa rzecz”, powiedział, kiedy jego usta odnalazły ukryty punkt za linią mojej szczęki.

To jest prawdziwe.

Wkładam wczorajsze ciuchy. Są pogniecione i brudne, ale w obecnej sytuacji nikt nie zawraca sobie głowy błahostkami i nie sędzę, by mój niedbały strój podczas porannego joggingu zwrócił czyjąś uwagę. Po krótkiej chwili wahania przypinam kaburę. Bieganie z pistoletem nie jest zbyt wygodne, ale okoliczności podpowiadają, że głupotą byłoby go nie brać. Zamiast ciężkich butów od munduru wybieram lekkie, sportowe, i wymykam się na zewnątrz, w mglisty, chłodny świt. Słońce nad Avonem wschodzi długo i mozolnie, powoli przesączając się przez grubą warstwę chmur. Choć nadal jest ciemno, mgła nad horyzontem

jaśniej, rozproszona pierwszymi nieśmiałyymi promykami.

Jest zbyt niebezpiecznie, bym mogła obrać swoją zwykłą trasę: osiem kilometrów wzdłuż ogrodzenia bazy zwieńczone torem przeszkód obok budynku siłowni. Za płotem czają się rebelianci, którzy znają lokalną topografię znacznie lepiej niż my, i nie zachwyca mnie zbyttno pomysł biegania trzy metry od miejsca, gdzie w każdej chwili może się skryć zamaskowany snajper.

Wybieram więc szlak między budynkami, nie zwracając uwagi na bryzgające spod stóp błoto, które plami mi nogawki spodni. Mam ochotę wciąż przyspieszać, doprowadzić organizm do skrajnego wysiłku – takiego, który sprawia, że człowiek myśli tylko o kolejnym kroku – nie mogę jednak tracić energii, póki nie jestem na służbie.

Przebiegam obok sztabu bezpieczeństwa. Mój oddech układa się w obłoczki pary w ciężkim od wilgoci powietrzu. Następnie skręcam w uliczkę wiodącą ku centrum dowodzenia. Tu droga jest mniej rozdeptana i odrobinę suchsza. Łatwiej się biegnie.

Kiedy mijam kwaterę dowództwa, miga mi w przelocie komendant Towers, znikająca za drzwiami swojego biura. Hamuję gwałtownie, rozpryskując błoto. „Musimy znaleźć dowód”, tak mówiła Lilac.

I choć wraz z Merendsenem wydają się zadowoleni z pomysłu, żeby oddać nasz los w ręce jakiegoś hakera po drugiej stronie galaktyki, ja nie przywykłam czekać, aż ktoś przyjdzie mi na ratunek.

Jestem przekonana, że komendant Towers nie mówi mi wszystkiego. Ale nie wierzę, że jest umoczona. Gdyby siedziała w kieszeni LaRoux, po co ostrzegałaby mnie przed zwierzaniem się narzeczonemu jego córki?

Tęsknię za Flynnem. Boli mnie, że zmusiliśmy go, by siedział w ukryciu, nie mając pojęcia, co się dzieje, zwłaszcza po tym, jak zeszłej nocy ujrzałam na jego twarzy rozpaczliwe pragnienie wymierzenia sprawiedliwości sprawcy masakry w jaskini. Nie jestem jednak jeszcze gotowa, by stawić mu czoła: na samą myśl o tym pieką mnie policzki. Otrząsam się i podbiegam do biura dowódczyni. Pokonuję w napięciu kilka drewnianych stopni wiodących do prowizorycznej przyczepy. Pukam.

– O co chodzi? – dobiega mnie ze środka jej głos.

Najwyraźniej nie jest zachwycona, że ktoś jej przeszkadza.

– To ja, Chase. Możemy porozmawiać?

Milczenie po drugiej stronie drzwi trwa odrobinę za długo.

– Oczywiście. Proszę wejść.

Uchylam liche drzwi z prefabrykatu i wślizguję się do wnętrza przyczepy.

– Niech pani zamknie drzwi! – syczy Towers zza biurka.

Mrugam, zaskoczona, ale odruchowo spełniam polecenie.

– Proszę mi wybaczyć, pani kapitan, ale ostrożności nigdy za wiele. Ściany

mają uszy.

Powstrzymuję dreszcz i siadam na wskazanym przez nią krześle, spodziewając się, że zajmie miejsce za biurkiem. Ona jednak zaczyna się nerwowo przechadzać tam i z powrotem, i zamiast na mnie przez cały czas patrzy na drzwi. Czekam, aż się opanuje i zapyta, po co przyszłam, ona jednak sprawia wrażenie, jakby zupełnie zapomniała o mojej obecności.

– Eee... pani komendant?

Zatrzymuje się w pół kroku i spogląda na mnie. Jej niebieskie oczy błyszczą niezdrowo. Nie sądzę, by od naszej ostatniej rozmowy choć na chwilę udało jej się zasnąć.

– A, przepraszam. Chciała pani ze mną porozmawiać.

– Tak jest.

Przełykam ślinę. Nagle mam sucho w ustach. „Ufaj temu, co czujesz”, przypominam sobie słowa Lilac LaRoux. A ja wierzę w komendant Towers.

– Pani komendant, wiem, co się dzieje. Wiem o LaRoux Industries. We wschodnim sektorze stoi ukryty ośrodek, który ma coś wspólnego z furją. Wiem również, że i pani coś na ten temat wie.

Ciszę przerywa tylko gorączkowe bicie mojego serca, któremu w pewnym momencie niczym echo odpowiada odległy huk strzałów. Towers patrzy na mnie, oddychając gwałtownie. W jej mocno podkrążonych oczach płonie strach i desperacja kobiety, która stanęła nad przepaścią.

Zaciska powieki.

– Boże, Lee, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to słyszę. To, co teraz powiem, nie może opuścić tego pomieszczenia, ale...

Milknie i garbi się, jakby przygnieciona ciężarem skrywanej tajemnicy.

Ulga, która mnie ogarnia, jest jak powiew świeżego powietrza i po raz pierwszy od chwili przekroczenia progu jestem w stanie odetchnąć. Towers odwraca się i opiera o blat biurka.

– Pytałaś mnie o tamten ośrodek. Bałam się, co mogłaś tam zobaczyć. Nie masz pojęcia, co oni robią z ludźmi. Wiedzą o tobie wszystko, znają twoje myśli.

W uszach dźwięczy mi echo ostrzeżeń Lilac LaRoux. Usiłuję nie dopuścić do siebie strachu.

– Pani komendant, LaRoux Industries...

– LRI? – Towers spogląda na mnie z zaskoczeniem. – Nie o nich mówię. Chodziło mi o... o to coś, co siedzi na bagnach.

Włos mi się jeży, bo przypominam sobie opowieść Merendsena o niepojętych istotach zwanych przez niego szeptami.

– Nawet jeśli coś tam było, zniknęło. Wszędzie jak okiem sięgnąć widać tylko mokradła.

– To nie znaczy, że one sobie poszły – mamrocze Towers pod nosem.

Przezesuje palcami włosy, psując gładki zwykle koczek. Robi jeszcze kilka kroków, po czym obraca się gwałtownie i kuca przede mną.

Żaluzje w oknach są zaciągnięte, co sprawia, że jej biuro bardziej niż którekolwiek inne pomieszczenie w jednostce przypomina jaskinię. Rozejrzawszy się dookoła, zauważam rozsypane opakowania po racjach żywnościowych i brudne kubki po kawie na biurku. Wygląda to tak, jakby nie wychodziła stąd od tygodnia.

– Wszyscy tu wariujemy – odzywa się drżącym głosem. – Wszyscy oprócz ciebie. Dlaczego?

Nachyla się, opierając ręce na poręczach mojego krzesła. Jej twarz znajduje się tylko kilkanaście centymetrów od mojej.

Mam ochotę krzyknąć, że ja też zwariowałam. Zabiłam ponad pół tuzina ludzi. Ale przecież Merendsen dowiódł, że to nieprawda.

– Nie wiem – szepczę więc.

– Ośrodek, który widziałaś, nie był nasz – mówi Towers po dłuższej chwili milczenia. – Należał do LaRoux Industries.

Serce znowu zaczyna mi bić szybciej. Muszę stąpać ostrożnie, żeby wydobyć z niej odpowiedzi.

– Po co im ośrodek? Jakże tu mają interesy?

– Zwrócili się do mnie tuż po tym, jak objęłam jednostkę. Twierdzili, że pracują nad lekarstwem na furję. Że moi poprzednicy pozwalali im prowadzić tu badania.

Ale po co? Otwieram usta, jednak komendant Towers jeszcze nie skończyła. Opuściła głowę i mamrocze cichym, przerażającym jednostajnym głosem:

– Od czasu do czasu natykamy się na kogoś. Jakiegoś żołnierza, którego załatwiła furia. Utopionego albo wessanego przez bagno, albo z kulą w głowie, ściskającego pistolet. W fazie oblędu, jeśli w pobliżu nie ma nikogo, kogo można by zabić, ciągną na wschód, na ziemię niczyje. Szukają. Szukają tego miejsca. Ale ono pojawia się i znika, wiecznie w ruchu. Nigdy nie wyrasta dwa razy w tym samym punkcie. Próbowaliśmy je odnaleźć, ale...

Gdybym nie miała powodu wierzyć choć w część tego, co mówi, uznałabym, że to ona straciła rozum. Ma dzikie spojrzenie, zapadnięte oczy i spierzchnięte wargi. Widać, że od dawna nie spała. Wygląda dokładnie tak jak ja rankiem po masakrze w jaskini, kiedy wciąż uważałam, że zabiłam tych wszystkich ludzi.

Zamieram.

– Pani komendant, co pani zrobiła?

Towers potrząsa głową.

– Wtedy wydawało mi się, że to nic takiego. Na moim koncie co miesiąc pojawiała się dodatkowa suma, a ja dostarczałam im kopie naszej dokumentacji medycznej. Od czasu do czasu znikały znalezione na bagnach ciała. Musisz zrozumieć, że LaRoux Industries prowadzi rewolucyjne badania. Nikt inny nie

chce nam pomóc. Naprawdę sądziłam, że zdołają znaleźć jakieś rozwiązanie. Chyba to rozumiesz? Wiesz, jak to jest żyć i umierać ze swoim plutonem?

– Tak... – odpowiadam ostrożnie.

Nie jestem pewna, czy na jej miejscu zachowałabym się inaczej, poza tym chcę, żeby mówiła dalej. Ale ona chyba w ogóle mnie nie słyszy.

– Nie mogę dłużej tego ciągnąć – szepcze. – To miejsce i to, co tam badają... Furia tylko się nasila. Zaczęła atakować cywilów takich jak Quinn, który nigdy wcześniej nie był agresywny. Powiedziałam im, że nie mam zamiaru ich dłużej kryć. Mówię ci to na wypadek, gdyby...

Przełyka ślinę i bierze głęboki oddech, dzięki czemu jej spojrzenie robi się odrobinę przytomniejsze.

– Na wypadek... gdyby coś mi się stało.

Pocą mi się ręce.

– Czemu ja?

– Czemu ty? – powtarza. – Oni również chcieliby to wiedzieć. LRI pragnie odkryć, czemu nie dopada cię furia, czemu nic ci się nie śni. Dlatego wciąż tu jesteś, Lee. Oni nie płacili mi tylko za przymykanie oka. Miałam cię obserwować.

Przerażenie chwyta mnie za gardło.

– Kto? Kim oni w ogóle są? – pytam zdławionym szeptem.

Komendant Towers patrzy na mnie nieruchomo. Wciąż stoi bardzo blisko. Otwiera usta, po czym zaraz je zamyka. Jej spojrzenie odpycha gdzieś w przestrzeń, po chwili nabiera ostrości i znów się rozmywa.

– Lee... – szepcze po chwili, z dziwnym podnieceniem. – Lee.

– Pani komendant? – Zmuszam się do ruchu, nie pozwalając, by sparaliżował mnie strach. – Pani komendant, co się dzieje?

Żrenice jej się rozszerzają, mięśnie zaczynają drżeć. To samo działo się z Mori, tak właśnie wyglądała, kiedy odstrzeliła głowę tamtemu dzieciakowi. Sięgam po gleidel, ale moje palce sztywnieją, natrafiwszy na znajomy kształt kolby. Wiem, że nie potrafiłabym zastrzelić dowódczyni.

Po raz pierwszy byłam świadkiem śmierci żołnierza kilka tygodni po rozpoczęciu służby. Podczas patrolu mój kolega z plutonu wszedł na dość prymitywnie – ale skutecznie – skonstruowaną minę, pozostałość po stłumionej dawno rebelii. Mina rozerwała go na kawałki, był jednak taki moment, tuż po tym, jak nastąpił na drut, a przed eksplozją, kiedy oboje wiedzieliśmy, co się stanie. Nasze spojrzenia się spotkały i czas jakby się zatrzymał: na twarzy chłopaka wyraźnie malowała się świadomość, że zaraz zginie, moja wyrażała bezradność. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, a zarazem całą wieczność.

Obraz ten wraca do mnie teraz, kiedy komendant Towers spogląda mi w oczy. Widzę, jak zapada się w otchłań. Zbieram się w sobie w oczekiwaniu na wybuch.

Chwila jednak mija, a Towers prostuje plecy. Obserwuję ją w napięciu, czekając, aż coś w niej pęknie, tak jak pękło w Mori. Ale ona spogląda na mnie niewidzącymi oczami o rozszerzonych źrenicach, po czym przechodzi ją dziwny, ledwie zauważalny dreszcz. Odwraca się i sięga po leżący na biurku plik dokumentów. Spokojnym krokiem okrąża mebel i siada na krześle.

Natychmiast zabiera się do pracy. Wpatruję się w nią w oczekiwaniu na dalszy ciąg, który jednak nie następuje. Choć źrenice ma nienaturalnie wielkie, jej gesty i ruchy są zupełnie zwyczajne. Właściwie zachowuje się normalniej niż w chwili, kiedy weszłam do jej biura.

– Pa... pani komendant?

Podnosi wzrok i mruga zaskoczona.

– Kapitan Chase? – odzywa się pogodnie. – Nie zauważyłam pani. Czym mogę służyć?

Jakby ktoś zaprawił mnie pięścią w brzuch. Całkowicie oszołomiona, szukam właściwych słów, usiłując cokolwiek z tego zrozumieć.

– Pani komendant, przyszedłam porozmawiać. Wspominała pani o dokumentacji medycznej. O LaRoux Industries.

– Naprawdę?

Towers marszczy brwi i wygładza niesforny kosmyk włosów. Codzienny, znajomy gest, tylko odrobinę zbyt nerwowy. Niby w porządku, a jednak nie.

– To dziwne.

– Te dokumenty, ośrodek na wschodzie...

– Pani kapitan, mam tu mnóstwo papierkowej roboty. Czy to nie może poczekać?

Gdybym nie była świadkiem jej zachowania sprzed zaledwie paru minut, prawdopodobnie uznałabym, że wszystko z nią w porządku. Ale patrząc na nią teraz, dostrzegam tu i ówdzie drobne znaki ostrzegawcze. Gesty, intonacja, sposób mówienia, wszystko wydaje się normalne, ale jakby przytłumione. Zmatowiałe. Jakby była sobą, tylko jakoś... mniej.

– Tak jest – bąkam, wycofując się do drzwi. – I... dziękuję.

Towers nie podnosi wzroku, kiedy salutuję i pospiesznie wychodzę na zewnątrz. Mobilizuję wszystkie siły, by nie puścić się biegiem. Jedyne, na co mam ochotę, to dopaść najbliższego wahadłowca i odlecieć tak daleko, jak to tylko możliwe.

Nie mam pojęcia, co LaRoux Industries robi na Avonie. Ani czemu zapłacili mojej dowódczyni, żeby mnie szpiegowała. Wiem natomiast, że osoba, która przyjmowała łapówki i którą zżerały wyrzuty sumienia, zniknęła. To coś, co przed momentem uprzejmie wyprosiło mnie z przyczepy, to z całą pewnością nie była komendant Towers.

Miałam zamiar poszukać Merendsena i opowiedzieć mu, czego się

dowiedziałam, a potem spróbować razem z nim złożyć to w jakąś całość. Teraz jednak kieruję kroki prosto do Molly'ego. Ponieważ jednostka pracuje całą dobę, bar jest zawsze otwarty. Próbuję udawać sama przed sobą, że przyda mi się towarzystwo innych ludzi. Wmawiam sobie, że przyda mi się opinia Flynna – może on znajdzie jakieś logiczne wyjaśnienie tego, co przed chwilą zobaczyłam.

Ale w głębi duszy wiem, co naprawdę mnie tam ciągnie, i ta świadomość nie napawa mnie dumą. Jestem przerażona i po raz pierwszy od czasów, gdy byłam ośmioletnim dzieckiem, potrzebuję po prostu kogoś, kto zapewni mnie, że wszystko będzie dobrze.

Idę więc, z wirem myśli w głowie, z oczami zamglonymi zmęczeniem i strachem, gdy w połowie drogi coś zaczyna palić mnie w nosie. Ostry, duszący swąd oznacza tylko jedno: pożar.

Podrywam głowę do góry. W oddali dostrzegam kłęby gęstego, czarnego dymu i natychmiast zaczynam biec. Dym może buchać z któregośkolwiek budynku po drugiej stronie jednostki – znajduje się tam kilka baraków mieszkalnych, szopy z zaopatrzeniem, a nawet skład broni i amunicji. Ale choć pożar w takim miejscu grozi niewyobrażalną katastrofą, jakimś cudem wiem, że pali się gdzie indziej.

O Boże, nie. Błagam, nie. Odległość między mną a barem kurczy się w mgnieniu oka i gdy wypadam pomiędzy dwóch stojących nieopodal baraków, widok płonącego lokalu nie stanowi już nawet zaskoczenia. Biegnę dalej, gdy nagle czyjaś dłoń chwyta mnie za skraj kurtki. Impet sprawia, że szarpnięcie zwała mnie z nóg.

Gramolę się z błota i rzucam przed siebie, a wtedy ta sama dłoń powstrzymuje mnie po raz drugi.

– Chase! – krzyczy mi do ucha jakiś stłumiony głos. – Nie idź tam.

– Tam mogą być ludzie! – wołam, usiłując się wyrwać.

– Nawet jeśli, to już nie żyją, nie pomożesz im. Weź się w garść! – dodaje surowo głos.

To kapitan Biltmore.

Kiedy mnie puszcza, znów upadam i tym razem to wystarczy, żeby powstrzymać rozpaczliwą potrzebę dostania się do środka. Bezmyślnie gapię się na buchający ogień. Nigdzie nie widać Flynna. Nie mogę zebrać myśli, nic nie czuję. Nie ma we mnie miejsca na rozpacz – jeszcze tego nie pojęłam, nie zaakceptowałam. To się nie mogło wydarzyć.

W moim sercu jest pustka.

Słyszę krzyki ekip ratunkowych, obserwuję skoordynowane wysiłki strażaków usiłujących okiełznać ogień, zanim rozprzestrzeni się na sąsiednie budynki. Jakaś belka spada z hukiem na ziemię, wzbijając potężną chmurę płomieni i iskier. Przez ramę wybitego okna dostrzegam rozżarzony zarys barowego kontuaru. Każdy oddech sprawia, że nozdrza przepala mi smród środków

gaśniczych. Z jakiegoś absurdalnego powodu przed oczyma staje mi antyczna szafa grająca Molly'ego, rozpływający się w ogniu czerwony i złoty plastik, banki pamięci pełne starych ziemskich melodii, po których teraz zostały już tylko roztopione przewody i trujące wyziewy.

Ktoś potrąca mnie, wyrывая z zamyślenia. Chwiejnie łapię równowagę i dostrzegam dwóch sanitariuszy wyciągających z obłoków dymu nosze, na których leży jakaś owinięta w prześcieradło postać.

Jest potężna – zbyt potężna, by mógł to być Flynn. Chwilę później dociera do mnie, czyj to kształt, i wyminąwszy Biltmore'a przypadam do medyków.

– Co się stało? – wołam histerycznie, sięgając ku skrajowi płachty. – Jeżeli tylko nawdychał się dymu...

– Nie, pani kapitan, on nie żyje. Proszę nie dotykać...

Jeden z sanitariuszy próbuje złapać mnie za rękę, ale jestem od niego silniejsza. Odpycham go i zrywam róg prześcieradła, spod którego wyłania się spokojna twarz Molly'ego. Wygląda, jakby spał albo udawał, że śpi. Ale potem dostrzegam krew i zwęglone ślady na wygolonej głowie. Pochylam się i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że tylna część czaszki jest rozerwana.

Wszystko zwalnia. Słowa sanitariuszy docierają do mnie jak przez mgłę. Kiedy wybuchł pożar, Molly już nie żył. Zastrzelony z wojskowej broni. Laser trafił go z góry, co oznacza, że zanim go zabili, kazali mu klęknąć. To była egzekucja.

Podniósłszy wzrok, widzę dwójkę żołnierzy wlokących jakiegoś mężczyznę w średnim wieku, który wyrывa się, bluzgając stekiem przekleństw.

– Kto to?

Mój głos jest cichy. Bardzo spokojny. Znakomicie. Sanitariusz, który stoi bliżej, zerka na mnie, a potem na odciąganego przez żołnierzy mężczyznę.

– Jeden z tych skurwieli – odpowiada. – Podobno wkradła się tu cała grupa, ale złapali tylko tego jednego. Będą go przesłuchiwać.

W sercu wzbiera mi straszliwy gniew, a cały świat zawęża się do wleczonego po błocie mężczyzny. Mordercy Molly'ego. Oficjalne przesłuchanie nie będzie potrzebne – zamierzam sama wyciągnąć z niego wszystkie informacje, nieważne jakim kosztem. Wydobywam broń z kabury i cicho ruszam za odchodzącymi, stopniowo przyspieszając kroku.

Dowiem się, kto to zrobił, a potem rozerwę go na strzępy.

Dziewczynka przysypia. Już dawno powinna być w łóżku. Nasłuchuje postukiwania przekładanych przez matkę płytek z imitacji kości słoniowej do gry w madżonga. Siedzi skulona, zawinięta w koc, pod obitym filcem stolikiem, a ze wszystkich stron otaczają ją znajomi rodziców.

Płytką oznaczoną chryzantemą spada na podłogę i jakiś głos dudni:

– Ja podniosę.

Znad skraju stolika wylania się czyjeś ramię, dziewczynka dostrzega, że jest pokryte mnóstwem tatuaży.

Dorośli gawędzą, matka rozdaje płytki, a niski szmer głosów kołysze dziewczynkę do snu.

– Kto zajmie się sklepem, kiedy mnie nie będzie? – pyta matka.

– Ja – odpowiada mężczyzna z tatuażami.

– A kiedy ciebie zabraknie? Kto się wtedy nią zajmie?

FLYNN

Obserwuję wszystko z uliczki między budynkiem koszar a składem amunicji, wsparty plecami o twardą ścianę, zmuszając się do tego, by oddychać. Nie jestem w stanie rozpoznać sylwetki wleczonego przez żołnierzy człowieka. Nigdzie nie widzę masywnej postaci Molly'ego. Mogę tylko stać i czekać. Jeżeli dokonali tego rebelianci, nie mogę pozwolić, żeby mnie zobaczyli, bo rozpęta się piekło. Zginie jeszcze więcej ludzi.

Kiedy Jubilee mija mnie szybkim, cichym krokiem, jestem tak skoncentrowany na buchających płomieniach, że zauważam ją dopiero w ostatniej chwili. Chwytam ją za ramię i obracam do siebie. Przez chwilę mam wrażenie, że rozbije mi nos, i pewnie by to zrobiła, gdyby była przytomniejsza. W jej oczach dostrzegam dziki błysk. Uchylam się, zauważywszy kątem oka ruch jej czarnej od sadzy ręki.

– Jubilee, to ja.

Wstrząśnięta, rozchyła usta w niemym okrzyku, odskakuje, traci równowagę i wpada na ścianę. Z trudem wyostrza wzrok i wtedy mnie poznaje.

Ściszana kurczowo broń ląduje w błocie. Jubilee chwyta mnie za ramiona, szarpie za rękawy i przyciąga bliżej, jakby chciała sama siebie przekonać, że nie jestem złudzeniem.

– Flynn? – szepcze.

Malujące się na jej twarzy niepokój i ulga sprawiają, że zanim zdążę pomyśleć, przygarniam ją do siebie i oplątam ramionami. Tuli się do mnie mocno i przez moment stoimy nieruchomo, podczas gdy u wylotu uliczki wszystko pogrąża się w coraz większym chaosie.

– Myślałam, że... – chrypi, odsuwając się na centymetr, wstrząśnięta intensywnością własnej reakcji.

Ja także się trzęsę i dopiero po odchrząknięciu udaje mi się wydobyć z siebie głos:

– Szedłem do szopy z zaopatrzeniem i usłyszałem krzyki. Gdzie jest Molly? Kiedy wychodziłem, wciąż był w barze. Muszę...

Słowa zamierają mi w gardle. Wyraz jej twarzy mówi wszystko. Puszczam jej dłoń i opieram się o ścianę składu amunicji, żeby nie upaść.

– Żołnierze złapali jednego ze sprawców – mówi Jubilee i odwraca się w stronę wylotu uliczki. – Reszta uciekła. Idę właśnie do pokoju przesłuchań.

– Zaprowadź mnie tam – przerywam jej drżącym z niecierpliwości głosem. – Może go przekonam, żeby zaczął mówić. Zaproponuję mu jakiś układ.

– Flynn, ten facet to morderca – wybucha Jubilee.

Smutek po stracie przyjaciela przeradza się w jej głosie w rozpaloną do białości wściekłość. Z posepną miną podnosi pistolet z błota.

– On nie zasługuje na rozmowę, tylko na sprawiedliwość.

– A jeżeli to człowiek McBride’a? Może zna ich kolejny krok?

Nie potrafię sobie wyobrazić, że ogień podłożył któryś z moich ludzi. To musi być pomyłka.

Jubilee wie, że mam rację, ale chęć zemsty jest równie silna. Patrząc, jak walczą ze sobą i czuję w sercu echo tej walki: ktokolwiek wymordował moich bliskich, nadal gdzieś tu jest. W końcu Jubilee wciska gleidel z powrotem do kabury i mamrocze:

– Tylko niczego mu nie obiecuj.

Dochodzimy do aresztu i Jubilee w krótkich słowach odprawia strażnika. Nerwowy kapral patrzy podejrzliwie, ale mnie nie zatrzymuje, a potem gdzieś znika. Może ma nadzieję, że powstrzymam ją przed zamordowaniem więźnia.

Serce podchodzi mi do gardła, kiedy dostrzegam, kto siedzi skulony na ławce w głębi celi. To Turlough Doyle. Jego jasną czuprynę pokrywa szara warstwa popiołu, a oczy są czerwone od dymu i rozpacz. Dołączył do rebeliantów tylko dlatego, że jego siostra dokonała jakiegoś sabotażu na jednej z farm wodorostów. *Trodairí* nachodzili go dniem i nocą, wypytując, gdzie się ukryła, i za każdym razem zachowywali się brutalniej. Na bagnach poznał Mike’a i odtąd miał powód, żeby zostać. Ale żaden z niego krwiożerczy bojownik. Był kiedyś asystentem w laboratorium biologicznym.

Z opuszczoną głową, udręczona zmęczeniem i strachem, Jubilee bez wahania zatrząskuje za nami drzwi celi.

– Kto to zrobił? – warczy, podchodząc bliżej.

Tamtego wieczoru w jaskini oślepiały ją szok i furia, nie rozpoznaje więc teraz mężczyzny, którego masakra uczyniła wdowcem. Ale Turlough ją pamięta i w oczach rozbłyska mu czysta nienawiść, od której zamiera mi serce.

– I tak mnie zabijesz, *trodairé* – rzuca jadowicie. – Nie pomogę ci zamordować nikogo innego.

– Albo gadasz – odpowiada równie jadowicie Jubilee – albo masz zupełną rację: ukatrupię cię i to nie będzie szybka śmierć. Który z was zastrzelił Molly’ego?

Turlough z drżeniem nabiera powietrza, a jego okrągła twarz blednie, nie wiem, czy ze strachu, czy z gniewu.

– Ja. Działalem sam.

– Kłamiesz! – woła Jubilee łamiącym się głosem. – Te zwęglone ślady na jego głowie mógł zostawić tylko gleidel. A ty nosisz antyk.

– To ty nosisz gleidel! – kontruje Turlough, świdrując ją wzrokiem. – Zabiłaś naszych ludzi, nasze dzieci. Mojego męża. Mam nadzieję, że będziesz się

smażyć w piekle.

Mój umysł nie nadąża za tym, co słyszę. Przywieram do ściany przy drzwiach, niezauważony przez żadne z nich. Molly został zastrzelony? Żołądek skręca mi się z rozpacz.

Jubilee patrzy na Turlougha. Jej milczenie podpowiada mi, że go rozpoznała. Prostuje ramiona. Nie zaprzecza oskarżeniom i choć kraje mi się serce, wiem dlaczego. Co by musiała powiedzieć, żeby jej uwierzył?

– Daję ci ostatnią szansę, rebeliancie. Nazwiska. Natychmiast.

Turlough spogląda na nią spode łba, przerażony, ale zdeterminowany. Tylko skrajna rozpacz mogła wlać w tak łagodnego człowieka tyle niezłomnej siły. W innych okolicznościach byłbym dumny z jego twardego kręgosłupa. Teraz jednak, jeśli czegoś nie zrobię, Jubilee wyrwie mu wnętrzności gołymi rękami. Odsuwam się od drzwi i wchodzę w krąg światła.

Wzrok Turlougha prześlizguje się po Jubilee. Otwiera usta. Poznał mnie.

– Co ty tu robisz? – jego szept przebija mnie jak pocisk, a potem przeradza się w drżący krzyk: – Ona zabiła Mike’a! A ty teraz stoisz obok niej!?

– To nie ona go zabiła. Daję ci słowo. Owszem, była tam, ale tego nie zrobiła.

Turlough patrzy na mnie w milczeniu, a ja zaczynam się zastanawiać, czy moje słowo ma dla niego jeszcze jakąkolwiek wartość. Obok słyszę urywany oddech Jubilee, który rozbrzmiewa w tym samym rytmie co mój puls. Jeżeli Turlough zdoła mi zaufać, uwierzę, że tak samo może być z Seanem. Że kiedyś zasypimy przepaść między nami i razem przeżyjemy żalobę.

Pytam łagodnie:

– Turlough, gdzie jest McBride?

Przez jego twarz przemyka jakieś drgnienie, rozpacz i gniew ustępują krótkiemu błyskowi mrozącego strachu.

– Nie wiem – mówi przez ściśnięte gardło.

Ale jego lojalność kruszeje, a przerażenie jest autentyczne.

– Boisz się go – stwierdzam miękko. – Powiedz, co się dzieje.

Turlough waha się przez moment, patrząc to na Jubilee, to na mnie.

– On go zastrzelił – odpowiada wreszcie stłumionym głosem. – Barmana, tego wielkiego. Szukaliśmy Chase. Chcieliśmy ich tylko postraszyć, dowiedzieć się, gdzie jej szukać.

– Mów dalej.

Wyraz twarzy Jubilee jest nieodgadniony, gniew przeradza się w coś innego. Coś zimnego.

– McBride wrzeszczał na niego i wrzeszczał. Facet nie chciał nam powiedzieć, gdzie cię znaleźć, *troisième*. Więc McBride go zastrzelił, a potem podłożył ogień...

Turlough urywa, zdławiony strachem. Ale gdy Jubilee odwraca się, spięta, znów opanowuje go ból.

– Ona tam była, Flynn. Wszyscy o tym wiedzą. Musi nam za to zapłacić.

Czuję, jakby coś ciężkiego przygniotło mi klatkę piersiową.

– Wiem, że była, ale to nie z jej broni strzelano.

– Ale ich wszystkich, Mike’a i całej reszty, nie zabito ze zwykłego pistoletu. To musiał być gleidel. Kto strzelał, jeśli nie żołnierz?

Nagle w celi zapada cisza. Jubilee podnosi wzrok i wszyscy troje jednocześnie uświadamiamy sobie to samo. Świat chwieje się w posadach i przeszywa mnie kłujący dreszcz, któremu towarzyszy fala mdłości. Wszyscy wiemy, kto jeszcze posługuje się tym rodzajem broni, ponieważ dzisiaj strzelił z niej Molly’emu w tył głowy.

W oddali dudnią odgłosy walki. Powietrze przecina huk pocisków i ryk śmiertelnych laserów. Wszędzie unosi się smród palonego plastenu i środków gaśniczych. Pragnę się znaleźć jak najdalej od budynku aresztu. Jak najdalej od Turlougha, od baru Molly’ego, który już nigdy nie będzie jego barem. Z trudem ciągnę nogę za nogą, potykam się, ale Jubilee chwyta mnie za ramię i nie pozwala upaść.

McBride. Mimo wszystkich różnic między nami, mimo jego żądy niszczenia zawsze wierzyłem, że pragniemy tego samego: dobrobytu Avonu, pokoju i sprawiedliwości dla naszych ludzi.

Ale to McBride zamordował Fergala. I Mike’a. I wszystkich pozostałych, którzy tamtej nocy leżeli martwi w naszym azylu. Zrobił to tylko po to, by podpalić lont i rozpętać tę wojnę. A teraz zabił Molly’ego, ponieważ ten nie chciał zdradzić Jubilee.

Ten sam McBride wciąż gdzieś tam jest, a razem z nim Sean. O Boże...

Nagle bzyczenie komunikatora na rękawie Jubilee sprawia, że wracam do rzeczywistości. Chronimy się pod ścianą stojącego najbliżej budynku. Głos jest trzeszczący, ale znajomy.

– Lee, tu Merendsen, zgłoś się.

Jubilee unosi nadgarstek do ust.

– Słucham, szefie.

– Lee, komendant Towers podniosła poziom zagrożenia i odprawia z jednostki i z Avonu wszystkich, którzy nie są tu niezbędni. Czyli między innymi mnie.

– Z powodu Molly’ego?

Zamyka oczy, kiedy wypowiada jego imię.

– Z powodu potwierdzonych informacji, że *fianna* posiadają broń przeciwlotniczą. Najbliższy wylatujący stąd wahadłowiec może być ostatnim i muszę się znaleźć na jego pokładzie. Powiedziałem Towers, że jestem gotów

wziąć na siebie ryzyko i zostać, ale zagroziła, że jeśli sam się nie odprawię, osobiście dopilnuje, by mnie stąd usunięto. Wkrótce wylatuję do portu kosmicznego. Jesteś oficerem odpowiedzialnym za moje bezpieczeństwo na Avonie i możesz pilotować mój statek, ale jeśli nie zdążysz dotrzeć na lotnisko, za sterami usiądzie ktoś inny – Merendsen milnie i przez chwilę słyhać tylko trzeszczenie fal radiowych. – Mimo wszystko chciałbym się pożegnać.

Choć jego słowa brzmią swobodnie, wiem, co chce przekazać. „Próbowałem, ale nie pozwolili mi zostać. Muszę z tobą porozmawiać przed odlotem”. Połączenia wojskowych komunikatorów są monitorowane przez system.

– Już idę – odpowiada dziarsko Jubilee, prostując się.

Znów na służbie. Kapitan Chase. Nie wiem, co Merendsen ma jej do powiedzenia, ale bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy tego wysłuchać.

– Pani kapitan, jeszcze jedno.

– Tak?

– Zarządzono kontrolę bezpieczeństwa. Żołnierze zbierają w kantine wszystkich cywilów i skanują ich genotagi.

Po chwili znaczącego milczenia Merendsen dodaje:

– Gdybyś kogoś spotkała, wyślij go tam.

Jubilee zerka na mnie z niepokojem.

– Tak jest. Dzięki, szefie – odpowiada opanowanym głosem.

Moje myśli wciąż zasnuwa mgła: nazwisko McBride dudni w głowie jak werbel. Jubilee obciąga mi rękaw, żeby lepiej ukryć spiralny tatuaż. Następnie kładzie mi dłoń na plecach i popycha.

Ruszamy biegiem w stronę hangarów. Na bagnach rozlega się huk eksplozji – szaleństwo McBride’a nie daje o sobie zapomnieć. Lada chwila stracimy naszego jedyne łącznika z LaRoux Industries, a zarazem jedyną szansę, by się dowiedzieć, co zabija tę planetę.

Dziewczynka szuka ducha z November. Jest pewna, że musi gdzieś tu być, w tym niezmiernym labiryncie sal i pokojów. Nigdy wcześniej jej nie opuścił, poza tym duchowi chyba wszystko jedno, na jakiej planecie się znajduje. Szuka go tak już od kilku godzin. Sierociniec jest wielki i pusty, i nie da się zajrzeć do wszystkich pomieszczeń.

W jednej z sypialni znajduje miniekranik przeschmuglowany tu przez któreś z dzieci. W pokoju nie ma nikogo, ale ekranik jest włączony i cicho trzeszczy. Na wyświetlaczu jakaś kobieta opowiada o zakończonej na odległej planecie wojnie, a w tle przesuwają się nakręcone z helikoptera ujęcia ruin i wędrujących uchodźców.

Nagle dziewczynka uświadamia sobie, że patrzy na November. Kiedy jednak spogląda uważniej, dochodzi do wniosku, że to niemożliwe. Miasto na obrazku się odradza, odbudowuje, a na ulicach dzieci zapalają sztuczne ognie. Wygląda to jak zabawkowa makieta, kopia miejsca, w którym kiedyś mieszkała – dla niej obraz na ekranie nigdy nie będzie prawdziwy.

Miasto, które nosi w sercu, zostało zrujnowane i takim pozostanie. A duch z November zniknął.

JUBILEE

Mój organizm buntuje się przeciw ciągłej walce. Bezustannemu napięciu, brakowi snu i nadmiarowi rozpaczy. Czując w żyłach piekące zmęczenie, biegnę ile sił w nogach w kierunku kosmodromu.

Jeśli nie zdążę usiąść za sterami wahadłowca Merendsena, nie dowiem się, czy zdołał nawiązać ponowny kontakt z Lilac – a sądząc po jego nagłym tonie, mogę się domyślać, że owszem, ma jakieś informacje. Musimy je zdobyć. Ani on, ani Flynn nie wiedzą jeszcze o komendant Towers. Jak im to wyjaśnić?

Spinam obolałe mięśnie i biegnę. Staram się nie myśleć o Mollym, nie wyobrażać go sobie na celowniku, uparcie odmawiającego zdradzenia McBride’owi miejsca mojego pobytu.

Oczy zachodzą mi łzami, częściowo z żalu, a trochę pod wpływem zimnego powietrza. Słyszę Flynna pół kroku za sobą. Kiedy przyspieszam, on robi to samo. Kilka tygodni temu dziwiłabym się, że potrafi za mną nadążyć. Teraz mnie to nie zaskakuje. Nigdy nie uważałam, że życie na bagnach jest usłane różami, nie przypuszczałam jednak, że wytrenowało go – jak się okazuje, trenować można nie tylko w mundurze – nie gorzej niż mnie ćwiczenia na poligonie.

Mijamy kantinę, w której dostrzegam wijącą się pomiędzy stołami długą kolejkę cywilów. Wzdłuż szeregu chodzą umundurowane postacie, a cywile nieponaglani odwijają rękawy i odsłaniają genotagi. Ochronie udało się schwytać tylko jednego ze sprawców pożaru u Molly’ego, a zatem wszyscy przebywający na terenie jednostki, którzy nie są żołnierzami, muszą teraz udowodnić, że przebywają tu legalnie.

Wreszcie docieramy do kosmodromu, który składa się z rzędu długich, niskich, masywnych hangarów, zaledwie dwupiętrowych, za to pod ziemią skrywających wszystkie pojazdy – zarówno wojskowe, jak i cywilne – którymi dysponują jednostka oraz miasto. Jeden z półkolistych dachów jest otwarty. To znak, że któryś z wahadłowców szykuje się do startu albo właśnie odleciał.

Hamujemy przed drzwiami i zwracam się do Flynna:

– Pamiętaj, jesteś kuzynem Molly’ego. Masz prawo tu być i właśnie zastanawiasz się nad odlotem, teraz, kiedy Molly... – mówię, a głos mi się łamie i z kłębówiska wzbierających we mnie emocji wybieram gniew, bo najłatwiej mi sobie z nim radzić. – Teraz, kiedy Molly odszedł. Dzięki temu być może nie sprawdzą cię od razu.

Flynn kiwa głową.

– Jasne. Co mam robić, kiedy cię nie będzie?

Wciąż usiłuję złapać oddech.

– Ukryj się. Spróbuj w moim baraku, o ile nie przeszukują właśnie jednostki. Potem nie wiem, może idź na bagna.

Nie wiem. Nie znoszę tych słów, a jednak ostatnio wypowiadam je co chwilę.

Na lotnisku zawsze jest zgiełk i ruch, ale dziś panuje tu kompletny chaos. Flynn przyłącza się do grupy cywilów tłoczących się w sektorze pasażerskim i jakby nigdy nic wtapia się w tłum. Powstrzymuję pokusę, żeby się za nim obejrzeć, i podchodzę do kontrolera lotów, niskiego mężczyzny w średnim wieku, którego znam z widzenia.

Nieopodal grzeje się silnik i muszę przekrzykiwać jego ryk.

– Czy jest tu Merendsen? – wołam, pochylając się ku kontrolerowi. – Ten ewaluator z TerraDynu?

Facet nawet na mnie nie patrząc, macha ręką w stronę czwartego czy piątego statku w rzędzie wahadłowców.

– Proszę się pospieszyć, zaraz wylatują.

Łapię spojrzenie Flynn'a i wskazuję mu pojazd, po czym podchodzę do grupki umundurowanych oficerów stojących niedaleko wjazdu. Z westchnieniem ulgi dostrzegam wśród nich znajome rysy Merendsena. Zauważa mnie, odsuwa się od oficera, który właśnie ścisnął mu dłoń, i podchodzi bliżej.

– Pani kapitan – woła pełnym napięcia głosem.

Tymczasem Flynn zbliża się do nas swobodnym truchtem.

– Dzień dobry – mówi głośno i wyciąga rękę. – Przykro mi, że już pan wylatuje.

Merendsen odwzajemnia uścisk dłoni, po czym odzywa się niskim, ledwie słyszalnym wśród jazgotu silników głosem:

– Mam wiadomość od Lilac. Nie mogła ryzykować rozmowy, ale przesłała to. Kiedy nie możemy się porozumiewać bezpośrednio, posługujemy się szyfrem. Odkodowałem go dla was – dodaje i wciska mi w dłoń zmięty kawałek papieru. – Przeczytajcie, kiedy zostaniecie sami.

– Dziękuję, szefie – rzucam, siląc się na swobodę.

Jednocześnie obserwuję kłębiący się wokół wojskowy personel. Po przeciwnej stronie hangaru jeden z wahadłowców podnosi się do lotu z rykiem, który idealnie zagłusza nasze głosy.

Merendsen wpatruje się we mnie bacznie i mówi cicho:

– Posłuchaj mnie, Lee. Te istoty, które wykorzystuje LaRoux, same w sobie nie są złe. Ale jeśli znalazł sposób, żeby je kontrolować, kto wie, do czego mogą być zdolne. Po prostu... proszę, uważaj na siebie.

Wiem, co próbuje mi powiedzieć: nie podejmuj pochopnych decyzji, nie spiesz się. Nie zachowuj się jak zwykle.

Kiwam głową.

– Obiecuję.

– Lilac miała rację – ciągnie Merendsen, tym razem zerkając również na Flynna. – Potrzebne wam dowody, trzeba powołać na świadka całą galaktykę. Na Avon musi być skierowane tyle par oczu, żeby LaRoux nie odważył się go tknąć. Lee, kiedy wrócisz, powinniście poszukać tego ośrodka na wschodzie.

Już mam odpowiedzieć, kiedy podbiega do mnie kontroler lotów.

– Pani kapitan, trzeba ruszać, nie ma czasu. Ostatni wylot.

Nieopodal przesuwa się kolejka wchodzących na pokład. Większość żołnierzy jest ranna, ale niektórzy mają zaczerwienione, naznaczone obłędem oczy ludzi, którym przyśnił się pierwszy dziwny sen i przez kilka dni nie zmrużyli powiek ze strachu przed furją. Wśród nich znajduje się zaledwie garstka cywilów, tych kilkoro szczęśliwców, na których gdzieś w galaktyce czekają rodziny. Idą w milczeniu, z opuszczonymi głowami, jakby obawiali się przyciągnąć czyjąś uwagę.

Za nimi sześcioro żołnierzy powstrzymuje siłą rzeszę miastowych, zdesperowanych, by wydostać się z planety, póki jeszcze jest szansa. Pracownicy kosmodromu zapędzają ich z powrotem w stronę bazy, prawdopodobnie po to, by zeskanować ich genotagi. Nie ma mowy, by Flynnowi udało się opuścić hangar – chyba że w pilotowanym przeze mnie wahadłowcu.

Kontroler lotów nadal pospiesznie wydaje mi instrukcje:

– Rebelianci zdobyli rakiety ziemia-powietrze, udało im się przechwycić lądujący statek z zaopatrzeniem. Latanie stało się niebezpieczne. Mamy w tej chwili małe okienko, ale na tym koniec. Jeśli teraz pani wystartuje, całkiem prawdopodobne, że nic się wam nie stanie, ale nie wiem, czy nie będzie pani musiała zostać na orbicie.

– Na jak długo? – pytam.

– Nie mam pojęcia. Może na godzinę, jeśli oddziałom naziemnym uda się odbić rakiety. A może do końca wojny.

Podrywam głowę do góry. Możliwe, że ten lot okaże się podróżą w jedną stronę.

– Co tam się dzieje?

Gestem wskazuję wypędzanych z hangaru cywilów. Nie mogę posłać tam Flynna, póki się nie dowiem, dokąd ich zabierają.

– Jeżeli nie wsiądą na pokład, będziemy sprawdzać ich tożsamość.

Flynn zerka na mnie i widzę, że rozszerzają mu się źrenice. Tymczasem pracownik lotniska mówi dalej:

– Zrobiliśmy kontrolę techniczną. Jest pani na liście pilotów tylko dlatego, że odpowiada pani za bezpieczeństwo pana Merendsena, więc musicie wylecieć natychmiast. Tak brzmi rozkaz komendant Towers.

To powiedziawszy, popycha mnie w stronę dzioba, ale ja nie spuszczam

z oczu Flynna i przez chwilę w uszach dźwięczy mi cisza, którą przerywa tylko bicie serca, podczas gdy otchłań między nami rośnie. Czas zwalnia bieg, milisekundy sączą się wolną, szemrzącą strużką.

A potem wszystko wraca do normy. Flynn wyskakuje do przodu.

– Ja też – rzuca zdyszany. – Lecę z wami.

Kontroler spogląda na niego i na przepychający się tłum. Flynn stoi po tej samej stronie co powstrzymujący ciżbę żołnierze, mężczyzna zakłada więc, że przeszedł przez kontrolę bezpieczeństwa i od początku miał się znaleźć na pokładzie.

– W porządku, ale wie pan, że być może nie będzie mógł wrócić? Zresztą co tam wrócić... Jeśli uda im się zmontować te rakiety wcześniej, niż przewidujemy, mogą was zestrzelić, zanim wylecicie z atmosfery.

– Wiem – mówi Flynn i oddycha ciężko, skupiony na mojej twarzy. – Wiem.

Potem odwraca się na pięcie, a czas przyspiesza, jakby chciał nadrobić opóźnienie sprzed kilkunastu sekund. Merendsen ciągnie Flynna w stronę włazu, a ja chcąc nie chcąc, ruszam biegiem do kokpitu i wdrapuję się na miejsce pilota. Będę jedynym pilotem: w jednostce brakuje nadprogramowych żołnierzy.

Trzęsą mi się ręce. Choć od czasu szkoleń, które odbyłam w wieku szesnastu lat, kilka razy w miesiącu siadam za sterami, to żaden ze mnie as przestworzy. Na szczęście rutynowe loty i tak są w połowie zautomatyzowane. Tyle że w uciekaniu przed pociskami raketowymi nie ma ani krzty rutyny.

Odtwarzając w pamięci kolejne ruchy, zapinam pasy i uruchamiam silniki. Pod sufitem zapalają się po kolei zielone lampki sygnalizujące, że pasażerowie siedzą bezpiecznie, właz się zamknął i uregulowaliśmy ciśnienie. Jesteśmy gotowi do startu. Wkładam słuchawki, w których głos z wieży skrzeczy, że mam ruszać, ruszać natychmiast.

Opuszczam dłoń na przycisk. Całym pojazdem porusza krótki wstrząs i odrzutowe silniki wypychają nas w górę. Biorę długi, uspokajający oddech, po czym wahadłowiec wzbija się w niebo.

Dziewczyna kuli się pod osłoną pagórka, przyciskając dłoń do ust żołnierza obok, by stłumić jego jęki. Powinna wrócić, ale nie może, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ucieczka okazała się łatwa, a teraz koledzy i dowódca walczą bez niej. Dopiero gdy reszta plutonu wykonuje odwrót, kapitan odnajduje ją, wciąż struchlałą, obok nieprzytomnego już żołnierza, którego ściągnęła z pola bitwy.

– W porządku, kapralu? – Dowódca kuca i przypatruje jej się badawczo.

– Uciekłam – szepcze dziewczyna. – Uciekłam.

– Jestem pewien, że obecny tu Jessop będzie innego zdania – odpowiada dowódca i sprawdza puls rannego. – Chodź, zadekowaliśmy się po drugiej stronie wzgórza.

Kapitan przerzuca żołnierza przez ramię i rusza w drogę powrotną. Dziewczyna próbuje wstać, ale nie może. Patrzy na malejącą w oddali sylwetkę, aż znów zostaje sama.

Miała być odważna, ale stchórzyła.

FLYNN

Żołądek podchodzi mi do gardła i mimowolnie chwytam się poręczy fotela. Osłony na oknach są zaciągnięte, nie widzę więc nawet skrawka niebieskiego nieba ponad zasnuwającą Avon wieczną pokrywą chmur. Nie wiem, czy atak mdłości jest spowodowany chorobą lokomocyjną, czy niemożnością objęcia umysłem tego, co wydarzyło się podczas ostatnich kilku godzin.

Silniki zwalniają z mocnym szarpnięciem. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że grawitacja przestała działać i nerwowe kiwanie stopą nie wymaga już ode mnie żadnego wysiłku. Uczucie ciężkości opuszcza mnie tak samo, jak opuściła więź łącząca z domem – w długiej, nieznośnej ciszy, której towarzyszą zawroty głowy i ból w klatce piersiowej. Tracę orientację. Nie potrafię nawet stwierdzić, z której strony znajduje się moja rodzinna planeta.

Wyciągnąwszy szyję, dostrzegam nieco z przodu profil Merendsena, który w pewnym momencie odwraca głowę i spogląda mi w oczy. Żaden z nas nie może jednak odpiąć pasów, ponieważ uruchomiłby alarm. Znam Merendsena od niedawna, jednak już na tyle dobrze, by wiedzieć, że wiele by dał, by móc zostać na Avonie.

Osłony nie uchylają się nawet na chwilę, nie mam więc pojęcia, kiedy będziemy lądować, i nie widzę portu kosmicznego, do którego się zbliżamy. Jest to miejsce, przez które przechodzi każdy, kto opuszcza którąś z kolonii na Avonie albo do niej zmierza. Tu podróżni przesiadają się z olbrzymich liniowców do wahadłowców takich jak ten, odpornych na grawitację i ciśnienie atmosferyczne. Próbuję sobie wyobrazić, jak wygląda taki zawieszony wśród gwiazd olbrzym. Na razie nie widzę jednak nic, czuję tylko, jak prom z głośnym szcękaniem usadawia się w luce. Jubilee odpina pasy i rusza na tył pojazdu, dopilnować, aby wszyscy pasażerowie bezpiecznie opuścili pokład. Mijając mnie, mamrocze cicho:

– Nie wysiadaj. Zostań z tyłu i nie rzucaj się w oczy.

Pasażerowie ruszają do wyjścia. Widzę, jak Merendsen odwraca się do Jubilee, ale ponieważ wokół jest pełno ludzi, nie mogą porozmawiać. Kiwa głową i przeciągle, znacząco spogląda jej w oczy. Jubilee zaciska zęby i również potakuje, po czym Merendsen, porwany falą podróżnych, znika w tłumie.

Dopiero kiedy z pozorowaną swobodą przepuszczam przodem sąsiadów z rzędu, zauważam wyróżniającą się na tle pozostałych pasażerów jasnorudą czuprynę Sofii Quinn. Moja przyjaciółka jest zapewne w drodze do sierocińca albo realizuje właśnie jakiś sobie tylko znany plan ucieczki. Wszędzie wokół pstrykają sprzączki odpinanych pasów. Ludzie przemieszczają się gęsiego do wyjścia na tyłach pojazdu, ściskając w ramionach bagaże. Sofia ogląda się przez ramię, żeby

sprawdzić, czy niczego nie zostawiła. Zauważywszy mnie, nieruchomieje. Kładę dłoń na piersi, a ona skłania się lekko. Jakiś idący za nią mężczyzna potrąca ją torbą i dziewczyna rusza przed siebie.

Po raz drugi zatrzymuje się w dole rampy. Zamienia kilka słów z jednym z kierujących ruchem w porcie żołnierzy i pokazuje mu genotag. Sprawdzają wszystkich pasażerów. Rozhuśtany żołądek znowu martwieje mi z przerażenia. Zorientują się, kim jestem, kiedy tylko odczytają kod na moim przedramieniu. Nagle żołnierz podnosi głowę i spogląda prosto na mnie.

Moja przyjaciółka okręca się gwałtownie i opiera o barierkę, trzymając się za brzuch. Złotousta Sofia. Zawsze czujna.

Słaniając się na nogach, jęczy:

– Zaraz zwymiotuję. Nie mogę. To przez nieważkość. Weźcie mnie gdzieś, bo zaraz...

Zaciska wargi. Natychmiast zbiera się wokół niej wianuszek żołnierzy, po czym jeden z nich zostaje obarczony wątpliwą przyjemnością odprowadzenia jej w ustronne miejsce, gdzie będzie mogła wyrzucić z siebie lunch. Siadam w kucki za rzędem foteli. Dzięki, Sof.

Jubilee mija mnie, nie zerknąwszy nawet w moją stronę. Przez szczelinę między siedzeniami obserwuję, jak podaje jednemu z żołnierzy cienki czytnik.

– Mamy tu parę osób więcej, niż było na liście – mówi przepraszająco. – Tam na dole wszystko stanęło na głowie.

– Wiadomo – odpowiada żołnierz. – Tu też jest istny dom wariatów.

Jubilee lekko zaciska zęby i spogląda na rozmówcę zmrużonymi oczami. Wiem, o czym myśli: na dole jedni ludzie giną, inni tracą rodziny. Na górze jest dużo papierkowej roboty. Nic jednak nie mówi, tylko kiwa głową.

– Chciałabym wrócić, zanim rebelianci uruchomią rakiety. Możemy to szybko załatwić?

– Jasne, pani kapitan – mówi żołnierz i chowa czytnik za pazuchę. – Tylko przeszukamy prom.

Nieruchomieję i na ułamek sekundy serce przestaje mi bić.

– Jak to przeszukacie? – odpowiada ostro Jubilee. – Po co? Przecież to bez sensu: gdybyśmy mieli pasażerów na gapę, nie chcieliby wracać z powrotem na Avon.

Żołnierz wzrusza ramionami.

– Rozkazy komendant Towers. Przyszły tuż przed waszym lądowaniem.

– Przed... przed naszym lądowaniem?

Jubilee zaczyna odwracać głowę w moją stronę, ale w porę się powstrzymuje. A zatem oni wiedzą. Jakimś cudem podejrzewają, że tu jestem. Może ktoś na lotnisku mnie rozpoznał, zanim wszedłem na pokład.

– Tak jest, pani kapitan.

Żołnierz patrzy na nią z szacunkiem, ale nie wygląda na to, żeby miał ustąpić.

Jubilee waha się przez chwilę.

– W porządku, szukajcie. Byle szybko.

Prędkim, nerwowym krokiem rusza na tył pojazdu. Staje tuż obok mojego rzędu foteli, żeby mnie zasłonić.

Przywieram do podłogi. Nie mogę dłużej ryzykować i wyglądać przez szczelinę między siedzeniami. Słyszę zbliżający się powoli tupot ciężkich buciorów stąpających po podłodze z metalowej kratki i głuchy szcęk otwieranych schowków bagażowych.

Jubilee ściska oparcie fotela tak mocno, że bieleją jej kłykcie. Żołnierze – rozróżniam trzy rodzaje kroków – są już prawie przy nas.

– Zadowoleni? – pyta Jubilee. – Ja naprawdę jestem potrzebna na dole. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby tu utknąć.

Kroki ustają.

– Dobra, dobra, w porządku – mówi ten sam żołnierz, który nalegał na przeszukanie. – Wszystko gra. Wychodzimy.

Powoli, po cichu, wypuszczam z płuc wstrzymywane powietrze. Jubilee rozluźnia się nieznacznie i teraz, gdy żołnierze są w odwrocie, pozwala sobie szybko zerknąć w moją stronę. Oczy ma szeroko otwarte, ale na twarzy widać ulgę. Okręca się na pięcie ku kokpitowi.

– Zaraz... Pani kapitan, dokumenty!

Czas zatrzymuje się na ułamek chwili, po czym wydarzenia następują po sobie ospałą, nieubłaganą serią. Ciężkie buciory znów dudnią o podłogę. Jubilee się odwraca. Brzęcząca ciszę przeszywa czyjś głos.

– Tu ktoś jest – mówi.

Podnoszę głowę i napotykam wzrok żołnierza patrzącego prosto na mnie. Przesuwa dłoń ku przypiętej do pasa kaburze. Zza jego pleców wyłania się pozostała dwójka. W oczach Jubilee lśni pełne strachu wahanie.

Ale błyskawicznie znika. Moja towarzyszka rzuca się do przodu, chwytając stojącego najbliżej mężczyznę, pociąga go w dół i kolaniem przygniata mu bark do podłogi. Pistolet wyślizguje mu się z bezwładnej dłoni. Jubilee wymierza mu kopniaka w szczękę, po czym robi krok do przodu i łokciem zaprawia w brodę kolejnego żołnierza, kobietę, z hukiem popychając ją na ścianę. Jest bezbłędna, śmiertelnie skuteczna, jak drapieznik.

Wszystko trwa tyle co jedno mrugnięcie. Jubilee staje przodem do trzeciego z żołnierzy, który wycofał się, by uniknąć ciosów.

– Pani kapitan – dyszy, wyraźnie wystraszony. – Aresztuję panią pod zarzutem napaści i... i zdrady...

Jubilee oddycha ciężko, sprężona do skoku.

– Cofnijcie się, szeregowy. To nie wasza sprawa. Zabierzcie kolegów do szpitala i tam możecie złożyć na mnie raport.

Mężczyzna waha się przez moment, spoglądając w panice to na nią, to na dwa nieruchome, zwiotczone kształty na podłodze. Jego palce drgają niemal niezauważalnie, ale to wystarczy: Jubilee zauważa ruch, doskakuje do żołnierza i oboje w tym samym momencie chwytają gleidel. Strumień lasera z jazgotem odbija się od metalowej ściany.

Jubilee wyrywa chłopakowi pistolet i z całej siły uderza go kolbą w skroń. W mgnieniu oka jest po wszystkim.

Stoi nad trójką nieprzytomnych żołnierzy, dysząc ciężko, jak po wielogodzinnym biegu. Ściskając w rękę broń, mocno wpiera stopy w podłogę, jakby w każdej chwili gotowa była zacząć walkę od początku. Nic, co o niej słyszałem, nie okazało się prawdą. Jest jeszcze szybsza, niż mówią. Każdego dnia, który spędziłem razem, mogła mnie zabić dziesiątki razy.

Po kilku sekundach rusza z miejsca, spogląda na mnie przez ramię i rzuca mi odebrany żołnierzowi gleidel.

– Umiesz się tym posługiwać?

Przełykam ślinę i nerwowo łapię broń.

– Jesteś pewna?

– Kiedy już wrócimy, po prostu kieruj go lufą w stronę wroga.

– Czyli kogo?

Na to pytanie nie potrafi odpowiedzieć i na moment w jej oczach odbija się świadomość tego, co zrobiła. Przekroczyła granicę. Kiedy *trodairi* się ockną, złożą meldunek oskarżający ją o zdradę. Tak jak ja nie może już wrócić do domu.

Jubilee chrząka, po czym wspólnymi siłami wyciągamy nieprzytomnych żołnierzy na opustoszałą platformę i chowamy za stojącymi w pobliżu kontenerami. Wiem, że to niewiele da. Wkrótce ktoś ich znajdzie albo sami oprzytomnieją i podniosą alarm. Ale my dzięki temu odrobinę zyskamy na czasie. Tyle, by przemyśleć kolejny krok. Wracamy na pokład i tym razem siadam w fotelu drugiego pilota. Jubilee zaczyna naciskać jakieś przełączniki pewnymi ruchami, które sprawiają, że niemal nie dostrzegam drżenia jej rąk. Po sposobie, w jaki zaciska szczękę, poznaję, że nie ma ochoty rozmawiać, nie chce się zastanawiać nad tym, co zrobiła. Chce po prostu działać dalej i to akurat jestem w stanie zrozumieć.

Wyczuwam lekki wstrząs i nieznaczny ruch, kiedy wahadłowiec przesuwa się na wyrzutnię startową. Jubilee w milczeniu wpisuje kod oczekiwania. Aktywuje się system komputerowy statku.

Następuje kolejny wstrząs, rozlega się szum, siła bezwładności wciska mnie w fotel i po raz drugi tego dnia wzbijamy się pionowo w przestrzeń. Żadne z nas się nie odzywa. Okna wciąż są zasłonięte. Jubilee nawiguje, obserwując nasz kurs

na wyświetlaczu. Przełącza następny guzik i szum silnika przeradza się w cichutki szmer, a światło w kabinie przygasa.

– Okej – mówi, odchylając się w fotelu i opierając dłonie na udach. – Jesteśmy na tyle daleko, że jeśli dobrze pójdzie, przy zgaszonych światłach radary uznają nas za satelitę.

– Ale w końcu nas znajdą, prawda?

Jubilee przełyka ślinę.

– Tak.

Tak bardzo chciałbym jej dotknąć, ująć za ręce i podziękować, że przeciwstawiła się dla mnie swoim ludziom – ale wiem, że nie zrobiła tego tylko dla mnie. Ona również uwierzyła w tę walkę. Wie równie dobrze jak ja, że ocalenie Avonu jest ważniejsze od podziałów na swoich czy obcych. Wiem też, że nie życzy sobie, żeby ją pocieszać.

Chrząkam więc i mówię:

– Kartka od Merendsen. Sprawdźmy, czy jest tam coś, co nam pomoże.

Jubilee wyciąga z kieszeni pokryty drukiem zmięty świstek i pochylamy się nad nim oboje. Lilac pisze o wszystkim, z czym wydaje się ją kojarzyć Jubilee: o balach, strojach i wakacyjnych wożach. Merendsen część tekstu zostawił bez zmian, jednak między niektórymi wierszami widnieje odręczne tłumaczenie:

Walec zdobył dostęp – głoszą pospiesznie nabazgrane litery. – Żadnych śladów wskazujących na to, że ośrodek przeniesiono na Avon. Walec odkrył jednak trzy zakodowane listy przewozowe sprzed dziesięciu lat, z nieznaną lokalizacją w sektorze, w którym rozbił się Ikar. Trzy ładunki, trzy planety docelowe: Korynt, Werona, Avon.

Jubilee trzyma kartkę trzęsącą się dłonią. Dorastała na Weronie. Tam również wybuchła rebelia – dziesięć lat temu. Delikatnie chwytam ją za rękę.

Avon to laboratorium LRI, a żołnierze to ich króliki doświadczalne. Szepty nigdy by ich nie skrzywdziły: furia musi być efektem ubocznym. J. i F. muszą znaleźć dowody i przedstawić je galaktyce, tylko w ten sposób uda się to wszystko powstrzymać. Nie pozwólcie, by mój ojciec jeszcze kogoś skrzywdził.

Potem następują kolejne relacje z przyjęć i wynurzenia na temat ciuchów, jakby moda była jedyną rzeczą na świecie, która obchodzi Lilac LaRoux. Jubilee bezsilnie opuszcza rękę i opiera ją na udzie.

– Dlaczego on to robi? – Szum silników w tle sprawia, że nie jestem w stanie zebrać pogmatwanych myśli.

– Co ten człowiek ma przeciwko Avonowi?

– Tu nie chodzi o sam Avon – odpowiada cicho Jubilee, podnosząc na mnie wzrok. – To po prostu najdogodniejsze miejsce. Planeta z dala od centrum galaktyki i zbyt młoda, by kogoś zainteresować. Niekończąca się wojna zapewnia mu nieskończoną liczbę obiektów do badań.

– Jakich badań!? – pytam urywanym z bezsilności głosem. – Jaki on może mieć pożytek z tego, że ludzie tracą rozum?

– Lilac twierdzi, że to efekt uboczny. Może po prostu naukowcy LRI wciąż nad tym pracują – mówi Jubilee, z drżeniem nabierając powietrza. – Nie miałam okazji ci o tym powiedzieć, ale coś się stało z komendant Towers, tuż przed tym, jak... Tuż przed tą całą sprawą z Mollym.

W jej oczach błyszczy strach.

– Furia?

Jubilee kręci głową.

– Nie, to było coś innego. Towers opowiadała mi właśnie, że LaRoux Industries siedzi na Avonie od lat, że nam się przyglądają. Jej oraz jej poprzednikom wmawiali, że prowadzą badania nad lekiem na furie, ale...

Spogląda na dłonie i wiem, że myśli o plamach krwi, które z nich zmyłem.

– Towers nie wybuchła, nie zaatakowała mnie. Po prostu... przestała kontaktować. Wróciła do pracy. Jakby coś nią owładnęło.

– Jakby coś nią kierowało?

Usiłuję zignorować przebiegający mi po plecach dreszcz. Nagle wraca do mnie rozmowa z Sofią.

– Moja przyjaciółka z miasta, ta, która mnie ukrywała... Córka Davina Quinna. Mówiła, że jej ojciec przez tydzień przed zamachem był jakiś niewyraźny, nieobecny. Ty twierdzisz, że furia zawsze jest szybka i brutalna, ale z Davinem tak nie było. Ani z komendant Towers. Ani...

Jubilee kiwa głową. W blasku kontrolek jej twarz jest szara jak popiół.

– Ani ze mną.

W ciężkim, gęstym szumie silników i systemu podtrzymywania życia głos Jubilee brzmi cicho, jakby się obawiała, że wypowiedzenie tych słów na głos uczyni je bardziej prawdziwymi.

– Być może Davin posłużył im na próbę. I Towers, kiedy się przestraszyli, że wyjawili ich tajemnice. Czy w ogóle jest coś, czego taki człowiek jak Roderick LaRoux nie zrobiłby dla umiejętności kontrolowania ludzkich umysłów?

Czasem dziewczynka śni w kolorze. Lekcje w szkole są żółte jak masło albo płatki kwiatów, a książki mają barwę głębokiego błękitu, jak wody oceanu, o których czyta. Jej matka jest czerwonopomarańczowa, zaś skóra ojca ma lżejszy, brzoskwiniowy odcień. Razem wyglądają jak zachód słońca.

Ale sny zawsze bledną i dziewczyna nie potrafi powiedzieć, jakiego koloru był sierociniec albo jednostka treningowa na Paradise, albo bar, który odwiedza po służbie. Żyje w świecie pozbawionym barw, nie czarno-białym, lecz szarym i wyblakłym. Nawet za nimi nie tęskni, jakby ktoś usunął jej z głowy ich wspomnienie.

Dziewczyna wie, że chłopiec jej szuka. Kiedy znajdzie, jego oczy będą zielone, a ona sobie przypomni.

JUBILEE

Żadnych śladów osiem-jeden-dziewięć, skanowanie w toku. Alarm w kontroli lotów, strzelać bez uprzedzenia. Zdrajcy na pokładzie. To o nas. Słuchawki komunikatora unoszą się kilka centymetrów od mojej ukrytej w dłoniach twarzy. Z westchnieniem wyłączam dźwięk i zapada cisza. Osłony ciepłochłonne wciąż są opuszczone. Nie widząc otaczającego nas bezmiaru kosmosu, czuję się prawie tak samo jak w kryjówce Flynna, gdy przytuleni do skalnej ściany czekaliśmy, aż pościg przejdzie bokiem.

Nie mam pojęcia, co robić, i to mnie dobija. Kiedy podnoszę głowę, zauważam, że mój towarzysz przypatruje mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Tak mi przykro, Flynn. Żałuję, że musisz tu tkwić, tak daleko od domu.

Zmienia pozycję, przesuując palcem po pasie bezpieczeństwa.

– Sam dokonałem wyboru – mówi cicho. – Mogłem spróbować ucieczki. Sam zdecydowałem, że lecę z tobą.

Jest równie spięty jak ja, może nawet bardziej, choć niezwykle trudno pogodzić to uczucie z błogim spokojem nieważkości, w jakiej się znajdujemy. Tlenione włosy falują mu wokół twarzy. Ma na sobie znoszoną, pocerowaną i za dużą koszulę, zapewne pożyczoną od córki Davina Quinna. W niczym nie przypomina Romea, który wywlókł mnie z baru, ani Cormaca, który rzucił się między mnie a swoich ludzi.

Zupełnie jakby tamten facet umarł. To ja go zabiłam.

– I tak mi przykro – mamroczę. – Boże, czemu to wszystko musi być takie popieprzone?

– Chyba dlatego, że dobraliśmy się jak w korcu maku – odpowiada lekko Flynn, a w jego zdławionym głosie pobrzmiwa żartobliwa kpina.

Zauważam, że ściska poręcz fotela i gdy przesuwa rękę, na plastikowej powierzchni zostaje wilgotny ślad.

Dopiero wtedy niespodziewanie wraca do mnie świadomość, że Flynn nigdy wcześniej nie był w kosmosie. Nigdy nie oderwał się od ziemi. I to on stara się mnie uspokoić.

– Hej. – Wychylam się tak mocno, jak pozwalają na to pasy. Czuję, jak moje włosy w zwolnionym tempie unoszą się w powietrzu.

– Chcesz zobaczyć gwiazdy?

Flynn mruga i spogląda na mnie szeroko otwartymi oczami, jakby nagle uleciała z niego cała udawana odwaga.

– Zobaczyć... co?

– Gwiazdy.

Gestem wskazuję zasłonięty iluminator. Mogłabym dodać, że to prawdopodobnie jego ostatnia szansa, ale on przecież o tym wie.

– Zazwyczaj zostawiamy osłony zamknięte przez cały rejs, choć w zasadzie przydają się tylko podczas przelotu przez atmosferę. Chcesz zerknąć?

Flynn przełyka ślinę, kurczowo zaciskając palce na poręczach. Mam ochotę mu powiedzieć, że nie ma się czego bać, jesteśmy tu bezpieczniejsi, niż byliśmy na powierzchni Avonu, ale wiem, że to nic nie da, ponieważ jego strach nie ma racjonalnych podstaw. Nawet ja, ilekroć znajduję się w przestrzeni kosmicznej, czuję przyływ jakiejś pierwotnej adrenaliny.

Ten stan przypomina ćwiczenia z nurkowania, w których bierze udział każdy świeżo upieczony żołnierz. Kiedy powierzchnia wody zamyka się nad tobą i zaczynasz oddychać przez maskę, w pierwszej chwili twój organizm protestuje, odmawia posłuszeństwa, masz wrażenie, że zaraz umrzesz. Logiczne rozumowanie nie jest w stanie powstrzymać tego uczucia, musisz pozwolić, by cię wypełniło, i poczekać, aż minie. Musisz się z nim pogodzić.

Wstrzymując oddech, patrzę na Flynna, który bardzo powoli kiwa głową.

Nachylam się nad panelem kontrolnym i lekko naciskam guzik uwalniający osłony. Mechanizm szumi, po czym grube metalowe pancerze rozchodzą się na boki. Niebo jest pełne gwiazd.

Powietrze ucieka Flynnowi z płuc z głośnym szmerem i widzę, jak mój towarzysz wciska plecy w oparcie fotela. Dostrzegłszy jego rozbiegany wzrok, łapię go za rękę. Chwyta mnie kurczowo jak tonący.

– Hej, jestem przy tobie.

Splatom palce z jego palcami. Pozwól, żeby powierzchnia wody zamknęła się nad tobą, i zaufaj masce tlenowej. Nie panikuj.

Stopniowo jego oddech się uspokaja, a bolesny uścisk rozluźnia. Przerazenie na twarzy blednie, a spojrzenie odzyskuje ostrość. Jak okiem sięgnąć, widać tylko gwiazdy, nie licząc skrawka Avonu po lewej stronie szyby – łagodnej szaroniebieskiej poświaty zasnuwających go chmur. Jej mżenie obejmuje rysy Flynna, gdy ten wychyla się z pasów.

Jak zahipnotyzowany wpatruje się w przestrzeń za szybą, a ja nie jestem w stanie oderwać wzroku od jego twarzy. W oczach lśni mu odbite światło gwiazd. Otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Ta twarz, te oczy – są piękne.

Czuję pod powiekami piekące łzy i gwałtownie puszczam jego rękę. Chrząkam, pochylam głowę i zaczynam majstrować przy zabezpieczeniach.

– Jesteś głodny? Później możemy nie mieć okazji, a zdaje mi się, że gdzieś tu powinny być jakieś zapasy.

– Jasne – mamrocze Flynn zdławionym głosem, który jednak nie zdradza, że

zauważył targające mną niewyjaśnione emocje.

Może po prostu przypomniało mi się, jak sama po raz pierwszy zobaczyłam gwiazdy z kosmosu. Do tego w każdym razie próbuję się przekonać.

Odpinam pasy i czepiając się uchwyty, powoli płynę w kierunku niedużej ładowni. Na wielkich statkach pasażerskich i stacjach kosmicznych montuje się wirujące pierścienie, które generują przyciąganie, ale na promach takich jak ten człowiek musi się pogodzić z nieważkością.

Odwróciwszy się, zauważam, że Flynn bacznie śledzi moje ruchy. Sięgam do schowka i zahaczam stopy o przymocowane na dole klamry. Z jego perspektywy wyglądam, jakbym stała na ścianie, ale z mojego punktu widzenia schowki znajdują się teraz w podłodze i o wiele łatwiej ich dosięgnąć.

Otwieram pierwszy i znajduję wewnątrz nienaruszoną paczkę z żywnością, a gdy ją wyciągam, spod spodu wyłania się następna.

– Tu wszystko jest liofilizowane – ostrzegam Flynna. – Możesz podejść, tylko powoli. Grunt to delikatne ruchy. Jeśli cię poniesie w jakąś nieoczekiwaną stronę, po prostu wystaw rękę albo nogę i dotknij czegoś, to wyrównasz lot.

Flynn odpina zabezpieczenia i zaczyna sunąć w moją stronę z przesadną ostrożnością. Na jego twarzy maluje się skupienie.

– To jak przeprawa czołnem przez bagna.

Uchwyt wyslizguje mu się z dłoni, więc wyciągam rękę i chwytam go za kurtkę.

– No, prawie.

Robi to samo, co wszyscy świeżo upieczeni rekruci: stara się orientować „na podłogę”, choć nie ma grawitacji, która by go ku niej ciągnęła. Mam ochotę parsknąć śmiechem – ale muszę przyznać, że mimo wszystko nieźle sobie radzi.

Rzucam w niego jedną z racji żywnościowych, po czym biorę kilka kęsów drugiej, a resztę wciskam do tylnej kieszeni spodni. Flynn wygląda równie źle, jak ja sama się czuję – jest zarazem wykończony i niespokojny. Wiem, że musimy znaleźć jakiś sposób, by wrócić na Avon, jednak nagle uświadamiam sobie, jak potwornie jestem zmęczona.

Muszę cały czas pozostawać w ruchu, inaczej będzie po mnie.

– Ciekawe, co jeszcze tu mają – zastanawiam się na głos, sięgając ku drugiemu schowkowi, w którym znajduję więcej nienaruszonych paczek. – Jedno takie opakowanie wystarczy dwóm osobom na czternaście dni. Woda na promie jest uzdatniana w zamkniętym obiegu.

– Czyli żarcia mamy na kilka miesięcy – odpowiada Flynn, przelitykając ostatni kęs i otwierając jeszcze kilka wypchanych po brzegi schowków. – Może nawet lat.

– Pełno go tu.

W mojej głowie powoli i bardzo ostrożnie rodzi się pewna myśl, z którą

jednak nie mam odwagi się zmierzyć.

– Wygląda na to, że statek jest przygotowany do misji transportowej. Przewiezienia dużej liczby żołnierzy w jakieś odległe miejsce.

Flynn, plecami do mnie, otwiera kolejne schowki. Ja jednak uparcie wpatruję się w świeżo rozerwaną paczkę. Pożywienie na wiele miesięcy dla całego plutonu. Dla dwójki ludzi starczy na lata.

– Moglibyśmy po prostu uciec.

Słowa ulatują ze mnie szeptem i wypowiadając je, nie śmiem podnieść wzroku, nie śmiem spojrzeć Flynnowi w twarz. Przeraza mnie bowiem to, co mogłabym na niej ujrzeć.

Czuję podmuch powietrza, kiedy obraca się w moją stronę. Pochyla głowę i próbuje zajrzeć mi w oczy, ale mu na to nie pozwalam. Cokolwiek ma mi do powiedzenia, nie chcę tego słyszeć. Sprawiłoby bowiem, że to, co powiedziałam, stałoby się prawdziwe.

– Nieważne – rzucam ostro. – Żartowałam.

Akurat.

– Jubilee.

Jedną ręką trzyma się uchwyty, ale drugą wyciąga do mnie i muska palcami obrys mojej twarzy.

– Daj spokój, Flynn. Zapomnij.

Przez kilka sekund milczy, choć ciężar jego spojrzenia mówi sam za siebie. Czuję, jak policzki pali mi wstyd i poczucie winy.

– Dokąd chcesz lecieć? – pyta w końcu z uśmiechem w głosie.

Zerkam na niego przelotnie.

– Jak to?

– Dokąd polecimy? To może być dowolne miejsce w galaktyce. Gdzie chciałaby zamieszkać Jubilee Chase?

Tym razem spoglądam na niego dłużej, uważnie, szukając w jego rysach jakichś śladów tego, co dzieje się w głowie – pogardy, oskarżenia, zażenowania pomyślałam, że moglibyśmy opuścić naszych ludzi, porzucić całe dotychczasowe życie. I uciec. Ale on tylko się uśmiecha i owija sobie wokół palca falujący w powietrzu kosmyk moich włosów, który skręca się w wolno dryfującą spiralę.

– Na pewno nie na Koryncie – mówię w końcu lekko ochrypłym głosem. – Za duży ruch, za dużo ludzi. Ale świeżo zasiedlona planeta to też kiepski wybór. Może na Patronie, tam mi się podobało. I od dawna nie było wojny.

Uśmiech Flynnna sprawia, że opuszcza mnie przerażenie.

– Jeżeli mają tam takie niebo jak to, jestem za.

– Dokładnie takie to nie. Ale moglibyśmy znaleźć jakąś wysoką górę, gdzie powietrze jest rzadsze, i już by było prawie tak samo.

Flynn nieznacznie zmienia pozycję i mocniej zaczepia stopą o klamrę.

– A co Jubilee Chase chciałyby robić w życiu, poza polowaniem na rebeliantów i obdzieraniem ich żywcem ze skóry?

– Nie wiem. Najlepiej coś nudnego. Mogłabym pójść do szkoły wieczorowej i zostać dentystką.

To go rozbawiło. Krótki wybuch śmiechu sprawia, że kąciki ust same idą mi do góry.

– O Boże, nie. Zupełnie tego nie widzę.

– Niby czemu? Na pewno byłabym świetna.

– A jak wiemy, na bezludnych górskich szczytach jest szalone zapotrzebowanie na dentystów.

Przygląda mi się tak uporczywie, jakby chciał nauczyć się mnie na pamięć.

– No dobrze, a ty? Mógłbyś zostać księgowym albo mechanikiem, albo kimś podobnym.

Kiwam palcem w jego stronę, co kończy się utratą równowagi.

Flynn obejmuje mnie ramieniem, podtrzymując nas oboje.

– Na pewno nie księgowym – odpowiada z namysłem. – Mechanikiem może. Dbałbym o silnik naszego... Czym się jeździ w górach?

Nie mam bladego pojęcia. W górach byłam tylko raz, podczas szkoleń, kiedy uczyli nas podstaw walki w śniegu.

– Hm. Na nartach?

– W takim razie pilnowałbym, żeby nie zepsuły nam się narty.

Jego twarz jest tuż przy mojej, przez materiał koszuli czuję na plecach dotyk ciepłej dłoni. Flynn wciąż się uśmiecha, ale oczy ma tak smutne, że serce mi pęka i zamienia się w pył. Oboje wiemy dobrze, że jeśli wylądujemy, żadne z nas nie opuści Avonu żywe. On nigdy nie zobaczy gór, a ja nigdy nie pokażę mu, jak wyglądają narty.

Najbardziej w świecie pragnę wyłączyć komunikator, zgasić światła i dryfować tak długo, aż przyciągnie nas grawitacja jakiejś odległej planety. Chcę się przytulić do Flynna, puścić klamry i po prostu pozwolić nam popłynąć. Jego wzrok zatrzymuje się na moich ustach i wiem, że myśli o tym samym, poznają to po przepływie powietrza między nami. Niemal czuję na języku smak jego warg, włoski na rękach unoszą mi się i zwracają w jego stronę jak rośliny do słońca.

To najtrudniejsze, co kiedykolwiek musiałam zrobić: zwalczyć pokusę, by pochylić się do przodu, o te kilka dzielących nas centymetrów. Ogarnia mnie gorąco, cisza wyje w uszach, czuję najłżejsze drgnienia naszych ciał, jego palce na moich plecach, każdy urywany oddech, wdech, wydech, wdech, wydech. Widzę, jak jego jabłko Adama unosi się i opada. Ciemne rzęsy, jego wzrok na moich ustach. Każde z nas, zawieszony w próżni, czeka, aż to drugie przygarnie je do siebie i szczepieni, bezradni wobec siły przyciągania, runiemy w przepaść.

Wtedy któreś z nas wykonuje jakiś ledwo wyczuwalny ruch. Zamykam usta

i przełykam ślinę. Flynn mruga i lekko zaciska zęby. Wypuszczam powietrze z płuc, a on nieznacznie przesuwam ramię. Drobne zmiany, niezauważalne ruchy sprawiają, że oddalamy się od krawędzi, kroczyliśmy krok za krokiem, do momentu, gdy uchodzi z nas napięcie i rozdygotani uświadamiamy sobie, jak niewiele dzieliło nas od straceńczego skoku.

– Flynn...

Z trudem rozpoznaję własny głos, cichy, pełen rozpacz, której źródła nie potrafię wskazać.

– Ja nie potrafię być nikim innym.

Łapie mnie za koszulę, gniotąc w palcach materiał. Nawet po tym, jak w milczeniu zgodziliśmy się porzucić niewybraną drogę, on nadal nie chce wypuścić mnie z objęć.

– Myślę, że ty też nie – dodaję.

– Muszę uwierzyć, że możemy pozostać sobą, tylko inaczej.

Głos ma znużony, uciekł z niego cały humor. Jest smutny, ogromnie smutny, i wiem, że nie tylko ja jestem przyczyną tego smutku, a ta świadomość sprawia, że ogarnia mnie jeszcze większa rozpacz. Flynn odwraca się do mnie profilem. Poświata Avonu obejmuje swoim blaskiem jego nos i usta artysty.

Próbuję odetchnąć.

– Flynn, my się właściwie nie znamy. Poza... tym. – Toczę ręką dookoła, ale on przecież wie, że nie mam na myśli wnętrza promu, tylko wszystko, co się wydarzyło.

– Może nawet byśmy się nie polubili, gdyby każda sekunda każdego dnia nie była walką o przetrwanie.

– Może kiedyś będziemy mieli okazję się o tym przekonać.

Flynn odsuwa się z ociąganiem, czuję, jak jego palce prześlizgują się po moich żebrach, aż wreszcie puszcza, choć wiem, że tego nie chce.

Kiedyś... Kiedyś, kiedy jego ludzie odzyskają wolność, a moi nie będą musieli więcej walczyć. Kiedyś, kiedy się zestarzeje – co nigdy nie nastąpi, ponieważ zginie młodo, i ja zginę młodo, i gdy ta niekończąca się wojna wreszcie się skończy, nas już tu nie będzie. Kiedyś, kiedy niebo się przejaśni, a nad Avonem wszędzie słońce. Zawsze to samo „kiedyś”.

Wsluchuję się w bicie własnego serca, które niemal wyrывa mi się z piersi w ślad za ulatującym ciepłem dotyku Flynnna.

– Kiedyś – powtarzam jak echo.

Ostatni dzień grudnia, a ona jest na służbie. Na Weronie, gdzie rok trwa mniej więcej tyle co na Ziemi, zawsze było to święto wiosenne, co jej zdaniem miało dużo sensu. Noworoczne postanowienia kielkowały wraz z liśćmi, ciepłe promienie słońca odpędzały chłód niepewności. Tu, na Patronie, rok rozpoczyna się za każdym razem w innym momencie, bo choć kalendarz jest ziemski, cykl pór roku trwa półtora raza dłużej.

W tym roku grudzień kończy się późną jesienią. Dziewczyna myśli o zrzucaniu z siebie przeszłości tak samo, jak drzewa zrzucają czepiające się ich gałęzi pomarszczone liście, ale przecież liście nie znikają. Spadają na ziemię wokół drzewa i otaczają pień gnijącym całunem.

Kiedyś, myśli dziewczyna, spędzę sylwestra wysoko w przestworzach.

Zrywa się wiatr. Ostatnie liście opadają z drzew i tańczą leniwie wokół niczym parodia ducha z Werony. Jak martwe gwiazdy, które straciły swój blask. Jej oddech zasnuwa powietrze obłoczkiem pary i dziewczyna myśli: trudno, niech będzie i tak.

FLYNN

Niemal trzęsę się z wysiłku, walcząc z pokusą, żeby znów jej dotknąć. Ból rozsadza mi czaszkę. Z trudem opuszczam ręce, które automatycznie zaciskają się w pięści. Wiem, czego Jubilee ode mnie chce, i wiem, co muszę zrobić, uśmiecham się więc resztkami sił, choć grymas ten nie ma nic wspólnego z prawdziwą wesołością. Powoli, żeby nie stracić równowagi, łapię się uchwyty schowka.

– Nie masz pojęcia, jaki jestem okropny – odzywam się swobodnym tonem, który zadziwia mnie samego. To jest straszne, straszne. – Na przykład bałaganie. I nienawidzę robić prania.

W głowie boleśnie rozbrzmiewa mi głos Seana i przypominam sobie opowieść o Oisínie i Niamh. Ich światy też były diametralnie różne, choć usilnie próbowali je pogodzić.

W oczach Jubilee rozbłyska jakieś przelotne zrozumienie – zgoda na to, że razem znajdziemy sposób, by wykaraskać się z tej pułapki i wylądować na bezpiecznym gruncie. Odwracam wzrok ku świetlistym spiralom za oknem, usiłując objąć umysłem dzielące je odległości. Nigdy nie wyobrażałem sobie niczego tak bezmiernego jak zawieszony w kosmosie gwiazdy.

– Musimy coś wymyślić – przerywa milczenie Jubilee. – Nie chcemy uciekać i nie możemy zostać tu na zawsze. A to oznacza, że...

– Wracamy – kończę z bólem serca.

Jakim cudem idea powrotu do domu tak mnie przeraża?

– I robimy to, o czym pisała Lilac LaRoux. Szukamy dowodów.

Odwracam się i spoglądam na Jubilee w poszukiwaniu oznak tej samej grozy, która przenika mnie do szpiku kości. Jeszcze tydzień temu bym ich nie znalazł. Ale teraz dostrzegam wyraźnie zmarszczone brwi, widzę, jak mruga szybko i oblizuje usta. Ona też się boi.

– To, co zrobiłaś tam, na stacji... – zaczynam z wahaniem. – Żeby mnie uratować...

Jubilee powstrzymuje mnie ruchem głowy.

– Przestań – mówi, a jej przelotny uśmiech łagodzi słowa, które w innych okolicznościach odczytałbym jako reprimendę. – Nie czas na podziękowania, Romeo. Jakie to ma teraz znaczenie.

– Dla mnie bardzo duże.

Tym razem uśmiech nie znika od razu, a jej oczy odnajdują moje. Przypatrujemy się sobie w blasku gwiazd i mżącej poświacie Avonu. Chciałbym ucześcić się tej chwili, jak żdźbła spokoju w samym środku burzy.

Nagle ciszę przerywa trzask komunikatora.

– Osiem-jeden-dziewięć, tu baza. Zgłoś się.

Podskakuję, z niedowierzaniem wpatrując się w konsolę.

– Myślałam, że to wyłączyłaś.

Jubilee przetyka ślinę i śledzi wzrokiem unoszące się nad kontrolkami słuchawki.

– Bo wyłączyłam. To nie nasłuch. Połączyli się bezpośrednio z nami.

– Co to znaczy?

Ostry kobiecy głos powtarza wezwanie, podczas gdy Jubilee gorączkowo naciska przyciski, uruchamiając skaner.

– To znaczy, że nas znaleźli.

Spoglądam na odczyt, a ona pokazuje palcem pięć kropek zbliżających się do środka okręgu. Choć nie mam pojęcia o radarach, nie trzeba specjalisty, by wiedzieć, co to oznacza. Statki zmierzają w naszą stronę.

Jubilee drżącymi rękami nakłada słuchawki.

– Baza, tu osiem-jeden-dziewięć. Odwołajcie myśliwce, nie jesteśmy uzbrojeni.

– Kapitan Chase – odzywa się głos w radiu. – To pani?

– Tak, pani komendant – odpowiada Jubilee.

W rzucanej przez planetę poświacie jej twarz nabrała szarej barwy i przypominam sobie, co mówiła o swoim ostatnim spotkaniu z szefową jednostki.

– Tu Lee Chase.

– Pani kapitan, nie chcemy więcej ofiar – zapewnia głos, trzeszczący, szarpany zakłóceniami powstałymi w atmosferze Avonu. – Wierzę, że nie ma pani przestępczych zamiarów. Proszę się poddać, a odholują panią do bazy i porozmawiamy.

Jubilee spogląda na mnie z miną, której nie potrafię rozszyfrować, widzę jedynie głębię mieszejących się w niej emocji.

Wiem, o co chce zapytać. Jeśli wrócimy, aresztują mnie. „Ufam ci”, odpowiadam bezgłośnie. Wiem, co oznacza dla niej ta druga szansa. Wiem, ile to znaczyłoby dla mnie, gdyby moi ludzie zgodzili się przyjąć mnie z powrotem.

– Proszę się natychmiast poddać – powtarza głos w słuchawce. – I oddać nam rebelianta, którego pani kryje. Aresztujemy go, ale zapewniam, że nie zostanie stracony bez sprawiedliwego procesu. Pani kapitan, wszystko jest jeszcze do przedyskutowania.

Nagle Jubilee przestaje się wahać. Ściąga słuchawki, jakby ją parzyły. Potrząsa głową i gwałtownym ruchem wyłącza komunikator.

– To nie jest komendant Towers – mówi, zamykając oczy. – I ta propozycja też nie jest prawdziwa.

Znów spoglądam w gwiazdy, tym razem ze świadomością, że być może widzę je po raz ostatni.

Jubilee wpatruje się w skaner, obserwując, jak pięć statków ustawia się w szyk bojowy i zbliża do nas od tyłu.

– Flynn? – mówi, odciągając moją uwagę od bezkresnej panoramy za oknem.

– Tak?

Zaciska palce na sterach i bierze głęboki oddech.

– Zapnij pasy.

Znów śni jej się, że tonie. Zachłystuje się, próbuje złapać powietrze, ale wdycha tylko ciemność, która wlewa jej się do płuc jak woda, wypełnia ją i pozostawia po sobie pustkę. Chce krzyczeć, ale ze wszystkich stron otacza ją próżnia, cicha, nieruchoma i czarna.

Aż nagle łagodne zielonkawe światło każe jej otworzyć oczy. Obok unosi się zielonooki chłopiec, podaje jej rękę i przyciąga do siebie – i nagle dziewczyna zaczyna oddychać. Jak wtedy, gdy w dzieciństwie śniła o nurkowaniu, ciemność w jej płucach jest teraz niczym powietrze.

Chłopiec się odzywa, i choć go nie słyszy, wibracje jego głosu wnikają w nią przez ich złączone dłonie i rozumie każde jego słowo.

– Ufaj temu, co czujesz.

JUBILEE

Konsola jarzy się ostrzeżeniami, w górze wyją alarmy. Pędzimy na łeb na szyję, wbijając się w atmosferę z prędkością, która grozi utratą kontroli nad statkiem. Ale o to właśnie chodzi. Ścigające nas maszyny to myśliwce i nie ma sposobu, by zwykły wahadłowiec umknął im w otwartej przestrzeni kosmicznej. Czeka nas więc pojedynek na brawurę.

Wpadamy w mezosferę i osłony zasuwiają się z hukiem, chroniąc nas przed przeraźliwym gorącem generowanym przez spadek wysokości. Gdy tylko powietrze nabiera gęstości, pojazd zaczyna gwałtownie dygotać – projektujący szafki i fotele nie brali pod uwagę wstrząsów o takiej mocy. Z tyłu dochodzi mnie donośny stukot i szczęk objających się o siebie klamer pasów bezpieczeństwa.

Z całych sił ściskam stery. Uprząż wrzyna mi się w ciało, a impet wciska w fotel tak mocno, że boli mnie dosłownie wszystko. Chciałabym sprawdzić, co z Flynnem – ten szalony lot nawet zaprawionego w bojach weterana skłoniłby do modlitwy, obojętnie do jakich bóstw, a co dopiero osobę, która leci pierwszy raz. Ale nie mogę, ponieważ wiem, że wystarczy jeden fałszywy ruch, jeden błędny manewr, a wahadłowiec rozleci się w powietrzu i oboje zginiemy na miejscu.

Teraz, gdy iluminator jest zasłonięty, muszę polegać na cyfrowym wyświetlaczu na tablicy rozdzielczej. Czekam, aż linie zmienią swoje położenie na znak, że wlecieliśmy w troposferę – ten jeden raz cieszę się, że jestem akurat na Avonie, ponieważ to właśnie w wiecznie zasnuwających go chmurach zamierzam zgubić pościg.

Zanurzywszy się w nich, natychmiast cofam wajchę. Rozlega się przeraźliwy jazgot i siła grawitacji tak mocno wgniata mnie w fotel, że oczy zachodzą mi mgłą, a na obrzeżach pola widzenia pojawiają się czarne plamy. Powietrze ucieka mi z płuc. Popuszczam nieco ster, aż odzyskuję zdolność oddychania. Miejmy nadzieję, że myśliwce, zgubiwszy nas w chmurach, pomkną ku powierzchni planety. Wyrównujemy tor lotu, a ja zaczynam widzieć normalnie i nie zważając na pulsowanie w skroniach, skręcam w prawo i kieruję nas na wschód. Tam, gdzie nie ma rebeliantów ani wojskowych patrolów – jest tylko wyspa, na której jakiś czas temu stał odkryty przez Flynną tajny ośrodek. Cel naszej podróży.

Stopniowo odzyskuję słuch i dochodzi do mnie dźwięk urywanego, pełnego paniki oddechu, kiedy jednak próbuję się odezwać, uświadamiam sobie, że sama go wydaję. Natychmiast zerkam na stanowisko drugiego pilota.

– Flynn? Żyjesz?

Nie odpowiada od razu, a gdy spoglądam po raz drugi, widzę, jak przywiera potylicą do oparcia i kurczowo ściska poręcze fotela zbielałymi dłońmi.

– Mam nadzieję, że nie – dyszy, mocniej zaciskając powieki.

Śmiech, który mi się wyrwa z piersi, jest trochę histeryczny.

– Jeszcze nie wylądowaliśmy – ostrzegam go. – A poza jednostką nie ma tu nigdzie lotniska.

– Da się wylądować na bagnach? – pyta Flynn zdławionym głosem.

– Powiedzmy – odpowiadam przez ściśnięte zęby, starając się zamaskować drżący w głosie strach.

Owszem, mógłby tego dokonać profesjonalny pilot. Mnie jednak szkolono w walce, a to... Tego nikt mnie nie uczył.

Przez jakiś czas lecimy w chmurach, a turbulencje szarpią nami prawie tak samo mocno jak podczas pikowania. Na ekranie nie widzę śladu ścigających nas myśliwców, ale to dlatego, że atmosfera Avonu czyni radary niemal bezużytecznymi. Chmury, w których się ukryliśmy, sprawiają zarazem, że nie mamy szans zorientować się, czy wciąż jesteśmy ścigani.

Wpatruję się w mapę topograficzną, przesuwając obraz w lewo, aż zauważam znajome kształty. Koryguję kurs tak, by ominąć bazę jak najszerszym łukiem, i kieruję nas w stronę wyspy. Nie możemy na niej wylądować, ponieważ potrzebuję miękkiego podłoża, aby uniknąć rozbicia statku. Mogę jednak posadzić nas na bagnie kilka kilometrów dalej. W ten sposób zdołamy dobrnąć do wyspy, zanim na miejscu pojawią się żołnierze.

Nie jest to moje najzgrabniejsze lądowanie. Statek wbija się w bagno pod kątem, częściowo się w nim zanurzając. Chcę sprawdzić, czy z Flynnem wszystko w porządku, ale nie jestem w stanie zmusić się do puszczenia sterów. W końcu to on odpina pasy, podchodzi i chwyta mnie za rękę.

– Jubilee, wylądowaliśmy. Jesteśmy na miejscu, żyjemy. Możesz już puścić.

Ujmuje moje dłonie i masuje zbielełe kłykcie.

Z trudem odrywam oczy od ekranów.

– Nic ci się nie stało?

Kręci głową, choć w półmroku kabiny jego twarz jest blada jak płótno.

– Mam tylko nadzieję, że nieprędko znowu będę musiał latać.

Potykać się, docieramy na tył pojazdu. Uderzam dłonią w przycisk otwierający drzwi. Trap opada z głośnym klekotem i wpada do wody. Statek ze zgrzytem pograża się głębiej w gęstym mule, potwierdzając to, co przypuszczałam: więcej nie wystartuje.

Zamykam oczy, pozwalając, by owiało mnie wilgotne bagienne powietrze. Niedawno zapadł zmrok i na horyzoncie majaczą ostatnie skrawki dziennego światła.

– To było niesamowite – mówi cicho Flynn.

Kręcę głową.

– Gdybym była pilotem, poszłoby nam jak po maśle. To było głupie i tyle.

Mamy szczęście, że się nie rozbiliśmy.

– Jak daleko do bazy?

– Jakies trzy, cztery godziny łodzią. Ale jeśli zauważyli, gdzie spadamy, możliwe, że wyślą za nami helikopter albo ślizgacz. Nie możemy tu zostać.

Flynn nie odpowiada od razu, zapatrzony w ciemność, zwrócony całym ciałem w stronę odległej kryjówki rebeliantów, w której mieszkał przez ostatnie dziesięć lat. Chciałabym go dotknąć, w jakiś sposób pokazać, że choć ich stracił, nie jest sam. On jednak z sykiem wypuszcza powietrze i kiwa głową.

– Tu niedaleko jest schron, z góry całkiem niewidoczny. Z zapasami jedzenia na kilka dni i apteczką na wypadek, gdyby któreś z nas oddzieliło się od grupy i nie mogło wrócić do jaskiń. Możemy się tam zadekować, póki nie przestaną nas szukać.

Zerkam na niego, choć twarz ma skrytą w cieniu.

– Serio? Rany, Flynn, masz jeszcze w zanadrzu jakieś tajemnice?

Tym razem w blasku awaryjnych świateł dostrzegam jego znużony, posępny uśmiech.

– Przynajmniej tę jedną, na szczęście dla nas.

Ponton nadmuchuje się w zaledwie kilka sekund, ale my zostajemy w statku jeszcze przez jakiś czas, by zgarnąć ze schowków jak najwięcej racji żywnościowych i przetrząsnąć pokładową apteczkę w poszukiwaniu wszystkiego, co mogłoby się przydać. Zejście po chwiejnym, ciemnym trapie będzie niełatwe, ale nie możemy ryzykować zapalenia światła, które mogłoby zdradzić naszą pozycję nawet z kilku kilometrów. Jedyne, co rozprasza mrok, są światła awaryjne, które wyłączyłabym, gdyby tylko było to możliwe.

Dopiero gdy mamy już wszystko, przystaję, by złapać oddech. Spojrzawszy na Flynn, dostrzegam tylko czarną sylwetkę majaczącą w przytłumionej, czerwonej poświacie. Podchodzi bliżej i wyciąga do mnie rękę w ciemnościach.

– Gotowa? – pyta cicho, choć oprócz mnie nie ma tu nikogo, kto mógłby go usłyszeć.

– Tak – odpowiadam głosem, w którym dźwięczy zmęczenie.

Rebelianci, żołnierze – nieprzyjaciele otaczają nas ze wszystkich stron i żaden z nich nie ma pojęcia, co tu się naprawdę dzieje. Wszyscy są zaledwie pionkami w chorym eksperymencie Rodericka LaRoux, a szept, te cierpiące, okrutne istoty, sprawiają, że eksperyment wciąż trwa.

Flynn unosi moje dłonie, pochyla głowę i przyciska do nich wargi.

– Damy radę. Jeśli będzie trzeba, wtopimy się w mrok i przeszukamy to miejsce metr po metr, aż znajdziemy dowody.

Nawet tu, pośrodku bagiennej głuszy, pozbawiony nadziei, przemawia z absolutnym przekonaniem i napęnia moje serce ogniem, który wypędza z niego lodowate przerażenie. Tą samą pasją jego siostra rozpętała wojnę. Cieszę się, że

mam go po swojej stronie.

– W takim razie cho... – zaczynam, ale słowa zamierają mi w gardle.

Ponad ramieniem Flynn, w ciemnościach mokradeł, unosi się światło. Na początku jest tak słabo widoczne, że niemal wydaje się złudzeniem. Zbyt małe i blade, by jego źródłem mogła być wojskowa motorówka. Jednocześnie zbyt stabilne i jasne, by rzucały je latarnie rebeliantów. W dziwny sposób kojarzy mi się z fosforyzującymi wodorostami w jaskiniach rebeliantów.

Nachodzi mnie jakieś wspomnienie, pojedyncza nić z głębin podświadomości. Żaden obraz ani wydarzenie, tylko pewność, że już to kiedyś widziałam. Tubylcy nazywają je błędnymi ognikami, ale... ja je nazwałam jakoś inaczej.

Na widok mojej miny Flynn odwraca się i wstrzymuje oddech. Zdjęty strachem, napręża mięśnie i cofa się o krok. Wiem, że powinnam zareagować podobnie, przypomnieć sobie wojskową tresurę, w żadnym wypadku nie tracić czujności. Ale mała kulka zielonkawego światła sprawia, że zamieram w bezruchu, bezskutecznie próbując uchwycić kołaczącą w głowie, dawno zapomnianą myśl.

Flynn coś mówi, krzyczy mi do ucha, w końcu chwyta broń odebraną nieprzytomnemu żołnierzowi w porcie kosmicznym i celuje w stronę światła.

– Jubilee, ocknij się!

– Czekaj – wołam zduszonym szeptem, otrząsając się z uroku, który rzuciła na mnie własna pamięć. – Flynn, czekaj. Ja to już kiedyś widziałam.

– Błędne ogniki? – pyta z napięciem w głosie.

Nie opuszcza gleidla. Mimo swojej pokojowej natury posługuje się nim pewnie i swobodnie.

– Nie – odpowiadam i kładę mu rękę na ramieniu. – Widziałam to na Weronie.

Flynn wreszcie odrywa wzrok od kołyszącego się delikatnie w powietrzu światełka i przenosi go na mnie.

– Błędne ogniki na Weronie?

– W November. Wyrzuciłam to z pamięci, ale... ja to coś znam. Nazywałam to moim duchem...

Ognik podskakuje na dźwięk każdego słowa, jakby je rozumiał, i rozpraszając mrok lśniąca poświata, rusza w taniec z moimi wspomnieniami, podczas gdy ja usiłuję poskładać je w całość.

– On... sprawiał, że widziałam różne rzeczy... – mamroczę. – Jakby malował mi w głowie obrazy.

– Lilac wspominała, że te istoty, szepty, sprawiają, że widzisz rzeczy, których w rzeczywistości nie ma.

Flynn spogląda na mnie, potem na ognik, wreszcie opuszcza broń, choć wciąż ścisza ją oburącz.

– I że LaRoux przywiózł je na Weronę.

Usiłując opanować zawroty głowy, z mozołem składałam w całość fragmenty wspomnień, które dawno temu zlekceważyłam jako wytwory dziecięcej wyobraźni. Robię krok do przodu, a wtedy ognek podskakuje, odpływa kawałek, po czym znowu się zbliża.

– Chce, żebyśmy za nim szli – mówię zdławionym głosem. Jednak w momencie, gdy chcę zrobić kolejny krok, ognek mruga, a potem znika.

– Może Lilac miała rację, że szepty próbują nam pomóc – dodaję.

– Albo LaRoux zorientował się, że coś wiemy. Jeżeli szepty na Avonie to te same istoty, z którymi miała do czynienia Lilac... to może być pułapka.

Flynn powoli zatyka pistolet za pas, a kiedy znów się odzywa, głos mu drży:

– Zdarzało mi się widzieć błędne ogniki, z daleka i kątem oka, ale nigdy... Mój kuzyn Sean twierdził, że kiedyś jeden z nich wywiódł go na bagna i poprowadził na wschód.

– Na wschód?

Przechodzi mnie dreszcz, bo to właśnie na wschodzie stał odkryty przez Flynna ośrodek. W uszach dźwięczą mi słowa komendant Towers. „Od czasu do czasu natykamy się na kogoś. Jakiegoś żołnierza, którego załatwiła furia. Utopionego albo wessanego przez bagno, albo z kulą w głowie, ściskającego pistolet. W fazie oblędu, jeśli w pobliżu nie ma nikogo, kogo można by zabić, ciągną na wschód, na ziemie niczyje. Szukają. Szukają tego miejsca”.

Wciąż przesuwam wzrokiem po horyzoncie. Raz po raz wydaje mi się, że dostrzegłam ognek, ale gdy mrugam, widzę tylko ciemność.

– Flynn – mówię powoli. – Pamiętasz, jak Lilac kazała nam ufać temu, co czujemy?

– Aha.

– W takim razie, skoro szepty sprawiają, że człowiek widzi rzeczy, których nie ma, czemu nie miałyby również powstrzymywać nas przed dostrzeżeniem tego, co jest? – pytam i odwracam się ku czarnym mokradłom. – Kiedy byliśmy na wyspie, cały czas szliśmy przy brzegu. Coś nas przy nim trzymało, choć wtedy nie zwróciliśmy na to uwagi.

– A więc ośrodka nikt nie przeniósł. On tam był cały czas, ukryty przez szepty.

Flynn spogląda mi w oczy i po raz pierwszy od bardzo dawna widzę w jego wzroku przebłysk nadziei.

– Zapomnij o schronie. To właśnie tam musimy popłynąć.

Zbieram się do odpowiedzi, kiedy odległy krzyk sprawia, że oboje podnosimy głowy i zamieramy, nasłuchując.

We mgle rozbrzmiewają głosy – choć są zbyt daleko, by słyszeć je było wyraźnie, to dźwięczy w nich jakaś gorączkowa nuta. Ktokolwiek to jest,

rebelianci czy żołnierze, zauważyli nas i zbliżają się w naszą stronę.

Naciskam guzik, po czym schodzę za Flynnem po trapie i wskakuję do łódki. Trap się cofa, drzwi zamykają i wreszcie gasną awaryjne światła, pogrążając nas w kompletnych ciemnościach. Flynn chwyta wiosła. Nie będą tak skuteczne, jak używane przez rebeliantów drągi, ale przynajmniej pozwolą nam przemieszczać się bezgłośnie.

Zaczyna wiosłować, ja tymczasem obserwuję okolicę. Nie widzi mojej twarzy, więc kładę mu rękę na ramieniu i mówię:

– Wahadłowiec jest skierowany na północ, a my znajdujemy się mniej więcej półtorej godziny na zachód od wyspy. Myślisz, że uda ci się ją znaleźć w tych ciemnościach?

– Potrafię się poruszać po bagnach z zamkniętymi oczami – odpowiada i słyszę uśmiech w jego głosie.

Ta sama arogancja, która wcześniej doprowadzała mnie do szewskiej pasji, teraz sprawia, że usta drgają mi mimowolnie. Mamy plan, mamy cel. Jest nadzieja.

– Świetnie. Może uda nam się zgubić ich we mgle. Ale jeśli nie...

Flynn sięga do tyłu i ściska mnie za rękę.

– Jeśli nie, to pozostaje nam mieć nadzieję, że znajdziemy dowody, zanim to oni nas znajdą.

Na mokradłach unosi się echo silników, blask odległych światel, chłopot drągów i wiosel. W ciemności, bez punktu odniesienia, mam wrażenie, że otoczyły nas obie armie. Pozwalam Flynnowi prowadzić, ufając w jego niemal nadprzyrodzoną umiejętność nawigowania bez pomocy gwiazd lub kompasu i polegania jedynie na intuicji właściwej rdzennemu mieszkańcowi Avonu. Każda zmiana kursu następuje szybko i pewnie.

Prześlizgujemy się pomiędzy kępami roślinności w milczeniu i napięciu. Wiecznie czujni. Przez cały czas trzymam dłoń na pistolecie. Od czasu do czasu zdaje mi się, że kątem oka dostrzegam jakiś ognik, tańczący tuż poza zasięgiem wzroku. W głowie wciąż wzbiera mi wielka niewiadoma. Przed oczyma raz po raz staje obraz małej dziewczynki, a wraz z nim na powierzchnię świadomości wypływają przeblyski bólu, szczęścia i rozpacz, cała gama emocji, które tłumiałam w sobie od ósmego roku życia.

Po kilku godzinach łódź ze zgrzytem szoruje o brzeg. Flynn wyskakuje, lądując po kolana w wodzie, i przytrzymuje łódź, a wtedy wyskakuję za nim. Zapalenie latarki byłoby zbyt ryzykowne, poruszamy się więc w całkowitych ciemnościach, na oślep, kierując się jedynie dźwiękiem naszych oddechów. Słyszę, jak Flynn zwraca się w stronę centralnej części wyspy.

– Poczekaj – mówię, wyciągam rękę i dotykam jego ramienia. – LaRoux zdołał zmusić te istoty do strasznych rzeczy. To one są odpowiedzialne za furję. One na moich oczach opanowały umysł komendant Towers. One wysłały mnie do

waszych jaskiń w noc, kiedy McBride wymordował tych wszystkich ludzi.

– Wiem.

Nie potrafię opanować strachu, choćbym nie wiem jak się starała. Mogą do mnie strzelać, wysadzić w powietrze, przywiązać do słupa i bić, nie przeraża mnie to, póki jestem sobą.

– Wchodzimy w samo oko cyklonu, w miejsce, które już raz przejęło nade mną kontrolę. Skąd pewność, że to się nie powtórzy?

Jeśli znów obudzę się nie wiadomo gdzie, cała we krwi, nie mając pojęcia, co się stało...?

– Nie pozwolę na to – odpowiada twardo Flynn.

– Samą siłą woli nie zdołasz ich powstrzymać – ciągnę, a w moim głosie, obok zniecierpliwienia, dźwięczy mimowolna nutka czułości. – Flynn, obiecaj mi coś.

– Co takiego? – pyta podejrzliwie.

Chyba się domyśla, o co poproszę.

– Jeśli... jeśli to się powtórzy, pamiętaj, że nie jestem sobą. Że... ta osoba, która kazała nam się poddać, to nie była komendant Towers. I jeżeli znów przytrafi mi się to samo, wtedy... wtedy możesz...

– Co mogę? – pyta sztywno Flynn. – Chcesz powiedzieć, że mogę cię zastrzelić?

Ściska mi się serce.

– Nie wiem. Chyba tak.

Czuję bijące od niego w ciemnościach gniew i frustrację, i jakaś część mnie wrywa się do niego. Gdyby sytuacja była odwrotna, chyba też nie byłabym w stanie tego słuchać. Ale pewne rzeczy trzeba ustalić.

– Tak – szepczę. – Właśnie to chciałam powiedzieć.

– W takim razie nie mogę ci niczego obiecać – odpowiada surowo. – I więcej mnie o to nie proś.

– Jak to nie możesz!?! Tu nie chodzi o nas, ale o wszystkich, o moich i twoich ludzi! Mamy szansę ocalić Avon, za coś takiego warto oddać życie. Nie możemy pozwolić, żeby ktokolwiek nas powstrzymał. Nawet jeśli tym kimś byłabym ja.

Flynn nie odpowiada. Wyciąga zza pasa skradziony gleidel, który po chwili z głośnym dudnieniem ląduje na dnie łódki.

– Flynn, nie możesz na to pozwolić.

– Pójdę tam – odpowiada z mocą. – Ale bez względu na to, co się wydarzy, nie zamierzam do ciebie strzelać.

Mam ochotę się kłócić. Oznajmić mu, że zachowuje się jak sentymentalny głupiec, że tego właśnie chciałam uniknąć, zatrzymując go tamtego wieczoru na zapleczu u Molly'ego. Że przedkładając mi ponad wszystko inne, okazuje

słabość. Kilka tygodni temu kapitan Lee Chase właśnie to by mu powiedziała. Ale dziś słyszę w jego głosie niezachwianą pewność, że podjął właściwą decyzję. I wierzę mu, ponieważ wiem, że nie robi tego dla mnie, dziewczyny, którą poznał niecały miesiąc temu. Robi to, ponieważ pragnie świata, w którym ludzie nie muszą ginąć.

Ja też tego pragnę. Pragnę tak bardzo, że puls mi przyspiesza, a wszystko wokół nabiera ostrości. Kapitan Lee Chase nigdy nie chodzi nieuzbrojona – to wbrew jej naturze. Ściskam rękojeść gleidla tak mocno, aż boję się, że moja skóra stopi się z metalem. Lee nigdy nie zostawiłaby broni, ale być może Jubilee będzie do tego zdolna. Powoli wypuszczam wstrzymywane powietrze i wyciągam pistolet z kabury. Idealnie pasuje do mojej dłoni, jego zimny ciężar, tak znajomy, dodaje mi otuchy. Przetykam ślinę i rzucam broń na dno łódki.

Podniósłszy wzrok, dostrzegam ciemny obrys sylwetki Flynna. Podchodzi bliżej, bierze mnie za rękę i ciągnie za sobą. Nie odzywa się. Ten krótki czas, który był nam dany, niezwykle okoliczności, które uczyniły z nas sojuszników – tego wszystkiego nie da się ująć w słowa. Mógłby mi powiedzieć, że mnie kocha, ale nie wie przecież o mnie tego, co wie się o kochance. Wie za to, kim jestem, wie, co się dzieje w moim sercu, a ja wiem, co się dzieje w jego. Mógłby mi powiedzieć, że boi się mnie stracić, ale przecież oboje jesteśmy już straceni i tylko łącząca nas więź powstrzymuje nas przed pogrążeniem się w mroku.

Słyszę szybki, drżący oddech, a potem jego usta odnajdują moje. Pocałunek jest pełen pasji, inny niż tamten na zapleczu baru. Tym razem jego wargi o nic mnie nie proszą, nie stawiają żądań, nie palą mnie ogniem, który wtedy obracał moje kości w popiół. Po prostu mnie całuje, tuląc mocno, jakby pragnął na zawsze zapisać mnie w pamięci. I stoimy tak, a woda nieruchomieje wokół naszych kostek, zupełnie jakby cała planeta wstrzymała oddech.

Wreszcie odsuwamy się od siebie bez słowa. Flynn kopniakiem odpycha łódkę od brzegu, żeby ten, kto ją znajdzie, nie zorientował się, gdzie jesteśmy. Patrzę, jak ponton przecina ciemność i znika we mgle.

Ten sen też już kiedyś śniła. Zaczyna się pożarem, ale ona się nie boi. Ogień pochłania wnętrze sklepu niczym żywa istota, ale kiedy ją dosięga, jest przyjemny i ciepły jak letni wiatr. Dziewczynka wie, że ma nad nim kontrolę, może sprawić, że w sklepie jej matki nie spłonie nawet jeden pyłek kurzu.

Gestem nakazuje płomieniom, by się cofnęły i znów wesoło trzeszczały w kominku. Jednak tym razem ogień jej nie słucha.

Kiedy próbuje jeszcze raz, płomień wybucha mocniej i parzy jej dłonie. We śnie dziewczynka nie czuje bólu, a mimo to się boi. Wie, że powinna się ruszyć, ale ogień jest wszędzie, a ona nie ma dokąd uciec.

Może tylko pozwolić, by ją strawił.

FLYNN

Ponton znika i wiem, że nie ma już odwrotu. Przez chwilę tęsknię za schronieniem, za cichym miejscem, w którym mógłbym zostać już na zawsze, w ramionach Jubilee. Wciąż czuję na sobie ciepło jej dotyku i uczepiam się tego wspomnienia, próbując odepchnąć od siebie myśl, że być może pocałowałem ją po raz ostatni.

Zwracam twarz ku pozornie bezludnej, błotnistej wyspie.

– Jak znaleźć coś, czego nie widać? – zastanawiam się ściszym głosem, ponieważ dochodzące z głębi mokradeł szmery podpowiadają mi, że *fianna* są na naszym tropie.

Jubilee mruży oczy i spogląda w głąb wyspy.

– Teraz, kiedy wiemy, czego szukamy, może uda nam się przewyciężyć to, co szeptu próbują z nami zrobić.

Badawczo obrzucam wzrokiem płaskie połacie grząskiej ziemi.

– Dobra – mrużę. – No dalej, pokaż się.

Przywołuję wspomnienie tajemniczego ośrodka. Szukam ostrych krawędzi w krajobrazie, który składa się z miękkich linii. Wypatruję prostych ścian, płotu z metalowej siatki. Jakieś napierające, mdlące uczucie każe mi odwrócić wzrok. Mrużę powieki i próbuję jeszcze raz.

Dopiero kiedy Jubilee z grymasem współczucia chwyta mnie za podbródek i zwraca moją twarz z powrotem w głąb wyspy, uświadamiam sobie, że patrzyłem nie tam, gdzie trzeba. Łapiemy się za ręce. Mocno splatamy palce i ruszamy do przodu, powolutku, przystając co krok i upewniając się, że idziemy we właściwym kierunku.

Powietrze zaczyna migotać i narastający ból w skroniach każe mi na moment zamknąć oczy. Mój organizm zaczyna protestować, ramiona pieką, żołądkiem wciąż targa wspomnienie szalonego lotu. Czekam, aż ból przygaśnie.

„Nie ufaj temu, co widzisz”, tak mówiła Lilac LaRoux. Jeszcze raz wyciągam z mroków pamięci wspomnienie tajnego ośrodka. Kiedy otwieram oczy, mój wzrok pada na metalową siatkę.

Zatrzymuję się gwałtownie. Moment później w ciemnościach rozbrzmiewa brzęk i grzechot – to Jubilee weszła prosto na płot, wzbijając w powietrze fontannę lśniących kropel. Oboje zamieramy w bezruchu. W ciągu kilku sekund, jak po opadnięciu jakiejś zasłony, w ciemności materializuje się reszta ogrodzenia, a za nią zbitka budynków z prefabrykatów. Dziwne mżenie znika, a powietrze przed nami robi się przejrzyste.

– Cholera jasna... – Jubilee miele w ustach przekleństwo i ociera z twarzy

krople wody. – Nie mogłeś mnie ostrzec?

Mimo złości nie zdołała powstrzymać leciutkiego uśmiechu.

Cofam się o krok, starając się objąć wzrokiem dalsze partie ogrodu.

– Ta wieżyczka, tam... to chyba jakiś punkt kontrolny?

Wskazuję palcem przysadzistą, ciemną bryłę w pewnej odległości od nas.

Jubilee kręci głową.

– To wieża komunikacyjna, widzisz talerze? Ale na pewno mają tam system alarmowy i reflektory na każdym słupie. Jeśli się zbliżymy, zauważą nas i całe to miejsce rozjarzy się jak choinka. Nie będzie dokąd uciekać.

– Mógłbym zrobić dziurę w płocie.

Jubilee tylko przewraca oczami. Puszczą moją rękę i robi trzy kroki do tyłu, wpatrując się w szczyt ogrodu, które ma na oko co najmniej cztery metry wysokości. Nagle skacze z rozbiegu na siatkę. Wspina się szybko i nie mija kilka sekund, kiedy przekłada nogę na drugą stronę, wychyla się i puszcza do mnie oko.

– Lepiej się pospiesz. A może trzeba ci pomóc?

W obliczu takiego zadania znów jest żołnierką w każdym calu, zadowoloną i pewną swoich możliwości. Jeszcze niedawno nienawidziłem jej za to, ale teraz wiem, co kryje się pod zawadiackim uśmiechem.

Wdrapuję się za nią. Przez chwilę mam wrażenie, że znów jestem małym chłopcem, który założył się z kolegami, kto zdobędzie najwyższą skałę. Niestety, nie dane nam jest długo cieszyć się tym małym zwycięstwem, bo już po chwili od strony zasnutych mgłą mokradeł dobiega ostry gwizd.

– To *fianna* – mówię, rozpoznawszy sygnał alarmowy. – Znaleźli łódkę.

Jubilee poważnieje. Znów rzuca się w wir walki o życie.

– Chodźmy.

Ośrodek wydaje się opustoszały, przynajmniej z zewnątrz. W pewnym momencie dostrzegamy w ciemnościach jakąś sylwetkę w goglach i z noktowizorem, znikającą za róg budynku. Przypadamy do ziemi, ale choć czekamy długo, strażnik nie wraca.

Kryjąc się w cieniu, dopadamy najbliższych drzwi wiodących do głównego gmachu, które jednak okazują się szczelnie zamknięte. W normalnych okolicznościach byłyby wyposażone w czytnik odcisków palców, ale takie zabezpieczenie zostawiłoby w systemie dane wchodzących do środka osób. Klamki są więc starego typu, a zamki wymagają tradycyjnych kluczy. Obmacuję w ciemnościach framugę, ale trzeba by naprawdę wielkiego łutu szczęścia, żeby ktoś zostawił tu zapasowy klucz. Ostatecznie ruszamy wzdłuż ściany, sprawdzając każde okno, aż Jubilee znajduje takie, które po uderzeniu łokciem w ramę odskakuje z głuchym łomotem.

Gdy przesadzamy parapet, naszym oczom ukazuje się jakieś nieduże pomieszczenie, gdzie stoi tylko kilka szaf. Najwyraźniej to coś w rodzaju

magazynu. Wymknąwszy się na korytarz, zauważamy na podłodze ślady ubłoconych butów, wskazujące, że ktoś tu niedawno był. Jubilee rusza przodem wzdłuż korytarza, a ja, wyęzając słuch, bezgłośnie podążam za nią. Krew pulsuje mi w głowie w rytm łomoczącego serca.

Nigdzie nie dostrzegam śladu ognika, który nas tu przywiódł – na szczęście lub niestety, zniknął na dobre. Jubilee przystaje przed pierwszym zakrętem i ostrożnie wychyla głowę za róg. Podnosi rękę, macha dwoma palcami na znak, że droga wolna, i znów ruszamy przed siebie.

Cały budynek przypomina labirynt, ale korytarze i drzwi są starannie oznaczone. Kiedy docieramy do rozgałęzienia, pokazuję Jubilee tabliczkę ze strzałką i napisem CENTRUM STEROWANIA. Moja towarzyszka kiwa głową potakująco: dotarłszy tam, być może zdołamy się zorientować w topografii budynku i znaleźć archiwum albo jakiś komputer.

Co jakiś czas przez szklane szybki w drzwiach dostrzegam laboratoria pełne sprzętu o nieznanym zastosowaniu. W niektórych krzątają się naukowcy w białych kitlach. Przyspieszamy kroku. Owszem, moglibyśmy spróbować wydobyć od nich informacje, nie ma jednak gwarancji, że sami wiedzą, nad czym pracują. Potrzebne nam twarde dowody.

W jednym z takich laboratoriów dostrzegam stół, a na nim ciało mężczyzny ubranego w spodnie moro i wojskowe buty. Wokół jego głowy zebrał się wianuszek naukowców. Kiedy jeden z nich odwraca się, by wziąć jakieś narzędzie z leżącej nieopodal tacki, zauważam, że cała górna część czaszki zmarłego została usunięta, a naukowcy ostrożnie wyjmują fragmenty mózgu i układają je w starannie oznaczonym rzędki. Zerkam na Jubilee. Jest tak samo spięta jak ja, oboje jednak wiemy, że nie zdołamy mu już pomóc.

Wreszcie zatrzymujemy się pod drzwiami centrum sterowania. Badawczo przyglądam się oczom Jubilee, sprawdzając źrenice, szukając w nich tego pustego wyrazu zwiastującego obecność szeptów, ale w przeciwieństwie do niej nigdy nie byłam świadkiem takiej przemiany. Nie wiem, czego szukam, i to sprawia, że z nerwów robi mi się niedobrze.

Nagle drzwi się otwierają i stajemy twarzą w twarz z wystraszoną mężczyzną w białym fartuchu.

Przez dłuższą chwilę przypatrujemy się sobie nawzajem ze zdumieniem. Mężczyzna nabiera powietrza i otwiera usta, a wtedy Jubilee wymierza mu cios w szczękę. Sposób, w jaki jego głowa odskakuje do tyłu, w innych okolicznościach byłby nawet komiczny. Facet osuwa się na ziemię, a ja zaczynam się zastanawiać, czy tak właśnie wyglądałem, kiedy ogłuszyła mnie, uciekając z jaskini rebeliantów.

Ujmuję go pod pachy, Jubilee chwyta za nogi i wciągamy go do pokoju. Rozejrzawszy się pośpiesznie, stwierdzamy, że pomieszczenie jest puste i nie licząc długiego rzędu monitorów oraz nieprzytomnego naukowca, oprócz nas nie

ma tu nikogo.

Kucam obok mężczyzny. Uniósłszy mu powieki, dostrzegam same białka.

– Musiałaś to robić?

Jubilee stoi przy drzwiach, bacznie nasłuchując.

– A miałam inne wyjście? Nie dostał mocno, przeżyje.

– Naprawdę powinnaś zacząć bardziej kreatywnie myśleć.

Obracam mężczyznę na bok, żeby nie udławił się językiem.

– To nie należy do moich mocnych stron – przyznaje Jubilee, wzruszając ramionami, i porzuca posterunek przy drzwiach, by rozejrzeć się po pokoju. – Oni monitorują klimat na Avonie – mówi, przyjrzawszy się obrazowi na jednym z ekranów. – Tu są wyświetlone dane z ostatnich dwóch dekad. Znacznie bardziej szczegółowe niż to, co przysłała nam TerraDyn.

Milknie, ale wiem, że oboje myślimy o teorii Merendseny głoszącej, że rozwój Avonu, podobnie jak zniszczonej przez LaRoux planety, jest w jakiś sposób manipulowany.

Sprawdzam, czy nieprzytomny naukowiec nie ma przy sobie broni, jednak znajduję tylko identyfikator. Już mam zamknąć poły białego fartucha, kiedy pod plastikową oprawką dostrzegam jakiś błysk. Obok plakietki z numerem – nie ma na niej ani nazwiska, ani zdjęcia – tkwi czip z maleńką lambda, dokładnie taki sam jak ten znaleziony przez Jubilee podczas naszej pierwszej wizyty na wyspie. Czuję zawroty głowy i trę oczy, usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spałem.

– LaRoux Industries – mówię, wolno dźwigając się na nogi.

– To nie wystarczy – krzywi się Jubilee. – Na Koryncie wystarczy się trochę zakręcić na czarnym rynku, a dostaniesz wszystko, czego dusza zapagnie. Za odpowiednią cenę można się zaopatrzyć w dowolną liczbę starych identyfikatorów LRI. LaRoux na pewno stwierdzi, że ten jest kradziony, zwłaszcza taki przestarzały model.

Leżący u moich stóp mężczyzna wydaje z siebie ciche stęknienie. Zerkam na niego i pytam Jubilee:

– A komputery? Musi tu być coś, co ich pogrąży.

– Nawet jeśli, to będą zabezpieczone hasłem – odpowiada, odwracając się w moją stronę, zaalarmowana dźwiękami dochodzącymi z podłogi. – Chyba że znajdziemy kogoś, kto nam je poda.

Mężczyzna w białym kitlu jęczy i przewraca się na plecy, wyciągając w górę rękę, jakby próbował się czegoś chwycić. Jubilee doskakuje do niego w mgnieniu oka, ale w ostatniej chwili łapie ją za ramię.

– Ja to zrobię.

Spogląda na mnie gniewnie, ale ustępuje, mamrocząc coś pod nosem. Facet na podłodze krzywi się lekko i otwiera oczy.

Spoglądam na niego.

– Miałeś mały wypadek, kolego. Jak się nazywasz?

– Carmody – odpowiada, wciąż zdezorientowany. – Doktor Terrence Carmody. Kim jesteście?

– Ja jestem tym, który chce rozmawiać – wyjaśniam cicho. – Ona wolałaby połamać ci nogi. Proponuję zacząć od rozmowy.

Przez cały czas patrzę mu prosto w oczy. Teraz, gdy fala adrenaliny spowodowana włamaniem do budynku zaczyna ustępować, moje ciało sprawia wrażenie ciężkiego jak z ołowiu. Koncentruję myśli, usiłując przeistoczyć się w tego faceta, którym kiedyś byłem, pewnego siebie i potrafiącego przemawiać do ludzi. Uda mi się.

– Wiem, co tu robicie – zaczynam, a po twarzy mojego rozmówcy przemyka wyraz paniki. – Powiesz nam teraz wszystko o firmie LaRoux i gdzie przetrzymujecie te istoty, którymi steruje.

– Błagam – jąka się mężczyzna. – Ja... ja tylko pracuję w laboratorium. O niczym nie wiem, przysięgam.

– W takim razie dawaj hasło – wtrąca się ostro Jubilee. – Do komputera.

Mężczyzna przełyka ślinę, jabłko Adama podskakuje mu gwałtownie.

– Mam dostęp tylko do tego poziomu... Dam wam hasło, ale tu są tylko dane klimatyczne, tylko to, co tu widać. Nie wiem, o czym mówicie ani co ma do tego LRI.

Wygląda na zbyt przerażonego, by kłamać.

Zerkam na Jubilee. Jej pełne napięcia spojrzenie mówi, że ona też mu wierzy. Ale nawet jeśli facet nie wie nic o szeptach, nie znaczy to, że nie pomoże nam znaleźć dowodów na manipulacje LaRoux Industries.

Otwieram usta, ale przerywa mi nagła, donośna fala dźwięku z zamontowanego na suficie głośnika. W uszach pulsuje mi krew, napięcie powraca falą metalicznego smaku. W głośniku rozlega się szybki, rozgorączkowany męski głos:

Uwaga personel, zagrożenie bezpieczeństwa na terenie całego ośrodka. Powtarzam, zagrożenie bezpieczeństwa na terenie całego ośrodka.

Jest w domu, w sklepie matki, w mieście November, na planecie Werona. Matka woła ją, ojciec szoruje ręce nad kuchennym zlewem. Dziewczynka biegnie do swojej jaskini, gniazdka, które uwiła sobie pod ladą, i wciska się do środka.

Jakimś cudem zastaje tam zielonookiego chłopca, choć miejsca starczy tylko dla jednej osoby.

– Dlaczego wciąż tu wracasz? – W głosie chłopca dźwięczy przejmujący smutek. – Po tylu latach?

– Tutaj byłam bezpieczna – odpowiada szeptem dziewczynka.

– A naprawdę? – pyta chłopiec i gdy dziewczynka na niego spogląda, wie, że nie zdoła go okłamać.

– Bo nie jestem tu sama.

Chłopiec bierze ją za rękę, a ona zauważa, że ich palce splatają się w tak idealnym dopasowaniu, jakby były dla siebie stworzone.

– Myślałam, że chciałaś być odważna.

– Nie jestem na tyle odważna, żeby umrzeć w samotności.

JUBILEE

Gestem nakazuję Carmody'emu milczenie. Nie zwraca na mnie uwagi. Włazi pod jedną z konsol, jakby sądził, że zdoła się tam ukryć przed naszym gniewem. Powoli podchodzę do drzwi i przyciskam do nich ucho. Na korytarzu panuje cisza – nie słyszę tupotu stóp strażników, żadnej reakcji na ogłoszony przed momentem alarm. Zupełnie jakby miejsce było wymarłe.

Nagle wokół unosi się szmer przypominający początek wichury, powietrze jest jednak zupełnie nieruchome. Wiem, co się dzieje. Przełykam wzbierający w ustach metaliczny posmak krwi i zerkam na dłonie, spodziewając się paralitycznego dygotu. O dziwo, dostrzegam tylko lekkie drzenie.

Zanim udaje mi się wyciągnąć z tego jakiegokolwiek logiczne wnioski, z tyłu dobiega mnie jęk, który sprawia, że przeszywa mnie dreszcz trwogi. O Boże, tylko nie to...

Obracam się. Flynn stoi oparty jedną ręką o konsolę, poblądły, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Jubilee...

Wypowiada moje imię z takim trudem, jakby wydawał z siebie ostatnie tchnienie.

Dopadam go jednym susem, jak gdyby jego dotyk mógł odpędzić kłujący strach, który przeszywa mi kręgosłup.

– Mów do mnie!

Ale on nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Osuwa się na ścianę i gdy na moment podnosi głowę, w jego rozszerzonych źrenicach dostrzegam przerażenie.

– Nie... nie mogę...

Serce mi zamiera i sparaliżowana strachem, chwiejnie robię pół kroku w jego stronę.

To miałam być ja.

Resztkami sił próbuję się opanować.

– Idziemy stąd.

Niech szlag trafi szepty, niech szlag trafi cały Avon! Nie pozwolę, żeby dusza i serce uleciały z Flynn na moich oczach.

– Nigdzie nie pójdziecie.

Prawie zapomniałam o skulonym na podłodze doktorze Carmodym. Odwracam się, żeby coś odwarknąć, i zamieram. Celuje do mnie z pistoletu, który najwyraźniej ukrywał pod konsolą. Trzeba było faceta związać i nie spuszczać z oka. Zachłystuję się oddechem, niezdolna skupić uwagi na wymierzonej we mnie lufie. Widzę tylko Flynn, zgiętego w pół nad konsolą, usiłującego walczyć

z szeptami.

– Dobra! – wrzeszczę do Carmody’ego, podnosząc ręce. – Aresztuj mnie, zastrzel albo co tam sobie chcesz. Tylko najpierw pozwól mi mu pomóc.

Robię krok w stronę Flynna, ale wtedy Carmody kciukiem naciska przycisk z boku kolby. Dźwięk ładowanej broni niemal przebija mi bębenki. Nieruchomieję.

– Nie pomożesz mi – odpowiada Carmody, zerkając na Flynna. – Już po nim.

Otwieram usta, ale wtedy Flynn zrywa się z miejsca. Jest tak szybki, że z trudem nadążam za nim wzrokiem. Dopada Carmody’ego od tyłu i wykręca mu rękę. Broń wypala, zostawiając w suficie dymiącą dziurę, z której sypie się deszcz plastenowych drzazg. Flynn chwyta Carmody’ego za kark i uderza jego głową o konsolę. Rozlega się głuchy trzask, ale on, niezrażony, uderza po raz drugi, trzeci i czwarty, aż powierzchnię panelu kontrolnego pokrywa warstwa krwi. Krzyczę, ale nie mogę się ruszyć.

Flynn, którego widzę teraz tylko z profilu, rozluźnia uścisk i martwe ciało naukowca osuwa się na podłogę. Wszystko trwało zaledwie kilka sekund – tak krótko, że nie zdążyłam zaczerpnąć oddechu. Nagle zamroczona, zginam się w ataku kaszlu.

– F... Flynn?

Obraca się tak długo, że mam wrażenie, jakby to trwało wieczność. Przez ten czas tysiąc razy wyobrażam sobie jego zawadiacki uśmiech i głębokie spojrzenie zielonych oczu. Stanie przede mną, jakby nic się nie zdarzyło. Powie, że sztuki samoobrony nauczył się ode mnie. Spojrzy na mnie i to będzie on, cały on.

Ale kiedy wreszcie na mnie spogląda, jego twarz jest pusta, a po zielonych oczach nie został ślad. W ich czarnej, lśniącej jak szkło powierzchni dostrzegam własne odbicie.

– Nie – odzywa się spokojnie. Na jego szyi i podbródku błyszczą kropelki krwi Carmody’ego. – Już nie Flynn.

Nie mogę zrobić kroku, nie mogę oddychać, a on pochyla się i wyjmuje pistolet z bezwładnej dłoni naukowca. Przypatruje mu się przez chwilę, a kiedy znów na mnie spogląda, na jego twarzy nie widać nic poza pogodną obojętnością.

– To miałam być ja – mówię zduszonym szeptem.

– Jesteś nam potrzebna – odpowiada istota w umyśle Flynna. – Przydasz się bardziej niż on.

Czuję, jak nogi drżą mi z gniewu, strachu i zmęczenia. Opieram się ręką o ścianę.

– Czego LaRoux ode mnie chce?

Coś, co zabrało mi Flynną, obrzuca mnie płaskim spojrzeniem.

– Mówisz o tym, który nas uwięził? – pyta i kpiąco przechyla głowę, która zatrzymuje się pod dziwnym, nienaturalnym kątem. – Nie wypełniamy już jego

poleceń.

Dzika, szalona nadzieja podchodzi mi do gardła, po czym natychmiast znika, gdy dostrzegam wymierzoną w siebie lufę pistoletu.

– Nie wypełniamy niczych poleceń. Zrozumieliśmy bowiem, że dla ludzkości nie ma już ratunku. – W głosie istoty nie słyhać groźby ani nienawiści. Jej spokój przeraża mnie bardziej, niż gdyby rzuciła się na mnie z krzykiem, miotając przekleństwa. Pokazuje pistoletem drzwi i odsuwa nogą ciało Carmody’ego.

– A teraz ty nas uwolnisz.

Odruchowo sięgam po gleidel, ale chwytam tylko powietrze. Cofam się ku drzwiom, nie odrywając wzroku od Flynna. A raczej od tego czegoś, co mi go zabrało. Nie myśl, nie panikuj. Nie zatrzymuj się...

– Nic nie rozumiecie – mówię. – My też chcemy powstrzymać LaRoux. Nie jesteśmy tacy jak on.

– Wszyscy jesteście tacy jak on.

Kładę rękę na okrągłej klamce, ale jej nie obracam. Istota utrzymuje dystans, zbyt sprytna, by podejść na tyle blisko, żebym mogła pomyśleć o wyrwaniu jej broni. Flynna prawdopodobnie potrafiłabym rozbroić i obezwładnić. Ale po tym, co to coś zrobiło z Carmodym... Żaden człowiek nie porusza się tak szybko.

– Lilac mówiła, że im pomagaliście – szepczę, jednocześnie zerkając przez szybkę w drzwiach na korytarz, który nadal jest pusty.

Obojętna twarz Flynna ani drgnie.

– Wiemy, o kim mówisz. Przez jakiś czas przebywała z nami w ciemności.

Z nami? Chwytam się tych słów i zaczynam mówić szybko, starając się panować nad głosem, tak jak zrobiłby to Flynn. Brakuje mi jednak jego żaru i dyplomatycznych zdolności. Ja umiem tylko walczyć.

– W takim razie znacie ją. Wiecie, że nie jest taka jak jej ojciec. Ja też nie. Ani Flynn.

Głos mi drży, kiedy wypowiadam jego imię.

– Każdy zestaw danych zawiera anomalie. – Flynn zatrzymuje się, ale nie opuszcza broni.

– Idź dalej.

Ignoruję polecenie.

– Po co nas tu przyprowadziliście? – pytam, myśląc o światełku na mokradłach, zielonym ogniku, który tak bardzo przypominał ducha z November z moich najdawniejszych wspomnień.

– Czemu nie zmusiliście naukowców albo LaRoux, żeby was wypuścili?

– Ten, który nas uwięził, nigdy nie podchodzi na tyle blisko, żebyśmy mogli go dosięgnąć. Na pozostałych przeprowadzał operacje, które sprawiły, że trudno nam było opanować ich mózgi.

Flynn szturcha stopą ciało Carmody'ego, które przewraca się na brzuch. Tuż pod uchem, wśród krwi i włosów, dostrzegam maleńką bliznę, zbyt równą i precyzyjną, by mogła być dziełem przypadku.

Przełykam ślinę, próbując opanować mdłości, i odrywam wzrok od sterczących z głowy Carmody'ego kawałków czaszki. Flynn ani drgnie.

– Zanim nas tu sprowadzono, byliśmy jednością połączoną wspólnym umysłem. Ten, który nas uwięził, odkrył, że największym znanym nam cierpieniem jest rozłąka. Gdy mu się sprzeciwiamy, wtrąca nas w ciemność.

Twarz szeptu, twarz Flynna, nie okazuje żadnych emocji. Ani strachu, ani nienawiści, ani przebłysku bolesnych wspomnień.

– Kiedy się uwolnimy, więcej tego nie robi.

Coraz trudniej mi oddychać, klatka piersiowa zaciska się w panice, której nie doświadczyłam od lat, od pierwszego razu na polu bitwy. Nigdzie ucieczki. Żadnych szans. Na moment zamykam oczy, skupiając się na oddychaniu.

– Czemu miałabym wam pomagać? – wyduszam z trudem. – Odebraliście mi wszystko, co miałam. Odebraliście mi jego...

– Ponieważ on wciąż tu jest. I jeśli nas wyzwolisz, zwrócimy ci go. Was i tę planetę zostawimy sobie na koniec.

Tym razem serce zaczyna bić mi tak mocno, że oczy zachodzą mgłą. W uszach wciąż dźwięczą ostatnie słowa istoty.

– Co to znaczy: zostawicie na koniec? – pytam stłumionym głosem. – Co chcecie zrobić?

– Zaczniemy od tego, który nas uwięził – odpowiada szept obojętnie i cicho. – Odplacimy mu cierpieniem za cierpienie. Odbierzemy rodzinę i każdego, z kim się zetknął, każdego, kto dotknął kiedyś jego duszy. I będziemy siali śmierć, tak jak wy ją sialiście, aż ten, który nas więził, zostanie ostatnim ze swego gatunku, a wtedy porzucimy go, wyjącego samotnie w ciemnościach.

Do oczu podchodzą mi piekące łzy przerażenia i rozpacz.

– Nie – odpowiadam.

Głos mi drży, ale w tym drzeniu dźwięczy stal, i gdy się prostuję, czuję jej moc.

– Nie pomogę wam. Możecie mnie zastrzelić, ale was nie uwolnię, potwory.

Flynn zerka na mnie spokojnym, pustym wzrokiem. Wygląda jak manekin, jak swoja własna woskowa podobizna.

– W porządku – odpowiada beznamiętnie, po czym przykłada sobie pistolet do spodu podbródka.

– Nie! – wrzeszczę histerycznie i nagłym zrywem wyrzucam ciało do przodu, unosząc dłoń. – Przestańcie!

Dławię się powietrzem i robi mi się niedobrze z przerażenia.

– Co chcecie zrobić?

Coś, co zabrało mi Flynn, przygląda mi się bez cienia emocji.

– Jeśli odmówisz, ta powłoka przestanie nam być potrzebna.

Przyciska lufę do szyi tak mocno, że skóra wokół bieleje.

– Dobrze. – Powietrze ucieka mi z płuc i muszę wziąć oddech, potem drugi,
po czym dodaje: – Dobrze. Zgadzam się.

Minęło dziesięć lat, a dziewczyna wciąż, każdej nocy, szukała ducha z November. Czasem na drodze stawali jej rodzice, przyjaciele, których rozpoznawała, albo wrogowie, którzy wydawali jej się obcy. Wszędzie spotykała zielonookiego chłopca. Od czasu do czasu pomagał jej szukać.

Teraz samotnie przemierza mokradła Avonu, tnąc powierzchnię wody starą, wąską łódką. Przetrasnęła cały świat, bez skutku – nigdzie nie natknęła się na zielonookiego chłopca ani na żadnego innego człowieka. I nigdzie nie znalazła ducha z November. Spogląda w puste niebo, aż przepęlnia ją rozpacz. Osuwa się na dno łódki, układając czoło na drewnianej powierzchni.

Wtedy coś każe jej podnieść głowę. W wodzie lśni milion gwiazd, bagno staje się niebem, a łódka – statkiem. Gwiazdy błyszczą oślepiająco, zapraszają ją do siebie, a każda z nich to mała, roztańczona świetlna kulka. Całe bagno rozbłyska ich blaskiem.

JUBILEE

Mój dobrze wytrenowany umysł wciąż szuka drogi ucieczki, sposobu na rozbrojenie tajemniczej istoty. Przyspieszyć na zakręcie i wziąć ją z zaskoczenia? A może ukryć się w zagłębieniu drzwi, poczekać aż przejdzie i zaatakować od tyłu... Ale nawet jeśli udałoby mi się wyrwać broń stworzeniu, które zamordowało Carmody'ego gołymi rękami – co dalej? Nawet gdybym zdołała wycelować do Flynna...

Tylko że to już nie jest Flynn. W jego spojrzeniu nie ma ciepła, a w jego głosie – życia. To nie on. Nawet jeśli istota mówiła prawdę, nawet jeśli mi go oddadzą, czy kiedykolwiek byłby zdolny mi wybaczyć to, co mam zamiar zrobić? Zaciskam zęby. Weź się w garść, Jubilee.

To nie ja miałam stanąć po tej stronie. To było zadanie Flynna. Ja umiem się bić, strzelać i wykonywać rozkazy. To na niego miała spaść decyzja o naciśnięciu spustu, jeśli uzna, że nie ma dla mnie nadziei.

Nie potrafię dokonać wyboru. Flynn nie chciałby, abym poświęciła ludzkość, by przedłużyć mu życie o kilka lat – a kto wie, czy nie o zaledwie kilka tygodni lub dni. Nawet jeśli miałoby to ocalić Avon. Ale ja nie mogę stać bezczynnie i patrzeć, jak to coś strzela mu w głowę. Wolałabym własnoręcznie wyciąć sobie serce z piersi.

Co mam robić, Flynn?

Korytarz przed nami jest pusty. Dopiero kiedy docieramy do windy i naciskam guzik, odwracam głowę i zamieram.

Ze wszystkich pomieszczeń wzdłuż korytarza wysypują się pracownicy ośrodka. Dziesiątkami. Niektórzy w białych kitlach, inni w takich samych jak mój bojowych mundurach. Milczący, o pustych spojrzeniach, suną dziwnie, jakby bezwiednie, wlokąc stopy po podłodze. Ten powolny, ospały krok odróżnia ich od Flynna – zlecony przez LaRoux zabieg, któremu każdy z nich został poddany, nie pozwala szeptom w pełni ich kontrolować. Wpatrzone w przestrzeń oczy są jak szklane kulki.

Istota, która przejęła Flynna, gestem nakazuje mi wejść do windy i po raz pierwszy od dłuższego czasu zaczynam poruszać się szybko. Mrówki przerażenia biegają mi po kręgosłupie. Przyciskam się łopatkami do ściany windy, a tymczasem tłum na wpół opętanych przystaje zaledwie kilkanaście centymetrów od drzwi. Patrzą na mnie w milczeniu. Drzwi windy zasuwają się między nami.

Zjeżdżamy, po czym szept prowadzi mnie przez bramkę, której pilnuje nieruchoma postać przy biurku, o tym samym szklistym spojrzeniu co u ludzi na górze. Wsiadamy do kolejnej windy i zjeżdżamy, mijając klatki schodowe i rampy,

w stronę jądra Avonu. Im bardziej zagłębiamy się w trzewia tajnego ośrodka, tym powietrze robi się gęstsze.

Flynn milczy.

Docieramy do drzwi z panelem kontrolnym, i tym razem nie spotykamy strażnika. Drzwi są inne od pozostałych: okrągłe, zaprojektowane tak, by rozszerzać się niczym źrenica oka. To rodzaj wjazdu spotykanego na statkach lub w mechanizmach awaryjnych. Szczelny i niemożliwy do sforsowania.

Wreszcie zostaliśmy sami. Flynn przypatruje mi się spokojnie. Ogarnia mnie uporczywe wrażenie, że jeśli się nie odezwę, on będzie tak czekał choćby do końca świata. Chrząkam.

– Co teraz?

– Otwórz drzwi.

– Ale ja nie mam klucza.

Lęk powoli zastyga we mnie w jakąś głuchą drętwość. Z napięcia i frustracji boli mnie całe ciało.

– Mylisz się – odpowiada chłodno Flynn, wbijając we mnie spojrzenie czarnych źrenic. – Miałś go od początku.

Przełykam ślinę, a oczy zasnuwa mi mgła. Dźwięk jego głosu – przy świadomości, że nie on go z siebie wydaje – jest jak przypalanie rozżarzoną pochodnią.

– Co? Jak to... – zaczynam.

Milknę gwałtownie, wsłuchana w łomotanie własnego serca. Uświadamiam sobie, że rzeczywiście mam klucz – czip, który znalazłam, kiedy Flynn przywiózł mnie tu po raz pierwszy. Wyciągam go z kieszeni. Choć ciarki chodzą mi po całym ciele, zmuszam się, by podejść bliżej do istoty i przyjrzeć się panelowi przy drzwiach. Jest zaopatrzony w klawiaturę, a na dole po prawej stronie widnieje małe prostokątne wgłębienie. Czip pasuje idealnie. Klawisze błyskają zielenią, rozbrzmiewa wesoły sygnał i drzwi otwierają się z wizgiem.

Wewnątrz jest tak jasno, że w pierwszej chwili nic nie widzę. Lekkie trącenie między łopatki popycha mnie do przodu i dotyk ten tak bardzo przypomina dotyk Flynnna – a jednocześnie tak bardzo się od niego różni – że oszołomiona nie mam siły stawiać oporu. Potykając się w progu, wpadam do pomieszczenia. Flynn wchodzi za mną i drzwi zasuwają się ze świstem. Odwracam się, zdjeta nagłym przecuciem. To pułapka. W tym samym momencie Flynn bezwładnie osuwa się na ziemię.

Dopadam go z nieartykułowanym okrzykiem i łapię za głowę, zanim uderzy o twardą plastenową podłogę.

– Co się dzieje... Flynn? Flynn, obudź się, proszę.

Potrząsam nim, ale głowa bezwładnie opada mu do tyłu. Nachylam się i zbliżam ucho do jego ust. Oddycha, ale ledwo. Puls ma niemal niewyczuwalny.

Przytulam go i podnoszę wzrok, spodziewając się ujrzeć wokół maszynię, przekaźniki i rój zapracowanych techników.

Pomieszczenie jest jednak puste. Białe ściany wieńczy kopulasty sufit i mimo odbijającej się od ich zakrzywionej powierzchni jasności nigdzie nie dostrzegam źródła światła. Wszystkie powierzchnie są pokryte plastenowymi panelami. Wibrują pod dotykiem, zupełnie jakby przewodziły energię, co jest dziwne, ponieważ plasten to izolator.

Mój drżący oddech ginie w przestrzeni pomieszczenia, dzięki czemu przypominam sobie o kolejnej właściwości plastenu: tłumi dźwięki. Choćbym nie wiem jak głośno krzyczała, nikt mnie tu nie usłyszy.

Głaszczę Flynna po głowie, desperacko pragnąc poczuć jego bliskość, choć wciąż jest nieprzytomny. Choć nie jest już sobą.

Nie zostawiaj mnie samej, Romeo.

Wtem, jakby w odpowiedzi na tę prośbę, czuję na karku lekki podmuch. Przechodzi mnie dreszcz i zerkam na bok, ale nikt za mną nie stoi, a dotknąwszy szyi, natrafiam na kołnierzyk koszuli. Podmucha nie miał prawa dojść do miejsca ukrytego pod ubraniem, mimo to włoski stają mi dęba. Znam to uczucie zbyt dobrze, by je zignorować.

Nie jesteśmy sami.

– Wiem, że tu jesteście – mówię, usiłując nadać swojemu głosowi rzeczową, suchą barwę. – Natychmiast się pokażcie.

Ale nikt nie odpowiada. Słyszę tylko swój własny oddech. Światło jest zbyt jasne, by stwierdzić to na pewno, ale przez moment zdaje mi się, że jakieś półtora metra od mojej twarzy w powietrzu unosi się bladozielona poświata.

Nagle Flynn porusza się nieznacznie z cichym jękiem. Podnosi głowę z moich kolan i opiera dłoń o podłogę.

– Flynn?

Nachylam się gwałtownie i spoglądam mu w twarz. Nie chcę sobie robić nadziei. Flynn otwiera oczy, w których lśni tylko czerń, i serce zamiera mi w piersi. Powstrzymuję wyrywający się z gardła szloch i odskakuję, zastygając w kucki kilka metrów dalej. Sięgam po broń, która wypadła mu z ręki, kiedy upadał. On tymczasem powoli i ostrożnie dźwiga się z podłogi.

– Tak nam przykro – szepcze cicho, jakby mówił do siebie.

– Przykro?

Wpatruję się w istotę, kurczowo ściskając pistolet, choć nie jestem w stanie podnieść ręki.

Flynn-nie Flynn wreszcie przenosi na mnie wzrok.

– Tak. Przykro... mi...

Słowa przychodzą mu z wielkim trudem, jakby było w nich coś niewłaściwego.

– Bardzo mi przykro. Posłuchaj, nie mamy wiele czasu. Pozostali zorientują się, co próbuję zrobić.

Przyciskam się plecami do drzwi.

– Pozostali? – Jestem tak oszołomiona, że potrafię jedynie powtarzać jak echo. – Czy to znaczy, że nie jesteś jednym z nich?

Flynn potrząsa głową. Nic nie wskazuje na to, że coś się zmieniło: oczy wciąż ma czarne, a twarz pozbawioną emocji.

– Kiedyś byliśmy jednością. Ale wtedy łączyła nas szczelina. Teraz jesteśmy samotni. A ja nie pragnę tej samej wolności, o której marzą pozostali.

Po raz pierwszy odkąd zwrócił na mnie swoje puste spojrzenie, w sercu zapala mi się iskra nadziei – maleńki i drżący płomyk, od którego pieką mnie oczy. Tak bardzo chcę mu uwierzyć. Tak bardzo nie chcę zostać sama. Po chwili jednak zaciskam palce na rękojeści pistoletu, zdjęta nawracającą falą paniki.

– To jakaś kolejna sztuczka? Próbujecie... Sama nie wiem. Gdybyś naprawdę był inny, oddałbyś mi Flynna.

– To niemożliwe.

– Jak to niemożliwe? Na górze twierdziliście, że go wypuścicie, jeśli wam pomogę.

– Opanowaliśmy sztukę oszustwa. To specjalność ludzkości, a my mieliśmy wspaniałego nauczyciela – mówi, a ciało Flynna kręci głową. – Kiedy tak głęboko i na tak długo wchodzimy w czyjeś myśli, nie ma dla tego kogoś odwrotu. Umysł twojego towarzysza wciąż gdzieś tu jest, ale gdybym go teraz opuścił, spustoszenia byłyby zbyt poważne.

Wzbiera we mnie rozpacz.

– Weszliście w moje myśli na kilka godzin, a jednak żyję. Zmusiliście mnie, żebym popłynęła do kryjówki rebeliantów i z powrotem, i nic mi się nie stało. Mój umysł pozostał nienaruszony.

– Ty jesteś inna.

Flynn spogląda na mnie uważnie. Jest w jego oczach jakaś dziwna, badawcza natarczywość. Nie potrafię się pozbyć paskudnego wrażenia, że widzi moje myśli.

– Inna? Czy to znaczy, że tak jak mówią, nie mam duszy?

– Wprost przeciwnie.

Usta Flynna wykrzywają się w grymas, który można by pomylić z uśmiechem, nie stanowi to jednak pocieszenia. Ten uśmiech powinien być jego i powinien być przeznaczony dla mnie. Tymczasem przypomina raczej powidok wywołany przez istotę, która zatruwa mu umysł.

– Ty i ja spotkaliśmy się już kiedyś.

– Chyba mnie z kimś mylisz...

– Nie mam czasu – przerywa mi gwałtownie szept. – Nie mogę ich powstrzymywać w nieskończoność. Musisz sobie przypomnieć. Nazywasz się

Jubilee Chase, jesteś córką Mei-Hua i Noaha Chase'a, i znamy się od bardzo, bardzo dawna.

Jakby ktoś uderzył mnie w brzuch: tracę oddech, tracę ostrość widzenia, tracę czucie w rękach. Desperacko chwytam ustami powietrze.

Ale Flynn jeszcze nie skończył. Przypatruje mi się z zaciekawieniem, jak naukowiec obserwujący przebieg jakiejś wyjątkowo fascynującej reakcji chemicznej.

– Poczulaś nasz dotyk bardzo wcześnie, gdy dopiero uczyliśmy się rozumieć twój gatunek. Byłaś wtedy młoda i nieukształtowana. To doświadczenie cię wzmocniło. Wzmocniło twój umysł. Pamiętamy cię.

Milknie i ten moment wahania jest tak ludzki, tak znajomy, że chwyta mnie za serce.

– Ja cię pamiętam – precyzuje po chwili.

– A więc to się nie działo w mojej wyobraźni – mówię. Wciąż nie potrafię posklejać nieuchwytnych fragmentów wspomnień. – Na Weronie były szeptki, które uważałam za duchy. Pamiętam... – dodaję, tłumiąc nagły, oszalamiający przypływ żalu. – W takim razie zamieszki rzeczywiście spowodowała furia. Skłoniliście tamtych ludzi, żeby zabili moich rodziców.

– Dla nas śmierć nie istnieje. Skąd mogliśmy wtedy wiedzieć, do czego zmusił nas ten, który nas uwięził?

– Zmusił... – powtarzam jak echo. – LaRoux?

– Obiecał, że jeżeli się zgodzimy, odeśle nas do domu. Dopiero gdy przeniósł nas tu z miejsca, które nazywasz Weroną, zorientowaliśmy się, że to oszustwo. Ale on wtedy już dobrze wiedział, jak zadawać nam ból.

– Torturował was?

Żołądek skręca mi się i wzbiera mdlącą nienawiścią do człowieka, którego znam tylko z holowidów i przekazów informacyjnych.

Flynn kiwa głową.

– Za każdym razem, gdy wymierzał nam karę, oddalaliśmy się od siebie i coraz bardziej zaczynaliśmy się różnić. Zagubieni, samotni. Nasze cierpienie przenosiło się na was, sprawiało, że traciliście rozum.

– A ty? Co odróżnia cię od reszty?

– To, że cię pamiętam, Jubilee Chase.

– Ale ja nie jestem wyjątkowa – wybucham. – Nie jestem ważna.

– Jesteś najważniejszą istotą we wszechświecie. Ty. Ta powłoka. Mieszkańcy tej planety. Kochankowie, wojownicy, artyści, przywódcy. Ich sny są liczniejsze od gwiazd. Każdy umysł jedyny w swoim rodzaju, każda myśl stworzona na chwilę, by przerodzić się w kolejną. Nie pojmujecie, jakie to druzgocąco piękne: być sobą.

Pięką mnie oczy i choć staram się ukryć za tą samą kamienną fasadą, która

chroniła mnie przez lata od śmierci rodziców, głos mi drży:

– Mimo to bywamy samotni.

Szept spogląda na mnie oczami Flynnna. Czuję się pusta, równie pusta jak to spojrzenie, choć w tyle głowy tli się płomyk współczucia. Być może nie jestem w stanie zrozumieć bólu całkowitej izolacji, a jednak, spoglądając na Flynnna, który jest tuż obok, a zarazem niemożliwie daleko, czuję, że potrafię go sobie wyobrazić.

– Chciałaś być podróżniczką – mówi istota, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Marzyłaś o tym, by odkrywać morza i gwiazdy. Śniłaś o tym tak barwnie.

Coś się dzieje z białą salą. Od ścian odrywają się smugi błękitu i zieleni, płyną po podłodze i otulają mnie. Wodorosty i korale kiełkują jak kwiaty, miliony ryb, każda innego koloru, śmigają to tu, to tam. Zachłystuję się, ale po chwili uświadamiam sobie, że ten ocean mogę wdychać jak powietrze.

– Nazwałaś mnie kiedyś przyjacielem – mówi szept.

– Ty... To byłeś ty... – mówię, a wspomnienia wracają nagle potężną falą. – Byłeś ze mną w November...

Ocean blednie, ryby, coraz bardziej widmowe, znikają jedna po drugiej. Ale wspomnienie zostaje, a wraz z nim obraz snu, dawno zapomnianego i pogrzebanego w otchłani smutku. Mimo to prawdziwego.

– Skrzywdziłem cię – mówi cicho szept, i choć na jego twarzy nie widać skruchy, mówi wolno, a każde słowo nabrzmiewa żalem. – Nie zachowałem się jak przyjaciel. Okradłem cię.

– Z moich snów.

Wciąż czuję wokół siebie ocean, zanurzona w jego widmie. To coś, czego nie doświadczyłam od momentu, gdy zostałam sierotą.

– Sądziłem, że ci pomagam, ratuję przed koszmarami po śmierci rodziców. Myślałem, że oszczędzam ci bólu. Ale nawet bolesne sny bywają piękne, Jubilee Chase, i nie miałem prawa ci ich odbierać. W miarę jak dorastałaś, zmieniały się i niosły ukojenie. Potrzebowałaś ich.

– Przez te wszystkie lata... przechwytywałeś moje sny? Zabierałeś je dla siebie? Czemu?

– Ponieważ dzięki nim czułem się mniej samotny – wzdycha Flynn, po czym przechyla głowę i spogląda na kopułę swojego więzienia. – Pozostali uważają, że dla ludzkości nie ma nadziei, że wybuchy agresji, które powodują, ta wasza furia... że to nic nie znaczy. Ale ja czułem twoją rozpacz, twoją stratę. I choć wasz gatunek zdolny jest do straszliwych zbrodni, to potrafi również czynić piękno. Położenie temu kresu byłoby tak samo złe, jak okradanie cię ze snów. Śmierć ograbiłaby was z szansy na odrodzenie.

Ze złością ocieram mokre policzki, wściekła na siebie za to, że współczuję tej podłej istocie noszącej twarz Flynnna, za to, że nie jestem już w stanie walczyć

jak automat, bez emocji, i nie wiem, czy kiedykolwiek byłam.

– Oddaj mi Flynna – mówię urywanym głosem. – Skoro wiesz, co się dzieje w moim sercu, to wiesz także, że go potrzebuję.

– Więż łącząca cię z tą powłoką to powód, dla którego ją wybrałem.

– Przestań go nazywać powłoką! – wybucham, a gniew sprawia, że łyzy znów stają mi w oczach. – On jest człowiekiem! Mądrym i dobrym, i odważniejszym, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. A ty tak po prostu mi go odebrałaś.

– Kochasz tę powł... tego człowieka?

Spoglądam na niego zdumiona. Absurdalność tego pytania, usłyszanego tutaj, w samym sercu sekretnego ośrodka badawczego, w rozmowie z bytem z innego wszechświata, jest tak uderzająca, że nagle ogarnia mnie ochota, by wybuchnąć histerycznym śmiechem. Ale on patrzy na mnie z powagą i impuls natychmiast znika, zastąpiony przez ukłucie bólu.

– Nie wiem – odpowiadam cicho, przypominając sobie nasz pocałunek na skraju mokradeł. – Ale chciałabym się dowiedzieć.

W oczach Flynna pojawia się słaby błysk. „Jego umysł wciąż gdzieś tu jest”, powiedziała chwilę temu istota. Przelykam ślinę. Tak bardzo pragnę go zawołać, błagać, żeby do mnie wrócił.

– Nie wiem, jak opuścić jego głowę, nie niszcząc tego, co w środku. Ale jeżeli ty zniszczysz to, co nas z nim łączy... być może wyjdzie z tego cało.

– Jeśli zniszczę... – powtarzam bezmyślnie. – Co to znaczy?

– Chcę, żebyś nas zabiła, Jubilee Chase.

Tracę oddech.

Istota przygląda mi się bacznie.

– Nie chcę stać się taki jak oni, nie chcę się uciekać do przemocy, być sprawcą rozpacz i cierpienia. To nie leży w naszej naturze. Nie zniesiemy tego.

– A wydaje ci się, że nam jest łatwo to znosić? – rzucam, tłumiąc szloch. – Życie jest cierpieniem. Wszyscy cierpimy, każdego dnia.

– Są we wszechświecie inne rzeczy – odpowiada stworzenie. – Światło. Życie. Dotyk. Czucie. Świadomość, że wszyscy składacie się z tych samych elementów, tych samych fragmentów gwiazdowego pyłu, a zarazem tak bardzo się od siebie różnicie i każdy z was jest samotny.

– Myślisz, że samotność to coś dobrego?

– Dla nas jest torturą – odpowiada krótko, a potem dodaje: – Jednak w waszej indywidualności leży wasza siła. Podziwiamy to. Co nie zmienia faktu, że sprzeciwia się to naszej naturze.

Flynn pochyla głowę, a ja patrzę na niego uważnie, usiłując dostrzec w jego twarzy ślad tajemniczej istoty. Ale widzę tylko kości policzkowe Flynna, jego usta i opadające na czoło włosy. Nic nie wskazuje na obecność niechcianego pasażera, nic poza pustką w oczach. Przygryzam wargę i pograżam się w myślach.

– Jesteś pewien? – pytam wreszcie cicho. – Może istnieje jakiś sposób, żeby was uwolnić, żebyście mogli...

Przerywam w pół zdania, ponieważ w rysach Flynna dostrzegam odpowiedź.

– Błąd tego, który odebrał nam wolność, polegał na stworzeniu dla nas więzienia napędzanego naszą własną energią. Jesteśmy jego nierozzerwalną częścią – mówi Flynn i zbliża się o krok. – Jeśli zniszczysz to miejsce, zginiemy razem z nim. Ale gdy pozbędziecie się zakłóceń, które powodujemy, zmuszeni utrzymywać to miejsce w tajemnicy, wasza opowieść może sięgnąć gwiazd. W ten sposób wyruszycie w drogę ku odrodzeniu. Udowodnicie, że wasz gatunek zasługuje na to, żeby trwać.

– Ale sam mówiłeś, że we wszechświecie jest tyle dobra. Moglibyście go doświadczyć. Światło, dotyk...

Milknę.

Flynn powoli kręci głową.

– Nie chcemy żyć ze świadomością, że nigdy nie będzie nam dane wrócić do domu. Ja... chcę po prostu odpocząć.

– Zgoda – szepczę. – Pomogę ci.

Szept w ciele Flynna przyzywa mnie gestem i klękamy obok siebie na oślepiająco białej podłodze. Pokazuje mi prawie niewidoczny obrys dłoni – skaner otwierający panel kontrolny pod spodem.

– Wystarczy go dotknąć – tłumaczy. – Nieważne, kto to robi. Ten, który nas zniewolił, znalazł sprytny sposób na to, żeby nas uwięzić. Przecież nie mamy ciała. Próbowaliśmy wabić tu ludzi, ale bez skutku. A on tylko się cieszył z naszych niepowodzeń.

– Wabić ludzi...? – urywam, bo nagle spływa na mnie olśnienie: – Błędne ogniki. Tubylcy mieli rację. Ogniki naprawdę próbowały dokąś ich poprowadzić.

– Próbowaliśmy wiele lat – ciągnie szept. – Ale ja w pewnej chwili zrozumiałem, że pragnę czegoś innego. Bałem się.

Przyglądam się jego obojętnym rysom w poszukiwaniu oznak tego strachu, ale ich nie znajduję.

– Czego się bałeś?

– Tego, że umrę w samotności – mówi istota i oczami Flynna odnajduje moje spojrzenie. – Że umrę, zanim cię spotkam.

W moim sercu miarowo bije żal: żałuję siebie samej, Flynną i tego bytu ukrytego w jego wnętrzu. Chcę coś powiedzieć, ale wtedy przez jego oblicze przetacza się jakaś fala.

– Musisz się spieszyć – mówi z trudem. – Nie dam rady dłużej ich powstrzymywać.

Tłumiąc szloch, przykładam dłoń do zagłębienia. Przenika mnie strumień rozedrganej energii. Skaner piszczy i rozbłyskuje zielenią, a wtedy fragment

podłogi unosi się, coraz wyżej i wyżej, aż wyrasta przede mną dwuipółmetrowa kolumna opleciona mnóstwem obwodów i kabli. Wystarczy ją zniszczyć, a szepty zginą.

Czuję, jak cała kolumna buzuje elektrycznością, tak silną, że zaczynam szczekać zębami, a włosy stają mi dęba jak przed uderzeniem pioruna. Nie będzie trudno doprowadzić do przeciążenia.

Flynn chwieje się na nogach i w ostatniej chwili łapie równowagę. Głos ma chrapliwy, ale wciąż nad sobą panuje:

– Kiedy to się dokona, musisz wyjść i powstrzymać to, co dzieje się na zewnątrz.

– Na zewnątrz?

– Twoi ludzie, jego ludzie. Nasze więzienie zmieniło się w pole bitwy.

Cierpnie mi skóra. Kiedy odnaleźliśmy ośrodek, wiedzieliśmy, że ścigają nas *fianna*, tymczasem okazuje się, że wojsko również było na tropie. Dwie armie naprzeciwko siebie. Wojna napędzana bezsensownym zabijaniem i żadnych szans, by strony konfliktu zrozumiały, że powinny się zjednoczyć w walce ze wspólnym wrogiem – sadystycznym szaleńcem z drugiego końca galaktyki. To będzie prawdziwa rzeź.

Ta istota, która twierdzi, że nie pojmuję, czym jest śmierć – ogrom jej empatii pozbawia mnie tchu. Po chwili uświadamiam sobie coś jeszcze:

– To ty mną owładnąłeś tamtej nocy. Ty zaprowadziłeś mnie do jaskini.

– Ta powło... Ten człowiek... Dzielisz jego ból. W taki sam sposób, w jaki my dzielimy z sobą wszystko. Rozpaczałabyś po śmierci jego ludzi tak samo jak on. Niestety, przywiodłem cię tam za późno, byś zdołała to powstrzymać.

A więc znalazłam się tam, aby ich ocalić. Mimo gniewu i cierpienia to stworzenie, którego pobratymcy doprowadzali moich przyjaciół do szaleństwa, próbowało oszczędzić Flynnowi bólu.

Szept czeka cierpliwie, aż znów na niego spojrzę, po czym mówi:

– Odpowiedziałem na twoje pytania. A czy ty zgodzisz się zrobić coś dla mnie?

– Co? – pytam zdławionym głosem.

– Czy... mógłbym cię dotknąć?

Mrugam i podnoszę na niego oczy.

– Słucham?

– W naszym świecie nie istnieją doznania fizyczne, a w waszym zawsze byliśmy samotni.

W tej chwili Flynn wygląda bardzo młodo.

Przełykam ślinę.

– W porządku. Jasne.

Wyciągam do niego rękę. Łapie ją i obraca wnętrzem do góry, muskając

moją skórę opuszkami palców. Jego kłykcie ocierają się o spód mojej dłoni, a twarz nabrzmiewa zachwytem.

– W naszym świecie jesteśmy zawsze razem, w pełni i całkowicie. Przenikamy się i tworzymy całość – szepcze i czuję na dłoni jego ciepły oddech. – Oznacza to jednak, że nie umiemy docenić, jak niezwykle jest spotkać się po długiej rozłące.

Splata palce z moimi. Spodziewałam się, że będą wilgotne albo że poczuję to dziwne mrowienie. Ale jego skóra jest ciepła, a dotyk znajomy, i nasze palce splatają się tak, jakby były dla siebie stworzone.

Na wierzch mojej dłoni spada kropla. Flynn ma mokre oczy i po chwili kolejna łza spływa mu po policzku.

– Dziękuję – mówi cicho. – Jubilee Chase, chciałbym...

Milknie gwałtownie i zaciska palce. Kiedy podnosi wzrok, dostrzegam w jego czarnych oczach panikę i niemal ludzką desperację. Jakby mówił: nie dam rady dłużej ich powstrzymywać.

– Poczekaj! – krzyczę, a serce łomocze mi ze strachu. – Wytrzymaj, jeszcze chwilkę. Proszę cię, musi być jakiś sposób, żeby...

Żeby cię ocalić!

W jego rysach rozbłyska smutek – prawdziwa rozpacz – a potem wypełnia je pustka. Zmiana we Flynnie, w którym zamieszkał mój duch z November, zaszła tak stopniowo, że prawie nie zauważyłam, jak bardzo się różnił od pozostałych szeptów. Ale ten chłód, ta obojętność – na jej widok przenika mnie lodowaty dreszcz. Duch z November zniknął.

Gdy stworzenie po sekundzie koncentruje wzrok na mojej twarzy, przeszywa mnie dreszcz. Pistolet leży na podłodze między nami – ono również go dostrzega. Kiedy tylko się poruszę, zrobi to samo. To moja jedyna szansa.

Jedyna szansa.

Wyrywam rękę i oboje dopadamy broni. Zaciskam palce na rękojeści i turlam się, pewna, że za chwilę nieludzki uścisk zmiażdży mi kostkę albo przelyk. Powietrze gęstnieje od szeptów, przed oczami migają mi twarze dawno zmarłych bliskich, a usta wypełnia smak miedzi. Mrugam gorączkowo i unoszę się na kolanach, zamroczone i oślepięna fałszywymi bodźcami, które zalewają mój umysł. Obracam broń i robię głęboki wdech, a czas zwalnia bieg. Wypuszczam powietrze i strzelam.

Obwód w centrum kolumny eksploduje, posyłając w druty potężną falę energii. Cały pokój zaczyna dziko migotać. Rdzeń maszyny pulsuje w ciemności jak stroboskop. Szept w ciele Flynnna już prawie łapie mnie za rękę, gdy nagle upada z wrzaskiem. Widzę skupione na sobie rozszerzone źrenice i rozchylone bólem usta.

Szalejąca energia trzeszczy i ciska się na wszystkie strony, wzbierając

przeraźliwym rykiem, który powala mnie na ziemię. Wyginam szyję, usiłując dostrzec Flynnna – i umierające stworzenie w jego wnętrzu – ale wśród buchających snopów iskier majaczy tylko jego czarna sylwetka. Mój krzyk ginie w straszliwym jazgocie. Usiłując dźwignąć się na nogi, czołgam się ku Flynnowi i właśnie mam chwycić go za rękę, kiedy kolumna eksploduje z siłą, która wyrzuca nas w powietrze, po czym zapada ciemność.

Dziewczyna wyciąga rękę. Gwiazdy są tak blisko, że może muskać je koniuszkami palców, ale ilekroć ich dotyka, rozpadają się na tysiące kawałków. Dziewczyna dryfuje zawieszona w przestrzeni, jej włosy falują w prądach Avonu. Oddycha wodą i mrokiem i szuka ducha z November. Wie, że gdzieś tu się schował – musi go zapytać, dlaczego odszedł, czemu porzucił ją w chwili, gdy najbardziej potrzebowała snów.

Płyń wśród roztrzaskanych gwiazd. Snopy iskier tryskają wokół jak kurtyny deszczu i gasną w bezdennych wodach, opadając niżej i niżej, w samo serce Avonu.

FLYNN

Czuję się jak wtedy, kiedy miałem jedenaście lat i Sean zepchnął mnie ze szczytu naszej skały obserwacyjnej. Boli mnie wszystko, każdy oddech powoduje ostre klucie w żebrach. Pod zaciśniętymi powiekami eksplodują białe świetlne kule i czołgam się na oślepe, usiłując odzyskać przytomność.

Nagle coś dotyka moich palców, czuję na nich ciepło czyjejs dłoni.

– Flynn? – chrypi Jubilee.

Otwieram oczy i dostrzegam pogrążony w półmroku, zwieńczony kopułą pokój. Odrobina światła wpada przez otwarte drzwi z korytarza. Kiedy ściskam dłoń Jubilee, słyszę jej stłumiony szloch. Koncentruję się na oddechu i czekam, aż nadejdzie zrozumienie.

Między jednym a drugim mrugnięciem przypominam sobie obce byty w mojej głowie i swoją rozmowę z Jubilee, którą obserwowałem jak przez mglistą zasłonę, zbyt ospały i ogłupiały, żeby móc wypowiadać własne myśli. Przypominam sobie rozpacz rozstania i jak to jest umierać. Oddech więźnie mi w gardle.

Znów mrugam, a kiedy udaje mi się skupić wzrok, napotykam jej spojrzenie. Przez moment w jej oczach widzę wszystko: ból wywołany tym, czego była świadkiem, dogasający strach. I smutek. Dotyka mojej twarzy drżącą dłonią, jakby sprawdzała, czy zareaguję. Uśmiecham się słabo, a ona oddycha z ulgą. Wydaje z siebie ostry, zduszony jęk i głowa opada jej na pierś.

Przez moment się nie rusza. Kiedy znów na mnie spogląda, ma na twarzy maskę żołnierki, mimo że jej policzki wciąż są mokre od łez. Jest jednak w tej pozie coś nowego, jakieś ciepło, którego nie potrafię zidentyfikować, póki nie zaglądam jej w oczy i nie dostrzegam wypełniającego je uczucia.

– Możesz się ruszać? – pyta, podnosząc się z ziemi, po czym podaje mi rękę i pociąga do góry. – Tu wszędzie są kamery. LaRoux dowie się, co zrobiliśmy.

– Wieża komunikacyjna – rzucam i wstaję chwiejnie, nie puszczając jej dłoni. – Tak jak mówiła Lilac, potrzebna jest cała galaktyka świadków, żeby nie mógł zniszczyć Avonu. Żeby nie mógł nas uciszyć.

– Tam na zewnątrz czeka wojsko i *fianna* – odpowiada pospiesznie Jubilee, kręcąc głową i wsuwając do kabury odebraną szeptowi broń.

– Transmisja na całą galaktykę to jedyny sposób, żeby Avon był bezpieczny – nalegam.

Ściskam ją za rękę. Dobrze wiem, o co proszę. Szansa, że oboje wyjdziemy z tego bez szwanku, jest znikoma.

– Jeśli usłyszą mnie także nasi ludzie, może uda nam się to zakończyć.

Jubilee jeszcze mocniej ściska moją dłoń.

– W takim razie chodźmy.

W budynku panuje chaos. Wyrwani z transu najemnicy wytaczają się z pokoiów na korytarz, usiłując zrozumieć, gdzie się znaleźli i co tu robią. Naukowcy i laboranci w białych kitlach leżą nieruchomo, choć nie potrafię stwierdzić, czy są martwi, czy tylko nieprzytomni. Być może na tym polegał plan awaryjny Rodericka LaRoux: cokolwiek zrobił z ich mózgami, upewnił się, że nikomu o niczym nie opowiedzą.

Wbiegamy po schodach i przemierzamy korytarze, pnąc się ku powierzchni. W chaosie nikt nie zwraca na nas uwagi, spuszcza więc głowę, mocno obejmuję Jubilee w pasie i pędzimy naprzód. Z każdym krokiem wracają do mnie siły, a w sercu wzbiera nadzieja. Walka jeszcze się nie skończyła. Myśli mam jasne, a płuca pracują swobodnie.

Kiedy dopadamy wyjścia z budynku, czuję się tak dobrze, jak nie czułem się od momentu, kiedy wsiadaliśmy na pokład odlatującego do portu kosmicznego wahadłowca. Czuję, że żyję. Teraz pozostaje mi tylko utrzymać ten stan.

Na zewnątrz wciąż jest ciemno. Do świtu została co najmniej godzina. Od wschodu dobiega blade światło, w którym dostrzegam sylwetki biegnących w różne strony ludzi. Ośrodek, dotąd ukryty, przerodził się w pole bitwy. Przez chwilę tkwimy w półotwartych drzwiach, aż nagle Jubilee wydaje z siebie stłumiony ostrzegawczy krzyk i pociąga mnie na ziemię. Pół sekundy później strumień lasera odbija się rykoszetem od metalowej framugi kilka centymetrów od miejsca, w którym staliśmy.

Do wnętrza budynku wdziera się błotnisty zapach bagna i cierpki swąd spalenizny. Gdzieś po drugiej stronie zabudowań słychać opętańczy ryk McBride'a wydającego rozkazy. Przez szczelinę w drzwiach dostrzegam przemykających nieopodal Póla i Liama O'Marów – ich twarze ukazują mi się na moment w rozbłysku krzyżowego ognia laserów. Zamieram przerażony, ale żaden z nich nie pada na ziemię.

Twarz Jubilee rozświetla blask laserowych strumieni. Szeroko otwarte oczy omiatają teren, szukając jakiegoś prześwitu wśród padających zewsząd strzałów.

– To samobójstwo – odzywa się szeptem.

Rozglądam się, a tymczasem żołnierze stopniowo zyskują przewagę nad *fianna*, tu i ówdzie przedzierając się przez ogrodzenie i przyszpilając ich do ścian budynku, w którym się kryjemy. Przesuwam wzrokiem wzdłuż płotu, aż natrafiam na wieżę komunikacyjną. Prowadzące do niej drzwi są zamknięte, najprawdopodobniej na zamek. Po chwili jednak dostrzegam przymocowaną do ściany drabinkę – jest zardzewiała i wygląda na mało stabilną, ale być może uda mi się po niej wspiąć.

– Musimy spróbować.

Wzdrygam się, gdy tuż obok jakiś rebeliant z krzykiem pada na ziemię. Nie rozpoznaję głosu, ale ten wrzask sprawia, że przeszywa mnie lęk.

– Podprowadzisz mnie pod wieżę? Jeśli zdołasz ich zatrzymać, myślę, że uda mi się to zakończyć.

Na zewnątrz huczą strzały, a jazgoczące lasery raz po raz rozpraszają mrok krótkimi błyskami. Z każdą sekundą jest ich więcej, z każdą minutą stają się głośniejsze. Zerkam na Jubilee, która badawczym wzrokiem omiata walczących. Widzę, jak jej umysł pracuje, usiłując obliczyć, jak szybko powinniśmy biec i czy mamy jakąkolwiek szansę dopaść wieży. W końcu bierze dwa długie, głębokie oddechy i wyciąga pistolet z kabury. Mam nadzieję, że potrafi strzelać na tyle celnie, żeby nikogo nie zabić – żadna z tych armii nie jest już naszym wrogiem. Kiwa głową, bez słowa, za to z oczami pełnymi determinacji.

Kryjąc się w progu, przyciągam ją do siebie bliżej, aż dzieli nas tylko szerokość dłoni. Nagle ziemią wstrząsa huk eksplozji. Z bijącym sercem spoglądam na Jubilee i w słabym świetle dostrzegam rysy jej twarzy: usta, kości policzkowe, łuki rzęs.

– Hej – mruczę.

Sam nie wiem, co chcę powiedzieć, ale muszę się do niej odezwać, zanim wyjdę na pole bitwy, między dwie wrogie grupy, z których każda pragnęłaby mnie ujrzyć martwym.

– Hej – odpowiada szeptem.

Jest na tyle blisko, że dostrzegam drobne zmiany w jej spojrzeniu, kiedy przypatruje się mojej twarzy, zapisując w pamięci jej kształt.

– Flynn... cieszę się, że zniszczyłeś mi życie.

Znam ten ton. Słyszałem go już wcześniej.

– Żadnych pożegnań – mówię.

Jej usta drżą w leciutkim uśmiechu. Nagle przypominam sobie, co powiedziała, gdy byłem tylko ciałem bez władzy nad umysłem, a szept zapytał ją, czy mnie kocha.

– Ja też chcę się dowiedzieć.

Jubilee rozpoznaje echo własnych słów i jeszcze raz uśmiecha się leciutko, patrząc mi prosto w oczy.

Przyciskam rozedrgane ręce do podłogi.

– Gotowa?

Kiwa głową i przenosi wzrok na wieżę.

– Gotowa.

Wyskakujemy z budynku i puszczamy się biegiem.

Dziewczyna mija ostatnie gwiazdy, które rozsypują się w lśniący pył osiadający jej na skórze i migotliwie opadający w bezmiar wody. Dalej rozciąga się już tylko ciemność i nigdzie nie ma śladu ducha z November.

Dryfujący obok zielonooki chłopiec powoli, z namysłem, dotyka jej policzka. Rozproszone, zielonkawe światło rozjaśnia jego twarz. Nagle podnosi wzrok. Dziewczyna podąża za jego spojrzeniem i dostrzega w górze coś błyszczącego, tuż poza zasięgiem ręki.

Nabiera powietrza i wypływa na powierzchnię.

JUBILEE

Biegniemy w półmroku wstającego dnia, prosto w stronę wieży, uchylając się przed świszczącymi koło naszych głów pociskami. Jest ich tak dużo, że lawirowanie nie ma sensu. Koncentruję uwagę na tym, by nie poślizgnąć się w błocie, i wyteżam wzrok w ciemnościach. Wszędzie przemykają ciemne sylwetki: żołnierze w natarciu zmieniają pozycje, rebelianci to rzucają się w wir walki, to uskakują, ciągnąc za sobą rannych.

Dopadam drzwi wieży ułamek sekundy przed Flynnem. Wciskamy się do wnęki przy drzwiach i Flynn chwyta za klamkę, ale choć kręci i szarpie nią gorączkowo, ta nie ustępuje.

Opuszcza więc głowę i krzyczy mi do ucha:

– Musimy wejść oknem!

Wskakuje na zardzewiałą drabinkę na prawo od wejścia i podciąga się w górę. Nie zważając na protesty obolałych mięśni, ruszam za nim.

Cztery lub pięć metrów wyżej jakaś niewidzialna, miazdząca siła szarpie moim ramieniem, wbijając je w ścianę wieży. Próbuję zmusić palce, by mocniej chwyciły szczebel, ale prawa dłoń nie reaguje. Jednocześnie ze zdumieniem wpatruję się w plamę krwi na cemencie, której jeszcze przed chwilą tam nie było. Palce prawej dłoni w zwolnionym tempie odrywają się od szczebla. Nie czuję bólu, tylko zdziwienie, kiedy uświadamiam sobie, że spadam.

Uderzam o ziemię z siłą, która wyciska mi powietrze z płuc, i dopiero wtedy fala bólu eksploduje od barku aż do łokcia, wybuchając ogniem w moich żyłach.

Duch z November czeka na nią nad powierzchnią wody. W jego świetle dziewczyna wdrapuje się na łódkę i staje, ociekając wodą, z pasmami gwiazdnego pyłu we włosach. Nie może czekać ani chwili dłużej, słowa same wypadają jej z ust:

– Gdzie byłeś?

Duch jest zaledwie szeptem, ale kiedy dziewczyna zamyka oczy, słyszy go wyraźnie:

– Szukałem cię.

FLYNN

Pnę się na oślep, wokół świszczą pociski, gdy nagle uświadamiam sobie, że nie ma pode mną Jubilee. Prawie puszczam drabinę – w ostatniej chwili chwytam się szczebla i toczę wzrokiem wokoło, czując, jak wypełnia mnie lęk.

Leży na ziemi. O Boże, spadła. I nawet w ciemnościach, na tle błota, widzę, że jest ranna: na jej rękawie kiełkuje czerwona plama.

– Jubilee! – wrzeszczę ochryple, ale wśród kanonady ledwie słyszę swój własny głos.

Mięśnie pracują same i niezdarnie zsuwam się po drabinie. Jubilee drga, po czym próbuje podeprzeć się na łokciu i znów opada w błoto. Dopiero po dłuższej chwili uświadamiam sobie, że coś krzyczy, wpatrzona prosto we mnie. Nie słyszę jej, ale z ruchu warg odczytuję trzy słowa: „Nie zatrzymuj się”.

Bezradnie zwisam z żelaznego szkieletu. Nade mną majaczy nadzieja, ale w dole, na ziemi, zostawiłem serce. Jubilee znów otwiera usta i tym razem dociera do mnie jej krzyk:

– Nie zatrzymuj się!

Dobrze widzę, ile ją to kosztuje.

Robię więc jedyne, co mogę zrobić w tej sytuacji – zmuszam ramiona i nogi, by sprzeciwiły się rozgorączkowanemu głosowi serca, i zaczynam wspinaczkę od nowa. Podciągam się na szczeblach, a moje zabłocone buty ślizgają się, szukając podparcia. Na szczycie dostrzegam okno – wieża służyła prawdopodobnie również jako punkt obserwacyjny. Dotarłszy do niego, odwracam twarz i wbijam pięść w szybę. Szkło kruszeje, a ja wybijam je do końca, gramolę się przez parapet i ląduję ciężko na boku, w błotnistej mazi na posadzce.

Nie tracąc ani sekundy, przewracam się na kolana, pilnując, by nie wychylić głowy ponad krawędź okna. Otacza mnie mnóstwo najrozmaitszych urządzeń nadawczych, tysiąc razy bardziej skomplikowanych niż sprzęt radiowy, którego używamy w jaskiniach. Mimo to aparatura w jakiś dziwny sposób wydaje się znajoma.

Zamykam oczy, próbując stłumić poryw serca, który ciągnie mnie ku leżącej w dole Jubilee. Wygłuszam dochodzące zza okna dźwięki i sięgam do odległych wspomnień. Do czasów sprzed ostatniego audytu i sprzed ostatniej wojny, kiedy dom wciąż oznaczał dach nad głową i własne łóżko. Nie potrafię przypomnieć sobie twarzy matki, ale pamiętam jej nieruchome palce na nadajniku. Kiedy wybuchła rebelia, odebrano nam sprzęt z dostępem do hipernetu, ale teraz, klęcząc na podłodze wieży, odtwarzam w głowie to wspomnienie. Widzę, jak trzyma nadajnik, widzę jej palce zbliżające się do przycisku. I przypominam sobie.

Chwytam słuchawkę. Moje dłonie zawisają na moment nad panelem kontrolnym, aż odnajduję właściwą sekwencję, która pozwoli mi nadać przekaz na całą galaktykę. Obok dostrzegam rząd przełączników opatrzony podpisem: światła zewnętrzne. Przekładam je po kolei i nagle oślepiająca jasność zalewa dziedziniec. Sylwetki walczących nieruchomieją, zdezorientowane, inne potykają się i pierzchają na boki. Strzały powoli cichną. Obok włączników światła umocowane są przyciski systemu nagłaśniającego. Wciskam jeden z nich i głośniki nad moją głową z trzaskiem budzą się do życia. Teraz mój głos dotrze do zebranych poniżej rebeliantów i żołnierzy, a nadajnik poniesie go także do każdego zakamarka galaktyki.

Naciskam guzik mikrofonu i zaczynam:

– Nazywam się Flynn Cormac.

Poniżej kilka osób unosi głowy na dźwięk mojego głosu, a może nazwiska, nie jestem jednak w stanie stwierdzić, czy te ciemne sylwetki to żołnierze czy *fianna*.

– Transmisja ta skierowana jest do mieszkańców Avonu i wszystkich, którzy słyszą mnie poza nim. Moja rodzina żyje tu od trzech pokoleń. Od lat tkwimy w impasie nierozwiązanego konfliktu. Musimy walczyć o prawo do bycia słyszanyymi, o prawo do życia, tylko dlatego, że nasza planeta nie zdołała pozytywnie przejść audytu. Również żołnierze zajmują się tu walką: o porządek i pokój. Wszystkim nam przydarzyły się straszne rzeczy. Wspaniali mężczyźni i kobiety ginęli i giną, a mieszkańcy Avonu zwróceni zostali przeciwko sobie.

Tu głos więźnie mi w gardle i kilka razy przełykam ślinę, mocno, aż do bólu, myśląc o drobnym ciałku i niewidzących oczach Fergala, a także o szaleństwie i rozpaczach, które skłoniły McBride'a, by go zamordował.

– Ponieważ moi ludzie nie potrafią sobie wyobrazić życia bez wojny, desperacja skłoniła ich do zabijania niewinnych.

Tak wiele chciałbym im opowiedzieć: o szeptach, o tym jak LaRoux więził je i torturował, zmuszał, by ewoluowały wbrew swojej naturze, po to, by już nigdy nie mogły wrócić do domu. Chciałbym umieć podzielić się ze słuchaczami ich rozpaczą, ale nie wiem, ile czasu mi zostało.

– Nadaję tę wiadomość z tajnego ośrodka, który LaRoux Industries ukrywało tu przez wiele lat. Roderick LaRoux przetrzymywał na Avonie pewne istoty, skrajnie różniące się od ludzi. Szepty z innego wszechświata, posiadające zdolność kontrolowania umysłów. Wykorzystywał je, żeby spowolnić proces terraformacji oraz blokować sygnały, tak abyśmy nie mogli wezwać pomocy. Póki temu człowiekowi nie zostanie wymierzona sprawiedliwość, wszyscy będziemy w niebezpieczeństwie.

W dole dostrzegam przyczajone postacie, gotowe w każdej chwili na nowo podjąć walkę. Na razie mnie słuchają. Chrząkam, by przeczyścić gardło, i mocnym

głosem mówię:

– Chcemy was prosić, żebyście się nam przyglądali. Interesowali się naszym losem i zadawali pytania. Żebyście pamiętali, że wasze kolonie też kiedyś były młode. Potrzebujemy waszego wsparcia i ochrony i chcemy, żebyście wiedzieli, że jeśli cokolwiek złego stanie się z Avonem, nie będzie to przypadek, ale wynik działań Rodericka LaRoux. Nie pozwólcie mu ukryć dowodów na to, co zrobił. Prosimy was o to wszystko i ufamy, że zostaniecie naszymi świadkami.

Wciągam powietrze w płuca, po czym wypuszczam je ze świstem.

– Dziękuję. Koniec transmisji.

Opuszczam głowę i spoglądam na swoje roztrzęsione dłonie i palce ściskające mikrofon tak kurczowo, że nie jestem w stanie ich rozewrzeć. Podo mną odbija się echem cisza. Jeśli choć jeden palec opadnie teraz na spust, jeśli rozlegnie się choć jeden strzał, na zawsze stracimy szansę na pokój.

Naciskam przełącznik kończący transmisję galaktyczną, ale nie wyłączam głośników. Jeszcze raz unoszę nadajnik.

– Schodzę. Czas porozmawiać.

Dopiero teraz odkładam mikrofon. Ruszam w dół po schodach, na nogach jak z waty, a ciszę przerywa jedynie dźwięk moich kroków. W dole czeka na mnie Jubilee. Ciężko ranna, to na pewno. Może nawet martwa. Umysł mam odrętwiały, a serce jak z ołowiu. Przez chwilę szarpie się z zasuwką w drzwiach, po czym wychodzę na zewnątrz.

– Panie Cormac.

Nad mokradłem dźwięczy kobiecy głos. Znam go – to komendant Towers we własnej osobie. Wyciągam szyję i po chwili dostrzegam, jak podchodzi do rozerwanego w ogniu walki płotu. Z unoszącej się nad bagnem mgły wyłaniają się rebelianci. Ujawniają w ten sposób swoją taktykę: najwyraźniej zamierzali otoczyć żołnierzy w ciemnościach. Całkiem możliwe, że by im się to udało.

Choć kryją się w cieniu, zauważam ich przynajmniej setkę. W wysmarowanych błotem twarzach błyskają białka oczu. Wiele pistoletów wciąż jest skierowanych na mnie.

– Przestańcie – mówię. – Czas zająć się rannymi i zacząć rozmawiać.

Ranni. Kilka metrów dalej leży w błocie Jubilee. Każdy mięsień w moim ciele wyrywa się, by dopaść jej nieruchomej sylwetki. To samobójstwo – tak określiła mój plan rzucenia się w sam środek pola bitwy. Dała mi szansę, bym powstrzymał tę wojnę. Nie wolno mi teraz zburzyć tego kruchego porządku i pozwolić, by poświęciła się na próżno.

– Proszę – odzywam się szeptem, i choć w martwej ciszy moje słowa płyną w stronę żołnierzy, przez cały czas patrzę tylko na nią.

– Flynn.

Serce podskakuje mi do gardła. To Sean. Połowę twarzy ma umazaną krwią

z draśniętego laserem ucha i nigdy jeszcze nie wyglądał tak wojowniczo. Nasze spojrzenia się spotykają i mimo dzielącej nas odległości dostrzegam to, co lśni w jego oczach. Krew i zdrada, duch Fergala i kłująca rozpacz – to wszystko staje między nami.

– Co miałeś na myśli? Kiedy mówiłeś, że zabijamy niewinnych ludzi?

W jego tonie nie słyszę przebaczenia, ale najważniejsze, że się do mnie odezwał. Wysłuchał mnie. Na tę myśl serce zaczyna mi bić szybciej. Drobnuteńka isierka nadziei przeszywa mnie niczym elektryczny impuls. Ale zanim zdolam otworzyć usta, na twarzy Seana odbija się przerażenie. Cofa się o krok i odwraca do McBride'a stojącego kilka metrów za nim. Spogląda na gleidel w jego dłoni. Wstrzymuję oddech.

– Okłamywano was, okłamywano nas wszystkich – mówię twardo.

Prostuję plecy i wychodzę naprzód, mijając Jubilee. To tortura, nie móc na nią spojrzeć, ale powstrzymuję się resztkami sił. Muszę dokończyć to, co zacząłem. „Nie zatrzymuj się”.

– Wmanewrowano was w zerwanie rozejmu, a zrobił to szaleniec.

McBride cały się trzęsie, miotany tłumioną wściekłością.

– Nikt nie uwierzy zdrajcy – warczy.

Porzucił już wszelką logikę. Dostrzegam to w jego urywanych ruchach i słyszę w głosie.

– Wcale nie muszą mi wierzyć, wystarczy, że sami się przekonają. Oddaj broń, McBride. Sprawdzimy, ile strzałów oddałeś tamtej nocy.

Obaj wiemy, że odmowa będzie oznaczała przyznanie się do winy. Przez tłum przetacza się szmer zaskoczenia. To znaczy, że są jeszcze tacy, którzy w niego wątpią. Być może zdolam ich przekonać.

McBride świdruje mnie spojrzeniem, w którym płoną skrywane latami nienawiść i wstręt.

– Avon odrodzi się z popiołów tej wojny, a ty, Cormac, zawsze byłeś za słaby, żeby ją rozpocząć. Doyle i inni, choć nie mogli walczyć, przysłużyli się naszej sprawie. Stali się zarzewiem, a to wielki honor – mówi i wykrzywia usta w sztywnym grymasie. – Ty też możesz się nam jeszcze przysłużyć.

W zwolnionym tempie widzę, jak unosi ramię, i w mojej głowie pojawia się wizja kolejnych trzydziestu sekund. Widzę, jak za sprawą jednego strzału osuwam się na ziemię. Widzę, jak pozostali rzucają się do walki. Widzę padające ciała.

Wtedy do McBride'a przyskakuje Sean i szarpie go za rękę. McBride traci równowagę, ale tylko na moment. Jest potężniejszy, silniejszy i bardziej doświadczony. Wrywa Seanowi broń, brutalnie obejmuje go ramieniem za szyję i zasłaniając się nim jak tarczą, przykładą mu pistolet do skroni.

– Kiedyś zrozumiesz – syczy przez zaciśnięte zęby.

Powietrze przecina ryk lasera i nagle serce przestaje mi bić. Ale to McBride,

nie Sean, osuwa się na kolana. Jest martwy, zanim uderza o ziemię, a pośrodku jego czoła dymi idealnie okrągła dziura. Sean upada razem z nim. Przeturlawszy się na bok, kaszłąc, ląduje na czworakach.

Setki ludzi unoszą lufy pistoletów i świat wstrzymuje oddech. Wtedy uświadamiam sobie, skąd padł strzał. Odwracam się i widzę Jubilee na kolanach, z bronią w lewej ręce. Prawa zwisa bezwładnie. Podbiegam, padam przy niej w błocie, obejmuję ją i wszystko pozostałe traci znaczenie. Żyje. Jest zakrwawiona i drżąca, ale żyje.

Wtedy uświadamiam sobie, że choć ma reputację bezwzględnej żołnierki, nigdy wcześniej nie widziałem, żeby kogoś zabiła.

Jubilee bierze długi, uspokajający oddech.

– Czy ktoś jeszcze ma ochotę zacząć dzisiaj wojnę?

Sam dotyk jej skóry sprawia, że zalewa mnie fala ciepła i wracają mi siły. Na razie to wszystko, co możemy mieć, ale mnie wystarczy. Podnoszę głowę.

– Musimy porozmawiać. Wszyscy. *Fianna* i żołnierze. Jeśli nam pozwolicie, pokażemy wam, co się tu naprawdę dzieje.

Wśród moich ludzi przechodzi szmer i nagle ogarnia mnie bolesne pragnienie, by znów stać się jednym z nich. Ale nie mogę im rozkazać, żeby przyjęli mnie z powrotem. Zrobią to, jeżeli jeszcze raz postanowią mi zaufać.

Mój kuzyn wstaje powoli, pochylając głowę. Tymczasem wzdłuż skraju grupy rebeliantów przebiega odgłos stłumionych narad. Sean zerka na pistolet upuszczony w chwili, gdy McBride go zaatakował, ale po niego nie sięga. Zamiast tego spogląda mi w oczy i podchodzi bliżej, w stronę światła.

– Flynn – tchnie mi do ucha Jubilee, a ja odwracam głowę, podążając za jej spojrzeniem.

W głębi bagna wciąż stoją żołnierze i tym razem opuszczają broń. Komendant Towers podchodzi, żeby do nas dołączyć.

Dziewczyna śni o oceanie. Któregoś dnia, myśli, wezmę zielonookiego chłopca i popłyniemy, kupimy sobie łódź podwodną i zamieszkamy razem na dnie morza.

To ostatnia myśl, która ją nachodzi, zanim sen rozpada się na fragmenty miejsc i wspomnień ludzi, z którymi walczyła, i ludzi, których kochała, a przestrzeń pomiędzy nimi wypełnia się nonsensem, gmatwaną rzeczy ujranych i dokonanych, pomyślanych i zapomnianych.

Reszty nie pamięta.

JUBILEE

– Zatem w duchu pokoju pragniemy zaoferować naszą pomoc we wspólnych wysiłkach mających na celu odbudowanie życia na Avonie. Nie mamy tu żadnych inwestycji, ale nie możemy stać bezczynnie, gdy dzieje się nieszczęście.

Słuchając, ściskam lewą ręką poręcz fotela i z największym trudem usiłuję zachować spokój. Prawe ramię pulsuje mi w temblaku, a ja nie spuszczam wzroku z człowieka przemawiającego u szczytu stołu w sali konferencyjnej. Znam tę twarz. Wszyscy ją znają. Roderick LaRoux wygląda niemal przyjaźnie, z migotliwymi niebieskimi oczami i przeredzonymi na ciemieniu srebrnosiwymi włosami. Wpatruję się w niego zapamiętale, usiłując odnaleźć ślad potwora, który – wiem o tym dobrze – kryje się za tą maską. Z łatwością mogę sobie wyobrazić, jak spojrzenie niebieskich oczu twardnieje, a zdecydowane rysy tężeją w granit. Teraz rozumiem, czemu jego własna córka tak bardzo się go bała.

Spopoglądam na Lilac siedzącą za ojcem w towarzystwie Merendseny – ucieleśnienie idealnej jedynaczki. Fryzura w sam raz, nieskazitelny makijaż, sukienka droższa od przeciętnej rocznej wypłaty, a mimo to nieprzesadnie strojna. Taka sukienka mówi: jestem nieprzyzwoicie bogata, ale na dzisiejsze spotkanie z maluczkimi z kolonii wybrałam coś skromniejszego. Próbuję połączyć sobie w głowie tę postać z bystrością i ciepłem, którymi się wykazała podczas naszej międzyplanetarnej rozmowy, ale zupełnie nie mam się czego złapać. Ta fasada jest równie perfekcyjna jak jej wygląd.

Tymczasem Roderick LaRoux wciąż przemawia:

– Jak większość z państwa już zapewne wie, podnoszono zarzuty, jakoby moja organizacja wplątana była w niehumanitarne i nielegalne eksperymenty, które doprowadziły do niedawnego brutalnego konfliktu.

Ze smutkiem kręci głową i opuszcza wzrok, przybierając pozę świętego.

– Nie mogę się odnieść do tych zarzutów inaczej, niż stwierdzając, że zawsze znajdują się tacy, którzy chcą obarczyć innych winą za własne porażki. Moja korporacja jest i zawsze była przedsięwzięciem o charakterze filantropijnym, którego misją jest dostarczanie całej galaktyce najnowocześniejszych technologii. Ci... ekstremistyczni zwolennicy teorii spiskowych nie mogą zrobić nic, by to zmienić.

LaRoux omiata wzrokiem salę. Na ułamek sekundy nasze spojrzenia się spotykają. Dobrze wie, co znaleźliśmy w trzewiach tajnego ośrodka. Wie również, że to prawda: nic nie możemy zrobić.

Jeszcze.

Kiedy tak na niego patrzę, nachodzi mnie pewna myśl. Choć wykorzystał

Avon jako prywatne laboratorium, ćwicząc na nim sztukę sterowania ludzkimi umysłami, to przecież nie sposób stwierdzić, że na tym poprzestanie. Tysiące zainfekowanych na Avonie żołnierzy nic dla niego nie znaczą... Ale jeśli gra będzie się toczyć o umysły kilku ludzi na wysokich stanowiskach? Na przykład najbliższych doradców prezydenta, generała decydującego o rozmieszczeniu wojsk albo o czterdzieścioro dwoje senatorów wchodzących w skład Rady Galaktyki?

Odwracam wzrok od Rodericka LaRoux, który ciągnie swoją kwiecistą przemowę, by ogłosić nowe dostawy środków i infrastruktury – łapówkę pod maską dobroczynności, mającą odwrócić od niego wszelkie podejrzenia. Orientuję się, że na sali jest więcej osób, które spoglądają na niego z niechęcią lub przynajmniej z podejrzliwością. Choć po zawieszeniu broni wysłaliśmy do ośrodka wiele oddziałów wojska, nigdzie nie udało nam się znaleźć śladu związków LaRoux z tym miejscem. Nawet czip identyfikacyjny, którym otworzyłam drzwi więzienia szeptów, przepadł jak kamień w wodę. Choć zastaliśmy personel na stanowiskach, nikt z pracowników nie pamiętał, gdzie się znajduje ani co robił przez cały czas stacjonowania na Avonie. Ani jedna osoba nie miała przy sobie identyfikatora. Nie było więc podstaw, by ktokolwiek mógł uwierzyć w nasze oskarżenia. Oficjalna wersja wydarzeń głosi, że na bagnach zainstalowali się terroryści eksperymentujący z substancjami psychotropowymi i to właśnie doprowadziło do otwartego konfliktu między *fianna* a wojskiem.

Mimo to na placu boju zostało kilkoro niedowiarków. Na przykład komendant Towers. Część ludzi Flynn. I grupa moich żołnierzy, która miała więcej wiary we mnie niż zdrowego rozsądku. Ponadto zaczęły krążyć plotki – przekazywane z ust do ust w tajemnicy, rosnące w siłę. Teorie spiskowe w hiper necie, anonimowe artykuły dotyczące tajnych działań LRI kilkadziesiąt lat wstecz. Wystarczy, że rozejrzę się po sali, a wśród potakujących ludzi napotkam niejedno kamienne spojrzenie.

Monsieur LaRoux zachowuje się, jakby był nietykalny, ale ja go przejrzałam.

Widziałam rezultaty jego okrutnych eksperymentów. W pojedynkę nie stanowię dla niego zagrożenia. Jedną była żołnierka przeciw olbrzymiej międzygalaktycznej korporacji – śmiechu warte. Ale jest ze mną Flynn. I są inni. Na przykład Merendsen i własna córka Rodericka LaRoux, która doświadczyła szeptów w swojej głowie i potrafiła wyczuć ich ból. Wprawdzie Merendsen i Lilac udają, że nie pragną już niczego poza spokojnym życiem w domku na skraju wszechświata, potrafię sobie jednak wyobrazić nas wszystkich w samym centrum sieci tajemnic i kłamstw, szukających sposobu na obnażenie Rodericka LaRoux przed całą galaktyką. I jeżeli planuje on wykorzystać wiedzę, którą wydobył od zniewolonych przez siebie istot, to lepiej, żeby pamiętał, że wszyscy patrzymy mu na ręce.

Choć Flynn i ja wciąż nie mamy dowodu, to dowód taki z pewnością gdzieś

istnieje i prędzej czy później ktoś go znajdzie. Chcę, żeby Roderick LaRoux mnie usłyszał, żeby poczuł moją siłę, ale on mówi dalej, niewzruszony natarczywymi spojrzeniami z różnych stron sali. Zdaje mu się, że jestem tu skończona, że teraz, gdy na Avonie skupiła się powszechna uwaga, skryję się w jakimś ciemnym kącie galaktyki. Myśli, że skończyły mi się pomysły na walkę o to miejsce, które zaczęłam nazywać domem.

W jednej tylko chwili zdaje się tracić rezon – kiedy jego wzrok pada na Tarvera i Lilac, siedzących obok siebie, ze splecionymi dłońmi. Spoglądają na niego z uprzejmą obojętnością, jak na kogoś obcego. LaRoux wpatruje się w córkę, szukając nici porozumienia, i wtedy właśnie dostrzegam kolejny powód, dla którego taki człowiek chciałby kontrolować ludzkie umysły.

Albo serca.

LaRoux kończy i siada, a Komisja Audytu Planetarnego wzywa pierwszego z długiej listy mówców, którzy mają wygłosić argumenty za lub przeciw przyjęciu Avonu do Rady Galaktyki. Mijają godziny, a na podwyższenie wychodzą kolejni eksperci: naukowcy z Terra Dynamics i innych korporacji, historycy i socjologowie specjalizujący się w rebeliach i rekonstrukcjach, politycy kłócący się o sens dalszego rozszerzania Rady o reprezentantów nowych planet. Fascynuje mnie sposób, w jaki przerzucają się argumentami. Rytm debaty przypomina taniec – albo bitwę.

Wreszcie komisja zarządza przerwę na obiad, a gdy po jej zakończeniu wszyscy zbierają się na nowo, Rodericka LaRoux nie ma już w sali – atmosfera natychmiast robi się lżejsza i bardziej swobodna. Jako następna przemawia komendant Towers, przedstawiając proponowany system ulaskawień i prac społecznych, mający legalnie wprowadzić do społeczeństwa dotychczas wyjętych spod prawa rebeliantów z mokradel. Chciano uniknąć egzekucji, którymi zakończyła się wojna dziesięć lat temu. Również Flynnowi przyznano takie warunkowe ulaskawienie – w zamian za lokalną reprezentację interesów rodowitych mieszkańców Avonu (i, mniej oficjalnie, pomoc w utrzymaniu pokoju) nie został aresztowany za swoje przestępstwa.

Ja nie będę dziś przemawiać. W oczach Rady nie mam oficjalnej funkcji ani znaczenia. Jednak na stanowczą prośbę Flynną, wyrażoną podczas negocjacji rozejmowych, dodano mnie do listy uczestników wysłuchania. Chodziło o to, by LaRoux nie pozbył się mnie po cichu. Flynn zwrócił oczy galaktyki na nas oboje i na razie jesteśmy bezpieczni. Ponieważ wszyscy patrzą.

Wreszcie przewodniczący komisji zwraca się do Flynną, który wraz z kuzynem zajął miejsce po drugiej stronie sali. Ci dwaj to jedyni obecni tu przedstawiciele rebeliantów, dlatego za ich plecami siedzi, specjalnie się z tym nie kryjąc, trójka wartowników z pistoletami na kolanach. Wspomnienie wojny wciąż jest żywe. Ale przynajmniej pozwolono im tu być.

– Panie Cormac, wzywam pana do poświadczenia za lub przeciw akcesowi planety Avon do Rady Galaktyki na prawach niepodległego członka.

Flynn wstaje powoli. Nie dostrzegam żadnych oznak wahania bądź zdenerwowania. Osobiście wolałabym stawić czoła oddziałowi uzbrojonych przeciwników, niż zeznawać przed Radą, ale on przygląda się wpatrzonemu w niego rzędowni kobiet i mężczyzn bez strachu. Bez niepewności.

– Dziękuję – zaczyna.

Choć po tych słowach na kilka chwil milknie, to jest to znaczące milczenie i stanowi nie tyle wahanie, ile zaproszenie. Mam ochotę wychylić się z fotela, by wyraźnie usłyszeć każde słowo.

– Moich ludzi i mnie określano już przeróżnymi epitetami: rebelianci i *fianna*, terroryści i patrioci, przestępcy i męczennicy. Każde z tych określeń w którymś momencie podczas ostatniej dekady okazywało się prawdziwe. Ale jeżeli ta długa podróż coś nam pokazała, to na pewno dowód na to, że jesteśmy wojownikami.

Przebiega wzrokiem po twarzach członków Rady, zatrzymując się na każdym z osobna.

– Walczymy o nasz dom taką bronią, jaka jest nam dana. Jeśli nam pozwolicie, będziemy walczyli ciężką pracą, pasją i oddaniem. Nie sposób wyobrazić sobie ludzi, którzy w większym stopniu poświęcą się uczynieniu tej planety taką, jaką od początku miała być. Dajcie nam szansę, a udowodnimy całej galaktyce, że na tę szansę zasługujemy.

Mówi dalej, roztaczając wizję, o jakiej zawsze marzył, wizję planety, w którą wierzy. Tymczasem ja z trudem odrywam od niego wzrok i zerkam na przedstawicieli Rady. Zaprawieni w bojach galaktycznej polityki spoglądają kamiennym wzrokiem, przez co trudno stwierdzić, czy pasja Flynnna robi na nich jakiegokolwiek wrażenie. Ale z czasem dostrzegam drobną, niemal niezauważalną zmianę: wydaje mi się, że mężczyzna na skraju rzędu leciutko kiwa głową.

Potrzeba kilku tygodni szczegółowych obrad, by komisja podjęła ostateczną decyzję. Do tego czasu możemy jedynie czekać. Czekać i budować – ponieważ niezależnie od wyniku rozmów na Avonie nastąpił nowy początek i to jest właśnie szansa, o którą walczyliśmy.

Gdy komisja kończy posiedzenie, nie wychodzę z sali od razu. Powoli zbieram papiery i patrzę, jak żołnierze i mieszkańcy, urzędnicy i przedstawiciele TerraDynu mieszają się ze sobą w drodze do drzwi. Przypatruję im się, choć wiem, że wcale nie z ich powodu ociągam się z wyjściem.

Czyjeś ramię obejmuje mnie w talii, a głos mruczy prosto do ucha:

– Czy jutro wciąż aktualne?

Nawet nie próbuję powstrzymać wypływającego na usta niemądrego uśmiechu i odwracam się do Flynnna.

– Mam lepszy pomysł. Możemy umówić się na śniadanie kiedy indziej?

Flynn wciąż uważa na moje unieruchomione ramię i widzę, jak zatrzymuje na nim wzrok. Wystarczyłoby kilka centymetrów, a pocisk zamiast utkwić w barku, przebiłby mi w serce. Ale że tak się nie stało, czeka mnie jeszcze tydzień w temblaku.

– Jasne – mówi i z zaciekawieniem przekrzywia głowę. – A co to za pomysł?

– Zobaczysz.

Następnego dnia spotykamy się przed świtem. To jedyna okazja, by ukraść trochę czasu dla siebie, ponieważ jeśli nie uczestniczymy w wysłuchaniach komisji, zajmują nas spotkania dotyczące prac rekonstrukcyjnych. Wychodzimy razem i wolnym krokiem przecinamy błotnisty teren bazy. Wciąż mimowolnie rozglądam się wokoło w obawie, że ktoś rozpozna Flynna i oskarży mnie o ukrywanie zbiega. Ale żadne z nas nie musi już uciekać. Sądziłam, że nie będzie możliwe współistnienie Jubilee z kapitan Lee Chase, ale z czasem coraz mocniej utwierdzam się w przekonaniu, że to wcale nie są dwa osobne byty. Przynajmniej teraz mam czas, żeby się nad tym zastanowić.

Kiwam głową strażnikowi przy północnej bramie i wychodzimy na grząskie połączenie bagien. Choć w tym miejscu jest nieco bardziej sucho, również tu woda zbiera się w zagłębieniach i rowach, sprawiając, że spacerowanie bywają zdradzieckie, zwłaszcza w bladym świetle brzasku.

Pół kilometra dalej wyrósł plac budowy, na którym już wkrótce staną ratusz i szkoła. Sean już dwa razy oprowadzał nas po fundamentach – Flynn żartuje, że jego kuzyn pilnuje każdego gwoźdźca wbitego w gmach jego przyszłego miejsca pracy. Ale oboje go rozumiemy. To on, wraz z innymi, niedługo będzie tu urządzał szkolne klasy, a potem uczył w nich naszej historii. Na razie zaś wkłada w zagospodarowanie tego miejsca tyle energii, że dzięki temu przesypia spokojnie noce. Czeka, aż rany zaczną się goić.

Po dziesięciu minutach marszu dochodzimy do pagórkowatego terenu, gdzie ziemia jest twardsza. Wspinamy się na szczyt. W pewnym momencie przystaję i rozglądam się dookoła, po czym ruszam w stronę jedyne go znajomego elementu krajobrazu. Pewien żołnierz z mojej jednostki nazywał go Urwiskiem Zdrajców. Nie mam zamiaru mówić o tym Flynnowi. Przystaję, a on po chwili wyrasta tuż za moimi plecami.

– Czemu akurat tu? – pyta, tocząc wokół wzrokiem, prawie jakby się spodziewał, że przygotowałam piknik albo jakąś inną niespodziankę.

Biorę głęboki wdech i obracam się powoli, tyłem do wiatru. Na wschodzie niebo nad horyzontem jest delikatnie pomarańczowe. Wszędzie indziej błędyby właśnie ostatnie gwiazdy, jednak nad Avonem unosi się tylko mglista atramentowa czern.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że po tym, jak stracono twoją siostrę, żołnierze nie

zwrócili ci jej prochów.

Flynn sztywnieje. Żal wciąż go nie opuścił. Przelykam ślinę i nagle dopadają mnie wątpliwości. Ale już za późno, by zawrócić, więc mówię dalej:

– To tu. Tu rozsypano jej prochy. Na tym wzgórzu.

Zerknąwszy na niego nieśmiało, widzę, jak wpatruje się w przestrzeń jaśniejącego powoli krajobrazu. Usta ma rozchylone, brwi ściągnięte. W półmroku trudno określić emocje rysujące się w jego rzeźbionych rysach.

– Chciałam... Chciałabym móc dać ci coś prawdziwego, namacalnego, ale z zasady nie przechowujemy szczątków. Sprawdziłam wszystko dla pewności i wygląda na to, że właśnie tutaj...

– Nie – przerywa mi Flynn chrapliwym głosem, dziwnie nieobecny. – Nie, to jest piękne. Dziękuję.

Czuję, jak krępujące mnie więzy napięcia lekko się poluźniają. Podchodzę o krok bliżej, wyciągam rękę i splatam palce z jego palcami.

– Nie mieliśmy prawa ci jej odbierać – mruczę, przyciskając usta do rękawa jego kurtki. – Zdaję sobie sprawę, że to niewiele znaczy, ale przynajmniej teraz już wiesz.

– Przeciwnie, to dla mnie znaczy bardzo wiele.

Odwraca się i bierze mnie w ramiona, pochylając głowę i dotykając ciepłym policzkiem mojego policzka.

– Dziękuję, Jubilee.

Stoimy tak jakiś czas, nieruchomi mimo chłodu, i czekamy, aż świt rozleje się po mokradłach. W końcu Flynn lekko się odsuwa i łapie mnie za rękę.

– Opowiedz, co ci się śniło.

Delikatnie pociąga mnie na trawę i siadamy obok siebie, obserwując, jak wschód słońca zabarwia chmury.

Podpieram się na łokciach.

– Czy kiedy byłeś mały, marzyłeś o tym, żeby zostać odkrywcą?

A potem opowiadam mu o innych snach: małych i dużych, realistycznych i absurdalnych. Snach o Avonie i Weronie, o różnych miejscach i czasach. O moich rodzicach, kolegach z plutonu i o duchu z November, tym światełku w ciemności, które okazało się szeptem. Opowiadam mu o tym, że był przy mnie w każdym z tych snów. Flynn całuje mnie w skroń i śmieje się cicho, kiedy z wrażenia tracę dech. A potem mówi, że będzie przy mnie już zawsze.

Rozmawiamy o dziesięciu latach bez snów, skradzionych przez tamtą samotną istotę, zapomnianych, które teraz wracają po trochu każdej nocy. Śmiech Flynnna dźwięczy wśród wzgórz, niesiony nocnym powiewem, i miesza się z moim własnym. Powiedział mi kiedyś, że jego siostra by mnie polubiła, a ja pragnę myśleć, że byłaby szczęśliwa, słysząc, jak się śmieje, i patrząc, jak była żołnierka i były rebeliant siedzą obok siebie w nadciągającym świcie.

Nasze głosy to rozbrzmiewają głośno, to cichną. Chwile milczenia są pełne swobody i ciepła mimo wiszącego w powietrzu chłodu. Podnosimy głowy i przez dłuższą chwilę żadne z nas nie zdaje sobie sprawy z tego, co widzi: wysoko w górze, tam gdzie niebo wciąż jest granatowe, rozbłyska dziwna iskierka. Przypomina błędny ogień, ale się nie porusza.

Zaraz potem ginie w kłębach chmur, a ja zduszonym głosem pytam:

– Flynn, widziałeś to?

– Widziałem – potwierdza zdumiony. – Ale...

– To była gwiazda – szepczę.

Flynn, zelektryzowany, wyciąga szyję. Patrzy w chmury, a ja mimowolnie przyglądam się jego majaczącej w ciemności sylwetce, linii ust i podbródka, tak pełnych nadziei i determinacji. Dostrzegam mocny obrys ramion i siłę utkwionego w niebie spojrzenia. Delikatny podmuch rozwiewa mu włosy. Wpatruję się w niego jak urzeczona.

Myślę o tym, co odpowiedziałam, kiedy udręczona istota w podziemnym więzieniu zapytała, czy go kocham. Wtedy nie byłam pewna, ale bardziej niż cegokolwiek innego pragnęłam szansy, by się o tym przekonać. Marzyłam o wspólnych chwilach bez wojen, krwawych konfliktów i chaosu rozbitego świata. O chwilach, w których moglibyśmy być tylko my dwoje. Dostałam tę szansę.

– Co to znaczy? – pyta Flynn, opuszczając głowę, i wreszcie zagląda mi w oczy.

Uśmiecham się, bo doskonale znam odpowiedź.

– To znaczy, że niebo nad Avonem się przejaśnia.

PODZIĘKOWANIA

Podróż od *W ramionach gwiazd* do drugiego tomu trylogii była cudownym doświadczeniem i jesteśmy bardzo wdzięczne wielu osobom, dzięki którym udało się powołać do życia planetę Avon.

Przede wszystkim ekspertom, którzy poświęcili czas, by pomóc nam dopracować wszelkie detale. Benowi Ellisowi za pomoc w kwestiach dotyczących fizyki: dzięki Tobie wybuchało tylko to, co miało wybuchać. Yulin Zhang, która wprowadziła nas w świat chińskiej kultury – Twoje uwagi okazały się bezcenne. Eamonowi Kenny’emu za wskazówki dotyczące transmisji radiowych i ich zakłócania. Steve’owi Tuckowi, który wspierał nasze niszczycielskie zapędy. Josie Spooner za rady na temat tworzenia ekosystemów. Doktor Kate Irving za wiedzę medyczną, wnikliwe komentarze i dwadzieścia lat wielkiej przyjaźni – liczymy na dwadzieścia kolejnych.

Dziękujemy Niallowi O’Leary’emu oraz Willowi O’Shei za pomoc z językiem irlandzkim. *Go raibh maith agat Pól Ruiséal, Stiúrthóir, Ionad na Gaeilge Labhartha, Coláiste na hOllscoile Corcaigh* (wielkie dzięki dla Póla Ruiséala, dyrektora Centre for Spoken Irish, University College Cork) za wszystkie cenne rady. Jeżeli w powieści pojawiły się błędy, są one wyłącznie naszą winą.

Joshowi, Tracey i całej ekipie Adams Literary – to szaleństwo nie udałoby się bez Was, zresztą nawet nie chciałybyśmy zaczynać. Jesteście dla nas prawdziwą opoką. Dziękujemy.

Z całego serca dziękujemy wszystkim cudownym, zapracowanym ludziom z Hyperionu, tym, których miałyśmy szczęście poznać, a także tym, których jeszcze nie znamy. Emily Meehan i Laurze Schreiber za poświęcony nam czas i starania, by uczynić tę powieść jak najlepszą. Jamie Baker, która przeszła samą siebie. Kate Hurley, naszej redaktorce, za niezwykłą cierpliwość, z jaką podchodziła do naszego uwielbienia myślników i przecinków. I Whitney Manger za kolejną niesamowitą okładkę.

Cudownemu zespołowi Allen & Unwin dziękujemy za przyjęcie nas do rodziny.

Naszym wspinałym czytelnikom, a także księgarzom, bibliotekarzom i blogerom, których poznałyśmy od czasu wydania *W ramionach gwiazd*, dziękujemy za nieustanne wsparcie. Poznanie Was i późniejsza korespondencja to wielki zaszczyt i przyjemność.

Dziękujemy przyjaciółom, zawsze cierpliwym i wspierającym, czasem lekko rozbawionym – pozdrawiamy Was! I wszystkim naszym wiernym kibicom: dziewczętom z Chocolate Lounge i Roti Boti, ekipie FOS, Plot Bunnies i Pub(lishing) Crawl, znajomym z League, Luckies i TJ/NoVA – bez Was daleko byśmy nie zaszły.

Jak zawsze serdeczne uściski dla Michelle Dennis za wielokrotną lekturę i niegasnący entuzjazm. Dziękujemy Kim Nguyen za magiczną grafikę, a także cenną przyjaźń, oraz naszym kochanym Kat Zhang, Olivii Davis, Marie Lu, Beth Revis, Marion Cole i Jayowi Kristoffowi za celne uwagi i nieustającą pomoc. Wdzięczności, która nas przepełnia, nie sposób wyrazić w tej krótkiej notce.

Dziękujemy naszym rodzicom za miłość i wsparcie (oraz polecanie naszych książek wszystkim dookoła). To Wy obudziliście w nas potrzebę wymyślania historii, bawiąc się z nami, opowiadając nam bajki i obdarowując książkami.

Nie jesteśmy w stanie wyrazić naszej wdzięczności Brendanowi, który czytał powieść wiele razy, wysłuchiwał ponurych historii o śmierci i zniszczeniu, i robił jeszcze tysiąc innych rzeczy, a wszystko z wdziękiem, spokojem i uśmiechem na ustach.

I wreszcie, Czytelniku, z całego serca dziękujemy Tobie za to, że zechciałeś się zanurzyć w świat, który tworzyłyśmy z taką radością. Mamy nadzieję, że podobało Ci się na Avonie i... do zobaczenia na Koryncie!

Tytuł oryginału: *This Shattered World*

Copyright © 2014 by Amie Kaufman and Meagan Spooner

Copyright © for the translation by Martyna Tomczak

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Magdalena Mrozek / d2d.pl

Korekta: Katarzyna Gniewko / d2d.pl,
Jadwiga Makowiec / d2d.pl

Łamanie: Agnieszka Frysztak / d2d.pl

Jacket photograph © 2014 by Tom Corbett

Background photograph © Sergey Nivens / Shutterstock.com

Jacket design by Whitney Manger

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Andrzej Sierak

978-83-7515-699-7

moondrive

www.moondrive.pl

Dystrybucja: SIW Znak

Zapraszamy na www.znak.com.pl

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,

ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2017.

Plik opracował i przygotował Woblink



woblink.com